

Romans, którego nigdy nie zapomnisz!

Kat Martin

Caralee McConnell po ukończeniu prywatnej szkoły dla panien przyjeżdża do Kalifornii na ranczo swojego wuja, który jest jej jedynym opiekunem i dobroczyńcą. Nieświadoma, że wuj w niezbyt uczciwy sposób przejął posiadłość, przez lata należąca do miejscowej rodziny de la Guerra, Caralee szybko ulega urokowi przystojnego Ramona de la Guerra. Musi jednak stłumić tę fascynację, bowiem wuj zakazuje jej kontaktów z ognistym Hiszpanem. Wskutek nieostrożności wkrótce zostaje porwana przez tajemniczego nocnego jeźdźcę, którym okazuje się Ramon. Życie staje się skomplikowane, pełne burzliwych uczuć, bólu i namiętności.



Nocny jeździec

ISBN 83-89485-76-0



9 788389 685766

www.wydawnictwobis.com.pl

Gandalf.com.pl

Gandalf
KSIĘGARNIA INTERNETOWA

Kat Martin

Nocny jeździec

przełożył
Piotr Maksymowicz

Co mówią dzwony w San Juan
Tym, którzy je mijają?

Nie więcej niż liściom wiatr
Lub wody prąd kamieniom
Na strumienia dnie.

Kaplica dzwonów w gruzach już
A one mchem porosły

Lecz echo ich słyszemy wciąż,
mijającego czasu ton.

wiersz hiszpański
autor nieznany

Rozdział 1

Kalifornia, 1855

Srebrne *concho*. Caralee McConnell zatrzymała wzrok na rzędzie ornamentów połyskujących w świetle latarni. Błyszczące kółka, niczym odznaki za waleczność, lśniły wzdłuż długiej, szczupłej nogi Hiszpana.

Na szerokich ramionach nosił dopasowany, krótki czarny kabat, wyszywany srebrną nicią, zaś w dolnej części dopasowanych spodni połyskiwała czerwona satyna, wyłożona na wypolerowane cholewy czarnych butów z najwyższej jakości skóry rodem z Cordoby.

Carly patrzyła na wysokiego Hiszpana, który stał w cieniu na skraju patio, zajęty rozmową z jej wujem, Fletcherem Austinem, oraz kilkoma innymi mężczyznami. Nawet w mroku panującym pod masywnymi dębowymi okapami wielkiego ceglaneanego domu dobrze widziała jego przystojny profil, wyraziste rysy pięknie rzeźbionej twarzy, podkreślone kontrastami światła i głębokiego cienia.

Oczywiście Carly wiedziała, kim on jest. Powiedziała jej Oopesh - jedna z indiańskich służących. Zaś Candelaria, jej mała pokojówka, niemalże mdlała, gdy ktoś wymienił jego imię. Don Ramon de la Guerra posiadał niewielką parcelę ziemską, przylegającą do Rancho del Robles, hacjendy jej wuja, a obecnie także domu Carly. Nigdy wcześniej nie знаła prawdziwego hiszpańskiego dona, a poza tym ten tutaj był w końcu jej sąsiadem.

Wyprostowała ciemnozieloną satynową szarfę na szyi i wygładziła przód nisko wyciętej, szmaragdowej sukni o pełnej, uszytej zgodnie z najnowszą modą spódnicy. Była prezentem od wuja, który powiedział, że wybrał taki właśnie kolor, aby pasował do zielonych oczu i kasztanowego połysku włosów Carly.

Nigdy nie miała piękniejszej sukni. Rzędy koronkowych falban ślicznie uwydatniały jej zgrabną talię, a także - o czym pomyślała z niejakim zażenowaniem - odsłaniały ponad miarę jędrne, pełne piersi. Jednakże dzięki temu zyskiwała potrzebną jej pewność siebie, zapominała, że jest tylko córką górnika z Pensylwanii.

Ruszyła w kierunku stojących mężczyzn.

Właśnie mówił niejaki Hollingworth, właściciel gospodarstwa oddalonego o kilka mil na północ.

- Nie wiem jak panowie, lecz ja już wystarczająco długo znosiłem bezczelność tego człowieka. To banita. Nie lepszy niż Muerita, Jack Garcia Trzy Palce, czy którykolwiek inny bandzior, buszujący pośród wzgórz. Powinni powiesić drania.

- I tak się stanie - usłyszała obietnicę z ust wuja. -Tego może pan być pewien. - Fletcher Austin był wyższy od pozostałych mężczyzn, lecz niższy od dona. Miał na sobie drogi, ciemnobrązowy frak o szerokim kołnierzu z aksamitu, a także nieskazitelnie białą koszulę z falbanami na piersi.

- A pan co o tym myśli, don Ramon? - spytał Royston Wardell, bankier z San Francisco, prowadzący finanse jej wuja. - Obok stał bogaty przedsiębiorca o nazwisku William Bannister i jego trzydziestoletni syn, Vincent. - Jest pan wykształconym człowiekiem, kulturalnym i dystyngowanym. Z pewnością nie akceptuje pan zachowania tego bandyty, nawet jeśli jest on... - Wardell urwał. Ujrzała, jak jego szyja czerwieni się mocno ponad wykrochmalonym, białym kołnierzykiem.

Zatrzymała się w pół kroku, słysząc odpowiedź dona. Wiedziała, że rozmawiają o banicie zwanym El Dragon. Słyszała to imię wypowiedane szeptem przez służbę. Jednakże jej wuj znacznie bardziej potępiał tego człowieka.

- Nawet jeśli jest on kim, señor Wardell? - spytał uprzejmie don, lecz w jego głosie wyczuwalna była ostra nuta. - Jeśli jest moim krajanem? A może nawet w jego żyłach płynie hiszpańska krew? - Pokręcił głową, a w jego hebanowych, falujących, nieco zbyt długich włosach załśniły odbite płomienie ognia. - To że jest kalifornijskim Latynosem w niczym nie umniejsza jego winy... chociaż zapewne uważa, że działa w słusznej sprawie.

- W słusznej sprawie? - powtórzył wuj. - Czy słuszne jest grabić coś, co inny człowiek zarobił ciężką pracą? Niewolić niewinnych i mordować niczego nie-spodziewających się ludzi? Ten człowiek to przestępca, morderca i złodziej. Już trzy razy dokonał najazdu na del Robles. Następnym razem, gdy to uczyni, zostanie zabity. Przysięgam. Dopilnuję tego.

Carly bardzo chciała usłyszeć odpowiedź dona, lecz w tej właśnie chwili została dostrzeżona przez wuja.

- Ach, Caralee, moja droga. - Z uśmiechem zakończył poprzednią rozmowę, chociaż dostrzegła, jak wymienił z donem ostre spojrzenie. - Właśnie myślałem, gdzie się podziałaś.

Stała obok wuja, przyjmując jego grube ramię.

- Przepraszam, wujku. Chyba nie jestem przyzwyczajona do tak późnej pory. I chyba jestem jeszcze trochę zmęczona po podróży. - Starła się nie patrzeć na Hiszpana, na połyskujące srebrem, ozdobne blachy jego paska, na długie, smukłe nogi, na ramiona tak szerokie jak trzonek siekiery, którym pasterze *vaqueros* poruszali polana w ogniu pod

pieczonym na różnie wołem.

- Doskonale cię rozumiem, moja droga. Pięć miesięcy na pokładzie statku, rejs wokół przylądka Horn. Dobrze pamiętam, jaka to koszmarna podróż. - Był pięćdziesięciokilkuletnim mężczyzną, lekko siwiejącym, ale poza tym wyglądał młodziej niż na swój wiek. Miał silnie zarysowaną szczękę i jędrny brzuch. Był twardy jak ziemia, po której stapał, imponujący niczym jeden z wielkich dębów górujących nad ranczem, od których przyjęło swoją nazwę. - Może powinniśmy byli poczekać z tą fiestą, ale bardzo chciałem, abyś poznała paru moich przyjaciół.

Uśmiechnęła się. Sama też pragnęła ich poznać, szczególnie tego wysokiego, przystojnego dona.

- Już czuję się dobrze. Musiałam tylko trochę odpocząć.

Nie powiedziała nic więcej, czekając, aż wuj przedstawi ją jedynemu mężczyźnie z obecnych, którego nie знаła. Wahał się dłużej, niż powinien, w końcu się zarumienił i mruknął coś pod nosem.

- Przepraszam cię, moja droga. Przez chwilę zapomniałem, że nie poznałaś jeszcze naszego gościa. Don Ramon de la Guerra, czy mogę panu przedstawić moją siostrzenicę, Caralee McConnell?

- Carly - poprawiła go z uśmiechem, wyciągając dłoń w białej rękawiczce. Wuj uniósł brwi, lecz uśmiech, jakim obdarzył ją don, był zaiste oślepiający, gdyż połyskujące bielą zęby na tle ciemnej skóry tworzyły obraz tak silnej męskości i podziały na nią tak niesamowicie, że poczuła wzmożone bicie serca.

- Jestem zaszczycony, señorita McConnell. - Uniósł jej dłoń i musnął ją ustami, jednakże ciemnymi oczami wciąż wpatrywał się w twarz Carly. Poczuła, jak wzdłuż jej ramienia rozchodzi się żar, ogarniając powoli całe ciało. Z trudem opanowała głos.

- *El gusto es mio, señor de la Guerra.* - Cała przyjemność po mojej stronie, powiedziała. Przez ostatnie cztery lata uczyła się hiszpańskiego, od czasu gdy po śmierci matki wuj został jej prawnym opiekunem. Wuj Fletcher załatwił siostrzenicy szkołę dla dziewcząt u pani Stuart w Nowym Jorku. Modliła się, aby któregoś dnia wezwał ją do siebie, chciała przyjechać na Zachód i zamieszkać z nim. To marzenie spełniło się w dniu jej osiemnastych urodzin.

Don wygiął brwi w idealny łuk, słysząc jej perfekcyjną wymowę.

- Jestem pod wrażeniem, señorita. *Se habla Español?*

- *Muy poquito, señor.* Nie w takim stopniu, w jakim bym chciała. - Nagle zdumiała się. - Ale nie rozumiem, dlaczego pański akcent tak bardzo różni się od mojego.

Uśmiechnął się.

- To dlatego, że urodziłem się w Hiszpanii. - Mogłaby przysiąc, że w tej chwili był jeszcze wyższy niż przed chwilą. - Słyszysz pani wpływ języka, jakim mówi się w Kastylii. Chociaż urodziłem się w starej Kalifornii, wróciłem do Hiszpanii, gdzie chodziłem do szkoły, a potem na uniwersytet w Madrycie.

- Rozumiem. - Miała nadzieję, że nie było po niej widać, iż niemal całe życie spędziła w Pensylwanii, mieszkając w podłej budzie na skraju kopalni, wychowując się pośród węglowego pyłu, w brudzie i nędzy. Jej ojciec pracował czternaście godzin na dobę, aż zginął od wybuchu metanu, a matka szorowała podłogi, aby zarobić na chleb.

Nie chciała, aby się tego domyślił, nadała głosowi dystyngowane brzmienie, jakiego nauczyła się w szkole pani Stuart.

- Europa - rzekła przeciągle. - Bardzo to ekscytujące. Może kiedyś będę miała sposobność, żeby o tym porozmawiać.

W ciemnych oczach dona zabłysła ledwie dostrzegalna iskierka. Spojrzał na nią trochę badawczo, nawet z pewnym rozczarowaniem. Ale to wrażenie po chwili znikło.

- Będę zaszczycony, *señorita*.

Wuj odchrząknął.

- Panowie, obawiam się, że musimy was przeprosić. - Poczuli, jak ścisła lekko jej ramię. - Muszę porozmawiać z siostrzenicą. No i są jeszcze inni goście, których powinna poznać.

- Ależ oczywiście - powiedział jasnowłosy Vincent Bannister, uśmiechając się do niej ciepło. - Może później panna McDonnell zarezerwuje dla mnie jeden taniec?

- Naturalnie, że tak - odparł wuj.

Carly jedynie kiwnęła głową. Patrzyła prosto w skierowane na nią ciemne oczy dona.

- *Hasta luego, señorita*. - Skłonił się lekko i obdarzył ją swym zniewalającym uśmiechem. - Do zobaczenia później.

Wuj nachmurzył się i mocniej ścisnął jej ramię.

- Panowie... - Bez słowa poprowadził ją w kierunku wielkiego, ceglanego domu. Minęli ciężkie dębowe drzwi, przeszli przez duży hall i znaleźli się w jego gabinecie. Starannie zamknął drzwi.

Carly zaniepokoiła się, widząc jego surową minę. Przygryzła dolną wargę, zastanawiając się, co też mogło go zdenerwować.

- Co się stało, wujku? Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego.

- Nie o to chodzi, moja droga. - Wskazał jej miejsce na rzeźbionym krześle przed

wielkim dębowym biurkiem, poczerniałym już ze starości. Sam usiadł po drugiej stronie w czarnym, obitym skórą fotelu z mosiężnymi okuciami. Pochylając się, otworzył pojemnik, wykonany z grubego, ciętego kryształu i wyjął długie, czarne cygaro.

- Czy mogę?

- Oczywiście, wujku. - Nie miała nic przeciwko temu, a nawet lubiła ten mocny zapach. Przypominał jej ojca i mężczyzn, z którymi pracował w kopalni. Poczowała, jak ogarnia ją bolesna tęsknota. Wyglądziła koronki przy sukni i spojrzała na wuja, zastanawiając się, skąd u niego ta zmiana nastroju, w jaki sposób mogła wywołać to niezadowolenie.

Westchnął ciężko.

- Jesteś tu nowa, Caralee. Mieszkasz tu dopiero od trzech tygodni. Jeszcze nie miałaś sposobności, aby poznać tutejsze warunki, przyzwycząić się do panujących tu realiów. Z czasem tak się stanie, ale na razie...

- Tak, wujku?

- Na razie musisz mi zaufać, zdać się na mnie. Musisz robić dokładnie to, co ci powiem.

- Oczywiście, wujku. - Jakże miałyby postępować inaczej? Zawdzięczała mu wszystko. Wykształcenie, piękne stroje, które jej kupował, szansę na nowe życie na zachodzie. Ta myśl trzymała ją przy życiu przez ostatnie cztery lata. W sytuacji, gdy nie miała rodziców, tylko dzięki wujowi nie wylądowała w sierocińcu albo w jakimś jeszcze gorszym miejscu.

- Postaraj się zrozumieć, moja droga. Ktoś taki jak ja spotyka się z wieloma ludźmi. Niektórych poznałem poprzez prowadzenie interesów, jak Royston Wardell i William Bannister, którzy bardzo mi pomogli. Inni to sąsiedzi, tak jak Hollingworthowie, albo też ludzie, których cenię za ich towarzyskie koneksje, jak na przykład pani Winston i jej mąż George. - Tych państwa poznała trochę wcześniej tego wieczoru. - Są też wpływowi Kalifornijczycy o latynoskim rodowodzie, jak Montoyowie... i tacy jak don Ramon.

- Don Ramon? A co w związku z nim?

- Moja znajomość z donem jest zupełnie innej natury. .. to bardziej obowiązek. Rodzina de la Guerra mieszka w Kalifornii od najwcześniejszych czasów, gdy byli tu jeszcze Hiszpanie. Kiedyś bogaci i wpływowi, znali każdego ważnego polityka w promieniu tysiąca mil. A to oznacza, że don Ramona nie można towarzysko ignorować.

- Rozumiem.

- Niestety, mężczyzna ten nie ma już dużych wpływów. Obecnie dysponuje ograniczonymi zasobami finansowymi, ziemi też posiada bardzo mało. Opiekuje się matką i

starą ciotką, dba też o byt swoich pracowników i nie chce ich odprawić. Chodzi mi o to, że nie jest on człowiekiem naszego stanu. Miałem nadzieję, że zauważysz to i odpowiednio się zachowasz.

- Nie wiedziałam... - Pomyślała sobie, że gdyby nie piękne stroje i wykształcenie, jakie zafundował jej wuj, ona sama nie byłaby odpowiednim towarzystwem dona.

- Oczywiście, że nie wiedziałas - powiedział stanowczym głosem. - Ale na szczęście teraz już wiesz. Od tej chwili, Caralee, oczekuję, że wykorzystasz swoje kosztowne kształcenie, które ci zapewniałem przez ostatnie cztery lata. Oczekuję, że będziesz odgrywać rolę wytwornej damy, którą się stałaś, ale najbardziej zależy mi na tym, abyś udzielała się towarzysko z tymi ludźmi, których sam wybiorę. Wstał i nachylił się ku niej ponad biurkiem.

- Czy wyraziłem się jasno?

- T... tak, wujku.

Opuścił nieco napięte, silnie umięśnione ramiona.

- Nie chcę być dla ciebie surowy, moja droga, ale w końcu jestem twoim prawnym opiekunem. Decydowanie o tym, co jest dla ciebie najlepsze, należy do moich obowiązków.

Może i tak. Do jej obowiązków należało zaś poddawanie się jego decyzjom.

- Przepraszam, wujku. Ja po prostu nie wiedziałam. Obiecuję, że to się już nie powtórzy.

- To dobrze. Wiedziałem, że mogę polegać na twoim rozsądku. W końcu jesteś przecież córką naszej ukochanej Lucy.

Uśmiechnęła się. Było oczywiste, że wuj i jej matka byli kiedyś ze sobą bardzo blisko. Ta świadomość dodawała jej otuchy.

Gdy szedł obok niej w kierunku, z którego dobiegały dźwięki muzyki *fandango*, pobrzękiwanie gitary, śmiech *vaqueros* i zaproszonych gości, zapach pieczonego mięsa, poprzysięgła sobie, że uczyni wszystko, aby zadowolić wuja, że zapomni o przystojnym hiszpańskim donie.

Lecz gdy zobaczyła jego wysoką postać, gdy zobaczyła, jak z niedbałą gracją opiera się o ceglana ścianę hacjendy, ujrzała połyskujące srebrem cekiny i wpatrujące się w nią uważnie ciemne oczy, zrozumiała, że nie tak łatwo o nim zapomni.

* * *

Ramon de la Guerra wziął szklaneczkę sangrii, delektując się wyrazistym smakiem wina, przyprawionego słodkim aromatem pomarańczy i limonek. Po drugiej stronie patio

Fletcher Austin przedstawiał siostrzenicę kolejnej grupie Anglo-Amerykanów, sąsiadów i przyjaciół, którzy przybyli z Yerba Buena, obecnie zwanej San Francisco.

Bezspornie siostrzenica Austina była śliczną dziewczyną o bardzo jasnej cerze, ognistych włosach i owalnej twarzy, o zaznaczonych delikatnie kościach policzkowych i małym rozstępie na podbródku. Kiedyś słyszał, że powstaje on po pocałunku aniołów. Była filigranowa, ale nie zwiewna, miała dojrzałe, pełne piersi i niezwykle szczupłą talię.

Gdy się poznali, przez moment myślał, że być może ona jest inna, niż sobie wyobrażał, że ma w sobie ciepło i urok, których brakowało jej wujowi. Jednak bardzo szybko okazała się rozpieszczoną, wyrafinowaną dziewczyną, która zamiast czuć, grała - chłodna, wyniosła i pretensjonalna.

Gdy wróciła z domu do towarzystwa, zaprosił ją do tańca, ale odmówiła mu chłodno, wyraźnie zachowując dystans. A już kilka chwil później tańczyła z Vincentem Bannisterem. Dlaczego nie? - pomyślał. Bannister był bogatszy, a kobieta tego rodzaju zawsze szuka pieniędzy.

Ramon znał w przeszłości kilka takich kobiet. Przyjeżdżały do Madrytu w czasie sezonu za pieniądze swoich mężów, szukając wrażeń w obcym kraju. Stanowiły łatwą zdobycz dla jemu podobnych mężczyzn... A zresztą może było zupełnie odwrotnie.

W świetle księżyca Ramon dostrzegł ogniste włosy, błysk szmaragdowych oczu w kolorze jej sukni i pomyślał o innej takiej kobiecie. Lillian Schofield. Miała duże niebieskie oczy i jasne blond włosy. Lily - kobieta, którą niemal pokochał.

Znowu spojrzał na siostrzenicę Fletchera Austina. Była młodsza od Lily, ale z czasem stanie się do niej podobna... o ile już teraz taka nie jest. Byłoby ciekawie zaciągnąć ją do łóżka. Wyglądała kusząco, zaś mała zemsta na jej wuju czyniłaby całą zabawę jeszcze słodsza.

Lecz Austin był wpływowym człowiekiem, a w obecnych czasach mogło się to okazać zbyt niebezpieczne. Poza tym trzeba liczyć się z innymi.

Patrzył, jak dziewczyna rozmawia z Roystonem Wardellem, kolejnym zamożnym przyjacielem wuja. Uśmiechała się do niego, spoglądając spod długich, kasztanowych rzęs, po czym wybuchła śmiechem. Tak, zdecydowanie była bardzo kusząca. Może warto zaczekać i przekonać się...

- *Buenas noches, don Ramon.*

Uniósł wzrok i zobaczył Isabel Montoya, która stała tuż obok niego. Zdziwił się, bo w ogóle nie usłyszał, jak się zbliżała.

- Dobry wieczór, señorita Montoya. Mam nadzieję, że dobrze się pani bawi.

Uroczym wydegiła pełne, czerwone usta.

- Mój *mi novio* wyjechał w interesach, więc nie bawię się zbyt dobrze. Chyba samej dość trudno zapewnić sobie dobrą rozrywkę, prawda?

- *Si, señorita*. To zawsze boli, gdy ukochana osoba jest daleko.

Uśmiechnęła się lekko. Miała czarne włosy i oczy, była młoda, lecz absolutnie piękna.

- Zastanawiałam się właśnie... myślałam, że może... skoro pan również jest sam, to moglibyśmy zabawić się razem.

Uniósł brwi.

- Nie sądzę, aby ten pomysł spodobał się pani narzeczonemu. Poza tym pani nie jest sama. Są tu również pani ojciec, matka, siostra i brat, a także dama do towarzystwa Louisa.

Przebiegła wzrokiem po jego twarzy. Pod koronkową mantylką wyglądała jeszcze młodziej niż na swoje szesnaście lat.

- Pan na pewno nie boi się mojego ojca... ani nawet don Carlosa. - Przesunęła lekko dłonią po kłapie jego ubrania, patrząc mu w oczy. Nie było wątpliwości, co mu proponuje. - Słyszałam, że jeśli chodzi o kobiety jest pan...

Urwała, gdy chwycił ją za nadgarstek.

- Zapominasz, *señorita*, że twój narzeczony, don Carlos Ramirez, jest moim przyjacielem. I nie zrobię niczego, co mogłoby zniszczyć tę przyjaźń. - Obrócił ją plecami do siebie i pchnął lekko w przeciwną stronę. - A w przyszłości, jeśli usłyszę coś podobnego jak przed chwilą, to na pewno zawiadomię o tym twojego ojca. Może lanie wierzbową witką dostarczy ci odpowiedniej rozrywki.

Zakręciła się na pięcie, zeszywniała i spojrzała na niego pełnym nienawiści wzrokiem. Jednak nie dopuścił jej do głosu.

- Jeszcze jedno słowo, *niña*, a zrobię to teraz.

- Pan... pan nie jest dżentelmenem.

- A ty, *chica*, nie zachowujesz się jak dama. A teraz idź, zaś następnym razem pomyśl, nim się odezwiesz.

W jej ślicznych oczach pojawiły się łzy. Odwróciła się i uciekła.

Ramon patrzył za nią. Może powinien był okazać większą powściągliwość?

- Kobiety - mruknął w ciemność. Zastanawiał się, czy tak odważne zachowanie Isabel miało związek z faktem, że jej ojciec miał coraz więcej przyjaciół pośród Anglo-Amerykanów.

Zobaczył zbliżającego się jej brata, Alfredo. Miał nadzieję, że tym razem nic złego się nie wydarzy. Jednak to nie słowa Alfredo przerwały ciszę. Rozległ się tętent końskich kopyt i

po chwili przez tylną bramę wpadł jeździec, krzycząc i wymachując trzymanym w ręku zakurczonym kapeluszem.

- Co się stało? - spytał Alfredo, spoglądając w tamtą stronę. - Jak myślisz, co się stało?

- Nie wiem - odparł Ramon. Szybkim krokiem ruszyli w stronę stajni, gdzie mężczyzna gwałtownie zatrzymał wierzchowca. Po chwili dołączyli do nich Fletcher Austin, William Bannister i Royston Wardell.

- Co się stało? - zawołał Austin do jeźdźcy, który zawrócił i podjechał do nich na zmęczonym, karym koniu.

- Hiszpański Smok. - Przybysz dyszał tak samo ciężko jak jego rumak. - Ten bandyta El Dragon zaatakował na drodze, tam gdzie przecina ranczo Hollingworthów. Zrabował ładunek złota, który jechał tamtędy z mennicy w San Francisco.

Hollingworth wyłonił się z ciemności. Miał trochę ponad pięćdziesiąt lat, był wysoki, szczupły, zniszczony latami ciężkiej pracy. Rozpoznał w jeźdźcu jednego ze swoich ludzi.

- Jezu miłosierny, Red... większość tego złota była nasza. To monety, których potrzebowałem na wypłaty.

- Uderzył z samego rana, szefie. Nigdy dotąd tak nie robił. To było tuż po tym, jak dyliżans wyruszył z przystanku w Beaver Creek, gdy tylko zaczęła się rozpraszać ciemność. Powiedzieli, że spadł na nich jak błyskawica i był już w połowie drogi ku wzgórzom, gdy w ogóle zrozumieli, co się stało.

- Niech to diabli! On potrafi działać z zaskoczenia. Przyjeżdżając tu dzisiaj, miałem złe przeczucia.

Mężczyzna imieniem Red potarł szorstki zarost na twarzy.

- Jest sprytny, to mu trzeba przyznać.

- Postrzelił kogoś? - wtrącił się Fletcher Austin.

- Nie, on i jego ludzie tylko zabrali złoto i uciekli.

- Ilu ich było? - spytał Austin.

- Chyba dwunastu. Tak powiedział strażnik. Potrzebuje pomocy, żeby wszcząć za nimi pościg. Domyśliłem się, że większość mężczyzn znajdzie tutaj.

- Bierz konia, Charley - powiedział Austin do Hollingwortha. - A ja zbiorę resztę moich ludzi.

- Ja też pojedę - zgłosił się Ramon, podobnie jak Alfredo Montoya.

- A po co? - spytał Hollingworth. - Do tej pory drań zdążył już uciec kawał drogi. Jest już pewnie niedaleko tej skały, spod której wypełził.

- Tym razem znajdziemy go. - Austin otworzył ciężkie wrota stodoły. - Nie

spoczniemy, póki nie przyciśniemy do ziemi tego sukinsyna.

Pozostali mruknęli aprobująco. Zebrało się ich już dość sporo. Kobiety stały w pobliżu, nie bardzo wiedząc, co się stało, gdy mężczyźni wyszli na zewnątrz, prowadząc osiodłane konie. Ramon również podprowadził swojego wierzchowca i zaczął na Alfreda. Nagle odwrócił się na dźwięk kobiecego głosu.

- Co się stało, wujku? - Caralee McConnell chwyciła wuja za rękę. Na jej twarzy malował się niepokój. Drugą dłonią przytrzymała kaszmirowy szal, którym okryła sobie ramiona.

- Wracaj do domu, kochanie. To męska sprawa. Zajmij się paniami, a mężczyźni zajmą się całą resztą.

Ramon widział, że chciała go jeszcze pytać, ale po chwili zrezygnowała.

- Wuj Fletcher na pewno wie, co jest najlepsze - powiedziała do kobiet. - Wróćmy do domu i napijmy się sherry. Chyba potrzebujemy trochę odpoczynku po tym męczącym wieczorze. - Zerknęła niepewnie na Ramona, po czym odwróciła się i odeszła.

Po tym męczącym wieczorze, pomyślał. Ciekawe, jak długo rozpieszczona Caralee McConnell będzie umiała znosić męczące życie, jakiego wielu jego krajan doświadczało każdego dnia - a wszystko to z powodu zdrady i chciwości ludzi takich, jak Fletcher Austin.

- Na koń - rozkazał Austin. - W drogę.

Ramon wskoczył na swojego rumaka, wsunął buty w ozdobione srebrnymi ćwiekami strzemiona, po czym ruszył z kopyta za Austinem i jego ludźmi w kierunku rancza Hollingworthów.

* * *

Nie udało im się odszukać banity, przez co wuj Fletcher przez następne dwa tygodnie był bardzo nerwowy. Wieczorami chodził tam i z powrotem przed wielkim kamiennym kominkiem na końcu salonu. Carly próbowała nawiązać z nim rozmowę, jakoś go pocieszyć, ale -jak się przekonała - miał dość trudny charakter i zwykle ją odsyłał.

Z początkiem trzeciego tygodnia był znowu taki sam jak kiedyś. Rozmawiali w czasie kolacji, chociaż nigdy nie wymieniali imienia El Dragon. Zamiast tego wuj Fletcher z dumą opowiadał o swoich osiągnięciach w prowadzeniu rancza, o zwiększonym stadzie bydła i koni, o planach na przyszłość.

- Moje przeznaczenie to polityka. To państwo potrzebuje ludzi, którzy będą dbali o jego interesy. Którzy dopilnują, aby sprawiedliwości stawało się zadość. I ja zamierzam być

jednym z takich ludzi, Caralee.

- Jestem pewna, że twój wkład będzie bardzo cenny, wujku.

Siedzieli przy długim, dębowym stole w jadalni, zającąc pieczone mięso, świeże tortille, *pastel de toma*, pasztet z cebuli, czosnku, kurczaka, kukurydzy i papryki w cieście z kukurydzianej mąki, a także *mostaza*, co było hiszpańskim określeniem zielonych liści gorczycy, ugotowanych z oliwą i czosnkiem. Ta niezwykła kuchnia była pyszna, co Carly odkryła już wcześniej, chociaż jej żołądek dość długo przyzwyczajał się do ostrych przypraw.

Wuj Fletcher nałożył sobie kolejną porcję. Z jego talerza uniosła się w powietrze smuga białej pary.

- Może mógłbym zacząć od stanowiska w Komisji Gruntowej - powiedział. - Bannister ma tam wpływy. Może... - Urwał z uśmiechem. W świetle świec, stojących w świeczniku z kutego żelaza, ujrzała czerwone ogniki, migające w jego siwiejących włosach. ~Młody Vincent byłby dla ciebie niezłą partią. A ty wyraźnie wpadłaś mu w oko.

Carly skupiła myśli na młodym mężczyźnie, z którym wtedy tańczyła, lecz obraz ten szybko znikł, a jego miejsce zajął wizerunek ciemnookiego dona.

- Vincent... tak, sprawia wrażenie miłego.

- Cieszę się, że sprawił na tobie dobre wrażenie. Już niedługo znowu go zobaczysz.

Uniosła brew. Z San Francisco do Rancho del Robles były dwa dni drogi. Nie spodziewała się, że tamten mężczyzna wróci tu tak szybko.

- Naprawdę? A to dlaczego?

- William i ja organizujemy wyścigi konne. Bannister zaprosił pół miasta. Jak sobie możesz wyobrazić, będzie to huczna impreza.

Pochyliła się do przodu, czując ogarniające ją podniecenie.

- Wyścigi konne? Tu, na ranczu?

- Właśnie. William kupił znakomitego konia. Pełnej krwi rumaka imieniem Raja. Właśnie przyплыwał z Australii. Będzie się ścigał z andaluzyjczykiem, który jest własnością de la Guerry.

- Chyba nie masz na myśli konia don Ramona? - Tamtego wieczoru przed stajnią widziała owego wspaniałego rumaka.

- To właśnie ten. Do tej pory był niepokonany. Wiliam próbował go kupić. Ale de la Guerra odrzucał wszystkie oferty. Bannister nie poddał się i wyzwiał dona na zawody, a potem szukał aż w samym piekle i w końcu znalazł wierzchowca, który może wygrać wyścig.

- Ale mówiłeś, że don ma bardzo mało pieniędzy. Przecież oni z pewnością postawią na to pieniądze.

Skinął głową.

- Bannister postawił dwa tysiące dolarów, a don swojego andaluzyjczyka.

Carly zastanowiła się. Jeśli pieniądze stanowiły problem, don Ramon mógłby wykorzystać wygraną, zaś myśl, że mógłby stracić tak pięknego konia była dla niej nie do zniesienia. Stwierdziła, że życzy mu zwycięstwa.

Od czasu tamtej fiesty nie widziała dona, chociaż wspomnienie jego wysokiej, mrocznej postaci czasami pojawiała się w jej myślach. Teraz też myślała o nim i wmawiała sobie, że ogarniające ją podniecenie wynika jedynie ze zbliżającej się imprezy.

Jednakże coś w środku mówiło jej, że to nieprawda.

Rozdział 2

Ramon de la Guerra prowadził swojego andaluzyjczyka, Rey del Sol - Króla Słońca - przez wysuszoną trawę w kierunku grupy osób, które zebrały się, aby obserwować wyścig: bogatych przyjaciół Williama Bannistera z San Francisco, którym towarzyszyły nieliczne kobiety, sąsiedzi Austina oraz okoliczni latynoscy gospodarze.

Około czterdziestu *vaqueros* zebrało się w pobliżu linii mety. Byli tam również Montoyowie, a także matka Ramona i jego ciotka, Teresa.

Austin poszedł na całość. Przygotował dwumilową trasę, zbudował wysokie drewniane ławy dla gości, linię startu udekorował czerwonymi i białymi chorągiewkami, zaś nad metą postawił duży łuk. Pośród zebranych panowało wyczuwalne podniecenie, słychać było głośny śmiech i krzyki. Stawiano niebagatelne kwoty na przypuszczalnego zwycięzcę wyścigu.

Do biegu pozostało jeszcze pół godziny. Ramon zatrzymał się przy linii mety, aby porozmawiać z pracującymi dłań ludźmi, gdy pośród nich ujrzał swojego brata, Andreasa. Był od Ramona pięć centymetrów niższy, ale tak samo jak brat szczupły, umięśniony i śniady. Miał przystojną twarz. Gdyby był blondynem o jasnej skórze, można by powiedzieć, że jest wręcz piękny. Posiadał wybitną inteligencję i stanowczo za dużo uroku.

Tylko starzy przyjaciele wiedzieli o ich pokrewieństwie. Podczas lat spędzonych w Meksyku, kiedy toczył nieustanne spory z ojcem, Andreas bardzo się zmienił. A z nadejściem gorączki złota wiele starych hiszpańskich rodzin utraciło ziemię i wyprowadziło się. O powrocie Andreasa wiedzieli tylko jego najbliżsi. A potem zmarł ojciec i Andreas uciekł pośród wzgórz, szukając sprawiedliwości, poprzysięgając zemstę. Teraz dla większości ludzi

był po prostu *vaquero* imieniem Perez.

- *Don Ramon!* - zawołał brat, tak jakby byli po prostu znajomymi. - *Un momento, por favor?* Czy mogę z panem przez chwilę porozmawiać?

Ramon tylko skinął głową. Spodziewał się, że spotka tu brata. Andreas miał dwadzieścia sześć lat, o trzy mniej od niego. Był impulsywny, wesoły, a nawet trochę lekkomyślny. Nie mógł sobie odmówić sposobności, by zobaczyć, jak Ramon pokonuje konia białych i ich jeźdźca. Andreas nie lubił Anglosasów jeszcze bardziej niż Ramon. Bardzo chciał ujrzeć, jak zostaną pokonani, a nie miał wątpliwości, że jego brat zwycięży.

Ramon uśmiechnął się w duchu, bo sam nie był tego taki pewny. Honor nakazywał mu jednak przyjąć zakład, a Bannister postawił naprawdę dużo pieniędzy.

- *Buenas tardes*, braciszku. Nie dziwi mnie twój widok, chociaż po prawdzie nie powinienesz być tu przychodzić. - Stali nieco z boku, pod dębem, gdzie nikt nie mógł ich słyszeć.

Andreas z uśmiechem poklepał go czule po ramieniu.

- Nie mogłem nie zobaczyć wyścigu. Poza tym męczy mnie to siedzenie w domu.

Ramon również się uśmiechnął.

- Męczy cię, że nie masz nowych kobiet, które ogrzałyby ci łóżko. Słyszałem, że sprowadzili kilka do San Juan Bautista. Może zatrzymaj się przy kantynie i sprawdź, czy znajdzie się jakaś, która ci się spodoba.

Andreas zerknął ku grupie Anglosasów, zebranych w pobliżu linii startu.

- Chyba nie będę musiał jechać aż tak daleko.

Ramon powędrował za wzrokiem brata, który patrzył na siostrzenicę Fletchera Austina. Wyglądała olśniewająco w prążkowanej sukni z tafty o barwie zielonej mięty. W dłoni trzymała niewielką, dopasowaną kolorystycznie parasolkę, zaś ogniste włosy Carly, spięte złocistymi obrączkami, spoczywały na jej ramieniu.

Ramon zmarszczył brwi.

- Nie bądź głupcem, braciszku. Ona oznacza jedynie kłopoty.

- Poznałeś ją?

- *Si*. Na *fandango* Austina. Jest płytka i pretensjonalna, niewarta twojej uwagi.

- Może i nie. - Andreas spojrział na nią ponownie. Powiew wiatru przyniósł jej słodki, dźwięczny śmiech. Gdy brzeg sukni unióś się lekko, ujrzeli małe stopy i delikatne kostki, przyobleczone w pończochy. Ramon poczuł sztywnienie w kroczu.

- Wobec tego... - odezwał się Andreas - być może *señorita* jest warta kłopotów, jakie może sprowadzić. - Wykrzywił usta w swoim diabolicznym uśmiechu, lecz tym razem

Ramon nie odpowiedział mu tym samym.

- Pewnego dnia, *hermano*, taka kobieta sprowadzi na ciebie śmierć.

- Lecz jeśli mężczyzna ma umrzeć, czyż istnieje piękniejszy sposób odejścia z tego świata?

Ramon zaśmiał się cicho. Rumak tańczył lekko na końcu lonży, potrząsając pięknym łbem, wywołując falowanie długiej, jasnej grzywy.

- Rey jest gotowy stawić czoło przeciwnikowi. Muszę już iść.

- Jeszcze jedno. - Andreas spojrzał niepewnie na czubki swoich butów. Ramon od razu zorientował się, że właśnie teraz brat wyłoży tę najważniejszą sprawę, z jaką do niego przyszedł.

- No, mów.

- Właśnie się dowiedziałem, że za trzy dni Fletcher Austin będzie sprowadzał duże stado koni.

- *Si*. Ja już o tym wiem. Jego ludzie pędzą stado od paru tygodni.

- Dlaczego więc nic mi nie powiedziałeś? Musimy mieć czas, żeby zebrać ludzi, poczynić plany, przygotowania. Będziemy potrzebowali...

- Nie powiedziałem ci, bo najazd na del Robles jest zbyt niebezpieczny. Nie weźmiemy tych koni.

- Nie gadaj bzdur. Mało nam się ostatnio trafia. Musimy przejąć te konie.

Ramon uśmiechnął się kąciakiem ust.

- Jasne, mając całe złoto, które ukradliście w zeszłym tygodniu...

- Wiesz, że ja nie zrobiłem... - Urwał, widząc uśmiech na twarzy brata. - To nie jest zabawne.

- Nie jest - przyznał Ramon. Podobnie jak brat, niepokoił się faktem, że przypisywano im czyny, których nie popełnili. Spojrzał na grupę *vaqueros*, którzy robili zakłady przed wyścigiem, po czym znowu przeniósł wzrok na Andreasa. - Austin będzie przygotowany. Najął dużo dodatkowych ludzi. Konie będą pod pilną strażą na całej drodze.

Andreas wyszczerzył zęby, aż na policzkach pojawiły mu się głębokie bruzdy.

- Dlatego zaczekamy, aż dotrą do hacjendy i dopiero wtedy ruszymy.

Ramon chrząknął.

- Brak kobiet zaćmił ci umysł.

- Pomyśl tylko, Ramon. Gdy konie znajdą się na ranczo, Austin odprawi najętych ludzi. Nie będzie oczekiwał, że pójdziemy za stadem aż w pobliże jego domu. Możemy zaatakować zniemacka, ukraść konie i uciec, zanim on w ogóle zrozumie, co się stało.

Bezwiednie poklepując Reya po karku, Ramon rozważał słowa brata. Nie był to taki zły pomysł, chociaż cała akcja wydawała się niezwykle niebezpieczna. Ale przecież, jak powiedział Andreas, trzeba było nakarmić głodnych, a kolejna taka sposobność mogła się nie nadarzyć przez bardzo długi czas.

- Rozmawiałem już z innymi - podjął Andreas. -Wszyscy mężczyźni zgodzili się. Zasadzimy się na te konie, Ramon.

Spojrzał twardo na Andreasa, mruczając pod nosem ciche przekleństwo. Jako głowa rodziny de la Guerra, miał ostatnie słowo w większości spraw, lecz teraz nie mógł przeciwstawić się bratu.

- Skoro jesteś zdecydowany to zrobić, ja sam poprowadzę naszych ludzi.

- Nie. Twoje rancho leży zbyt blisko Austina. Lepiej zostań w domu.

Ramon pokręcił głową.

- Ty szedłeś ostatnim razem. Jeśli mamy ukraść te konie, teraz jest moja kolej, by dowodzić. - Ruszył, by poprowadzić konie w kierunku linii startu, lecz Andreas przytrzymał go za ramię.

- Mam w tym osobisty interes, Ramon. Za każdym razem, gdy napadaliśmy na del Robles, zawsze zostawałem. Już wystarczająco długo czekam na moją zemstę. Tym razem jadę, bez względu na to, który z nas będzie dowodził.

Był to największy kompromis, na jaki mógł się zgodzić.

-*Muy bien* - powiedział, chociaż nie zamierzał dopuścić, by Andreas samodzielnie narażał się na niebezpieczeństwo. Już raz zawiódł swoją rodzinę. Dlatego teraz ojciec nie żyje, a jego ziemia została rozgrabiona. Kochał młodszego brata i uczyniłby wszystko, żeby go chronić.

Już nigdy nie sprawi zawodu rodzinie.

- Więc tym razem pojedziemy razem. Andreas uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

- Kiedy uderzymy?

- Za pięć dni, tuż przed świtem - rzekł Ramon, ruszając z miejsca, - Spotkamy się przy strumieniu.

Andreas kiwnął głową, a Ramon poprowadził konia w kierunku linii startu. Rey poruszał miarowo karkiem, rozchylając nozdrza. Zbliżyli się do zebranego tłumu, gdy mały, białobrazowy psiak, niewiele większy od wiewiórki, zaszczekał dwa razy i zaczął iść krok w krok obok Ramona, który z uśmiechem podniósł zwierzaka.

- Więc stęskniłeś się za przyjacielem? - powiedział. Stał na chwilę i położył psa na siodle, zaś rumak natychmiast zarżał radośnie. Rey i Bajito urodzili się w odstępnie kilku dni,

razem się wychowywali w stajni i nawiązali najdziwniejszą z przyjaźni.

Ramon z uśmiechem pomyślał o tej niezwyklej parce, idąc wciąż w kierunku miejsca, gdzie Raja, wspaniały koń pełnej krwi, własność Bannistera, niecierpliwie przebierał nogami tuż przy linii startu.

* * *

Carly próbowała skoncentrować się na rozmowie z Vincentem Bannisterem, lecz jej wzrok bezwiednie wędrował ku Hiszpanowi i jego ognistemu rumakowi. Miał szeroką pierś, gruby kark, długą jasną grzywę i jeszcze dłuższy ogon - nigdy nie widziała równie pięknego zwierzęcia, ani też, musiała to przyznać, równie męskiego mężczyzny.

Dzisiaj nie nosił srebrnych ozdób, lecz białą koszulę z długimi rękawami i miękkie, brązowe bryczesy, dopasowane do umięśnionych ud. Zauważyła, że spodnie są sznurowane na bokach, zaś na dole rozszerzają się luźno wokół brązowych, skórzanych butów. Na plecach wisiał czarny kapelusz o płaskim rondzie, trzymając się na cienkim, plecionym sznurku, wiszącym wokół ciemnej szyi Ramona.

Uśmiechnęła się na myśl o tym silnym mężczyźnie, pięknym koniu i małym biało-brązowym psiaku, który teraz jechał spokojnie na grzbiecie wierzchowca. Patrzyła, jak cała trójka zatrzymała się, a don zaczął rozmawiać z małą, pooraną zmarszczkami kobietą, zapewne jego matką. Z boku stała wyższa, kilka lat młodsza, szczupła kobieta, a naprzeciwko - Pilar Montoya, ciepło uśmiechająca się do dona.

Carly poznała Pilar podczas wieczoru przy muzyce *fandango*. Była wdową, jak powiedział wuj Fletcher, lecz okres żałoby już się zakończył. Teraz polowała na męża, zaś Ramon de la Guerra wydawał się prowadzić we współzawodnictwie o jej rękę.

Na tę myśl Carly zmarszczyła czoło i dokładnie wiedziała, niestety, skąd bierze się ta reakcja.

Od chwili, gdy poznała przystojnego dona, czuła do niego wyraźny pociąg. Był inny niż mężczyźni, jakich do tej pory spotkała - wyższy, bardziej czarujący, o wiele bardziej podniecający. Jedno spojrzenie jego gorących, ciemnych oczu sprawiało, że zupełnie się rozklejała. Jednakże wiedziała, iż ta skłonność jest daremna. Obiecała coś wujowi i zamierzała dotrzymać słowa.

Poza tym, na ile mogła stwierdzić, don nie przejawiał najmniejszego zainteresowania jej osobą.

- Szykują się do startu - powiedział Vincent. -Chodźmy na nasze miejsca.

- Tak. Jest i wuj Fletcher. - Dołączyli do niego, zajmując najlepsze krzesła w pierwszym rzędzie na podeście dla widowni, skąd widać było wszystkie części trasy. William Bannister i inni przyjaciele wuja szybko zajęli pozostałe miejsca, a przy linii startu gromadziło się coraz więcej ludzi.

Ledwie dziesiątą część zebranych stanowiły kobiety. Mając na uwadze męczącą podróż wokół przylądka Horn, następnie przez Isthmus, a potem długą i niebezpieczną drogę lądem, większość mężczyzn w Kalifornii przybyła na zachód samotnie. Oczywiście były i Kalifornijki, a także grupa brudnych podążających za obozowiskami kobiet, czyhających na jakiś łup ze złotodajnych pól. Jednak kobiety ze wschodu stanowiły rzadkość. Carly poznała jedynie kilka z nich i żadnej nie mogła nazwać przyjaciółką.

- Co sądzisz o koniu mojego ojca? - spytał Vincent. Raja właśnie szedł na start. Był lśniący, o cętkowanej szarej maści i długich zgrabnych nogach. Nigdy w życiu nie widziała piękniejszego konia.

- Wygląda na szybkiego, ale trasa jest długa i niezupełnie płaska, a ziemia trochę nierówna. Wuj Fletcher obawia się, że może mu nie starczyć sił.

Vincent szarpnął się, jakby dostał policzek.

- Raja pokona każdego konia w Kalifornii. Ojciec zapłacił za niego majątek, a Stan McCloskey to najlepszy jeździec na zachodnim wybrzeżu.

Chociaż większość pomocników była ubrana w odzież roboczą, a *vaqueros* nosili rozpięte pod szyją białe koszule i siermiężnie skrojone skórzane spodnie, Vincent siedział obok niej w granatowym fraku i szerokim białym krawacie zawiązanym w dużą kokardę.

- Raja wygra - powiedział. - Możesz być pewna.

- To może się okazać nie takie proste. - Nie mogła się powstrzymać przed uwagą. - Rdzenni Kalifornijczycy są jednymi z najlepszych jeźdźców na świecie.

Vincent uśmiechnął się z politowaniem, unosząc jasną brew.

- Powiem tyle: zobaczymy.

Dżokeje dosiedli wierzchowców, które aż rwały się do biegu, tańcząc na boki, poruszając niecierpliwie łbami. Stojący przy nich ludzie stopniowo opanowali zwierzęta, co musiało być niemal tak trudne jak zatrzymanie szalejącej wichury. Spostrzegła, że don miał dziś pod sobą inne siodło, nieco mniejsze, lżejsze, bez żadnych srebrnych ozdób.

Mężczyzna był o wiele większy od McCloskeya, co z pewnością stanowiło poważny atut. Nie zdawała sobie sprawy, że wpatruje się w niego, podziwiając sposób, w jaki trzyma się w siodle, dopóki Hiszpan nie spojrzał jej w oczy, obnażając białe zęby w pięknym uśmiechu. Oblała się rumieńcem, gdy dotknął róna kapelusza w drwiącym salucie, po czym

poluzował przytrzymujący nakrycie głowy sznur i rzucił je jednemu ze swoich ludzi.

Chociaż przenikało ją poczucie winy, jednak odmówiła w myślach krótką modlitwę w intencji jego zwycięstwa.

Niemal spadła z krzesła, gdy rozległ się gromki huk rewolweru startera.

- Ruszyli! - zawołał wuj.

Siwek skoczył pierwszy przed koniem dona, który jednak nie pozostał daleko w tyle, przegrywając pierwszą część wyścigu tylko o jedną długość. Nawet z tej odległości Carly słyszała tętent kopyt i mogłaby przysiąc, że jej serce biło w równie szaleńczym rytmie. Konie obieżyły wielki dąb, który oznaczał pierwszy zakręt, rozpoczynając drugi etap, biegnący pod górę niewielkiego wzniesienia wzdłuż ścieżki wyciętej pośród wysuszonej, brązowej trawy późnego lata.

Wzdłuż trasy tu i ówdzie rosły pojedyncze dęby, lecz większość skał i kamieni została usunięta. Zanim dotarli do strumienia i przeskoczyli go, lądując z pluskiem po drugiej stronie, Rey del Sol przegrywał już tylko o pół długości, lecz siwek nadal utrzymał prowadzenie.

Dwa dni wcześniej spadł lekki deszcz i miejscami ziemia była wilgotna. Końskie kopyta wbijały się w nią, odbierając siły zwierzętom, lecz mocniej zbudowany palomino wydawał się tego nie odczuwać. McCloskey pochylił się, ponaglając konia do szybszego biegu. Don także się pochylił, lecz był lepiej zgrany ze swoim koniem, poruszając się razem z nim tak samo płynnie i z gracją, zaś jego przeciwnik gwałtownie podskakiwał po każdym susie siwka.

- Wyglądają przepięknie - odezwała się Carly. Pomyślała, że nigdy dotąd nie widziała jeźdźca, który z taką perfekcją dosiadał rumaka.

- Zbliżają się do płaskiego odcinka trasy - rzekł Vincent. - Siwek jest szybszy i właśnie tutaj zdecydowanie wysunie się naprzód.

Lecz Carly nie była tego pewna. Siwek tracił siły, podczas gdy andaluzyjczyk dopiero dochodził do pełni swoich możliwości. Wręcz przefrunął długi płaski odcinek na szczycie wzniesienia, po czym ruszył w dół po zboczu po drugiej stronie, wciąż tracąc pół długości do przeciwnika.

Gdy konie były w końcowej partii trzeciej części trasy, zdumiony Vincent zaczął unosić brwi. Zgodnie z jego teorią Raja powinien być już daleko w przodzie.

- Na grzbiecie twojego konia jedzie moje tysiąc dolarów, William - odezwał się wuj Carly. - Lepiej żeby nie przegrał.

Bannister był wysokim blondynem, którego włosy ledwie zaczęła przyprószać siwizna. Nosił najelegantsze stroje, poruszał się z pełną gracji precyzją. Dystyngowany - to

było najważniejsze słowo, opisujące Williama Bannistera.

- Ja siedzę w tym o wiele głębiej - rzucił. – Nie martw się, McCloskey wygra.

Gdy konie przebiegły wokół dużego granitowego głazu, oznaczającego ostatni zakręt, zebrany tłum wydał zgodny okrzyk, a Carly skoczyła na nogi. Palomino potknął się i niemal przewrócił, lecz po chwili odzyskał równowagę i powrócił do poprzedniego rytmu. Niemalże poczuła determinację dumnego zwierzęcia... a może dona.

Wszystko jedno: koń i jeździec wydawali się jeszcze bardziej zdeterminowani, aby zwyciężyć.

- Na Boga - powiedział Austin. - Ten koń de la Guerry jest niesamowity.

- Tak - stwierdził Bannister. W tym momencie Carly wyczuła, iż nawet William Bannister zapragnął, aby waleczny rumak jako pierwszy dobiegł do mety. - Nigdy nie widziałem czegoś równie wspaniałego.

- Siwek wygra - rzekł z uporem Vincent, lecz palomino był już coraz bliżej, sadząc tak ogromne susy, że chwilami niemalże dotykał kopytami nosa.

Do mety pozostało już niedaleko. Wszyscy stali, krzycząc, wiwatując, łącznie z Fletcherem i Carly.

- Uda ci się - szeptała. - Uda ci się. Wiem, że ci się uda.

I tak się stało. Wspaniały palomino i jego pełen gracji jeździec pokonali linię mety o kilka cali przed siwką. Carly krzyczała z radości, śmiała się, czując łzy w oczach. Przez chwilę Vincenta Bannistera jakby ogarnęła groza i na Carly spłynęło poczucie winy.

Bała się spojrzeć na wuja, a tym bardziej na Williama Bannistera. Kiedy jednak się odważyła, okazało się, że wuj przybrał marsową minę, ale Bannister się uśmiecha.

- Niesamowite - powiedział.

- Kosztowało mnie to tysiąc - odparł wuj z ciężkim westchnieniem. - Ale, do diabła, chyba warto było tyle zapłacić.

- Chodźmy na metę - zaproponowała Carly w nadziei, że mężczyźni wyrażą na to zgodę. O dziwo, tak właśnie się stało. Zanim doszli na miejsce, don Ramon stał już w otoczeniu kilkudziesięciu uradowanych *vaqueros*, uśmiechniętej matki i ciotki; byli też Montoyowie, Herrerowie, Estradowie i kilka innych rodzin.

Gdy się zbliżyli, uniósł głowę. Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Gratuluję, don Ramon - rzekł Bannister. - Jeszcze raz udowodnił pan, że jest właścicielem najwspanialszego rumaka w Kalifornii.

- Pan jest bardzo łaskawy, señor Bannister. Nie spodziewałem się tego... ze strony człowieka, który próbował wygrać w nieuczciwy sposób.

Bannister znieruchomiał. Podobnie Austin.

- O czym pan mówi? - spytał ostro William.

- O tym. - Podał mu jakiś przedmiot o krótkiej rączce i trzech ostrych pazurach na końcu, na których widoczne były ślady krwi. - Pański człowiek, señor McCloskey, uderzył tym mojego konia, gdy pokonywaliśmy ostatni zakręt. Miał jednak pecha, bo udało mi się wyrwać mu to z ręki.

Tłum rozstąpił się, gdy Bannister ruszył w kierunku Rey del Sol. Szybko spostrzegł małe nakłucia pod żebrami konia, na którego jasnej sierści widniała niewielka ilość krwi. Odwrócił się do Ramona de la Guerra, sztywny i czerwony jak burak.

- Daję panu słowo dżentelmena, że nic mi o tym nie wiadomo. Mam nadzieję, że pewnego dnia Reydel Sol stanie się moją własnością. I nie chciałbym, aby tak wspaniałe zwierzę zostało ranne.

Don milczał.

- Bardzo pana przepraszam, don Ramon – mówił dalej William. - Obiecuję, że osobiście zajmę się McCloskeyem i mam szczerą nadzieję, że przyjmie pan moje pokorne wyrazy ubolewania.

Hiszpan spoglądał na niego przez kilka długich, pełnych napięcia chwil.

- Rana nie jest duża. Cieszę się, że nie miał pan z tym nic wspólnego. I przyjmuję pańskie przeprosiny... oraz pańskie dwa tysiące dolarów.

W tłumie zawrzało. Na twarzy dona ponownie zagościł uśmiech, ten niesamowity, zniewalający uśmiech, od którego Carly od razu czuła falę gorąca i dziwną miękkość w sobie. Zwłaszcza gdy patrzył na nią tak jak teraz.

- Gratuluje, don Ramon - powiedziała do niego cicho. - Znakomicie pan jechał.

Czarna brew uniosła się. Spojrzał na nią z nowym zainteresowaniem i zrozumiał, że cieszyła się jego zwycięstwem.

- *Muchas gracias, señorita.* Interesuje się pani końmi?

- Dużo o nich czytałam na statku w czasie podróży ze wschodu. Dopiero uczę się jeździć, ale... tak, bardzo interesuję się końmi.

Te słowa chyba go zaskoczyły. Pomyślała, że modne damy uczą się jazdy konnej jeszcze w dzieciństwie. Oblała się rumieńcem. Miała nadzieję, że jej małego błędu nie spostrzegą inni zamożni przyjaciele jej wuja.

- Wydaje się, że większość z nas tutaj obecnych interesuje się końmi - wtrącił się William Bannister, podając wygraną: skórzaną torbę pełną złotych monet. - Nadal pragnę kupić pańskiego konia. Niech pan wymieni rozsądną cenę, a zapłacę podwójnie.

Don pokręcił głową.

- Rey to jeden z ostatnich andaluzyjskich koni mojego ojca. Muszę go zachować na rozplód. - Carly czytała o takich koniach. Podobnie Cortez przywiózł do Nowego Świata.

- Moglibyśmy jakoś załatwić sprawy związane z reprodukcją. Z chęcią zgodziłbym się...

- Przykro mi, señor Bannister. Rey del Sol nie jest na sprzedaż.

Bannister westchnął, lecz don przeniósł już wzrok na Carly.

- Może, gdy señorita McConnell posiadać wystarczające umiejętności, señor Austin zainteresuje się którymś ze źrebaków po Reyu. Piękna klacz palomino byłaby idealnym wierzchowcem dla takiej damy jak ona.

Fletcher gładził się po podbródku.

- Być może ma pan rację, don Ramon. Źrebak po takim rumaku byłby cennym nabytkiem dla ran-cza del Robles.

Aby niejako przypieczętować swoją obietnicę, pochylił się i podniósł długą czerwoną różę, jedną z kilku, które kobiety rzuciły w jego kierunku, gdy przekraczał linie mety.

- To dla pani, *señorita*. Na pamiątkę tego dnia...choć jego uroda blednie w obliczu tak pięknej kobiety.

Carly przyjęła różę, rumieniąc się na policzkach. Zaczęła się uśmiechać, by podziękować za tak piękny gest, lecz w tej chwili dostrzegła niezadowoloną minę wuja. Boże, znowu pozwoliła, by przystojny don ją oczarował. Kiedy wróca do domu, wuj będzie wściekły.

Nie uśmiechnęła się więc ciepło, lecz bardziej sztucznie.

- Dziękuję, señor de la Guerra - powiedziała formalnie, najbardziej wyniosłym tonem, na jaki było ją stać. Przesunęła kwiat pod nosem, wdychając delikatny zapach. - Pańskie maniery są rzeczywiście pełne galanterii. Na pewno zapamiętam ten dzień.

Wuj wyraźnie się uspokoił. Ujął jej dłoń i położył ją na szerokim rękawie swego fraka bordowego koloru.

- Czas na nas, moja droga.

- Oczywiście, wuju. - Odwróciła się od dona, aby już nie patrzeć w jego oczy, po czym wolno ruszyła wraz z wujem w kierunku reszty towarzystwa.

- Bardzo dobrze zrobiłaś, moja droga. Z gracją, jak przystało na damę, a jednak pokazałaś mu, gdzie jego miejsce. Jestem z ciebie dumny.

Carly nagle poczuła się źle. Czy naprawdę zrobiła to, o czym mówił wuj? Pokazała don Ramonowi, gdzie jego miejsce? Nie taką miała intencję. Jeszcze raz zerknęła na dona,

który spojrział na nią przelotnie ciemnymi oczami, by po chwili obdarzyć pięknym uśmiechem Pilar Montoya.

Syknęła z bólu, gdy cień czerwonokrwistej róży ukłuł ją w palec.

* * *

Andreas de la Guerra szedł z grupą *vaqueros* w kierunku koni. Mężczyźni przyjechali z różnych hacjend, by zobaczyć Ramona w wyścigu przeciwko gringo. Nie rozczarowali się, a odniesione zwycięstwo każdy z nich odczuwał tak osobiście, jak honor rdzennego Kalifornijczyka.

Przypominając sobie niesamowity wyścig i wstrętą zdradę Anglo-Amerykanów, Andreas zacisnął mocno pięść. Brawurowa jazda brata ocaliła sytuację, lecz nie zmniejszyła jego furii, bo przecież mogło być różnie.

Lecz czego się spodziewał?

Zwalczał *gringos* od powrotu do Kalifornii, od czasu, gdy ujrzał ojca na łożu śmierci w małej hacjendzie, Rancho del Almas, która pierwotnie znajdowała się na miejscu Rancho del Robles, opuszczonej gdy zbudowano większy dom.

Walczył z nimi przez pół roku, zanim z Hiszpanii przybył brat, usiłując odzyskać to, co było ich prawowitą własnością.

Ramon dołączył do niego, choć z początku był nastawiony niechętnie, gdyż miał pewność, iż przemoc nie jest właściwą drogą. Jednak przekonało go poczucie winy za śmierć ojca z rąk Anglosasów, za nieszczęście matki, podczas gdy on prowadził wygodne życie w Hiszpanii.

Andreas wiedział: brat nie może sobie wybaczyć, że nie wrócił wcześniej, że zawiódł rodzinę, gdy była w potrzebie.

Nie była to wyłącznie jego wina. Diego de la Guerra był pewien, że sam sobie poradzi, udowodni swoje prawa do ziemi, a jeśli to się okaże konieczne, będzie walczył z Anglosasami, aby ją utrzymać. Po jego śmierci Andreas myślał podobnie. Dobrze było czuć się prawdziwym mężczyzną, nie być ciągle w cieniu brata. Był zdeterminowany, by naprawić zaznane krzywdy i dokonać aktu sprawiedliwości -nawet bez pomocy anglosaskiego prawa.

Rozpoczął walkę w przebraniu jako El Dragon i prowadził ją do chwili obecnej.

- Czas wracać na wzgórza, *amigo*. - Obok niego jechał na koniu Pedro Sanchez, kiedyś drugi po ojcu na Rancho del Robles. Miał nieco ponad sześćdziesiąt lat, był znakomitym *vaquero*, człowiekiem szorstkim i twardym jak skórzana podeszwa buta.

- Jedźcie - uśmiechnął się Andreas. - Ja mam jeszcze sprawę w San Juan Bautista.

- Taką samą sprawę, jak twój brat chciałby mieć z tą śliczną, młodą *gringa*? - spytał.

Widocznie Pedro widział, jak Ramon daje jej różę.

- Powiedział mi, że z nią mogą być jedynie kłopoty. Myślę że nie tyle dla mnie, źle dla niego.

- Señor Austin nie zaakceptuje jego zainteresowania. Nie jest człowiekiem, któremu twój brat powinien się otwarcie przeciwstawiać.

- Ramon doskonale o tym wie. Chyba nie chciał go antagonizować. Poprzysiągł, że dopóki nie odzyskamy del Robles, żaden andaluzyjczyk de la Guerrów nie stanie na tym ranczu. - Wzruszył ramionami. - Ale bez względu na to, czy w to wierzy, czy też nie, mój brat jest tylko człowiekiem, zaś ta kobieta jest cudowna, prawda?

- Ona oznacza kłopoty, tak jak powiedział Ramon.

- Może powinienem go ratować. Może jeśli pojechałby ze mną do San Juan...

- Wystarczająco dobrze uratuje go wdowa, Pilar. Poza tym zawsze jest Miranda. Tęskni za nim cały czas, gdy tylko nie ma go w twierdzy.

- *Si*, pewnie masz rację. - Jeszcze raz spojrzął na tłum kłębiący się niczym owady u podnóża wzniesienia. Wydawało mu się, że rozpoznał sylwetkę małej kobiety o kasztanowych włosach, stojącą pod różowo-białym parasolem.

Uśmiechnął się.

- Z drugiej strony, co to za życie bez odrobiny kłopotów?

Pedro zaśmiał się, po czym obaj dźgnęli konie ostrogami i ruszyli między wzgórze. Na rozstaju Andreas skręcił na południe, zaś Pedro pojechał prosto pod górę. Myśli o Amerykance, o pięknych zielonych oczach, jasnej skórze, krągłych piersiach i delikatnych kostkach dodawały mu sił. Miał nadzieję, że w San Juan znajdzie kobietę, która ma podobne, pełne piersi i za monetę albo dwie albo za kilka komplementów zaprosi go do swojego łóżka.

Zastanawiał się, czy brat pojedzie do Pilar, czy też okaże cierpliwość i zaczeka na piękną Amerykankę.

Rozdział 3

Jadąc na koniu tak czarnym jak jego własne ubranie, Ramon de la Guerra pokonał wzniesienie i spojrzął w dół na wąski strumień, wędrujący pod rosnącymi tam sykomorami. Andreas już czekał wraz z tuzinem swoich najlepszych *vaqueros*, którzy byli lojalni dla

rodziny de la Guerra od czasów swoich ojców i dziadów. Z tyłu kolumny jechało dwóch Indian z plemienia Jokutów, którzy przybyli z wielkiej centralnej równiny na wschodzie.

Ramon pognał konia, który zaczął schodzić po zboczu wzgórza w kierunku kamienistego strumienia. Drogę oświetlał mu srebrzysty księżyc, który jednakowoż przysłaniały cienkie, szare chmury.

- *Buenos nochas, amigos* - zawołał do zebranych, zatrzymując wierzchowca tuż przed nimi. - Dobrze was widzieć. - Był pośród nich Pedro Sanchez, a także Ruiz Domingo, Ignacio Juarez, Cisco Villegas, Santiago Gutierrez i kilku innych, których znał od dziecka.

- Jak już mówiłem Andreasowi, to, co zrobimy dzisiejszej nocy, jest o wiele bardziej niebezpieczne niż którakolwiek z naszych wcześniejszych akcji. Austin i jego ludzie mogą nas oczekiwać. Są jednak duże szanse, że tak nie będzie, że zdążył już zwolnić najętych dozorców, lecz pewności co do tego nie mamy. Jeśli ktoś z was zauważy cokolwiek podejrzanego, musi natychmiast zawołać i ostrzec pozostałych. Wtedy musimy w jednej chwili opuścić ranczo, z końmi lub bez.

- Potrzebujemy tych koni, Ramon – zaprotestował Andreas. - Nie siej pośród nas niepokoju gadaniem, że coś się może zdarzyć albo nie. Damy radę Austinowi i jego ludziom.

Ramon zaklął cicho. Andreas zawsze miał gorącą głowę. Jednak nie chciał podkopywać autorytetu brata w obecności innych.

- Po prostu uważajcie. Nie lekceważcie Austina. Jeśli cokolwiek się wydarzy, natychmiast uciekajcie w bezpieczne miejsce.

Zanim Andreas zdążył coś odpowiedzieć, Ramon zawrócił wierzchowca i ruszył szlakiem. Od ich bastionu w górach do Rancho del Robles było ponad dwa dni drogi, lecz Andreas i cała reszta obozowali w pobliskich wzgórzach. Konie były wypoczęte, ludzie ożywieni i wyspani przed oczekującym ich nocnym wypadem.

Dojechali do pochyłości, z której było już widać ranczo, i zatrzymali się w kępie gęsto rosnących drzew. Ramon zeskoczył na ziemię, po nim Andreas i Pedro Sanchez.

- Co o tym myślisz? - spytał Andreas Ramona, omiatając wzrokiem hacjendę, stajnię, spichlerz, barak i *matanza*, czyli rzeźnię, z zagrodą pełną koni.

- Wydaje się, że dookoła panuje spokój.

- Si. Zobacz, ile koni. Zbudował osobną zagrodę, aby mogły się pomieścić.

- Nasz gringo, kupiec w Sacramento City, będzie zadowolony - rzekł Pedro. - Nie obchodzi go, skąd pochodzą konie. Ważne, aby były zdrowe i w dużej ilości.

Ramon w milczeniu dłuższą chwilę obserwował scenę. W końcu doszedł do wniosku, że wszystko jest w porządku, odwrócił się więc i podszedł do czekającej grupy.

- Musimy zabrać *remuda*. - Było to wyselekcjonowane stado pod wierzch, używane do jazdy przez pracujących na ranczo. - Nie chcemy, aby ruszyli za nami w pogoń.

Chwycił lęk i z łatwością wskoczył na szerokie, hiszpańskie siodło, naciągnął na oczy płaskie rondo kapelusza, zaś na twarz naciągnął chustę. W końcu lekko dotknął boków konia szerokimi zębatymi kołami na końcu ostróg.

* * *

Carly nie mogła spać. Jeszcze nie przyzwyczała się do późnej pory kolacji, która obowiązywała w środowisku kalifornijskich ranczerów, ani do dziwnych dźwięków swojego nowego domu: skrzypienia rzeźbionych belek nad jej łóżkiem, świerszczy za oknem, dobiegającego z oddali skowytu kojotów i rżenia koni. Zegar na biurku pokazywał drugą godzinę. Widziała jego połyskujące mosiężne wskazówki w padającym ukosem promieniu światła, przedzierającym się przez okiennice.

Ocieżale wstała z łóżka. Przy kolacji wypła trochę mocnego czerwonego wina, które wuj robił z winogron rosnących na ranczo. A teraz zachciało się jej pić. Podeszła do porcelanowego dzbanka, który stał w misce na stoliku, lecz okazał się pusty. Wuj oczekiwał, że w takiej sytuacji powinna obudzić swoją pokojówkę, Candelarię, ale nie chciała tego robić. Poza tym potrzebowała wymówki, aby pokręcić się trochę po domu. Może gdy wróci, uda się jej zasnąć.

Nakładając na długą, białą nocną koszulę bogato zdobiony szlafrok, Carly poniosła zasuwkę z kutego żelaza, przymocowaną do drzwi sypialni i wyszła na korytarz. Haczenda była zbudowana na wzór hiszpański, posiadała spore centralne patio z dużą zadaszoną werandą, która przylegała do domu z trzech stron na całej długości. Kuchnia była w osobnym budynku, cofniętym o kilka kroków dla bezpieczeństwa na wypadek pożaru.

Carly mocniej owinęła się bladoniebieskim szlafrokiem i wyszła na zewnątrz. Było chłodno. Przeszła przez podwórze i otworzyła drzwi do kuchni. W środku panowała ciemność, jednak wyczuła zapach suszonej czerwonej papryki, która wisiała pod sufitem, aromat czosnku i liści laurowych, nawleczonych na jeden sznurek, ponad wielkim drewnianym rzeźnickim blokiem.

Pod ścianami stały pojemniki z pszenicą, fasolą, soczewicą, suszonym grochem, kukurydzą i świeżymi jarzynami. Szła ostrożnie, aby o nic nie zawadzić. W pomieszczeniu były dwie sześciopalnikowe kuchenki, a na jednej ze ścian znajdowały się żelazne patelnie, garnki, rondle, łyżki, szpatuły, a ręczny młynek do kawy zwisał z półki ponad drewnianą

skrzynią.

W kuchni zwykle panował dość duży hałas. Słysząc było odgłosy smażonych tortilli, rozmowy indiańskich służących i latynoskich kucharek. Teraz jednak panowała tu cisza. Carly minęła drewnianą maselnicę i podszedłszy do beczki z wodą, uniosła pokrywę. Zanurzyła dzbanek, napełniając go po brzegi, po czym zamknęła beczkę i otarła naczynie świeżo wypranym workiem na mąkę, który służył jako ścierka.

Doszła już do drzwi, gdy nagle usłyszała parskanie koni, ich kroki, odgłosy lekkiego stąpania kopytami po ziemi. I skrzypienie, które mogło pochodzić od otwieranej bramki zamykającej zagrodę. Podeszła do okna i wyjrzała, ciekawa, co się dzieje.

Z początku wcale ich nie zauważyła. Pomyślała, że konie same jakimś sposobem otworzyły bramkę i powoli wychodziły na zewnątrz. Stapały spokojnie, ale bez pośpiechu. Widziała je jako przesuwane się powoli duże plamy. Wszelkiej maści. Opuszczały zagrodę, aż nie pozostał w niej ani jeden. Carly podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież, lecz na widok jeźdźców stanęła jak wryta.

Boże miłosierny! To byli *vaqueros*. Poznała ich po krótkich kurtkach i rozszerzanych spodniach, a także niskich kapeluszach o szerokich rondach. Lecz nie byli to ludzie pracujący na rancho del Robles. Na Boga, to musieli być banici, o których słyszała, towarzysze hiszpańskiego Dragona!

Drżącą dłonią przymknęła drzwi, zostawiając niewielką szczelinę i patrzyła. Musiała ostrzec wuja i ludzi, którzy spali w baraku, lecz gdyby wyszła na dwór, *vaqueros* mogli ją zobaczyć i zabić, zanim zdążyłaby wydać ostrzegawczy okrzyk.

Wtem jej wzrok padł na duży metalowy dzwonek.

- O właśnie - szepnęła, prostując plecy. Musiała zebrać w sobie odwagę. Dzwonka używano jako dźwięku wzywającego na posiłek, oznajmującego przybycie poczty i jeszcze przy kilkunastu innych okazjach. Służył również jako sygnał ostrzegawczy. O tej porze nikt nie mógł mieć wątpliwości, że jego brzmienie oznacza kłopoty.

Carly spojrzała przez okno, aby upewnić się, czy któryś z jeźdźców nie obserwuje domu, policzyła wolno do trzech, po czym otworzyła gwałtownie drzwi. Podciągnęła nocną koszulę, aby łatwiej biec, nie zważając na zimną, wilgotną ziemię i kamienie, które wbijały się w jej gołe stopy.

Ruszyła prosto do dzwonka zawieszzonego na odległej o dobre sześć metrów drewnianej belce. Długi i gruby warkocz z kasztanowych włosów powiewał za jej plecami. Chwyciła linkę z licznymi węzłami i zaczęła dzwonić jak oszalała.

* * *

Ramon spiał konia, gdy tylko pierwsze uderzenie dzwonka rozdarło powietrze.

- *Madre de Dios* - zaklął cicho, szukając wzrokiem źródła alarmu. Po chwili spostrzegł małą postać w długiej szacie, stojącą na skraju patio. Od razu wiedział, że to ta dziewczyna.

- *Andele, muchachos!* Bierzcie konie i uciekajcie!

- *A remuda?* - spytał jadący tuż obok Andreas. Jego koń podskakiwał nerwowo. - Nie możemy odjechać bez wierzchowców.

- Sanchez i Domingo je zabiorą. Pomogę im, a ty jedź z resztą. - Lecz Andreas już zawrócił rumaka i ruszył w kierunku drugiej zagrody. Ramon zaklął, lecz jego słowa zginęły pośród uderzeń dzwonka, rżenia koni i ogólnej wrzawy. Skoczył do przodu, wyprzedził Andreasa, wykrzykując rozkazy do Sancheza i Ruiza Domingo, po czym wykonał gwałtowny obrót i pognął wierzchowca w kierunku kobiety, która wciąż zapamiętale szarpała linkę dzwonka.

Tymczasem w hacjendzie zapłonęły światła, zaś z baraku zaczęli wybiegać mniej lub bardziej ubrani mężczyźni, niektórzy z bronią w ręku. Nie obawiał się *vaqueros* Austina, gdyż wielu z nich niechętnie występowało przeciwko El Dragon, a większość czuła pewną lojalność wobec każdego, kto miał w żyłach hiszpańską krew i stawiał opór anglosaskim *gringos*. Jednak Amerykanie byli uzbrojeni i już zaczęli strzelać ze strzelb, pośród nich sam Fletcher Austin.

Dzwonek zamilkł, a powietrze rozdzierały teraz odgłosy wystrzałów. Villegas odpowiedział ogniem, raniąc dwóch ludzi Austina, lecz któraś ołowiana kula uderzyła w ramię Ignacia, zaś udo Santiago było czerwone od krwi. Dziewczyna przykucnęła za drewnianym korytem z wodą. Ramon zawrócił konia, aby wrócić do swoich ludzi, gdy wtem spostrzegł Andreasa, który jechał prosto na nią.

- Andreas! - zawołał. - Wracaj! - Było już jednak za późno. Rozległ się wystrzał z karabinu, po którym jego brat, trafiony kulą, szarpnął się i oparł bezwładnie do przodu z okrwawioną koszulą.

Ramona ogarnęła furia, jakiej nigdy dotąd nie zaznał. Ruszył w kierunku brata, lecz u boku Andreasa pojawił się Pedro Sanchez, po czym obaj odjechali w kierunku tylnej bramy, prowadzącej poza ranczo. Pomyślał o dziewczynie, o spustoszeniu, jakie wywołała, o jej chłodnym, wyniosłym sposobie bycia, przywiezionym ze wschodu. W myślach wciąż widział pędzącego ku niej brata, usłyszał ogłuszający huk wystrzału.

Jego wściekłość jeszcze wzrosła. Wpadł w szal. Koń, na którym siedział, dreptał do

tyłu. Zawrócił. Spiał wierzchowca ostrogami, pochylił się nisko nad siodłem i podjechał do dziewczyny skulonej za korytem. Tuż koło ucha Ramona świsnęła kula, jednak nie zwolnił. Gdy Carly go ujrzała, wrzasnęła ze wszystkich sił i zerwawszy się na nogi zaczęła biec.

Tego właśnie chciał.

Zrównał się z nią, a następnie pochylił i objął wpeł, po czym wciągnął na siodło. Krzyczała, szarpała się, wrywała, lecz nie mogła się z nim równać. Przerzucił ją przez siodło, twarzą w dół, przyciskając do końskiego grzbietu dłonią, przyłożoną do jej pleców. Czuł, jak drżała, gdy rumak przyspieszył biegu, widział jej kasztanowy warkocz. Zrozumiał, że bała się teraz poruszyć, gdy koń biegł na przełaj z dużą szybkością. Poczł mściwą satysfakcję. Dołączył do swoich towarzyszy, nim jeszcze dojechali do drzew, pędząc przed sobą stado.

Poruszali się szybko i sprawnie drogą, którą starannie wybrali już zawczasu. Z oddali wciąż dobiegały odgłosy strzałów, lecz ludzie Ramona znajdowali się poza ich zasięgiem. Wjechali nieco głębiej między drzewa, oddalając się od rancza, od niebezpieczeństwa, ku górom, które zapewniały im schronienie.

Zatrzymał się na moment, aby związać kobiecie ręce na plecach, stopy, a także zakneblować ją, aby już nie krzyczała. Potem znowu przerzucił ją przez koński grzbiet i ruszył w poszukiwaniu brata.

Znalazł go, jadącego w siodle, ledwie trzymającego się na koniu.

- Zabierz dziewczynę - rozkazał jednemu z *vaqueros* imieniem Enriquez, który przeciągnął ją na swojego wierzchowca.

Gruby mężczyzna przewiesił sobie Carly przez siodło, po czym sam usiadł za nią. Sanchez rzucił Ramonowi ostre spojrzenie, wyraźnie niezadowolony z faktu, że porwali kobietę, jednak po chwili odwrócił się do Andreasa.

- Co z nim? - spytał Ramon. Obawiał się, że brat został ciężko ranny.

- Niedobrze, przyjacielu - odparł Sanchez. - Bardzo niedobrze.

Poczł nieprzyjemny dreszcz. A więc nie był to postrzał w ramię, jak sądził.

- Nie możemy się zatrzymać, zanim dojedziemy do przełęczy. Czy on wytrzyma?

Sanchez pokręcił głową.

- Nie sądzę.

Ramon wystraszył się nie na żarty. Poczł przyspieszone bicie serca, ucisk w piersi. Odwrócił się do Ruiza Domingo.

- A co z innymi rannymi? - spytał młodego *vaquero* o szczupłej twarzy. - Czy dojadą do przełęczy?

- *Si*, don Ramon. Nie są ciężko ranni.

- Jedźcie aż do kanionu przy Los Osos. Znajdziecie tam schronienie i wodę dla koni. Potem, zgodnie z planem, musicie się rozdzielić. Martinez z pięciu ludźmi zabierze konie i uda się do Sacramento City. Reszta zaczeka na nas u podnóża kanionu. Jeśli nie przyjedziemy do jutra przed świtem, jedźcie sami do naszej twierdzy.

- *Si, patron* - padło po krótkim wahaniu. Ramon tylko skinął głową. Jego myśli przepełniał

niepokój o Andreasa. Gdy mężczyźni odjechali - Ruiz na czele, Enriquez z dziewczyną na siodle - wrócił do miejsca, gdzie czekali Sanchez wraz z jego bratem. Był prawie nieprzytomny, bezwładnie siedząc na koniu. Zaciskając zęby, Ramon ujął wodze i poprowadził zwierzę między drzewa, tuż obok małego strumienia.

Drżącymi dłońmi zdjął Andreasa z siodła, słysząc jego słaby, wywołany bólem jęk.

- Nie martw się, braciszku. Ramon jest przy tobie. Wszystko będzie dobrze.

Sanchez rozwinął swój wojskok, na którym położyli Andreasa. Ramon rozerwał koszulę na piersi brata i usunął pokrwawioną szmatkę, którą Pedro wsunął był w ranę, aby powstrzymać krwawienie.

- *Madre de Dios...* - Ramon poczuł ucisk w sercu. Zacisnął zęby na widok rozdartego ciała, złamanego żebra, wystającego przez gładką, ciemną skórę i spienionej krwi, która bulgotała w ranie z każdym szarpanym oddechem Andreasa.

- Przepraszam cię, Ramon - powiedział słabo.

- Nic nie mów - szepnął starszy brat, czując ucisk w krtani. Mruganiem rozgonił cisnące się do oczu łzy. - Musisz oszczędzać siły.

Z bladych ust Andreasa wydostał się jedynie zduszony świst.

Ramon pogładził go po wilgotnych włosach.

- *Por Dios*, Andreas - szepnął. - Dlaczego mnie nie usłuchałeś?

Ranny otworzył oczy. Kiedy ujrzał twarz brata, łzy ciekące po jego policzkach, sam również nie umiał ich powstrzymać.

- Nie miej... wyrzutów... Ramon. Ten napad... to był mój pomysł. I wina też moja. Nie twoja. - Zakaszłał, szarpiąc się, co sprawiło mu tak ogromny ból, że na czole wystąpiły kropelki potu. Ramon próbował go uspokoić, ale ręce mu drżały i nie mógł utrzymać brata.

- Odpoczywaj, braciszku.

Andreas poruszył głową.

- Powiedz... naszej matce... że ją kocham.

Ramon przez chwilę nie mógł wykrztusić ani słowa. Ujął dłoń brata i trzymał ją ze

wszystkich sił. W duchu pragnął, aby to on sam leżał teraz na ziemi i cierpiał ten nieopisany ból.

- I powiedz to... tia Teresie - szepnął Andreas.

- Powiem im. - Ramon z trudem artykułował słowa. Łzy płynące po twarzy nawilgotniły już przód jego koszuli. Nie był na to przygotowany. Matko Boska, nie spodziewał się, że brat został tak ciężko ranny.

- I kocham też... ciebie... Ramon.

Głowa Ramona opadła. Powtórzył te same słowa bratu, słowa, jakich nie usłyszał z jego ust żaden człowiek.

Andreas znowu zakaszłał, zadając sobie dotkliwy ból. Ramon czuł się tak, jakby to była jego własna agonia. O dziwo, gdy brat znowu spoczął spokojnie na ziemi, kąciki jego ust uniosły się, wywołując bruzdy na policzkach.

- Powiedziałeś... kiedyś... że jakaś kobieta ściągnie na mnie śmierć. Chyba jakoś... to się spełniło. - Zamknął oczy i w tym momencie Andreas de la Guerra wydał ostatnie tchnienie.

- Neeee! - Ramon odrzucił głowę do tyłu i krzyknął w ciemność. Jego głos odbił się echem w nocnej ciszy, głos tak rozdzierającego cierpienia, że niemal rozplatało go na dwie części. Był to okrzyk potworny, dziki, przypominający wycie rannego wilka.

Pedro Sanchez odsunął się bez słowa. On również miał oczy pełne łez.

- *Vaya eon Dios*, przyjacielu - wyszeptał do Andre-asa przez ściśnięte gardło. Uczyniwszy znak krzyża, podszedł do koni, by po kilku minutach powrócić z kocem, którym delikatnie przykrył nieruchome ciało. Nikt się nie odezwał. Bo i nie było już nic do powiedzenia.

Jednak dopiero po kilku godzinach Ramon -z sercem tak ciężkim, że nie potrafił wypowiedzieć ani słowa - puścił pozbawioną życia dłoń brata.

Rozdział 4

Wyczerpana i przerażona, Carly przycupnęła pod grubym dębem. Miała związane ręce i nogi w kostkach. Przez resztę nocy i cały następny dzień bez wytchnienia pędzili konie. Carly jechała w siodle przed grubym *vaquero*, którego don nazwał Enriquez. Każdy krok gniadego konia wywoływał u niej ból całego ciała.

Oddzielili się od reszty u wrót głębokiego kanionu. Pięciu ludzi popędziło skradzione konie na północ, ona zaś z całą resztą pojechała dalej, do nieznanego jej miejsca. Gdy w

końcu zatrzymali się, jako że zaczęło zmierzchać, wyjęto jej knebel, a młody *vaquero*, Ruiz, przyniósł jej trochę jedzenia. Lecz talerz z pieczonym królikiem pozostał nietknięty. Mięso było już zimne, w chłodnym, wieczornym powietrzu pokryło się cienką galaretą. Tuż obok Enriquez rozłożył się na wołoku, zakrywając sobie twarz szerokim sombrero.

Tak jak pozostali, spał bardzo lekko, budząc się na najcichszy dźwięk, czujny na wszelkie możliwe niebezpieczeństwo. Carly w ogóle nie spała. Jej zmęczone oczy wpatrywały się w ciemność, szukając mężczyzny, który ją porwał, oczekując jego powrotu. Była przerażona perspektywą tego, co mógłby zrobić.

Na samą myśl przechodziły ją dreszcze. Co to może być? Tortury, gwałt, morderstwo. Słyszała o nim różne opowieści. Wiedziała, co to za człowiek.

Zamknęła oczy i w końcu zapadła w zmęczony sen. Obudziła się przestraszona na dźwięk chrzęstu kroków na kamieniach. Budził się szary świt. Poczowała, że ktoś przy niej stoi. Serce jej waliło, gdy ujrzała przed sobą długie czarne buty. Przesuwała wzrok po długich, smukłych nogach odzianych w dopasowane bryczesy, wąskich biodrach, talii, rozszerzającej się w szeroką pierś i silne barki. Gdy uniosła oczy jeszcze wyżej, ujrzała twarz przystojnego hiszpańskiego dona, Ramona de la Guerra.

Spłynęła na nią tak ogromna ulga, że Carly doznała lekkiego zawrotu głowy. Hiszpan ją odnalazł. Nie została zamordowana, lecz ocalona!

- Don Ramon, Bogu niech będą dzięki! - Skoczyła na nogi, zataczając się nieznacznie. Z trudem utrzymała równowagę. - Tak bardzo się bałam. Myślałam... Bogu dzięki, że pan się zjawił.

- Señorita McConnell - rzekł bez najmniejszej nawet nuty ciepła w głosie. - Jak to miło, że dołączyła pani do naszego towarzystwa. - Jeszcze nigdy nie widziała u niego tak szorstkiej, ponurej miny. Zmysłowe wargi tworzyły cienką, surową linię. Wbijał w nią spojrzenie swych zimnych, brązowych oczu, teraz niemal czarnych, spojrzenie nieprzeniknione, z którego nie mogła niczego wyczytać.

Poczowała, że zlewa się zimnym potem. Jedna chwila wystarczyła, by zrozumiała, że w całym swoim życiu nie była w większym niebezpieczeństwie.

-Pan... pan nie jest...

- Don Ramon Martinem y Barranca de la Guerra- powiedział, kłaniając się jej z lekką drwiną. -Do usług, *señorita*. - Błysk jego równych, białych zębów wyglądał jakoś dziko. - A może woli pani El Dragon.

Zachwiała się na nogach, ogarnięta przerażeniem, które wdzierało się w nią niczym ostrze noża. Mogła się przewrócić, gdyby nie przytrzymał jej, wbijając palce w ramię niczym

szpony. Wyrwała mu się.

Przez chwilę nie mogła mówić, tylko patrzyła nań, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Drżącymi dłońmi, które wciąż były związane, szczerzej owinęła się swoim błękitnym szlafrokiem. Lęk mieszał się ze złością. Uniosła podbródek i spojrzała mu prosto w oczy.

- El Dragon... - powtórzyła z pogardą. – Jakież uroczy koniokrad. Nigdy bym nie pomyślała. - Jeszcze wyżej uniosła głowę. - Naprawdę wierzyłam, że jest pan hiszpańskim szlachcicem, człowiekiem godnym szacunku. A pan jest po prostu zwykłym złodziejem i mordercą.

Wykrzywił nieprzyjemnie usta.

- A pani, *señorita*, jest odpowiedzialna za cierpienie i śmierć mojego brata.

Zesztywniała. Znowu ogarnął ją lęk, który nakazywał zachować ostrożność. Drażnienie Hiszpana nie było rozsądne, ale nie mogła się powstrzymać. Oszukał ją, oszukał ich wszystkich.

- To pan jest za to odpowiedzialny, don Ramon. Pan, dokonany przez pana napad, kradzież i morderstwo. Ja tylko ostrzegłam wuja i jego ludzi. Próbowалаm pana powstrzymać. I zrobiłabym to samo jeszcze raz!

Twarz Ramona pociemniała, oczy przybrały barwę onyksu, nadając jego obliczu naprawdę groźny wygląd. Ludzie stojący w pobliżu nie poruszali się, lecz patrzyli na nią z taką samą nienawiścią jak don. Uderzenie nadeszło nagle, było mocne, brutalne i mocno zapiekło ją w policzek. Upadła na ziemię. Stojąc nad nią, wydawał się ogromny, był zesztywniały z wściekłości, mocno zacisnął pięści.

Zamknęła oczy, oczekując solidnego bicia, szykując się na nieunikniony ból. Jednak gdy po chwili znowu spojrzała na niego, odwrócił się. Jakiś starszy mężczyzna podszedł do niej i przeciął sznur, którym miała skrupowane nogi.

Powiedział coś gniewnym, szarpanym głosem do Ramona. Nie zrozumiała, o co chodzi, czując mocny szum w głowie i ucisk w żołądku.

Mężczyzna ujął ją za rękę i pomógł wstać.

- Jestem Sanchez - powiedział dość łagodnie. Był szczupły i umięśniony, tak jak jego towarzysze, lecz wiek i życie poza domem zniszczyły mu twarz, rzeźbiąc w niej głębokie zmarszczki. - Musi pani spróbować zrozumieć, *señorita*. Don Ramon nie jest złym człowiekiem.

- Jest potworem. - Drżącą dłonią dotknęła czerwonego śladu na policzku.

- Po prostu jest człowiekiem, który w tej chwili nie myśli rozsądnie. Zbyt mocno

dokucza mu żal.

- Żal? Nie wiem, o czym pan mówi. - Przez chwilę myślała, że jej nie powie, gdyż bacznie się jej przyglądał mądrymi oczami starca.

Westchnął i w tej chwili jakby jeszcze bardziej się postarzał.

- W czasie napadu został zabity młodszy brat don Ramona, Andreas. Don bardzo go kochał. Oddałby własne życie, aby zapewnić mu bezpieczeństwo. To było coś, czego nie wolno mu było zrobić.

Dojrzała prawdziwy ból w oczach mężczyzny.

- Dobry Boże... - Przez chwilę współczuła mu, współczuła im obu. Lecz po chwili zapanowała nad tym uczuciem. - Jego brat był wyjęty spod prawa. Obaj są banitami. Czego więc don się spodziewał? Śmierć od kuli i tak była dla niego łaską.

- Próbował ocalić swój dom, swój sposób życia. Może kiedyś pani to zrozumie.

Zadrzała w zimnym powietrzu poranka. Nigdy nie zrozumie takich ludzi, którzy kradną i zabijają, ludzi bez skrupułów i bez litości.

- On niedługo wróci do siebie - rzekł stary *vaquero*. - Tymczasem nie wolno pani robić niczego, co mogłoby go rozgniewać.

Spojrzała ponad jego ramieniem. Don właśnie rozmawiał z jednym ze swoich ludzi. Był bandytą, mordercą, a to ją obwinał za śmierć brata. Poczula na plecach zimny dreszcz, potem żal, poczuła, że straciła mężczyznę, który tak bardzo ją pociągał, a który tak naprawdę nigdy nie istniał.

Patrzyła na wysokiego, męskiego Hiszpana, próbując wpasować tego twardego człowieka w postać czarującego dona, jakim się wydawał. Próbowwała /rozumieć, jaki jest w środku. Nie wiedziała, co zamierzał, jakie cierpienia chciał jej zadać, lecz w tej chwili to nie miało znaczenia. Carly zamierzała znieść wszystko i przeżyć.

Już raz zrobił z niej głupca. Pierwszy i ostatni raz.

Poza tym, gdyby udało się jej wytrzymać dostatecznie długo, wuj miałby dość czasu, aby ją odnaleźć. Nie miała wątpliwości, że tak się stanie. Fletcher Austin był równie twardy i zdeterminowany jak mężczyzna, który zwał się El Dragon.

Ta myśl dodała jej sił, pozwoliła zapanować nad strachem. Otulając się mocniej, odeszła w cień i przycupnęła na swoim miejscu pod drzewem. Zaznała już kiedyś okrucieństwa i ciężkich życiowych doświadczeń. Ciężko jej było, gdy straciła siostrę i ojca, praca wraz z matką w kopalni od świtu do zmierzchu była ciężka, a jeszcze trudniej było jej patrzeć, jak matka umiera powolną, przepelnioną cierpieniem śmiercią. Jednak przeżyła to wszystko - i teraz będzie podobnie.

Z upływem czasu narastała w niej odwaga. Gdy byli gotowi do dalszej drogi, to już nie była Caralee McConnell z nowojorskiej szkółki pani Stuart dla młodych dam. To była Carly McConnell, córka górnika z Pensylwanii. Kobieta, która swoją siłą przypuszczalnie mogła się równać z donem.

* * *

To, co zrobiłeś, porwanie tej kobiety, może się źle skończyć. - Pedro Sanchez stał przed Ramonem, trzymając kapelusz o płaskim rondzie w zniszczonej wiekiem dłoni.

- Co się stało, to się nie odstanie. Teraz już za późno, żeby coś zmienić.

- Nie powinieneś być jej pozwolić, aby zobaczyła twoją twarz.

Zignorował zarówno tę krytykę, jak i obawę brzmiącą w głosie starego przyjaciela.

- Każ ludziom wsiadać na koń. Dziewczyna może jechać z Enriquezem. Zmarnowaliśmy już dosyć czasu.

- Jej wuj ruszy za nami. Potraktuje to jako osobisty afront. Nie spocznie, póki jej nie znajdzie.

Ramon obejrzał się na dziewczynę. Stała sztywno, wyzywająco, z buntem w zielonych jak liście oczach. Pomyślał o Andreasie i natychmiast poczuł gniew, po którym spłynęła nań fala ogromnego żalu. Starał się go uśmierzyć, jak tylko umiał. Teraz Ramon był potrzebny swoim ludziom, mieszkańcom warowni. Nie mógł dopuścić, aby śmierć Andreasa poszła na marne.

Jednak nie wyzbył się do końca bólu, który wciąż czaił się tuż pod powierzchnią niczym drapieżna bestia, czekając na najmniejsze słowo, najcichszą myśl, aby ponownie wydostać się na zewnątrz i pochłonąć go całkowicie.

Spoglądał na dziewczynę i przypomniał sobie ostatnie słowa brata. *Powiedziałeś kiedyś, że jakaś kobieta ściągnie na mnie śmierć.* Znowu cierpiał katusze. Poczuł się, jakby kosa przecięła na pół jego zeszywniałe z rozpaczy ciało.

- Myślę sobie - odezwał się - że ona pójdzie pieszo. Zobaczymy, czy ma w sobie coś więcej niż tylko wyniosłe maniery, przywiezione ze wschodu. - Ruszył w kierunku swojego konia, lecz Sanchez przytrzymał go za ramię.

- Nie mówisz tego poważnie, Ramon. Do Liano Mirada jest sporo mil drogi.

Ramon wyzwolił się od uścisku dłoni starego *vaquero* i poszedł dalej.

- Enriquez! - zawołał. Gruby *vaquero* podniósł głowę. - Przeprowadź mi dziewczynę.

- Ramon, błagam cię, nie rób niczego, co tylko przysporzy ci jeszcze więcej

cierpienia.

- Nie wtrącaj się, Pedro. - Doszedł do dużego, czarnego wierzchowca i wskoczył na siodło. Po chwili nadszedł Enriquez z dziewczyną. Była ubrana w błękitny peniuar, narzucony na białą, bawełnianą nocną koszulę. Na plecach zwisał gruby warkocz kasztanowych włosów. Spozrzegł, że była bosa, miała zsiniałe z zimna stopy.

Poczuł wyrzuty sumienia. Była taka mała. I chociaż nie okazywała strachu, na pewno bardzo się bała. Potem pomyślał o Andreasie, jego zimnym, sinym ciele owiniętym w koc. Poczucie winy szybko znikło.

Zdjął z siodła pleciony powróż, zawiązał pętle i zacisnął ją wokół jej skrępowanych nadgarstków. Drugi koniec przywiązał do łęku swego szerokiego siodła, cały czas oczekując, że zacznie p błagać, płakać, prosić o litość. Wiedział, że i tak nie zmieniłby zdania. A jednak pragnął to usłyszeć. Czułby satysfakcję z każdym padającym słowem, satysfakcję tylko odrobinę mniejszą od tej, jakiej by zasnął, gdyby podobne błagania padły z ust jej wuja.

Pomyślał o Fletcherze Austinie, o Rancho del Robles, ziemi odebranej jego rodzinie, brutalnym zabójstwie brata, potem o Caralee McConnell, przybyłej ze wschodu światowej dziewczynie, uważającej się za kogoś lepszego od nich, myślącej tylko o pieniądzach i zaspokajaniu własnych kaprysów. Ogarniała go coraz większa złość, paliła od środka niczym rozżarzony kamień.

- Długa droga przed nami, señorita - rzekł, spoglądając na nią z góry. - Czas jechać. - Pociągnął za linę, oczekując łez, lecz ona jedynie uniosła wyżej głowę. Oczami płonącymi jak zielony ogień omiotła jego postać, jawnie wyrażając swoją pogardę.

Trzymając nerwy na wodzy, ruszył stępą, bezceremonialnie pociągając ją za sobą. Nie nając innego wyjścia, zaczęła iść na postronku jakieś trzy metry za koniem. Szli przez małą, ustronną dolinę, lecz polem zaczęli wspinać się pod górę. Lina cały czas zwisała luźno, bo dziewczyna z łatwością dotrzymywała kroku wierzchowcowi.

Cztery godziny później nadal maszerowała, spoglądając na niego z nienawiścią. Niemal czuł, jak wzrokiem wwierca mu się w plecy.

Od czasu do czasu nie mógł się powstrzymać i odwracał głowę, zdumiony, że nie błaga go, aby się zatrzymał, że ani razu nie usłyszał z jej ust słowa skargi. Zatrzymali się tylko na chwilę koło strumienia, gdzie napoili konie i zjedli trochę *carne seca*, mocno przyprawionej, suszonej wołowiny. Gdy dziewczyna odmówiła porcji, którą podał jej Sanchez, Ramon zeskoczył na ziemię i podszedł do miejsca, gdzie stała, uwiązana do postronka.

- Zrobisz to, co mówi Pedro. - Podał jej mięso, wykrzywiając usta w zimnym

uśmiechu. - Nie chcę, aby potem mówiono, że źle opiekowaliśmy się naszym gościem.

Rzuciła jedzenie na ziemię u jego stóp.

- Nie jestem głodna. A nawet gdybym była, nie jadłabym z takim zwierzęciem jak ty.

Znowu spłynęła nań fala złości. Chwycił ją za rękę i podciągnął do góry, aż stanęła na palcach.

- Gdy jesteś z nami, nie będziesz marnować jedzenia. Są ludzie, którzy każdego dnia umierają z braku tego, co właśnie wyrzuciłaś. Ale ty nie masz pojęcia o takich rzeczach, co?

Lekko uniosła podbródek.

- Niby skąd miałabym wiedzieć?

Rzucił je bezlitosny krzywy uśmiech.

- Może z czasem nauczysz się doceniać drobne rzeczy w życiu, które do tej pory przyjmowałaś za oczywiste. Może nawet będziesz o nie błagać.

- A może ty się nauczysz, że ja nigdy nie błagam, zwłaszcza ciebie!

Wzmocni chwyt, poczym puścił ją. Klnąc pod nosem, wrócił do wierzchowca, wskoczył na siodło i ruszył w dalszą drogę, pociągając ją za sobą. Tego popołudnia Sanchez dwukrotnie podjechał do niego z prośbą, aby się zatrzymał i pozwolił dziewczynie jechać na koniu z jednym z ich ludzi. Lecz za każdym razem, gdy oglądał się na nią, słyszał ostry dźwięk dzwonka, wdział, jak ołowiana kula trafia w pierś jego brata, słyszał ciche słowa, jakie Andreas wypowiedział, umierając na rękach Ramona.

Było już ciemno, gdy dotarli do miejsca, gdzie zamierzali stanąć na noc. Dziewczyna ślepo szła przed siebie. Potykała się co jakiś czas, lecz nie zostawała w tyle, trzymając się siłą woli. Takie odniósł wrażenie. Coraz bardziej złościło go, że postanowiła mu się przeciwstawić, że nie zmiękła, tak jak tego oczekiwał. Mimo to w głębi duszy był zadowolony, bo mógł skierować wezbraną w nim wściekłość przeciwko komuś innemu, a nie tylko przeciwko samemu sobie.

Carly drżała z wyczerpania, co zauważył, gdy zsiadł z konia. Chwiała się na nogach, z trudem utrzymując równowagę. Błękitny peniuar zwisał jak brudna szmata, poszarpany ostrymi krawędziami skał i cierniami winorośli, jakie mijali po drodze. Włosy rozsypały się z warkocza i teraz, falując, kładły się na jej plecach, zaś wilgotne, skręcone kosmyki przylegały do lekko opalonych policzków.

Targnęło nim poczucie winy. Nigdy nie był okrutny wobec kobiety. Na żadną nie podniósł ręki. Lecz to nie była jakaś tam kobieta. Ona zabiła jego brata. Przenikający do szpiku kości ziąb stłumił ogień, płonący we wnętrzu Ramona. Ona musiała zapłacić za to, co uczyniła. Tak samo jej wuj. Przynajmniej tyle był winien bratu.

I wtedy spostrzegł krew na stopach Carly.

Madre de Dios.

- Sanchez! - zawołał. Pedro podbiegł doń natychmiast. - Zajmij się nią - rzucił przez ściśnięte gardło, jakby z wysiłkiem. Poczucie bólu mieszało się z żalem, który napływał przejmującymi falami, uniemożliwiając zebranie myśli. - Powinnaś była powiedzieć - powiedział do niej ponuro. - Dalibyśmy ci coś na nogi.

Splunęła na ziemię tuż pod jego stopy.

- Niczego od ciebie nie chcę. Słyszysz? Niczego!

Miała w sobie wszystko to, czego nienawidził - co zrozumiał już w chwili, gdy ją poznał. Była pazerna, hedonistyczna, rozpuszczona i egoistyczna.

Kiedyś on sam posiadał wszystkie te cechy.

Odszedł, czując bolesne pulsowanie w głowie. Podeszedłszy do wierzchowca, wyjął z torby za siodłem butelkę mocnego *aguardiente*. Wyjął korek i pociągnął potężny łyk, powodujący lekkie odrętwienie umysłu. Tylko jeden. Wiedział, że gdyby napił się więcej, nie potrafiłby przestać. Aż do ustąpienia wszelkiego bólu.

Pedro zaprowadził dziewczynę do strumienia, przyklęknął i pomógł jej obmyć poranione stopy. Po kilku minutach jeden z mężczyzn przyniósł jej parę wysokich do kolan mokasynów. Powiedział coś do Carly. Ramon nie słyszał słów, ale wiedział, o co chodzi.

Nie chciał się do tego przyznać, pragnął, aby to nie była prawda, lecz zaczął w nim kiełkować powściągliwy szacunek do tej kobiety, szacunek, który już zaczęli jej okazywać jego ludzie.

* * *

Każdy odgłos rozlegający się w ciemności wydawał się wzmocniony tysiąc razy. Carly nie była przyzwyczajona do przebywania na zewnątrz. Wuj ostrzegł ją, by samodzielnie nie oddalała się od domu. Mówił, że w lasach roi się od niebezpiecznego zwierza: pum, jadowitych grzechotników, wielkich dzikich byków z ostrymi rogami, dzikich świń. a najgorsze były ludożercze niedźwiedzie grizzly. Nawet teraz słyszała dobiegające z ciemności ciche warczenie jakiegoś znajdującego się w pobliżu stworzenia. Po chwili inne zwierzę zawyło gdzieś u podnóża wzniesienia, oznajmiając światu swe krwiożercze intencje.

Wzdrygnęła się na samą myśl. Nawet gdyby zdołała uciec, co wydawało się mało prawdopodobne, nie знаła drogi do domu, zaś polujące zwierzęta tylko czekały, aby ją rozszarpać.

Lecz jeszcze większe niebezpieczeństwo czaiło się ledwie kilka metrów dalej, po drugiej stronie obozowiska.

Leżał na wojuku z kapeluszem o szerokim rondzie nasuniętym na oczy. Dopiero co wrócił na polanę, bo gdy inni rozkładali się z obozem, on samotnie pojechał do lasu. Wrócił dopiero, gdy wszyscy już spali, usiadł przy ognisku i wpatrywał się milcząco w płomienie. Sanchez obudził się i zaniósł mu jedzenie, lecz Hiszpan odmówił przyjęcia posiłku.

Carly czuła się wyczerpana, przerażona, dotknięta jego brutalnością, lecz mimo to zrobiło się jej go żal. Sama kiedyś miała o cztery lata młodszą siostrę, Mary. Umarła z gorączki, gdy Carly miała dziewięć lat. Przypomniła sobie płacz matki, pamiętała potworny ból wywołany pustką, której nic nie było w stanie wypełnić, gorycz i smutek po utracie Mary. Z łatwością mogła sobie wyobrazić cierpienie do-na po śmierci brata.

Oparła głowę o drzewo i zamknęła oczy. Zjadła kawałek pieczonego mięsa, które przyniósł jej Sanchez, przyjęła od niego koc, gdy przyszedł, aby przywiązać ją za nogę do drzewa. Wtulając się głębiej w rozgrzany koc, starała się nie myśleć o don Ramonie, o swoich bolących z wysiłku mięśniach, podrapanych łydkach, poranionych stopach i ciemniejącym siniaku na policzku. Zamiast tego powędrowała myślami ku wujowi. Pragnęła, żeby przyjechał, była pewna, że tak się stanie. W końcu zapadła w ciężki, podobny do transu sen.

Tuż przed świtem obudziły ją odgłosy parszających koni, które właśnie siodłano, szykując się do likwidacji obozowiska. Młody *vaquero* imieniem Ruiz przyniósł jej śniadanie: ciepłe tortille, resztkę mięsa i cynowy kubek gorącej kawy, która smakowała jak najlepsza kawa na świecie. Wciąż nie była głodna, ale zmusiła się do jedzenia. Czuła się bardziej zmęczona niż poprzedniego wieczoru, bolały ją wszystkie mięśnie i kości. Miała pęcherze na otartych, poranionych stopach, liczne zadrapania na ramionach i nogach, spieczone usta.

Słyszała, jak stary *vaquero* rozmawia o niej z donem, lecz tak jak wcześniej, zagadnięty odwrócił się bez słowa.

Przynajmniej wciąż żyła. Nie zgwałcili jej, czego się obawiała, a prócz dona nikt nie okazał jej okrucieństwa. Do tej pory wuj i jego ludzie na pewno wszczęli już pościg i niedługo ją odnajdą.

- Czas w drogę, *señorita*. - Słowa Hiszpana, który właśnie podjechał do niej, przerwały te myśli. Miał surowe, pozbawione wyrazu oblicze. Pod ciemnymi oczami spostrzegła różowe smugi. Był bezlitosny, nieczuły, bezwzględny.

Poczuła do niego odrazę.

- Dokąd jedziemy? Dokąd mnie zabieracie?

Wykrzywił usta w ponurym uśmiechu.

- Daleko w góry. Do Llano Mirada. Tam czasami mieszkam.

- Mój wuj odnajdzie cię, gdziekolwiek będziesz. Nie spocznie, póki cię nie upoluje jak zwierzęcia, którym zresztą jesteś.

- Lepsi od niego próbowali to zrobić i nikomu się nie udało. Twój wuj nie będzie wyjątkiem.

- Czego ode mnie chcecie? Co ze mną zrobicie?

Obrzucił ją odważnym, bezlitosnym, a zarazem zmysłowym spojrzeniem.

- To się zobaczy, *señorita*. - Zawiązał pleciony skórzany powróż wokół jej nadgarstków, zacisnął, po czym zaprowadził ją do swojego konia i z gracją wskoczył na siodło. - A tymczasem musimy jechać.

Ogarnęła ją złość, nienawiść, gorycz. Nie zwracając uwagi na swoje poszarpane ubranie, zmierzwiłone włosy i zbyt wielkie mokasyny, które przywdziała, rzuciła mu chłodny, wyrachowany uśmiech, tak wyniosły, na jaki ją było stać.

- Jestem gotowa, señor El Dragon.

Na jego napiętej twarzy zadrgał pojedynczy mięsień. Poczowała satysfakcję. Chciał ją poniżyć, zmusić, aby błagała go o litość. Był pewien, że ją złamie.

Lecz za każdym razem, gdy spoglądała na jego barczystą postać, siedzącą okrakiem na koniu, gdy widziała arogancko przekrzywioną głowę, myślała o tym drugim przystojnym mężczyźnie. Tym, o którym marzyła, który podarował jej różę. Bezlitośnie zmusiła się, by wspomnieć swoją fantazję o mężczyźnie o ciemnej karnacji i czarującym uśmiechu, wywołującą motyle w jej żołądku.

Mężczyźnie, który wciąż się z niej śmiał, robiąc z niej głupca.

Rumak poruszył łbem i ruszył stępą szlakiem, ciągnąc za sobą Carly. Ignorując swoje rany, zadrapania i siniaki, wbiła spojrzenie w szerokie plecy Hiszpana, z wysiłkiem stawiając krok za krokiem. Za nią jechał Sanchez i cała reszta.

Nadeszło południe, słońce paliło z góry jak wielka ognista kula. Skórzany powróż krępował jej dłonie, z każdym krokiem nawet lekki błękitny peniuar ciążył jej coraz bardziej. Potykała się i zapewne upadłaby na ziemię, gdyby don nie zwolnił. Szlak wiódł po stromej pochyłości, nadwężając jej siłę woli i zapasy energii. Jej nogi odmawiały już posłuszeństwa, miała wysuszone usta. Nie wiedziała, jak długo jeszcze wytrzyma. Jakby czytając w jej myślach, Ramon zatrzymał konia, odpiął manierkę i podszedłszy bliżej, podał jej. Przyłożyła ją do ust, z rozkoszą chłonąc zimny płyn, lecz nie mogła powstrzymać drżenia rąk.

- Llano Mirada jest już niedaleko - powiedział, biorąc od niej manierkę. Wskazał ręką górną część stromej wąwozu. - Tam właśnie idziemy.

Powędrowała wzrokiem w tamtym kierunku, lecz nie zauważyła niczego, co w najmniejszym stopniu przypominałoby obozowisko. Jedyne dęby, pinie, manzanita i długi skalisty kanion, prowadzący do nagiej granitowej ściany.

- To trudna wspinaczka - wykrzywił usta w okrutnym uśmiechu. - Jeśli ładnie mnie poprosisz, być może wezmę cię na konia.

Ściany wąwozu stały wysoko nad jej głową. Nogi drżały z wysiłku i wyczerpania. Przecież to niemożliwe, aby zdołała o własnych siłach dokonać tego podejścia. Była już blisko płaczu, blisko załamania.

- Idź do diabła!

Zmarszczył czoło, po czym zerknął na stromy, skalisty wąwóz, w którym nawet nie było widać żadnej wydeptanej ścieżki. Przez chwilę się zawahał.

- Duma doprowadzi cię do zguby, señorita.

Nastroszyła się.

- A co ciebie doprowadzi do zguby, don Ramon? Desperacja sprawiła, że celowo zaczęła go drażnić.

Chciała, aby złość dodała jej sił. - Czy to wasza wspiana hiszpańska duma doprowadziła do śmierci twojego brata? Czy też była to jedynie chciwość?

Znowu ujrzała furię w jego ciemnych, rozognionych oczach, których spojrzenie pozostało jednak niepokojąco zimne. Odwrócił głowę; teraz widziała jego ładny profil. Zaraz też dał koniowi ostrogę i ruszył w górę wąwozu.

Szli tak dłuższą chwilę. Szlak wyłonił się znikąd. Nie można go było zauważyć, bo - jak spostrzegła - jadący z tyłu mężczyźni zacierali gałęziami wszelkie ślady wędrówki. Jej wyczerpany organizm zaczynał się poddawać. Wuj nigdy nie odnajdzie tej drogi, a nawet gdyby mu się to udało, całej ściany kanionu pilnowali rozstawieni w pewnych odstępach strażnicy.

Carly potykała się, w końcu zgromadzone łzy naprawdę znalazły ujście w jej oczach. Boże, dlaczego nie poprosiła dona o pomoc? Czemu nie schowała głęboko dumy i nie pozwoliła mu zwyciężyć, czego tak bardzo pragnął? Jakie to miało znaczenie? Podświadomie wiedziała, że jednak miało. Duma była jedyną rzeczą, która jej pozostała, dzięki której nie stała się jeszcze przerażoną, małą dziewczynką, jaką była w głębi duszy. Nie mogła tego stracić. Otarła łzy.

Pokonali już połowę drogi przez wąwóz, gdy Carly potknęła się i upadła - prosto w wysuszoną ziemię pod ciernistymi gałęziami manzanity, których kolce wbiły się w jej nogę. Jeden z *vaquero* podjechał bliżej, zeskoczył z konia i pomógł wstać. Cichym głosem

wypowiedział kilka słów otuchy, tak przynajmniej myślała, bo oszołomiona nie mogła być tego pewna.

Tymczasem Pedro Sanchez minął ich, stając tuż obok dona.

- Dostyc tego, Ramon! Puść ją.

- Nie.

- Posłuchaj mnie, *hojo*. Znam cię od dziecka. Zawsze byłem z ciebie dumny jak z własnego syna. Nie rób tego.

- Odsuń się, *amigo*.

- Wiem, że cierpisz. I wiem, że właśnie to cierpienie cię oślepia. Proszę, zakończ ten okropny teatr.

- Powiedziałem, odsuń się.

Przez chwilę starszy mężczyzna nie ruszył się.

- Więc posłuchaj, Ramonie de la Guerra. Jeśli tego nie skończysz, będzie to twój największy błąd. I po raz pierwszy od czasu, gdy cię znam, będę się za ciebie wstydził.

Don zacisnął zęby. Powędrował wzrokiem od Sancheza do Carly i wykrzywił usta w cierpkim uśmiechu.

- Spytamy ją. Jeśli zechce jechać, musi to powiedzieć i tak się stanie. - Obrzucił ją wyzywającym spojrzeniem. - Czy chcesz jechać ze mną na koniu, señorita McConnell? - Drwił, drażnił ją, prowokował do buntu. - Jeśli tak, wystarczy poprosić, a wtedy spełnię twe życzenie.

Poczuła palące łzy, które tylko czekały, by wydostać się na powierzchnię. Boże, nie pozwól, aby to zobaczył. Patrzyła na niego twardo, nienawidząc go za tę sytuację, chciała zetrzeć mu z ust ten złośliwy uśmiešek.

Pragnęła móc się poddać i wypowiedzieć słowa, które chciał usłyszeć, lecz wiedziała, że nie może tego zrobić. Spojrzała na szczyt wąwozu, który wydawał się już niedaleko.

- *Si, señorita* - drażnił ją dalej, jakby czytał w jej myślach. - Llano Mirada już niedaleko. - Wskazał ręką. - Zwłaszcza dla tak zdeterminowanej osóbkki. Więc, jaka decyzja?

-*Por Dios, Ramon...*

Spojrzała mu prosto w oczy. Resztką woli wyprostowała się.

- Stoisz mi na drodze, *señor*. Idź przodem, albo usuń ten powróż, i zejdz ze szlaku, abym mogła cię wyprzedzić.

Coś zabłyśło w ciemnych oczach dona. Zerknął na starego *vaquero*, który smutno pokręcił głową. Przez moment nie ruszał się, po czym ruszył pod górę, tym razem trochę wolniej niż poprzednio. Kiedy poczuł szarpnięcie liny, gdy Carly potknęła się, zwolnił jeszcze

bardziej. Koń zaczął cicho rzeć, rwąc się do domu, którego bliskość już wyczuwał, lecz don trzymał go na wodzy, aby powróż nie był napięty, aby to dziewczyna wyznaczyła tempo marszu.

Zastanawiała się, dlaczego to robił, skoro tak bardzo chciał ją złamać, ujrzyć, jak płaszczy się u jego stóp. Gdyby nie znała prawdy, pewnie pomyślałaby, że faktycznie chciał ją do tego zmusić. Oczywiście to było niemożliwe, a jednak...

Zwilżyła wargi. Lina kołysała się miarowo, błękitny peniuar zdawał się ważyć tonę. Pod spodem miała tylko nocną koszulę, teraz już mocno pobrudzoną. Różowa kokardka zwisała jej bezwładnie na szyi. Manifestując bunt, który był przejawem desperacji, zrzuciła szlafrok i szła dalej pod górę. Na czole lśniły krople potu, który spływał z jej twarzy aż między piersi. Oddychała ciężko, rozpalone płuca bolały przy każdym oddechu. Z każdym krokiem poranionych stóp cel wędrowki wydawał się oddalać jeszcze bardziej. Jednak wytrwale szła przed siebie.

Pozostali ludzie w milczeniu jechali z tyłu, spoglądając na nią ze współczuciem. To nie miało znaczenia. Najważniejsze było dotrzeć do końca wędrowki.

- Jeszcze tylko parę kroków.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że stoi tuż przy jego strzemieniu. Nie zdawała sobie sprawy, że już od pewnego czasu idzie, wspierając się o jego siodło. I dopiero teraz spostrzegła, że powróż gdzieś znikł, podobnie jak sznur, którym miała skrepowane dłonie. Koń szedł przed siebie, a wraz z nim Carly, ostrożnie stąpając krok za krokiem. I oto stanęła na płaskowyżu, z którego rozpościerał się widok na góry. *Llano Mirada*, płaskowyż z widokiem.

Znowu się potknęła. Don zatrzymał konia, lecz ona widziała już wszystko jak przez mgłę. Poczula jakąś rękę, która objęła ją w talii, po czym ziemia usunęła się jej spod nóg i Carly zapadła się w ciemność.

W okamgnieniu Ramon zeskoczył z konia, lecz to Sanchez trzymał dziewczynę na rękach.

- Odsuń się od niej, Ramon - rzekł cierpkim głosem, jakiego Hiszpan nie słyszał u niego od dzieciństwa. Poczucie winy odebrało mu jasność myślenia, poczuł spływający żal. Nigdy nie zachowywał się celowo okrutnie. Owszem, był twardym mężczyzną, ale tylko dlatego, że musiał. Spojrzał na kobietę, jej kasztanowe włosy zwisające teraz z ramienia Sancheza, pełne piersi, unoszące się z każdym szybkim oddechem. Żal stał się jeszcze bardziej dotkliwy.

Cofnął się i pozwolił mu przejść. Sanchez niósł dziewczynę, jakby była małym

dzieckiem.

Przypomniał sobie, że to jednak nie dziecko, lecz siostrzenica Fletchera Austina. Bogata i zepsuta, głodna władzy i bogactwa tak samo jak jej wuj. To przez nią zginął jego brat.

Spoglądał na nich ze ściśniętym sercem. Ona również była odważna i dumna, zasłużyła z jego strony na taki szacunek, jakim nie obdarzył jeszcze żadnej innej kobiety.

Lecz była tym, kim była. Jego odczucia nie zmieniły się. Mimo to...

Sanchez zaniósł ją do małego ceglanego domku, który razem z Andreasem zbudowali własnymi rękami. Gospodyni, Florentia, zamknęła za nimi drzwi. Po drugiej stronie osady *vaqueros* witali się ze swoimi bliskimi, rodzinami, przyjaciółmi. Ignacio i Santiago, którzy zostali ranni w czasie napadu, z pomocą kilku mężczyzn zsiadli z koni i po chwili znaleźli się w drugim domku, gdzie zajęły się nimi ich kobiety.

Najmłodszy *vaquero*, Ruiz Domingo, prowadził konia, na którym spoczywało ciało Andreeasa. Wici zostały już puszczone - z samego rana miał przybyć ojciec Xavier. Stojąca w ocienionym ganku Miranda Aguilar zamieniła kilka słów z Ruizem, potem spojrzała w kierunku Ramona. Była wysoka, pełna gracji, miała śniadą twarz pełną kuszącej urody. Była pół-Indianką z plemienia Miwoków, pół-Kastylijką, o gładkiej twarzy i połyskujących, czarnych włosach.

- Ramon - powiedziała. Wyciągnęła ku niemu dłoń. W pięknych, ciemnych oczach błyszczały łzy. Jej mąż jeździł z Murietą, zginął podczas napadu na grupę podróżnych dziesięć miesięcy po ostatniej styczności Joaquina z prawem.. - *Dios mio*, tak mi przykro. - Objęła go za szyję, opierając głowę na jego piersi.

Wiedział, że ona z nim pójdzie, przyjmie go w swoje miękkie, kobiece ciało, spróbuje złagodzić przenikliwy ból. I równie dobrze wiedział, że jej na to nie pozwoli.

- Wszystkim nam jest bardzo przykro, *querida*. - Uwolnił się z jej objęć. - Proszę... teraz pójdz razem z innymi.

- Ale chciałabym być z tobą. Nie odsyłaj mnie, Ramon.

Jeszcze bardziej się odsunął.

- Prosiłem, żebyś odeszła. I tego właśnie chcę.

Stała tam jeszcze przez chwilę, z uniesioną lekko głową. Czarne włosy opadały jej na plecach niemal do talii. Potem odwróciła się i odeszła. Wiedział, że będzie mu posłuszna. Nie tak jak Amerykanka, ta *gringa*. Lecz to właśnie o niej myślał, gdy w milczeniu szedł do lasu, oddalając się tam, gdzie mógł się pomodlić.

Rozdział 5

Miotając się między złością i żalem, Pedro Sanchez patrzył na mężczyznę, którego traktował jak własnego syna. Ramon de la Guerra stał przy grobie brata pod ogromnym dębem, trzymając w dłoniach kapelusz. Miał spuszczoną głowę i zamknięte oczy. Zbliżała się noc. Tego ranka ojciec Xavier odprawił krótką mszę za Andre-asa. Od tamtej pory Ramon już po raz trzeci wrócił do jego grobu.

Teraz ruszył z powrotem w kierunku ich małego osiedla. Musiał zejść do swojego domu, bo nie spał w nim nawet ostatniej nocy. Pedro zastanowił się, czy nie powinien odejść, uszanować jego żałobę, ale nie pozwoliła mu na to wezbrana złość. Poza tym instynkt podpowiadał, że być może Ramon potrzebuje jeszcze innego tematu do myślenia niż tylko śmierć brata.

Zacisnął zęby. Dobrze wiedział, jaki to będzie temat.

Podszedł do przyjaciela.

- Chcę z tobą porozmawiać, Ramon. Muszę ci coś powiedzieć.

Ramon podniósł głowę.

- O co chodzi, Pedro?

- O tę dziewczynę.

- Nie chcę o niej rozmawiać.

- Nie? Może masz rację. Może lepiej sam zobacz, do czego doprowadziłeś.

Poruszył się niepewnie.

- O czym ty mówisz?

- Chodź ze mną.

Pedro bez słowa zaprowadził go do domu. Weszli do środka, gdzie roznosił się aromat papryki, gotującej się w żelaznym kociołku zawieszonym nad paleniskiem. Słychać było odgłos rozklepywanej na okrągłe tortille masy z ciasta.

Florentia, niska, krępa, pięćdziesięcioletnia kobieta o czarnych włosach, odwróciła się na dźwięk zamykanych drzwi.

- *La comida* niedługo będzie gotowa, Don Ramon- zawołała. - Pora, abyś coś zjadł.

Ramon nie odezwał się, tylko szedł krok w krok za Sanchezem do sypialni, jedynej w tym domu. *Vaquero* otworzył drzwi i obaj weszli do środka.

Pedro spojrzał mu prosto w oczy.

- Oskarżałeś dziewczynę o śmierć Andreasa. Siebie również. Ona nie zrobiła nic takiego, czego każdy z nas by nie zrobił w podobnej sytuacji. A ty zrobiłeś tylko to, czego

chciał twój brat. Nie byłeś w stanie zapobiec żadnej z tych rzeczy.

Ramon milczał, spoglądając na skuloną na łóżku postać.

- Czas, abyś jej przebaczył. A co ważniejsze, czas, abyś wybaczył samemu sobie.

Leżała nieprzytomna, ze spoconą twarzą. Koce zrzuciła na podłogę, jej nocna koszula oplątywała nogi wokół kolan. Zauważył, że koszula jest czysta, musiała ją przebrać Florentia; zapewne pożyczyła od Mirandy lub jednej z Indianek. Nogi Carly były obmyte z brudu, lecz głębokie zadrapania pozostały. Zauważył duży siniak na twarzy dziewczyny. Od czasu do czasu poruszała powiekami, widocznie męczyły ją sny jeszcze bardziej koszmarnie od podróży, która doprowadziła ją do tego stanu.

Ramon poczuł suchość w ustach i pieczenie w płucach, jakby nawdychał się gorącego powietrza. Był blady, niemal tak blady jak dziewczyna.

- Jeśli szukasz pokuty, przyjacielu - powiedział cicho Pedro - to jest zbrodnia, za którą musisz zapłacić.

Ramon pochylił się, chwytając za poręcz starego, żelaznego łóżka. Skulona dziewczyna wyglądała niewinnie jak dziecko. Zwinięte w piastki dłonie wtuliła pod szyję, nieomal opierając łokcie o zgięte w kolanach, podkulone nogi. Ogniste, zmierzwione włosy ścieliły się we wszystkie strony wokół jej głowy.

Ramon poczuł ucisk w piersi, z każdą chwilą coraz bardziej dokuczliwy.

- *Madre de Dios*. Co ja zrobiłem?

Sanchez uspokoił się nieco i stanął tuż przy nim.

- Najważniejsze jest to, że jej los nie jest ci obojętny. Że znowu jasno myślisz. Razem z Florentią zajmijmy się dziewczyną. Kiedy jej stan się poprawi, będziesz mógł...

- Sam się nią zajmę. To moja wina. Wszystko moja wina. *Por Dios*. Nie mogę uwierzyć, że to stało się przeze mnie.

- Każdy popełnia błędy, przyjacielu. Nawet ty. Mądry człowiek potrafi się na nich uczyć.

Ramon tylko pokręcił głową.

- Mówiłem sobie, że ona jest winna temu, co się stało z Andreasem. Od początku wiedziałem, że to nieprawda, że wina leży wyłącznie po mojej stronie. To było złe. Niewybaczalne. - Zdjął grubą skórzaną kamizelkę i rzuciwszy ją na krzesło, przysiadł na brzegu łóżka. Dotknął rozpalonego czoła dziewczyny.

- Ma wysoką gorączkę - powiedział.

- *Si*. Florentia próbowała ją zbić, ale na razie bezskutecznie.

- Przynieś wodę i więcej czystych szmatek. Powiedz Mirandzie, aby poszła do wioski

po Indiankę. Niech weźmie ze sobą Ruiza i niech jak najszybciej wracają.

Pedro uśmiechnął się lekko.

- Dopilnuję tego, *patron*.

Ramon uniósł głowę na dźwięk tego słowa, rzadko używanego między przyjaciółmi. W oczach starego *vaquero* dostrzegł lekki błysk szacunku, a może aprobaty.

- *Gracias*, przyjacielu - odpowiedział cicho. Coś zawisło w powietrzu, bez słów obaj wiedzieli co do siebie nawzajem czują. Po chwili Sanchez skinął głową, wycofał się z pokoju i delikatnie zamknął drzwi.

Ramon siedział przy dziewczynie całą noc, ocierając jej czoło, ramiona, nogi i stopy. Chciał zdjąć z niej ubranie, aby obmyć całe jej ciało, ale nie chciał narażać jej na dodatkowe upokorzenia. Wiedział, że jest bardzo dumna. I duma ta ucierpiałaby niezmiernie, gdyby miała świadomość, że on widział ją nagą.

Gdyby nie czuł się tak źle, mógłby się uśmiechnąć. Nawet nie naruszając jej skromności wiedział, jak piękne ma ciało. Uwydatniało się wyraźnie pod nocną koszulą: wąska talia, zgrabne nogi i jędrne, bujne piersi. Miała krągłą, kobiecą pupę, smukłą, białą szyję, małe, kształtne dłonie i stopy.

Ujął w dłoń jej zmierzwione włosy o barwie cynamonu, które jeszcze niedawno lśniły jasno w promieniach słońca. Zmarszczył czoło. Tak jak ich właścicielka, teraz pozbawione były blasku. Umyte powrócą do dawnej urody. Przysiękł sobie, że gdy tylko jej stan poprawi się, sam tego dopilnuje.

Ocierając jej twarz, zatrzymał wilgotną szmatkę nieco dłużej na wysuszonych ustach. Przypomniał sobie imię dziewczyny: Caralee. Sama mówiła o sobie Carly. Ładne imię, kokieteryjne i pełne charakteru, tak jak ona. Obiecał sobie, że dziewczyna niedługo znowu będzie sobą.

Przez całą noc wierciła się, rzucała na łóżku, mówiła coś przez sen, budząc zatopionego w myślach Ramona, który siedział obok na krześle. Z początku jej słowa nie miały sensu, były chaotyczne, wywołane wysoką gorączką, lecz z czasem zaczęły tworzyć pełne zdania.

- Tatusiu? Czy to ty, tatusiu? Kocham cię, tatusiu.- Ścisnęła w małych piąstkach prześcieradło, łzy ciekły po jej policzkach. - Mamusiu, nie odchodź, proszę, nie zostawiaj mnie.

Odsunął z jej czoła wilgotne włosy.

- Nie jesteś sama, *niña* - powiedział takim samym językiem jak ona. - Odpoczywaj spokojnie.

- Nie zrobię tego - powiedziała nagle. - Nie zostawię jej. Ona jest chora, ona umiera. Nieważne, czy też to złapię, nie odejdę.

Pochylił się, nasłuchując. Zmarszczył czoło, nie mając pojęcia, o co jej chodzi. W tym momencie do pokoju wszedł Pedro.

- Ramon, nie spałeś całą noc. Teraz ja z nią posiedzę, a ty pośpij trochę.

- Ona mówi przez sen. Mówiłem do niej kilka razy po angielsku, ale to brzmiało zupełnie inaczej. Zawsze wysławiała się starannie, z wyrafinowaniem. A teraz brzmiało to jakby mówił typowy, niewykształcony *gringo*, jeden z tych, którzy przybywają do nas statkami w poszukiwaniu złota. Coś mi tu nie pasuje.

Pedro podszedł bliżej.

- Jak myślisz, o czym to świadczy?

- Nie wiem, ale się dowiem. - Nachylił się, aby znowu posłuchać, po czym znowu odwrócił twarz do przyjaciela. - Chcę, abys odszukał Alberta. Jego kuzynka, Candelaria, pracuje w hacjendzie na Rancho del Robles. Już kiedyś nam pomagała. Poproś go, aby się dowiedział, czy ona może rzucić jakieś światło na tę tajemnicę naszego gościa.

Pedro skinął głową.

- Tymczasem przyślę tu Florentię, aby popilnowała...

- Ja tu zostanę.

- Ale musisz odpocząć. Musisz...

- *Por favor*, Pedro, uczyni to, co mówię. Powiedz Albertowi, że chcielibyśmy jak najszybciej poznać prawdę.

Sanchez jedynie skinął głową. Sprzeczenie się było na nic, bo Ramon zamierzał zostać.

- Jak sobie życzysz.

Minęły cztery doby. Dla Ramona de la Guerra były to długie, pozbawione snu dni, lecz stan Carly jeszcze się pogorszył. Oddychała płytko i nieregularnie, jak jego brat tuż przed śmiercią. Czuł się tak, jakby ktoś przekręcał nóż, wbity w jego pierś.

Na drugi dzień przybyła Indianka. Nazywała się Trah-Ush-Nah, Błękitna Sójka. Kalifornijczycy zwracali się do niej Lena, imieniem z misji. Była szczupła, ciemnoskóra, miała długie, proste czarne włosy i grzywkę na czole, tak jak większość miejscowych Indianek, lecz rysy jej twarzy były bardziej miękkie, łagodne. Miała dopiero dwadzieścia kilka lat, była szamanką, co wynikało z rodzinnej tradycji.

Pracując, ignorowała go. W moździerzu rozdrobniła na proszek trochę suszonych liści cytryny, zagotowała je w kociołku i łyżeczką podała dziewczynie. Z kory brzozej

sporządziła herbatę i co kilka godzin zmuszała pacjentkę do jej picia. Smarowała pierś Carly maścią ze smalcu, sproszkowanej kalandrinii i prażonych nasion jaskra. Wachlarzem z orlich piór chłodziła jej pobladłą twarz. Ramona nie interesowało, co ona robi, byle tylko dziewczyna poczuła się lepiej.

Do czwartego dnia niemalże stracił już nadzieję. Indianka wróciła do wioski, twierdząc, że uczyniła wszystko, co było w jej mocy. Gdyby stan Carly nie poprawił się do następnego dnia, należało już tylko wezwać księdza.

Dochodziła druga w nocy, lecz na grubo ciosanym stoliku koło żelaznego łóżka wciąż paliła się lampa. Ramon nie mógł spać, mało jadł. Robiło mu się niedobrze na myśl, że na sumieniu ciążyłaby mu jeszcze jedna śmierć. Świadomość, że byłby odpowiedzialny za śmierć tak młodej kobiety wywoływała w nim okropny ból.

Madre de Dios, przecież nie chciał, aby to wszystko się stało. Gdyby tylko nie ogarnął go przemożny żal po śmierci brata. Gdyby tylko mógł normalnie myśleć, nie poddać się cierpieniu.

Gdyby tylko pozostawił ją w spokoju na Rancho del Robles.

Z ciężkim sercem, zmęczony Ramon pochylił się, opierając łokcie na kolanach. Splótł długie, ciemne palce, opuścił czoło na dłonie i zaczął się cicho modlić.

* * *

Ktoś ją cicho wołał. Ledwie słyszała wypowiedane szeptem słowa, które były pełne słodyczy i płaczu, a ich brzmienie niezwykle piękne. Lekko szorstki głos miał w sobie głębię i melodyjność. Wzywał Marię Dziewicę, Świętego Jana, niebiańskie anioły. Prosił, aby ta mała istota mogła żyć.

Zwilżyła suche wargi i poruszyła się, pobudzona pięknym głosem, zmysłowym rytmem wypowiedanych słów. Jakby przez mgłę zdała sobie sprawę, że to słowa hiszpańskie, poczuła pieszczotliwe fale przenikających ją wibracji. Coś w niej drgnęło, zapragnęła otworzyć oczy, zobaczyć skąd pochodzą te srebrzyste, liryczne frazy.

Słuchała głębokiego, męskiego głosu, który to żądał, to błagał, kojąco działając na jej wymęczoną duszę. Chciała ujrzeć kryjącą się za nim twarz, przekonać się, czy jest równie piękna.

Budząc się, otworzyła oczy. Tuż obok niej modlił się cicho czarnowłosy mężczyzna. Twarz miał dokładnie taką, jaką sobie wyobrażała: perfekcyjnie kształtne czarne brwi, wąski prosty nos, wysoko rzeźbione kości policzkowe, silną szczękę, zmysłowe usta. Pod

zaciśniętymi oczami biegły dwa rzędy gęstych, czarnych rzęs. Mężczyzna miał spuszczoną głowę, ciemne włosy opadały mu na czoło, policzki pokrywały strużki spływających łez.

- Nie płacz... - powiedziała tak samo cicho. - Jesteś... zbyt piękny, by płakać.

Gwałtownie podniósł głowę. Milczał chwilę, po czym z jego ust wyrwał się potok hiszpańskich słów, padających tak szybko, że nie była w stanie ich rozróżnić. Ale szeroki uśmiech na twarzy mężczyzny spowodował, że odpowiedziała mu tym samym.

- *Chica* - odezwał się łagodnie. - Nareszcie do nas wróciłaś.

Oczarowana ciepłem i siłą, jakie emanowały z jego twarzy, wpatrywała się weń dłuższą chwilę.

- Jestem... bardzo zmęczona - wyszeptała, oblizując wargi. - I głodna. Czy mogłabym dostać coś do jedzenia?

Wstał, wysoki, smukły, szeroki w ramionach.

- *Si*, oczywiście, że możesz. Sam tego dopilnuję. - Dotknął jej czoła i odetchnął z ulgą. Po chwili uściśnął jej dłoń. - Nie ruszaj się. Obiecuję, że zaraz wrócę.

Z uśmiechem na ustach schowała się pod pościelą. Cieszyła się, że ten mężczyzna się nią opiekuje. Że gdy się obudzi, on na pewno będzie miał ciepły posiłek, którym będzie mogła zaspokoić głód.

* * *

Zanim Ramon powrócił z miską ciepłego rosółu, Caralee McConnell znowu spała. Ale gorączka ustąpiła. Jego modlitwy zostały wysłuchane. Był już pewien, że dziewczyna przeżyje.

Doznana ulga sprawiła, że nagle poczuł ogarniające go zmęczenie. Postawił tacę zjedzeniem na stoliku, usadowił się wygodnie na krześle i pozwolił sobie na drzemkę. Obudził się dopiero, gdy Pedro zapukał w drzwi. Za oknami szarzał świt. W pokoju nadal panował nocny chłód. Ramon wstał z krzesła, rozprostował bolące mięśnie, następnie przyklęknął, aby podsyć przygasający ogień.

- Gorączka spadła - powiedział do wchodzącego przyjaciela. - Myślę, że ona wyzdrowieje.

Pedro przeżegnał się.

- Dzięki ci, Mario Dziewico.

- Ja już jej podziękowałem. - Ramon uśmiechnął się po raz pierwszy od tygodnia.

Pedro tylko westchnął.

- Mam wieści, Ramon.
- Od Alberta?
- *Si*. Obawiam się, że nie będziesz zadowolony.

Ramon zmarszczył czoło.

- Ostatnio mało co przynosi mi zadowolenie. Więc po prostu powiedz, o co chodzi.
- O dziewczynę... *Señorita McConnell* nie jest kobietą, za jaką ją uważałeś.
- Jak to?

- Kuzynka Alberta, *Candelaria*, pracowała jako jej osobista pokojówka. Mówi, że dziewczyna dostała od wuja ostrzeżenie, aby nigdy nie wspominać o swoim pochodzeniu, ale czuła się bardzo samotnie i zapewne potrzebowała przyjaciółki. Zaufała *Candelarii* i opowiedziała jej prawdę.

- Prawdę?
- *Si*.
- Więc jaka jest prawda?

- Dziewczyna nie jest bogata, tak jak sądziliśmy. Jej ojciec był biednym, niewykształconym górnikiem. Zmarł na płuca, gdy *señorita* miała ledwie dziesięć lat. Dziewczyna razem z matką brały do domu pranie, aby zarobić na chleb. Cztery miesiące później matka zmarła na cholere. *Señor Austin* jest bratem matki, jedynym żyjącym krewnym. Wysyłał jej pieniądze, potem załatwił szkołę z internatem, aby dziewczyna zdobyła wykształcenie i nauczyła się dobrych manier. *Candelaria* mówi, że ona chce odplacić wujowi za wszystko, co dla niej zrobił. Jest mu posłuszna, nawet jeśli się z nim nie zgadza. To on zabronił jej zatańczyć z tobą. Ostrzegł ją, aby w żaden sposób cię nie zachęcała. Podobno dziewczyna bardzo źle się czuła powodu tego, w jaki sposób cię potraktowała w dniu, gdy podarowałaś jej różę. *Candelaria* twierdzi, że dziewczyna z natury jest miła i przyjaźnie nastawiona do ludzi.

Ramon poczuł mocne ssanie w żołądku. Już nieraz w życiu popełniał błędy, ale ta omyłka była zdecydowanie największa.

- Bardzo źle ją oceniłem.
- *Si*, to prawda, ale przynajmniej teraz wiesz, jak jest. Zaczął chodzić wzdłuż łóżka.
- Wynagrodzę jej to. Znajdę jakiś sposób... przysięgam.

Leżąca poruszyła się. Ramon podszedł do niej w momencie, gdy otworzyła oczy.

- Ty! - wrzasnęła, w jednej sekundzie otrząsając się z resztek snu. Jej śliczna twarz nagle pobladła. - Co robisz w moim pokoju?

Pedro rozsądnie milczał i wycofał się z pomieszczenia.

Ramon uśmiechnął się lekko.

- Obawiam się, że to jest mój pokój, *chica*, a nie twój.

Jeszcze bardziej zbieła na twarzy, gdy pojęła prawdę. Zaczęła drżeć, w oczach pojawił się strach. Ramon zaklął w myślach.

- Nie bój się, *niña*. Nie skrzywdzę cię. Daję ci na to moje słowo.

- Twoje słowo? - Z trudem oparła się o wezgiel. - Jaką wartość ma słowo człowieka takiego jak ty?

- Większą niż myślisz - rzekł cicho - ale nie winię cię za to, że masz wątpliwości. Jednak teraz nie chcę, abyś czyniła sobie wyrzuty. Przeżyłaś długą i ciężką chorobę. Potrzebujesz czasu, aby wyzdobrzeć i nabrać sił. Odpoczywaj, malutka. Poproszę Florentię, aby przyniosła ci jedzenie.

Hiszpan wyszedł. Carly spoglądała za nim zdumiona. Drżąc z niepokoju i osłabienia, próbowała odtworzyć tę scenę, jaka właśnie rozegrała się z udziałem dona, ale obrazy były zamazane, nieostre. Jego dobroć nie mogła być realna. W nim nie było nic z dobroci. Może to wszystko tylko się jej wydawało.

Rozejrzała się po przytulnej sypialni, popatrzyła na kolorową kołdrę na żelaznym łóżku, ręcznie tkany dywan na polepie. Przy jednej ze ścian stał prosty dębowy stolik, podobny do stolika, który miała przy łóżku. Na nim zaś - wyszczerbiona porcelanowa miska i dzban z wodą.

Uspokoila rozedrgane serce, ucisk w żołądku także ustąpił. Próbowała zebrać myśli. Znajdowała się w sypialni dona, w jego małym ceglany domu pośród gór. Miejsce to nazywało się Liano Mirada. Została porwana z domu przez El Dragona, człowieka, który oskarżał ją o śmierć jego brata. Na samą myśl wzdygnęła się. Boże, co on zamierzał zrobić?

Mocniej zacisnęła dłonie na kołdrze. Od ilu dni tu przebywa? Powiedział, że przeżyła długą chorobę. Czula się słabo, więc musiała być w gorączce dłużej niż przez dwa dni. Spojrzała na białą, bawełnianą nocną koszulę, w którą była ubrana, większą od jej własnej koszuli, czystą, pachnącą ługowym mydłem. Do kogo należała? Dlaczego ją dostała? Kto się nią zajmował, dlaczego bezwzględny don w ogóle zadał sobie trud, aby się nią opiekować?

Nagle poczuła chłód i naciągnęła kołdrę aż pod brodę. Bez względu na to, jakie pobudki nim kierowały, musiała je poznać. Zamknęła oczy. W tej chwili niemalże żałowała, że się obudziła.

* * *

Ramon z lekkim już sercem wyszedł z domu, chociaż wiedział, że to odczucie nie potrwa długo. Teraz, gdy dziewczyna poczuła się lepiej, musiał powrócić do swojej hacjendy. I tak czekał już dłużej, niż powinien. Nie mógł sobie pozwolić na wzbudzanie podejrzeń, wywołanie wątpliwości, że być może ma coś wspólnego z El Dragonem.

Poza tym musiał się zatroszczyć o matkę i siostrę. Wysłano im wiadomość o śmierci Andreasa, na pewno więc były pogrążone w takim samym żalu jak on. Będą potrzebowały jego wsparcia, a i on potrzebował ich obecności. Na pewno pokrzepi je to, że padre Xavier odprawił mszę, a niedługo, gdy szum ucichnie i minie niebezpieczeństwo, ciało brata spocznie na rodzinnej ziemi, która dała ranczu Las Almas jego nazwę: Ranczo Dusz. Tam pochowano całe pokolenia członków rodziny de la Guerra. To była jedyna przyczyna, dla jakiej mała, pięćsetakrowa parcela pozostała ich własnością, gdy reszta ziemi została im odebrana.

Ukradziona, poprawił się. Przez *gringo*, Fletchera Austina, i jego bandę złodziei.

- Jedziesz do domu? - spytał Pedro, podchodząc do stojącego w cieniu wiaty Ramona, który siodłał chudego kasztanka. Viento, wierzchowiec El Dragona, pozostawał w Liano Mirada. Teraz będzie znał już tylko jednego jeźdźca.

Ramon stłumił w sobie chwilę słabości. Wyglądziwszy koc na końskim grzbiecie, umieścił na nim siodło, jakich zwykle używali *vaqueros*.

- Czas, abym pojechał do Las Almas. Wrócę, gdy tylko będzie bezpiecznie.

- Razem z Florentią zajmiemy się dziewczyną.

- Wiem. Na pewno dzięki waszej opiece do mojego powrotu będzie już w pełni sił. - Uśmiechnął się kącikiem ust. - Niecierpliwie się na samą myśl.

- Co z nią zrobisz, Ramon? Nie możesz jej puścić. Ona wie, kim jesteś i gdzie znajduje się nasze schronienie.

W szopie rozległy się czyjeś kroki. Odwrócili głowy.

- Może byś ją sprzedał. - Podszedł do nich Francisco Villegas, *vaquero* o twardym obliczu, który dołączył do nich ledwie kilka miesięcy wcześniej. - Podobno cena za ładną *gringa* jest bardzo wysoka po drugiej stronie granicy w Nogales.

Ramon zapiął popręg, zmuszając się do zdławienia furii, której sam u siebie nie oczekiwał.

- Dziewczyna zostaje tutaj. Należy do mnie. - Zabezpieczył końcówkę popręgu. - Wyraźnie to wszystkim powiedziałem.

Cisco Villegas uśmiechnął się pod gęstymi wąsami. Brakowało mu górnego kła, drugi miał ze złota.

- Miranda nie będzie tym zachwycona.

Ramon odwrócił się powoli, aby stanąć z nim twarzą w twarz. Jego cierpliwość właśnie się skończyła.

- Miranda to nie twoja sprawa. Ani ta *gringa*. Dobrze ci radzę, abyś to zapamiętał. - Spojrzał na niego twardo, ostrzegawczo. Cisco cofnął się o krok.

- *Si, don Ramon*. Cokolwiek powiesz. - Odwrócił się na pięcie i odszedł w cień, kierując się ku zagrodzie.

- Chyba go nie lubię - rzekł Pedro.

- Ani ja.

- To przyjaciel twojego kuzyna, Angela. Twój brat mu ufał.

- *Si*. Mam nadzieję, że właściwie ulokował swoje zaufanie.

- Będę miał na niego oko.

Ramon kiwnął głową. Wsunął koniowi do pyska ciężkie hiszpańskie wędzidło, po czym zebrał plecione cugle. Włożył but w skórzane *tapadero* i wskoczył na siodło.

- *Hasta la vista, compadre*.

Pedro uśmiechnął się, uwydatniając zmarszczki na zniszczonej twarzy.

- *Hasta la vista*, przyjacielu.

* * *

Siedząc okrakiem na łaciatym koniu, Fletcher Austin uniósł swój zakurzony, brązowy, filcowy kapelusz, aby ramieniem otrzeć pot z czoła.

- Są jakieś ślady? - spytał Cleve Andersa, swojego głównego dozorcę, smukłego mężczyznę o kręconych, brązowych włosach.

- Nic a nic. To samo co za każdym razem, gdy próbujemy ich ścigać. Zupełnie jakby się rozplynęli.

- Może Collins i Ramirez odzyskają stado - powiedział, chociaż nie miał wielkich nadziei. Dwa dni po napadzie banda rozdzieliła się. Konie pognano na północ, a większość ludzi podążyła w kierunku wschodnim. Fletcher uczynił to samo, wysyłając małą grupę pościgową na północ, podczas gdy główny trzon pogoni szedł śladem uciekinierów na wschód. Miał nadzieję, że pośród nich jest El Dragon.

Już niemal od tygodnia tropili bandytów. Austin był wyczerpany, obolały od siodła, podobnie jak jego ludzie. Jednak bardzo pragnął odzyskać konie. A jeszcze bardziej chciał dopaść El Dragona.

Drań porwał jego siostrzenicę. To już była sprawa osobista między nimi.

- Bardzo możliwe, że stado jest w drodze na złotodajne pola - odezwał się. - Jest tak duże zapotrzebowanie na mięso, że na szlakach pędzenia bydła panuje duży ruch. Collins i jego ludzie mają do nich co najmniej dzień straty. Jeśli bandyci okażą się sprytni, a jak dotąd tacy byli, zostaną na głównym szlaku, aż ich ślady zatrze kolejne stado, a potem zbroczą między wzgórz. Nie ma mowy, aby Collins ich odnalazł, chyba że dopisze im szczęście.

- A El Dragon?

Fletcher z trudem opanował gniew.

- On ma Carly. Nie spocznę, dopóki ona nie wróci. Tymczasem wrócimy do del Robles i przegrupujemy się. Dołączą do nas miejscowi ranczerzy, zrobimy większe zapasy, weźmiemy wypoczęte konie. I pozostanie nam mieć nadzieję, że coś się wydarzy. - Zacisnął mięsistą dłoń. - Przysięgam, że nie spocznę, póki ten drań nie zawiśnie na gałęzi dębu w Rancho del Robles.

Uśmiechnął się ponuro na tę myśl. Nie po raz pierwszy powiesiłby przestępcę. I zapewne nie po raz ostatni.

Rozdział 6

Florentia Nunez otworzyła ciężkie dębowe drzwi i weszła do sypialni. Na widok siedzącej na krześle Carly uśmiechnęła się.

- Czujesz się lepiej, prawda? - Przyniosła tacę z gorącą kawą i ciepłe tortille. Z jej pulchnych policzków emanowało ciepło.

- Tak, znacznie lepiej. Zastanawiałam się... chciałabym się ubrać. Może ktoś mógłby mi pożyczyć jakieś ubranie. - Od wyjazdu dona minął już tydzień. Przez ostatnie dwa dni Carly chodziła po domu, odzyskawszy większość sił, ale jeszcze nie wychodziła na dwór. Nie była pewna, czyby jej pozwolili.

- *Si*, oczywiście, *señorita*. - Gospodyni pokiwała głową, uwydatniając swoje liczne podbródki. - Już przygotowałam ubranie. Zaraz pójdę i przyniosę. - Postawiła tacę na stoliku, po czym wyszła z sypialni. Wróciła po kilku chwilach, niosąc długą, jasnożółtą spódnicę z bawełny i chłopską białą koszulę. Położyła je na łóżku wraz z parą skórzanych sandałów.

- Mam nadzieję, że będą pasować. Pożyczyłam to od Mirandy Aguilar, skróciłam trochę spódnicę i zebrałam ją w talii. A Pedro zrobił buty.

- Pani i señor Sanchez... oboje byliście bardzo mili. - Nie spodziewała się tego.

Oczekiwała złego traktowania. - Szczególnie w sytuacji, gdy jestem więźniem don Ramona.

Gruba kobieta uśmiechnęła się.

- Jesteś specjalnym gościem Don Ramona. Tak powiedział.

Specjalny gość. To było niemal śmieszne. Ciekawe, co ten ciemnowłosy diabeł zamierzał z nią zrobić po powrocie.

- Mimo to chcę wam podziękować. Opiekowaliście się mną, może nawet ocaliliście mi życie.

- Prawda jest inna. Głównie to zasługa dona. Ja dbałam o twoje osobiste potrzeby, ale Don Ramon posiał po Indiankę do wioski. I właśnie on...

Dalsze jej słowa przerwało pukanie do drzwi. Kobieta podeszła i otworzyła je, po czym gestem kazała wejść dwu chłopcom niosącym wiadra z gorącą wodą.

Carly aż westchnęła.

- *Gracias, señora Nuñez*. Nigdy nie widziałam nic piękniejszego.

- Jestem po prostu Florentia, jak już mówiłam. A miła, ciepła kąpiel dokona cudu.

Tak się stało. Umyła sobie nawet włosy. Teraz siedziała na łóżku, rozczesując je, gdy znowu ktoś zapukał w drzwi. Podniosła głowę, gdy do pokoju wkroczył don.

Poczuła ucisk w żołądku, lecz Hiszpan tylko się uśmiechał. Był to inny uśmiech, niż oczekiwała, taki sam jak wtedy, gdy się poznali. Poczuła nieprzyjemny dreszcz.

- Señorita McConnell - odezwał się. - Widzę, że czujesz się znacznie lepiej.

Spojrzała na jego przystojną twarz, czując, jak w środku coś ją skręca. Znała tę twarz, wiedziała, że może być zimna i twarda, jak ten wzrok może bezlitośnie drażnić. Przed oczami stanęły jej obrazy tamtej nocy, gdy została porwana, pełnej męczarni drogi przez góry. Wyobrażała sobie, co taki człowiek mógł z nią zrobić. Ogarnął ją strach. Don chyba to dostrzegł, bo przestał się uśmiechać.

- Przepraszam. Nie przyszedłem tu, aby cię przestraszyć. To co się wydarzyło... było pomyłką. I to wielką pomyłką. Tutaj nie przytrafi ci się nic złego. Mam nadzieję, że w to wierzysz.

Wstała. Była zła na siebie, że ujawniła mu swoją słabość, lecz jeszcze bardziej rozgniewał ją don.

- Niby dlaczego miałabym wierzyć w jakiegokolwiek słowo takiego człowieka jak ty?

- Bo to jest prawda.

Przypomniała sobie zimne noce, jakie spędziła w górach, pieszą wędrówkę przez wzgórza, do której ją zmusił. Strach jej nie opuszczał. Uniosła lekko podbródek.

- Nie wierzę ci. Jesteś podłym, godnym pogardy bandytą i zapewne także mordercą.

Jakiegokolwiek są powody, dla których się mną opiekowałeś, służą one realizacji twoich osobistych planów.

Nie spuszczał z niej wzroku.

- Na twoim miejscu czułbym się podobnie. Może z czasem zrozumiesz, że to nie tak.

Zastanowiła się przez moment. Nie wierzyła mu ani odrobinę.

- Jeśli to co mówisz jest prawdą, skąd ta nagła odmiana? Jestem wciąż tą samą kobietą. Kobietą, którą pogardzasz, którą obwiniasz za śmierć...

- Nie mów tak, bo to nieprawda. - Skóra na jego policzkach naprężyła się. Cała jego postać zeszywniała. - To moja wina - powiedział cicho. - Ja nie oskarżam innych o grzechy, które sam popełniam.

Miał w oczach coś, co widziała już kiedyś. Zasepienie przesłonięte bólem, lecz tym razem nie dostrzegła w nich gniewu. A wszystkie emocje były skierowane do wnętrza, w niego samego, nie w nią.

Carly wiedziała, co oznacza utrata ukochanej osoby. Złamane serce, puste miejsce, którego nigdy nic nie wypełni. Sama straciła rodzinę. Siostrę, ojca, matkę. Sama myśl wywoływała ból. Przyszło jej do głowy, że on może cierpieć w podobny sposób. Przez chwilę współczuła mu.

Zaraz jednak zdławiła to uczucie. Ktoś taki jak don nie zasługiwał na współczucie. Nawet by go nie chciał.

- Florentia twierdzi, że jestem twoim gościem. Jeśli tak, to bardzo dziękuję za gościnę, don Ramon, ale pragnę już zakończyć mój tutaj pobyt. W Rancho del Robles czeka mnie dużo pracy, poza tym wujna pewno bardzo się o mnie niepokoi.

Lekko uniósł kącik ust.

- Nigdy nie sprawiałaś na mnie wrażenia, że jesteś głupia, *chica*. Przecież wiesz, że nie mogę cię puścić.

Uśmiechnęła się ponuro.

- W takim razie na pewno wiesz, że nie jestem twoim gościem, lecz więźniem. To ogromna różnica.

- Tylko jeśli sama do tego doprowadzisz. - Oparł się szerokim barkiem o ścianę. - Możesz swobodnie poruszać się po osadzie. Jest tylko jedna droga na dół i dobrze jej pilnujemy. Nie trafiłabyś do domu, nawet gdyby udało ci się uciec.

Milczała.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Gdybym mógł, zmieniłbym to, *chica*. Niestety, teraz już za późno. Ale są tu dobrzy

ludzie, którzy będą dla ciebie mili, może nawet przyjaźni, jeśli sobie tego życzysz.

- Do kiedy? Jak długo zamierzasz trzymać mnie tu wbrew mej woli?

Pokręcił głową. Lśniące, czarne włosy ocierały się o kołnierzyk rozpiętej koszuli. Szyję miał smukłą, silną, zobaczyła też kręcone włoski na widocznym fragmencie jego piersi.

- Obawiam się, że nie wiem.

- Czy chodzi wam o pieniądze? Będziecie domagać się okupu? Jeśli tak, możecie stwierdzić, że nie jestem warta tak dużo, jak sądzą.

Oblicze Ramona złagodniało. Omiótł ją wzrokiem, w którym była namiastka współczucia. Poczula się odkryta, naga, jakby on mógł zajrzeć do jej wnętrza. To przeraziło ją jeszcze bardziej niż sama osoba dona.

- Nie chodzi o okup.

- Więc pozwól mi odejść. Jeśli chcesz, abym ci wierzyła, przyjmij też moje słowa. Jeśli wolno mi będzie odejść, nikomu nie powiem, kim jesteś, ani gdzie jest wasza kryjówka.

Zaśmiał się cicho.

- Wybacz, *señorita*, ale nie mogę tego zrobić. Nawet gdybym ja uwierzył ci na słowo, inni mieszkańcy osady nie byłiby do tego tacy skłonni.

Carly odwróciła się od niego, wściekła, wyprowadzona z równowagi. Nie ufała mu. Wiedziała, jakim jest zimnym i bezwzględny człowiekiem. Teraz jednak dostrzegła w nim coś innego, coś, co przypominało jej mężczyznę, od którego otrzymała różę.

- Jako twój gość- powiedziała cierpko - powinnam mieć czas dla siebie. Jeśli tak, wolałabym, abyś już wyszedł.

- Cokolwiek powiesz, *señorita*. - Na jego wargach pojawił się lekki uśmiech. - Możesz się zachowywać jak obrażona buntowniczką, skoro takie jest twoje życzenie. Ale możesz też spędzić czas, poznając mieszkańców tej ziemi, którą nazywasz swoim domem. Mogłbym ci pokazać wiele rzeczy, gdybyś mi pozwoliła.

Carly spojrzała na niego nieufnie. Dlaczego jest taki miły? Wiedziała, że to bezlitosny człowiek, nawet jeśli jeszcze raz próbował być czarujący.

- Chcę wrócić do domu, *señor El Dragon*. Takie jest moje życzenie. Im prędzej, tym lepiej. A tymczasem, jeśli, jak powiadasz, mogę swobodnie wychodzić z domu, chciałabym obejrzeć resztę mojego więzienia.

Wyprostowała się i przeszła przez sypialnię do miejsca, gdzie stał. Próbowała go ominąć, ale złapał ją za rękę.

- Tak jak powiedziałem, tu są dobrzy ludzie, ale są też tacy, którzy przyłączyli się do nas, bo ich potrzebujemy, a i oni mają z tego korzyść. Są twardzi i bezlitosni.

- Tacy jak ty - rzuciła zimno.

- Być może. Ale przy mnie będziesz bezpieczna. - Poprowadził ją do małego pomieszczenia, zwanego sala, gdzie stała sofa z wierzbowej wikliny i podobny fotel. Leżały na nich poduszki w jasnych kolorach, a podłogę pokrywał pleciony dywan.

- Wrócimy na kolację - powiedział do Florentii, gdy wyprowadzał Carly na ganek. Ramon de la Guerra wyglądał bardzo męsko w białej koszuli z długimi rękawami i dopasowanych bryczesach, rozszerzających się ku dołowi aż po czubki lśniących, czarnych butów. Nienawidziła go czy nie, był bezwzględny czy też czarujący - musiała przyznać, że był to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziała.

Poczuła ostrzegawczy dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Nie mogła go zignorować.

* * *

Ramon szedł obok niewysokiej Amerykanki, podziwiając, jak pięknie się prezentuje w prostym, chłopskim ubraniu. Tamtego dnia, gdy odbył się wyścig, również wyglądała cudownie w sukni o barwie zielonej mięty, lecz - o dziwo - dziś wydała mu się jeszcze piękniejsza. Może to zasługa długich, jedwabistych włosów, które były rozpuszczone i sięgały miedzianą falą aż do talii. A może to zasługa kuszących piersi, które poruszały się pod koszulą z każdym jej krokiem, a ich miękkie wypukłości widoczne były częściowo ponad linią dekoltu.

Patrząc, jak porusza biodrami, Ramon poczuł wzmożone napięcie w kroczu. Pociągała go ta kobieta. I to od chwili, gdy się poznali. A teraz jeszcze bardziej, gdy poznał jej ducha walki i odwagę. Gdy wiedział, że nie jest tą osobą, za którą wcześniej ją uważał.

Przynajmniej jeszcze nie.

Mimo wszystko to była *gringa*. Cokolwiek do niej czuł, wszystko sprowadzało się do pożądania, a teraz nie mógł jej w ten sposób traktować. Nie po tym, co zrobił.

Jednak mimowolnie podziwiał doskonale rysy jej twarzy, piękne kasztanowe brwi, zadarty nos, duże zielone oczy i pełne rubinowe usta. Chłonał wzrokiem jej słodkie, dojrzałe jak owoc piękno i wydało mu się niemożliwe, że mógł ją tak źle potraktować.

- Don Ramon! - Podszedł do nich uśmiechnięty Sanchez. - I señorita McConnell. - Spojrzał na jej małe stopy obute w sandały. - Cieszę się, że pasują.

- Są idealne. Dziękuję, señor Sanchez. Kiwnął głową i odwrócił się.

- Dobrze, że wróciłeś, Ramon.

- Nie mogę długo zostać. Tylko parę dni. Pomyślałem, że gdy tu jestem, mogę ją

trochę oprowadzić po naszej wiosce.

- *Bueno*. Świeże powietrze dobrze jej zrobi. Poza tym na pewno chętnie wyjdzie trochę z domu.

Ramon przytaknął.

- Wrócimy na kolację. - Odwrócił się od Sancheza, obdarzył Carly uśmiechem i wyciągnął do niej rękę. Tak jak przypuszczał, zignorowała go i po prostu ruszyła przed siebie.

Wioska nie była duża, składała się głównie z prowizorycznych domków, wzniesionych między piniami na szczycie wzgórza. Niektórzy mężczyźni mieszkali w pojedynczych namiotach. Dwaj Indianie - Jo-kuci - którzy towarzyszyli im w drodze, zbudowali sobie małe wiklinowe chatki na polance na skraju obozu. Była też centralnie położona zagroda i kilka przybudówek. Wzdłuż skraju osady płynął wartki potok, dostarczając mieszkańcom nie tylko wody, ale też pstrągów.

- Ilu ludzi tu mieszka? - Carly patrzyła na kobiety, które prały ubrania w strumieniu, i na dzieci grające w piłkę na środku placu. Zaskoczyło ją, że jest tu tak przyjemnie. Gdzieś tam widniały miejsca porośnięte trawą, proste, lecz dobrze utrzymane domy z cegły.

- Około trzydziestu pięciu osób - powiedział don, uśmiechając się do małej, najwyżej trzyletniej dziewczynki, która biegła w jego stronę. Podniósł ją wysoko muskularnymi rękami, pocałował w puciołowaty policzek, by po chwili przekazać zbliżającej się szybkim krokiem kobiecie.

- *Gracias, don Ramon*. Moja Celia zawsze gdzieś mi ucieka. - Kobieta miała nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, ładną twarz i łagodne, brązowe oczy. Po chwili spojrzała na Carly i obdarzyła ją niepewnym uśmiechem.

- Mario, to jest señorita McConnell - rzekł don. -Przez jakiś czas będzie naszym gościem.

Dziecko wyciągnęło do Carly małą rączkę i grubymi paluszkami pogładziło ją po gęstych, kasztanowych włosach. Odwzajemniła uśmiech.

- Carly - powiedziała do kobiety. - Nazywam się Carly.

- Miło cię poznać. - Uśmiechnęła się do dona, potem przytuliła dziecko do piersi i w milczeniu odeszła.

- Nie wiedziałam, że banici mieszkają z rodzinami - stwierdziła Carly. Próbowała zignorować ogarniające ją wzruszenie na widok serdeczności między donem i dzieckiem.

- Większość z nich to pozbawieni domostw *rancheros*, ludzie, którzy utracili swoją ziemię na rzecz *gingos*. *Vaqueros* i inni, którzy dla nich pracowali, także stracili dach nad

głową. Zastąpili ich tańsi robotnicy, Indianie, kupowani i sprzedawani przez Amerykanów. Są traktowani niemal jak niewolnicy.

- To niemożliwe. Przecież w Kalifornii niewolnictwo jest zakazane.

- Niemożliwe? Indianie zarabiają dziesięć dolarów na miesiąc, a i tak większość tej kwoty wraca do właściciela hacjendy w postaci opłaty za nocleg i jedzenie. Jeśli któryś Indianin zostanie złapany na włóczęgostwie, zostaje sprzedany temu, kto da najwięcej, a pieniądze zasilają rządową kasę. W moich oczach, *gringa*, to jest bardzo bliskie niewolnictwu.

Carly milczała. Widziała Indian pracujących na ranchu wuja, lecz nie miała pojęcia, jak mało im płacił. Zaniepokoiła ją myśl, że być może don mówi prawdę.

Tymczasem jej uwagę zwrócił dźwięczny odgłos metalu uderzającego o metal, dobiegający od strony dużej drewnianej szopy, zbudowanej na skraju osady. Na jednej ze ścian wisiały rzędami sierpy, szerokie motyki, młotki, piły, topory, klamry, wędzidła i heble. Z dachu zwisały dwa wielkie chomąta, zauważyła także kilka siodeł i innych elementów uprzęży. Podchodząc do szopy, don przedstawił jej Santiago Gutierrez, człowieka, którego zapamiętała jako jednego z uczestników napadu. Dziś pracował jako kowal, pochylony nad dużym kowadłem uderzał młotem, naprawiając sprzęgło wozu.

Podniósł głowę i przyjrzał się niepewnie Carly. Podobnie jak ona jemu.

- Widzę, że czujesz się lepiej. To dobrze.

Ukryła zdziwienie. Zainteresowanie stanem jej zdrowia było ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała.

- Tak... znacznie lepiej. Dziękuję. - W ogóle nie wyglądał na banitę, bardziej na ciężko pracującego człowieka. Miał spocone czoło, napinał mięśnie zajęty swoim zadaniem. Don spytał o jego żonę, Tomasinę, i dwójkę ich dzieci. Santiago powiedział, że wszyscy mają się dobrze.

Spostrzegła gruby bandaż na jego udzie i przypomniała sobie, że został ranny w czasie napadu. Już miała spytać, jak noga się goi, lecz w porę ugryzła się w język. Ten mężczyzna jest przestępcą. Przecież został ranny, kradnąc konie jej wuja. Nie wypadało troszczyć się o jego zdrowie.

Tymczasem don wyręczył ją, zadając właśnie to pytanie.

- Jak twoja rana? Zabliźnia się?

Gutierrez wyjął z paleniska rozgrzane do czerwoności żelazo i zanurzył je w kadzi z wodą. Buchnęła para.

- Tomasina wyjęła mi ołowianą kulę. Wszystko dobrze się goi.

- Cieszę się bardzo.

Kowal uśmiechnął się, po czym zaczął walić młotem w rozgrzane żelazo, zaś don pociągnął Carly dalej.

- Jak na banitę wydaje się zadziwiająco miły - rzekła. Hiszpan zaśmiał się, kręcąc głową.

- To zwykły człowiek. Walczy o odzyskanie tego, co mu zabrano. W naszym pojęciu nikt z nas nie jest banitą.

Oczywiście mogła się z nim spierać, lecz zrezygnowała.

- Dziwię się, że nie czuje do mnie nienawiści. Sądziłam, że takie jest podejście wszystkich waszych ludzi.

Wzruszył ramionami i spojrzał gdzieś w bok.

- Może i tak było... przez pewien czas. Kochali Andreasa... tak samo jak ja. - Znowu ujrzała ból na jego pociemniałej twarzy. Ale już po chwili znów był sobą.

- Więc dlaczego...

- Może czują, że skoro ja pogodziłem się z tym, co zrobiłaś, to i oni powinni uczynić to samo.

Uniosła podbródek.

- Skoro pogodziłeś się z tym, co zrobiłam! A ja nie mogę pogodzić się z tym, co ty zrobiłeś! – Chwyła w dłoń fałdy żółtej spódnicy i wyszła z szopy. Nie poszła jednak z powrotem do domu, gdyż spędziła w nim już zbyt dużo czasu. Ruszyła w stronę strumienia i powędrowała wzdłuż jego brzegu. Logika podpowiadała Carly, że nie powinna złościć dona. Była jego więźniarką, całkowicie zdaną na jego łaskę. A jednak nie okazał mu strachu, tak jak nie uczyniła tego do tej pory.

Dołączył do niej w zacisznym miejscu, gdzie na wodzie tworzyły się małe wiry. Siedziała samotnie, opuszczona, żałując, że nie może być znowu w Rancho del Robles. Chciało się jej płakać, lecz miała dość silnej woli, aby nad tym zapanować. Wyczuła jego obecność, jeszcze zanim go zobaczyła.

- Przepraszam - odezwał się cicho. - Nie to chciałem powiedzieć. Chodziło mi o to, że zdobyłaś poważanie tych ludzi. Jeśli tego zechcesz, zaakceptują cię jako swoją.

Miał głos tak miękki, a zarazem męski i piękny. Przypominał jej coś... kogoś... Próbowała sięgnąć pamięcią wstecz, jednak bezskutecznie. Wyprostowała się i podniosła na niego wzrok.

- Chcę wrócić do domu, don Ramon. Wiem, że to kłopotliwe, ale proszę, żebyś znalazł jakiś sposób.

Hiszpan milczał. Oboje wiedzieli, że nie mógł jej wypuścić. Lecz jak długo chciał ją więzić? I co z nią zrobi, gdy będzie miał już dosyć niechcianego gościa?

Ruszyli z powrotem do domu. Carly tłumila ogarniający ją niepokój, przez który aż bolał ją brzuch. Musi zachować opanowanie. Przynajmniej na razie jest bezpieczna. A w tym czasie wuj na pewno będzie jej szukał, zresztą może uda się jej uciec.

Z tą myślą rozglądała się po wiosce. Widziała mieszkańców przy codziennych zajęciach, lecz także wozy i konie, i różne przedmioty, które mogły jej posłużyć jako broń. Postanowiła, że będzie uważnie wszystko obserwować, aż dokładnie pozna całe miejsce i znajdzie to, co mogłoby się jej przydać.

Zagubiona w takich myślach, zdziwiła się, gdy minąwszy załom domu, ujrzała stojącą na ganku piękną, czarnowłosą kobietę. Była wysoka, smukła, miała niewielkie, sterczące piersi, wąską talię i kształtne biodra. Była elegancka, w najmniejszym stopniu nie chłopięca, egzotyczna, piękniejsza od wszystkich kobiet, jakie Carly kiedykolwiek widziała.

Była również rozgniewana. Patrzyła wściekłym wzrokiem, jej pierś unosiła się szybko i opadała z każdym oddechem.

- *Buenos tardes*, Miranda - powiedział uprzejmie don, lecz rysy jego twarzy nieco stężały. Najwyraźniej to spotkanie wcale go nie ucieszyło.

- Nie przedstawiś mnie tej kobiecie, którą sprowadziłeś do naszego obozu? - rzuciła jadownicę. - Kobiecie, która zabiła twojego brata.

W ciemnych oczach dona pojawiły się płomienie. Zesztywniał, napiął mięśnie, widać było, jak ogarnia go złość.

Carly już dobrze знаła tę reakcję dona. Cieszyła się, że tym razem to nie ona jest obiektem gniewu.

- Mówiłem ci, Mirando, że to nie jej wina. I dopóki nie powiem inaczej, jest naszym gościem. I tak będziesz ją traktować.

Dopóki nie powiem inaczej. Carly poczuła nieprzyjemny dreszcz strachu. Jak długo to będzie? Te słowa w połączeniu z nienawiścią, sączącą się z każdego pora ciała pięknej, ciemnowłosej kobiety, sprawiły, że poczuła mdłości.

- Jestem Miranda - powiedziała kobieta z pogroźką w głosie. W jej ognistych oczach ujrzała wyraźne ostrzeżenie. - Jestem kobietą don Ramona. Przyszłam tu, żebyś o tym wiedziała. Żeby nie było między nami nieporozumienia.

Stojąc u jego boku, Carly poczuła wzbierającą w niej irytację.

- I wzajemnie, *señorita*. Mam nadzieję, że ty również właściwie mnie zrozumiesz. Nie interesuje mnie twój El Dragon. Jeśli o mnie chodzi, jest on tylko bezwzględny bandyta.

Skoro sprawia ci przyjemność sypianie z nim, to twój problem. A ja pragnę jedynie wrócić do mojego domu.

Ramon odczuł gniew młodej kobiety niemalże tak mocno jak własny. Uniósł lekko kącik ust w niemym podziwieniu. Ignorując oboje, Carly minęła go i weszła do środka. Przypomniawszy sobie jej skromne pochodzenie i musiał przyznać, że wspaniale nauczyła się je ukrywać. Była równie dystygowana jak inne arystokratki, które dane mu było poznać, równie wyniosła i dumna co każda kobieta czysto hiszpańskiej krwi.

Na tę myśl poczuł się trochę nieswojo. Przecież to *gringa*. I nic tego nie zmieni. Podobnie jak nic nie zmieni częściowo indiańskiego pochodzenia Mirandy. Na szczęście do Mirandy miał uczucie. A do ślicznej Amerykanki mógł sobie pozwolić jedynie na sympatię.

* * *

Przy kolacji Carly siedziała obok dona. Po drugiej stronie dębowego stołu zajęli miejsca Pedro Sanchez i Florentia. Tak jak wcześniej, Hiszpan był czarujący i pełen uwagi, co ją zaniepokoiło. Milczała. Nie wiedziała, co zamierzał. Doskonale pamiętała, jakim potrafił być okrutnym człowiekiem.

Pod pretekstem bólu głowy wstała od stołu i poszła do sypialni, lecz nie mogła zasnąć. Jakie były jego motywy? Dlaczego zachowywał się tak uprzejmie, skoro wcześniej dał się poznać jako bezwzględny mężczyzna? Czy żałował tego, co zrobił? Nigdy tego nie powiedział, stwierdził tylko, że popełnił błąd. Może i próbował okazać skruchę, ale jakoś nie była w stanie mu uwierzyć.

A nawet gdyby, to niczego nie zmieniało. Nadal była jego więźniem, a on panem jej losu.

Leżąc na materacu, wpatrując się w ręcznie strugane belki sufitu, przypomniała sobie wściekłe spojrzenie, jakim obrzucił swoją kochankę, kobietę imieniem Miranda. Była piękna, o ciemnej karnacji, egzotyczna. Na pewno uwiedzenie Carly nie leżało w intencjach dona. Miał już kobietę, która ogrzewała jego łożo.

O dziwo, ta myśl poruszyła ją. Pewnie w tej chwili też był z Mirandą, całował ją, namiętnie się z nią kochał. Carly niewiele wiedziała o tych rzeczach, a do tej pory trwała w romantycznym wyobrażeniu o miłości. Miała nadzieję, że kiedyś wyjdzie za mąż, być może za mężczyznę tak pięknego jak don. I równie czarującego.

Ale nie tak okrutnego jak on.

W końcu zasnęła. Śniło się jej, że Hiszpan w czarnym stroju pędził przed siebie na

ogromnym karym koniu. Pochwycił ją w ramiona, wrzucił na siodło i popędził w las. Krzyczała i wrywała się, a on w końcu zatrzymał wierzchowca i zaniósł ją na porośniętą trawą pagórek i tam zaczął ją całować.

Przestała się opierać. Ciepło jego ust zupełnie ją obezwładniło. Miał jeszcze bardziej miękkie wargi, niż oczekiwała. Ramiona, którymi ją przyciskał do siebie, były twarde jak granit, nieustępliwe, lecz mimo to nie czuła bólu.

Przesunął dłońmi po jej ciele. W jego dotyku była jakaś władczość. Czegoś od niej chciał, czegoś więcej niż rzeczy, na które sobie do tej pory pozwolił. Wyczuła to żądanie w jego pocałunkach, ale nie wiedziała, o co mu chodzi.

Połowa Carly chciała z nim walczyć, uwolnić się z jego objęć, lecz ta druga połowa...

Obudziła się przestraszona. Miała rozpalone, wilgotne ciało. Cała drżała, jej sutki były nabrzmiałe, wrażliwe, tam gdzie ocierały się o pościel.

Wygramoliła się z łóżka i stanęła niepewnie na trzęsących się nogach. Nalała nieco wody do porcelanowej miski i zwilżyła ściereczkę, aby umyć sobie twarz. Z westchnieniem wróciła do łóżka, lecz znowu nie mogła zasnąć. Gdy w końcu zapadła w drzemkę, wydawało się, że minęło ledwie kilka minut, gdy za oknem zaczęło szarzeć, niebo pojaśniało za prostymi muślinowymi firanami. Wkrótce nadejdzie ranek. Ciekawe, czy don ją odwiedzi. Czy też zostanie z tamtą kobietą.

* * *

Miranda Aguilar przesunęła paznokciami po umięśnionym udzie Ramona. Leżąc obok niej na łóżku, poruszył się z pierwszym brzaskiem i przewrócił na plecy. Uśmiechnęła się na widok dużego twardego wzgóreczka, który wyrósł z gniazdka gęstych, czarnych kręconych włosów. Wyglądało to niezwykle kusząco na tle jego płaskiego brzucha.

Ostatniej nocy nie kochali się. Ramon był zbyt rozgniewany. Nie powinna była naskakiwać na tę kobietę. Ostrzegął ją przed tym, ale zlekceważyła go. Zrobiłaby wszystko, aby tylko tamta trzymała się z daleka.

Położył palce na nadgarstku Mirandy, powstrzymując ruchy jej dłoni.

- Nie będę tolerował twojego nieposłuszeństwa -rzekł ostrzegawczo, zupełnie jakby czytał w jej myślach. Wbił w nią spojrzenie ciemnych oczu. – Jeśli nie potraktujesz jej z szacunkiem, poniesiesz konsekwencje, które na pewno ci się nie spodobają. Uważaj więc.

Ściągnęła usta. Skłoniła głowę i pocałowała główkę penisa, który zaczął pulsować i drżeć.

- Przepraszam, że cię rozgniewałam.

- Tak jak powiedziałem, rozgniewam się jeszcze bardziej, jeśli zrobisz to ponownie.

Ramon miał dość porywczy temperament, lecz nigdy jej nie skrzywdził. Kiedyś, gdy tylko przybyła do Liano Mirada, Elena Torres, jego ówczesna kobieta, ukradła pieniądze jednemu z jego ludzi. Kiedy Ramon zażądał ich zwrotu, obrzuciła go przekleństwami i wyzwiskami. Zarzucił ją sobie na ramie, wyniósł do końskiego korytka i wrzucił do wody. Zasłużyła sobie na to, a ta kąpiel w niczym jej nie zaszkodziła. Po prostu ucierpiała tylko jej duma.

Nie, nigdy nie postępował okrutnie wobec kobiet. Z wyjątkiem tej *gringa*. Co jednak w niczym nie uspokoiło Mirandy.

- Nie bądź na mnie zły, Ramon - powiedziała zalotnie.

Przesunęła palcami po jego piersi, ujęła w usta miedzianej barwy sutek, drażniąc go językiem. Sięgnęła dłonią do erekcji Ramona, pieszcząc go, czując, jak twardnieje mu brzuch. Słyszała przyspieszone bicie jego serca. Uniosła się, aby go pocałować, lecz chwycił ją za ramiona i przewróciwszy na plecy, pod siebie, zaczął ssać jej piersi. Dłoń powędrowała ku jej kroczu. Była już mokra, gotowa. Rozsunął jej nogi i wszedł w nią głęboko.

Szybko doprowadził ją do orgazmu, chwilę potem sam doszedł. Leżał przez chwilę w milczeniu, patrząc na belki pod sufitem, wreszcie odwrócił się plecami do Mirandy.

- Jeszcze wcześniej - powiedziała łagodnie. - Słońce ledwie wstało. Czy ten jeden raz nie możesz zostać trochę dłużej?

- Nie dzisiaj - burknął. Chwycił płócienny ręcznik, który leżał obok miednicy, narzucił go sobie na ramiona, potem naciągnął czarne bryczesy, wreszcie wyszedł z chatki, kierując się w górę strumienia, gdzie na uboczu mężczyźni zwykle zażywali kąpiele.

Miranda westchnęła. Coraz bardziej oddalał się od niej. Wiedziała, że go traci, a jednak nic nie mogła na to poradzić. Pomyślała o tamtej pięknej Amerykance o ognistych, kasztanowych włosach.

Ramon potraktował ją źle, lecz żal pomieszał mu zmysły. Jednak Miranda niepokoiła się, gdyż taki czyn wymagał nie lada pasji. A ta pasja już zmieniła się z nienawiści w coś innego. Nie chciała, aby zaszła w nim kolejna zmiana.

Uderzyła drobną pięścią w wypchany pierzem materac. Obiektem jego pragnień była teraz ta piękna *gringa*. Widziała to w jego oczach za każdym razem, gdy spoglądał na tamtą.

Zastanowiła się, ile czasu minie, zanim ją posiadzie.

Zastanowiła się również, co mogłaby zrobić, aby go powstrzymać.

Rozdział 7

Ramon podszedł do Sancheza, który pracował przy koniach. Większość zwierząt pochodziła z nielicznych pozostałych dzikich stad. Pedro, Ignacio i Ruiz ujeżdżali je i układali pod siodło.

- *Buenos dias, amigo* - zawołał Ramon do przyjaciela. Mężczyzna podjechał gniadą klaczą do ogrodzenia z bali. *Vaqueros* jeździli głównie na rumakach, uważali, że klacze są dla kobiet i dzieci. Prawdziwy mężczyzna jeździ na prawdziwym wierzchowcu. Lecz tutaj, w górach, używali wszystkich dostępnych koni.

- Czy już zdecydowałeś, co zrobić z dziewczyną? - spytał Pedro.

- Niestety, jeszcze nie, przyjacielu. Spotkałem się z jej wujem, gdy byłem w dolinie. Wstąpiłem do Rancho del Robles, aby wyrazić współczucie z powodu porwania siostrzenicy i zaproponować pomoc w jej odszukaniu. Wyraziłem też ubolewanie, że nie było mnie w pobliżu, gdy zaczęły się kłopoty.

- No i?

- Powiedział, że przeczesał wzgórze, ale nie znaleźli ani śladu siostrzenicy czy El Dragona. Ma nadzieję, że nadejdzie wezwanie o zapłacenie okupu.

- No i?

- Odrzucił moją propozycję pomocy. Odnoszę wrażenie, że pomoc od rodowitego Kalifornijczyka jest ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuje.

- Na twoje szczęście - rzekł Pedro.

- *Si*, na moje szczęście. Cały tydzień jazdy w towarzystwie Fletchera Austina niezbyt by mi się przysłużył.

- Nie, skoro wolałbyś być tutaj z dziewczyną.

Ramon wzruszył ramionami.

- Mam wobec niej dług. Nie mogę jej wypuścić, ale są inne rzeczy, jakie mogę uczynić, aby jej to zrekompensować.

- Na przykład zabrać ją do łóżka?

- Nie bądź głupcem, Pedro - zjeżył się Ramon. - Nie zrobię niczego niehonorowego. Już dostatecznie mocno ją skrzywdziłem.

- Mam nadzieję, że z czasem będziesz o tym pamiętał.

Ramon nie odezwał się. Owszem, pragnął jej, lecz była niewinna, zaś małżeństwo nie wchodziło w rachubę. Gdy nadejdzie czas, poślubi czystej krwi Hiszpankę, tak jak sobie obiecywał przez ostatnie dziesięć lat.

Był to winien swoim ludziom, rodzinie. I samemu sobie.

Westchnął. Bardzo chciałby wiedzieć, co ma począć z Caralee McConnell, lecz nim podejmie decyzję, zrobi dokładnie tak, jak powiedział: postara się zrekompensować wyrządzoną jej krzywdę. Z tą myślą skierował się do małego, ceglanego domu.

* * *

Zmęczona po bezsennej nocy, Carly wstała z łóżka dokładnie w chwili, gdy do sypialni wpadła Florentia.

- Przyjechał don Ramon. Chce, abyś gdzieś z nim pojechała. Masz się pośpieszyć.

- Powiedz mu, niech idzie do diabła.

Florentia przeżegnała się.

- *Dios mio*, nie! Nie można tak się odzywać do dona.

Carly uniosła podbródek.

- Być może tobie nie wolno, aleja mogę. Zaraz się ubiorę.

Ramon czekał cierpliwie w pokoiku obok. Po kilku minutach pojawiła się Carly w żółtej spódnicy i białej chłopskiej koszuli. Włosy miała upięte z tyłu szylkretowymi grzebykami.

- *Buenos dias, señorita* - powiedział, wstając. - Ślicznie dziś wyglądasz.

- Wyglądam dokładnie tak samo jak wczoraj rano i każdego innego dnia, skoro to jest moje jedyne ubranie.

Uśmiechnął się mimowolnie.

- Zobaczę, co da się zrobić. A tymczasem, ponieważ czujesz się już silniejsza, pomyślałem sobie, że może chciałabyś odwiedzić wioskę Indian.

- Wydaje mi się, don Ramon, że chyba wyraziłam się niedostatecznie jasno. Wczoraj zgodziłam się odbyć z tobą spacer po osadzie. A poza tym nie zamierzam umartwiać się twoim towarzystwem więcej, niż jest to absolutnie konieczne.

Wzruszył ramionami, lekko rozbawiony. Lubił jej ducha walki. Chciałby być mężczyzną, który ją ujarzmi, ułoży.

- Szkoda, bo to bardzo ciekawe miejsce. A ta kobieta, Lena, zasługuje na twoje podziękowanie. Właśnie ona przybyła tu, gdy chorowałaś.

Pomyślała o tym, przyglądając się mu oczami barwy wiosennej trawy.

- Señor Sanchez jest dla mnie mity. Może on mnie tam zabierze.

- Obawiam się, że Pedro nie ma czasu. Pozostaję więc tylko ja. W wiosce można się

wiele nauczyć, wiele rzeczy, które pozwolą ci lepiej zrozumieć ten kraj. Ale... jeśli się boisz jechać ze mną, zawsze możesz zostać tutaj.

Jeszcze wyżej uniosła podbródek. Na jej uroczych policzkach pojawił się rumieniec.

- Nie boję się ciebie.

- Nie?

- Jeśli odmawiam, to tylko dlatego, że nie chcę mieć do czynienia z człowiekiem twojego pokroju.

Pojechałaby tam. Ale nie mogła pozwolić mu zatriumfować. Gotów był postawić ostatniego złotego reala. Po prostu stał i czekał.

- Dlaczego to robisz? Wtedy, gdy porwałeś mnie z hacjendy wuja, nie myślałeś o tym, żeby być dla mnie miły. Więc dlaczego teraz? Czego ode mnie chcesz?

Otaksował ją wzrokiem, by po chwili ponownie zatrzymać spojrzenie na rubinowych ustach Carly. Od razu wiedział, czego chce, czego pragnął przez cały czas.

- Nie chcę niczego więcej, *querida*, jak tylko zaciągnąć cię do mojego łóżka. Ale obiecuję ci, że do tego niedojdziesz. Jak mówiłem wcześniej, przy mnie będziesz bezpieczna.

Otworzyła szeroko zdumione oczy i oblizła wargi.

- Ja... nie wiem, co o tobie myśleć. Jednego dnia jesteś okrutny, następnego szarmancki. Dziś zachowujesz się jak łajdak. Może jednak boję się ciebie.

- Nie sądzę - rzekł miękko. - Być może trochę boisz się samej siebie, ale na pewno nie mnie.

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego, jakby chciała wdrzeć się w jego myśli. Ale on na to nie pozwolił.

- A więc, jedziesz ze mną, *señorita*?

- Może pojechałabym... gdybym umiała jeździć konno.

Z uśmiechem skinął głową.

- *Si*, zapomniałem. Powiedziałaś o tym w dniu wyścigu. Może dlatego wolałaś piechotą pokonać całą drogę do Liano Mirada.

Słyszając prowokację w jego głosie, nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Jesteś twardym człowiekiem, don Ramon, ale przynajmniej masz poczucie humoru.

- Tak jak ty, *señorita* McConnell. Co bardzo mnie cieszy. - Chwycił ją za rękę i ruszył do drzwi. - Wioska nie jest daleko. Pojedziesz ze mną. Jeśli chodzi o twoje umiejętności jeździeckie, jutro zaczniesz lekcje. Kiedyś wspominałaś, że lubisz konie. Jeśli chcesz pozostać w tym kraju, już dawno powinnaś była nauczyć się jeździć.

Musiała przyznać, że ta koncepcja trafiła jej do przekonania: umiejętność konnej jazdy

była konieczna, jeśli chciała stąd uciec. Chciała się nauczyć jeździć od przybycia do Rancho del Robles. Wuj obiecał, że wyznaczy jej nauczyciela, ale ten pomysł nigdy się nie urzeczywistnił.

Widziała, jak Hiszpan trzyma się w siodle. Nigdy nie widziała wspanialszego przykładu panowania nad koniem.

- Ruiz! - zawołał don, gdy doszli do zagrody. - Osiodłałeś Viento?

- *Si, don Ramon.* - Młody *vaquero* uśmiechnął się. - I łagodną klacz dla *señority*. - Był żyłasty, niższy od dona, lecz przystojny, o ładnej twarzy i mądrych oczach. W czasie drogi przez góry przynosił jej jedzenie i wodę. Być może znowu okaże jej pomoc.

Carly uśmiechnęła się do niego. Don zauważył to i zmarszczył czoło.

- Możesz rozsiodłać klacz - powiedział szorstko. - *Señorita McConnell* jeszcze nie jeździ konno. Jutro zaczniesz się uczyć. A teraz przyprowadź mi Viento.

Młodzieniec pobiegł, aby wypełnić rozkaz Hiszpana.

- Ruiz pracuje z Sanchezem i Ignaciem. Odpowiadają za konie, które trzymamy w naszej osadzie. Jest najmłodszym *vaquero*, co nie oznacza, że jest głupi.

Zarumieniła się na wspomnienie uśmiechu, którym go obdarzyła.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Ci ludzie są lojalni wobec mnie, *chica*. Żaden z nich ci nie pomoże.

Zesztywniała.

- Chłopak był miły dla mnie podczas wędrówki przez góry. O wiele bardziej niż ty. Jest przystojny, więc jeśli mam ochotę uśmiechnąć się do niego, będę to robić.

Oblicze dona pociemniało.

- Jesteś pod moją opieką, *señorita McConnell*. I tak pozostanie, dopóki będziesz się właściwie zachowywać. Uwodzenie jednego z moich *vaqueros* nie jest właściwym zachowaniem. Czy wyraziłem się jasno?

- Ależ ty masz tupet! Zapewne uważasz uwodzenie tej młodej kobiety, którą wczoraj poznałam, za „właściwe zachowanie”. Pewnie myślisz, że to jest w porządku.

Wzruszył szerokimi ramionami.

- Jestem mężczyzną. To zupełnie co innego. - Miał czelność uśmiechnąć się. Był to uśmiech tak czarujący, że aż ścisnęło ją w żołądku. - Ale cieszę się, że jesteś odrobinę zazdrosna.

Już otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, rzucić mu zjadliwą ripostę, lecz w tej chwili przyprowadzono na lonży czarnego wierzchowca, wypoczętego, podrzucającego miarowo piękny łeb. Carly cofnęła się niepewnie.

- Nie bój się. Viento rwie się do jazdy, ale nie zrobi ci krzywdy. - Bez wysiłku wsadził ją na siodło, po czym zgrabnie usadowił się za nią. Zadrżała, i to nie z zimna, gdy poczuła jego ramiona wokół swej talii tuż poniżej piersi, jego ciepły oddech koło ucha.

- Słońce stoi wysoko - odezwał się - ale może nie jesteś jeszcze w pełni zdrowa. - Nim zdążyła go powstrzymać, zawołał Ruiza, aby przyniósł dla niej z domu szal, który zarzucił na ramiona Carly.

- Lepiej?

Kiwnęła głową. Myślała tylko o śnie, jaki miała ostatniej nocy. O jeździe z donem na wielkim czarnym koniu, o jego ognistych pocałunkach, dotyku jego dłoni. Zastanawiała się, jak daleko jest do indiańskiej wioski i nagle pożałowała, że zgodziła się na tę wycieczkę.

* * *

Podróż okazała się jeszcze bardziej denerwująca, niż oczekiwała. Twarde, męskie uda przywierały do jej pośladków, mięśnie na piersi Hiszpana poruszały się kusząco, gdy prowadził konia. Wyjechali strzeżoną przełęczą, którą Carly przyjechała do osady, lecz nim dotarli na sam dół, don skręcił na inny szlak, w kierunku zwartego lasu.

Pod gęstwiną gałęzi nie potrafiła stwierdzić, w jakim kierunku jadą, gdyż słońce mieli pionowo nad głowami. Nagle zrozumiała, że on dokładnie tak to sobie zaplanował.

Przestała rozmyślać, gdzie się znajduje. Na chwilę oparła się o niego, lecz szybko wyprostowała plecy, aby nie dotykały jego umięśnionej piersi. Była wdzięczna, gdy zatrzymał konia na wyniosłości, z której rozpościerał się widok na wioskę.

Znajdowała się na polanie otoczonej piniami. Było tam kilkanaście kopulastych gliniano-wiklinowych chat, przeplatanych trzcina. Na jednym końcu stało większe domostwo, częściowo osadzone w ziemi. Don wyjaśnił, że Hiszpanie nazywali to *tamescal*, gdzie Indianie składowali także broń. Na drzewach wisały wysokie jak człowiek kosze, w których przechowywali żołądź i nasiona.

- To głównie Jokuci - powiedział Ramon, dając koniowi ostrogę. - Mieszkają na wschód od wielkiej centralnej doliny. Są też Miwokowie i Mutseni, zwani brzegowcami, bo niegdyś zamieszkiwali tereny nadmorskie.

- Dlaczego wszyscy mieszkają razem? Myślałam, że indiańskie plemiona żyją osobno.

- Zanim powstały misje, tak właśnie było. Większość z nich zajmowała obszar nie większy niż sto mil kwadratowych. Ich życie w większości legło w ruinie, gdy przybyli

misjonarze. Nie zrozum mnie źle. Ojczulkowie mieli dobre intencje. Wierzyli, że Indianie skorzystają na związku z Kościołem. Nauczą się, jak uprawiać ziemię, budować rancza, a ich dusze zostaną zbawione. Niestety nigdy nie przystosowali się do takiego życia. Byli też bardzo podatni na wszelkie choroby. Większość z nich umarła.

Poczuła żal.

- A oni?

- Kiedy system misyjny uległ likwidacji, Indianom przyznano ziemię, ale utracili ją. Łatwo dawali się oszukać. Nie wolno im było zeznawać w sądzie, więc nie mieli możliwości obrony. Poszli do pracy na ran-czach, ale teraz nawet to zajęcie nie pozwoli im zarobić na utrzymanie. Tak więc powrócili do dawnych sposobów życia. Różne plemiona połączyły się w niewielkie grupy, takie jak tutaj, zamieszkujące cały obszar gór.

- Kiedyś słyszałam, jak wuj o nich mówił. Że napadają na okoliczne rancza i mordują niewinnych ludzi.

Poczuła ruch mięśni dona, gdy wzruszył ramionami. I jakieś motylki zatrzepotały w jej żołądku.

- Są pełni goryczy - odparł. - Czasami rzeczywiście atakują. Tak jak cała nasza reszta, walczą o przeżycie.

Tak jak ja, pomyślała, lecz nie odezwała się więcej. Zjechali ze wzgórza i znaleźli się w samym środku wioski, lecz na spotkanie wyszła im tylko jedna stara kobieta i dwóch młodych mężczyzn, którzy nosili wąsy i brody, a także coś, co wyglądało na zbyt obszerną pieluchę z króliczego futra. Nosili plecione opaski, zaś kobieta luźną sukienkę na ramiączkach, która nie sięgała nawet kolan.

- Przez tysiące lat chodzili nago - rzekł don z nutką rozbawienia na widok jej zdumionej twarzy. – To szczątkowe ubranie, jakie teraz noszą, to pozostałość po działalności misjonarzy.

Pochylił się, pomagając Carly zsiąść z konia, po czym sam zgrabnie zeskoczył na ziemię.

- Gdzie jest Lena? - spytał przygarbioną staruszkę.. - Trah-Ush-Nah i pozostali?

Odpowiedziała łamanym hiszpańskim, którego nauczyła się w misji.

- Panuje straszna choroba. Już od ponad tygodnia. Zabija bez litości. Źle, że tu przyjechałeś.

Jego twarz stężała.

- Ospa wietrzna? - spytał.

Pokręciła głową.

- Zwą tę chorobę odrą. Zabrała już czterech starców. Chorują wszyscy mężczyźni i większość kobiet. Nie ma nikogo do opieki nad nimi i dziećmi.

- To już nie sezon na odrę. Nie pomyliłaś się?

- Widziałam tę chorobę w misji. Sama ją przeszłam.

Nieco się uspokoił.

- Wrócę do osady i sprawdzę, ilu z naszych ludzi ją przeszło. Przyślę do pomocy tylu, ilu się da.

Objął dłońmi Carly w talii, aby ją wsadzić na siodło, ale wywinęła mu się.

- Przesłam odrę w dzieciństwie. Mogę zostać i pomóc.

Coś błysnęło w głębi jego oczu.

- Opieka nad chorymi nie jest przyjemnym zadaniem, *chica*.

- Przywykłam do nieprzyjemnych rzeczy. Poza tym już kiedyś zajmowałam się chorymi.

- *Si* - powiedział cicho. - Tak właśnie myślałem.

Spojrzała na niego dziwnie. Skąd mógł wiedzieć, że opiekowała się matką i górnikami, którzy zapadli na cholere? To były okropne czasy, na samo ich wspomnienie robiło się jej niedobrze. Pracowała tak ciężko, że ledwie trzymała się na nogach, lecz mimo to nie była w stanie uratować matki. Zmarły cztery kobiety, dwóch mężczyzn i trójka dzieci. A ona została sama. Zmusiła się, aby o tym nie myśleć.

- Mimo wszystko, pozostawienie cię tutaj nie jest dobrym pomysłem - odezwał się. - Sama dopiero co wyszłaś z ciężkiej gorączki.

- Czuję się dobrze już nie od dzisiaj. I chcę zostać.

Przyglądał się jej pełnemu determinacji obliczu. Stała mocno na ziemi w lekkim rozkroku. W końcu ustąpił.

- *Esta bien*. Zostawię cię, ale musisz mi obiecać, że nie będziesz próbowała uciekać. Jedyne zablądziłabyś w lesie, a tam czyha wiele niebezpieczeństw: węże, pумы, wielkie niedźwiedzie grizzly, które atakują ludzi. - Ujął palcami jej podbródek. - Dajesz mi słowo?

Otworzyła szeroko oczy.

- A czy byś mi uwierzył?

Uśmiechnął się.

- *Si*, ale wiem, że jesteś wystarczająco inteligentna, aby rozumieć, że nieprzygotowana nie zajdziesz daleko. Poza tym, jak już mówiłem, twoje życie byłoby w ogromnym niebezpieczeństwie.

Wiedziała, że miał rację. Przez chwilę nawet wierzyła, że zaufały jej. I-o dziwo -

sprawiłoby jej to przyjemność, nawet gdyby brała pod uwagę możliwość ucieczki.

- Tak jak powiedziałeś, don Ramon, byłabym głupia, próbując ucieczki.

Pokiwał głową. Odniosła krótkotrwałe wrażenie, że wyczuł jej rozczarowanie, zrozumiał, co czuła. Złościło ją, że tak łatwo czyta w jej myślach. Odwróciła się od niego, całą uwagę skupiając na starej Indiance.

- Gdzie jest Lena? - spytała. - To ona uzdrawia, prawda?

- Chodź, pokażę ci.

Carly spojrzała na Ramona.

- Lepiej tu nie wracaj. Nikomu to nie pomoże, jeśli ty też zachorujesz.

Uśmiechnął się tym swoim niszczycielskim uśmiechem, który wywoływał u niej przyspieszone bicie serca.

- Ja również przeszedłem już odrę, *chica*. Zbiorę tyle zapasów, ile uda mi się zebrać i powrócę.

Patrzyła na niego. Czy bandyta pomagałby chorym Indianom? Nie była w stanie go zrozumieć. Bez słowa odwróciła się i poszła za przygarbioną staruszką do jednej z chatek.

Tuż za progiem szczupła kobieta klęczała na plecionej, trzcinowej macie, smarując jakąś pastą brzuch płaczącego dziecka. W jednym rogu stały kosze z ziarnem, korzeniami i suszonymi rybami, zaś na ziemi rozrzucono jelenie skóry, pełniące funkcję legowisk.

- Lena? - spytała Carly. Szczupła kobieta odwróciła się. Miała ładną twarz, błyszczące, wygięte łukowato brwi, kształtne policzki. Pod oczami widniały ciemne smugi, znamionujące zmęczenie.

- Ty jesteś kobietą Hiszpana z osady - powiedziała.

- Jestem kobietą, której pomogłaś w chorobie - poprawiła Carly, ignorując spływającą na niej falę gorąca. - Mam nadzieję, że teraz ja pomogę tobie. Powiedz tylko, co mogę zrobić.

Przez następne godziny pracowała u boku Leny, opiekując się mieszkańcami wioski. Łyżeczką podawała im życiodajne płyny, aby przeciwdziałać odwodnieniu, zaś zimną wodą ze strumienia, zasilanego resztką lodowej czapy wysoko w górach, chłodziła ich rozpalone czoła. Cierpieli na suchy, dotkliwy kaszel i piekącą wysypkę, która zaczynała się na linii włosów i obejmowała całe ciało.

Lena zrobiła napar z korzenia bukszpanu, aby uśmierzyć gorączkę, zaś Carly przystawiała czarki z gorzkim napojem do ust chorych. Pomogła Lenie przyrządzić gęsty syrop na kaszel z wysuszonych listków koniczyny, przygotowała też maść na wysypkę z trzylistnej psianki i smalcu.

Ramon powrócił z kocami i pożywieniem. Towarzyszyli mu Pedro Sanchez i trzy

kobiety: Tomasina Gutierrez, żona kowala, Florentia, gospodyni Ramona, a także piersiasta, otyła kobieta, która się nazywała Serafina Gomez. Wszyscy pracowali bez wytchnienia.

Podobnie jak don Ramon.

I tak do późnego wieczora. Kobiety karmiły chorych, mężczyźni pomagali ich podnosić, rąbali drewno, dokładali do ognia, zajmowali się końmi. Wcześniej wybrali się do lasu na polowanie, chwytając głównie króliki, które ugotowano w wielkich kotłach z cebulą i ziołami.

Niedługo po północy u boku Carly pojawił się Ramon.

- Dość się napracowałaś na dzisiaj. Odpocznij. Chodź ze mną. - Ujął ją za ramię, lecz odsunęła się i przyklękła obok chłopca, który leżał na wiklinowej macie. Wyglądał na nie więcej niż trzynaście lat, był wyrośnięty i chudy, lecz mimo choroby uśmiechał się.

- Jeszcze nie mogę odejść. Brat Leny, Shaw-Shuck, Dwa Sokoły, musi pić napar, aby zwalczyć gorączkę. Jest rozpalony...

Zabrał czarkę z jej drżącej dłoni.

- Ja się nim zajmę. - Odstawił naczynie na boki pomógł Carly podnieść się na nogi. - Musisz odpocząć... przynajmniej na jakiś czas.

- Ale...

- Obiecuję, że dopilnuję, aby pił napój. - Wyciągnął ją przez otwór drzwiowy na zewnątrz i przytrzymał, gdy osłabiona oparła się o niego. Od długotrwałego klęczenia miała obolałe, drżące nogi. Zaklął cicho, po czym wziął ją na ręce i ruszył na skraj wioski.

- Już mi lepiej, naprawdę. Postaw mnie na ziemi.

- Cicho. Rób, co mówię. Obejmij mnie za szyję. Nie powinienem był pozwolić ci zostać. Dopiero co sama wyzdrowiałaś po ciężkiej chorobie.

- Jestem po prostu zmęczona. Florentia i inni są tak samo zmęczeni jak ja. - Jednakże posłuchała go i objęła za szyję, gdy zdeterminowanym krokiem szedł przed siebie. Próbowwała nie zwracać uwagi na to, że ocierał się mięśniami ojej piersi, że ściegna na jego szyi stwardniały pod dotykiem jej dłoni.

Zatrzymał się na skraju lasu i przyklękął przed samotnie rosnącą pinia, której rozłożyste gałęzie tworzyły baldachim nad ich głowami. Tuż obok, w ciemności połyskiwały płomienie małego ogniska, a pod samym drzewem leżał rozwinięty wołok. Ramon delikatnie położył na nim Carly.

- Musisz się przespać. Nikomu nie pomożesz, jeśli sama zachorujesz.

- A inni?

- Pedro dopilnuje, aby mieli gdzie odpocząć.

- A ty? Też pracowałeś przez cały dzień. Jesteś zmęczony tak samo jak ja.

Uśmiechnął się, połyskując białymi zębami w słabym świetle ognia.

- Jak wspomniałem wcześniej, jestem mężczyzną. To co innego.

Może i tak było, ale nie uwierzyła mu. Był silniejszy, może miał w sobie więcej determinacji. Położyła się na posłaniu i po chwili przestała o tym myśleć, zamykając ciężkie powieki. Szybko zasnęła, lecz budziła się w ciągu nocy, wierciła, niepokojona wizjami matki, umierającej w męce na cholere w górniczym osiedlu. A potem coś ciepłego przytuliło się do niej, coś silnego, twardego, a wtedy wspomnienia ulotniły się i wreszcie zasnęła głębokim snem.

Gdy obudziła się rano, leżała w silnych, twardych ramionach dona.

Syknęła, czując paniczne kołatanie serca. Próbowwała poruszyć się, lecz włosy uwolniły się z warkocza i były przygniecione mocarnym barkiem śpiącego. Jedno z jego ud wdarło się między jej nogi, zaś Carly mocno opierała się pupą o jego krocze.

O Boże! Serce załomotało jeszcze szybciej, wyraźnie słyszała w uszach każde uderzenie. Czowała na szyi jego ciepły oddech, poruszający kosmykami jej włosów. Zaczęła się wić, aby wstać, nie budząc go, ignorując burzę w swoim żołądku i zmęczenie.

- Byłoby lepiej, *querida* - odezwał się cicho - gdybyś teraz nie poruszała się tak gwałtownie.

Zamarła. Dopiero teraz zauważyła, że jest podniecony, a ona ociera się pupą o jego pobudzoną, pulsującą męskość. Może była naiwna, ale w tym momencie nie miała wątpliwości, co to oznacza.

- Ja... jakim sposobem my... dlaczego jesteś...?

- Cicho. Nie ma powodu do obaw. Po prostu miałaś kłopoty z zaśnięciem. Zamknij oczy i śpij dalej. Już niedługo nadejdzie ranek.

Z trudem przełknęła ślinę, zaciskając mocno powieki, gdy przyjął nieco mniej poufałą pozycję, jednak cały czas obejmował ją ramionami. Próbowwała się uspokoić, opanować napięcie, jakie ogarnęło całe jej ciało, lecz o spaniu nie było mowy.

Nie w sytuacji, gdy ją obejmował, gdy jego piękne usta były tuż przy jej uchu.

Hiszpan westchnął i uwolnił Carly ze swych objęć, po czym odrzucił na bok koc i lekko stanął na nogi.

- Może i masz rację. Za kilka chwil słońce pojawi się nad horyzontem. Trzeba wziąć pod uwagę innych i czekającą nas pracę. Zaparzę kawę.

Odsunęła z twarzy splątane włosy.

- Dziękuję - wykrztusiła, ale miała tak sucho w ustach, że nie była pewna, czy ją

usłyszał.

Przez następne dwa dni i noce pracowali bez przerwy. Dwóch pacjentów Carly zmarło, lecz chłopiec, Dwa Sokoły, przeżył. Miał dwanaście lat, o czym dowiedziała się od Leny. Był przystojnym młodzieńcem o wydatnych kościach policzkowych i prostych, czarnych włosach. Wciąż się uśmiechał, a don polubił go tak samo jak Carly. Nigdy nie zapomni widoku wysokiego, pięknego Hiszpana klęczącego przy chłopcu, trzymającego na kolanach jego głowę, przystawiającego do jego spieczonych ust miseczkę z bulionem.

Co noc spała obok dona, nie tak blisko jak wtedy, ale wystarczyło wyciągnąć rękę, aby go dotknąć. Był tam każdego ranka, gdy się budziła, obserwował ją z miną opiekuna. Wczoraj wydał się jej podenerwowany, zachowywał coraz większy dystans. Ostatniej nocy dołączył do niej bardzo późno. Kiedy obudziła się rano, Hiszpana już nie było.

* * *

Ramon patrzył, jak dziewczyna idzie przez osadę do Leny. Miała bladą twarz, brudne, zmięte ubranie, zmierzwiłone włosy, lecz mimo to nie skarżyła się. Przez ostatnie trzy dni pracowała nieustannie, robiąc wszystko, o co ją poproszono, bez względu na to, jak bardzo to było nieprzyjemne. W niczym nie przypominała kobiety, za jaką kiedyś ją uważał - nie była samolubna, nieczuła, dbająca jedynie o pieniądze i luksusy.

Tym gorzej się czuł, że potraktował ją w tak haniebnym sposób.

I tym bardziej jej pragnął. Bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety od czasu Lily. A może nawet jeszcze mocniej.

Śpiąc przy niej pierwszej nocy, marzył o tym, by w nią wejść, zanurzyć się w jej miękkim, słodkim cieple. Chciał zapomnieć o tym, że jest odpowiedzialny za swoich ludzi, o przysiędze złożonej bratu, że Rancho del Robles powróci do rodziny de la Guerra.

Zamiast tego wyobrażał sobie, jak się z nią kocha, smakuje jej namiętność, pożądanie, które pomogłoby mu na jakiś czas zapomnieć.

Nie myślał o żałobie po Andreasie.

Ani o tym, co zrobi, gdy skończą się pieniądze uzyskane ze sprzedaży koni. Przynajmniej Martinez i reszta jego ludzi wrócili bezpiecznie do osady. Pieniądze za konie wystarczą na dość długo, lecz kiedyś ich zabraknie. Bez Andreasa dokonywanie napadów El Dragona będzie o wiele bardziej niebezpieczne. Nie potrwa długo, zanim ludzie skojarzą, że w momencie napadów nigdy nie ma go na ranczu, że to właśnie on ich dokonuje.

No i był jeszcze problem z dziewczyną. Nie mógł jej wypuścić, ale też zatrzymać, bo

prędzej czy później siła jego woli osłabnie i w końcu zaciągnie ją do łóżka.

Madre de Dios, nie wiedział, co począć.

Przezcesał dłonią swoje czarne włosy i opuścił na czoło kapelusz z szerokim rondem. Na pewno coś wymyśli. Musiał. Miał nadzieję, że uda mu się to już niebawem.

Rozdział 8

Don Ramon! - zawołała Lena, gdy wkroczył do wioski z Carly u boku. Tuż obok stały Florentia, Tomasina i Serafina, czekając aż Pedro przyjedzie po nie wozem i zabierze do domu.

- *Señorita* mówi, że musicie wracać - powiedziała Lena. Wyglądała na zmęczoną. Zresztą nie tylko ona. Miała zapadnięte policzki i wydawała się jeszcze chudsza niż w dniu, gdy tu przybyli.

- *Si*, na nas czas. Życiu waszych ludzi już nic nie grozi.

- Mogłabym wam dziękować, ale zwykle słowa nie zapłacą długu, jaki mają wobec was moi współmieszkańcy.

- Nie ma żadnego długu. Ty też mi pomogłaś, ocaliłaś życie *señority*. To więcej niż spłata.

Lena pokręciła głową. Czarna grzywka podskakiwała na jej czole.

- Biali ludzie od dawna pragnęli naszej śmierci. Ty jesteś inna. Nie zapomnimy tego. Idź z Bogiem, mała Wah-Suh-Wi.

Carly uśmiechnęła się.

- Dziękuję ci, Lena. Miej oko na Dwa Sokoły, dobrze?

- Nim nadejdzie pełnia, będzie już biegał jak jelen i swawolił.

Ramon uśmiechnął się do obu kobiet. Pracując razem, Lena i Carly stały się sobie bliskie. Dziewczyna zaprzyjaźniła się również z bratem Leny. Dwa Sokoły zdobył też sympatię Ramona. Za każdym razem, gdy przyjeżdżał do wioski, chłopiec wybiegał mu na spotkanie. Jego największym pragnieniem - jak twierdził - było zostać *vaquero*. Błagał Ramona, aby go nauczył, zabrał do Las Almas, gdzie mógłby osiąść umiejętności hiszpańskiego jeźdźca.

Jednak Ramon zawsze odmawiał.

Już teraz miał zbyt wiele gąb do wyżywienia i nie potrzebował jeszcze jednej. Jednak żał mu było chłopaka. Jego życie malowało się w czarnych barwach. Ale każdy *vaquero* po

mistrzowski jeździł konno. Miał swoją dumę, która pomoże mu przetrwać, a jeśli dopisze mu szczęście, może nawet znaleźć pracę.

Carly podniosła wzrok na Ramona, który wyciągnął do niej rękę.

- Jak ona do ciebie powiedziała? - spytał, prowadząc ją w kierunku wozu i pozostałych trzech kobiet.

- Wah-Suh-Wi. To indiańskie imię, które mi nadała.

- A co oznacza?

- Słoneczna. - Odwróciła wzrok, trochę zmieszana. - Mówi, że gdy się uśmiecham, to robi się tak jasno, jakby rozbłysło poranne słońce.

Poczuł w środku lekkie ukłucie.

- I to jest prawda - powiedział cicho. - Jesteś właśnie jak słońce.

Zarumieniła się, wygięła ślicznie usta. Spojrzała na czubki swoich sandałów.

- Oni chcą, abyśmy wrócili, Ramon. - Przeniosła wzrok na jego twarz. - Abyśmy wzięli udział we wspólnej uczcie. Chcą podziękować nam za pomoc.

- A ty chciałabyś tego, *chica*? - Lecz jej podekscytowana mina od razu powiedziała mu, że tak. Podobał mu się w niej ten głód życia, radość życia, jaką przejawiali także jego ziomkowie, a której często brakowało Amerykanom.

Gdy pojęła sens jego słów, uśmiech znikł z jej twarzy, w oczach zgasł cały entuzjazm.

- Najbardziej chciałabym wrócić do domu. Ale jeśli mnie nie wypuścisz, to wtedy, owszem, bardzo bym chciała.

Dotknął jej policzka, który był delikatny jak pierś gołębia, miał jasnoróżową barwę, przypominającą mu różę. Przypomniawszy sobie noc, gdy spała u jego boku, poczuł, jak cały sztywnieje, jak serce zaczyna uderzać coraz szybciej, jak rośnie w kroczu.

Odwrócił się, przeklinając w duchu i siebie, i ją.

- Jeśli takie jest twoje życzenie - powiedział bardziej szorstko, niż zamierzał - jakże mógłbym się nie zgodzić?

Nie odezwała się, lecz uśmiech gdzieś znikł, tak samo jak słońce na jej buzi. Spojrzała na Florentię, stojącą obok dwukołowego wózka, którym przyjechały kobiety.

- Wszyscy gotowi do drogi? - spytała.

- *Si, señorita McConnell*. - Kiwnęła na nią, aby dołączyła do reszty, podczas gdy Ramon ujął cugle i szybko wskoczył na grzbiet Viento. - Ja jestem bardzo gotowa. Już nie mogę się doczekać, kiedy spędzę noc we własnym łóżku.

- To dziwne, ale i ja cieszę się z naszego powrotu - rzekła Carly. - choćby dlatego, że będę mogła uprać to brudne ubranie. - Zaczęła się wspinać na wóz, odsuwając nieco na bok

ubrudzoną żółtą spódnicę. Tym samym nieświadomie odsłoniła łydkę. Ramon zacisnął mocniej zęby, czując, jak oblewa go kolejna fala gorąca. Podjechał bliżej. Pochyliwszy się, jednym ruchem objął ją w pół i posadził w siodle.

- Wózek jest przeciążony. Pojedziesz ze mną.

Zesztywniała, opierając się o niego, lecz nie zwracał na to uwagi. Uznał, że skoro chciała sprawić, aby pragnął jej o każdej godzinie dnia i nocy, to i ją powinien spotkać taki sam los.

- Nie lubisz jeździć na Viento? - szepnął jej do ucha, celowo dotykając ustami małego płotka.

Zesztywniała jeszcze bardziej, on także - w swoich obcisłych bryczesach. Przeklinał się w myślach, ale nie puścił jej.

- Bardzo lubię Viento. - Usiadła wygodniej. Cały czas przyciskał ją do swoich ud. - To ciebie czasami nie znoszę.

- Aha. Wobec tego muszę coś na to zaradzić. - Zawrócił konia i ruszył w kierunku kępy drzew.

- Dokąd jedziesz? Co ty... ? - Urwała, gdy przesunął rękę nieco w górę, niemalże dotykając jej piersi. Była zaokrąglona, pełna, tak kobieca, że zapragnął ukryć ją w swojej dłoni. Palce świerzbiły go, aby sprawdzić jej kształt, pobudzić sutek. Ciekaw był, czy będzie mały i twardy, czy też duży i okrągły, czy bardzo różowy. Aż jęknął. Gdy przyłożył usta do jej karku, smakując gładką, białą skórę, poczuł ogarniające go pożądanie.

- D...don Ramon? - powiedziała z wahaniem, którego dotąd nie było w głosie Carly. Usłyszał w jego barwie coś jeszcze, co rozpoznał bardzo dobrze, gdyż z każdą chwilą wdzierало się weń coraz mocniejsze pożądanie.

- *Si, Cara* - szepnął cicho. - Jestem tutaj. Czy nadal chcesz wiedzieć, czego pragnę? - Zatrzymał konia pod skalnym nawisem i odwrócił Carly do siebie. Miała szeroko otwarte oczy, czerwone policzki. Odchylił jej głowę do tyłu i przesunął palcem po miękkiej dolnej wardze, zbliżył się i wycisnął na jej ustach gorący pocałunek.

Aż podskoczyła. Zaczęła się szarpać, zaskoczona odwagą Hiszpana, pragnąca wyrwać się za wszelką cenę, lecz pożądliwe ciepło ust dona i fala gorąca, jaka przeniknęła jej ciało sprawiły, że chwyciła go za ramiona. Przyłgnęła piersiami do jego mocarnej piersi, czując w sobie coraz większy ogień. Językiem dotknął kącika jej ust, zachęcając, by je rozchyliła, wreszcie przejął nad nimi całkowitą władzę.

Zajęczała mimowolnie, czując jego ciepły, zwinny język, a także burzę w swoim żołądku. Ramię wokół jej talii było twarde, męskie, stanowcze. Boże! Wszystko dokładnie

tak, jak we śnie.

Nie, wcale nie tak, jak w jej śnie. Żaden sen nie mógł być taki.

Poruszyła się. Sutki miała już nabrzmiące od ocierania się o masywną pierś Hiszpana. Czowała jak delikatnie ugniatał je przez ubranie, wywołując jeszcze większe pobudzenie. Ujął w dłoń całą pierś, napawał się jej kształtem, uczył się go, potem przesunął dłoń i dotknął nie zakrytej wypukłości tuż ponad dekoltem Carly.

- Ramon - wyszeptała. - Proszę cię...

Z jego gardła wydobył się stłumiony jęk. Znowu ją pocałował, gorąco i namiętnie, po czym oderwał się od niej. Miał bardzo przyspieszony oddech, patrzył na nią tak pociemniałym wzrokiem, że jego oczy wydawały się niemalże czarne.

Oblizwała opuchnięte od pocałunków usta. Nie był w stanie powstrzymać drżenia, które ogarnęło jej ciało.

- Nie wiedziałam, że chciałeś... nie wolno ci było... powiedziałaś, że będę bezpieczna.

Zacisnął szczęki.

- *Si, querida*. Masz rację. Nie wolno mi było tego zrobić. To było głupie i niebezpieczne. - Odwrócił ją w siodle przed sobą i bez słowa ruszył w kierunku wozu, w którym jechały kobiety.

- *Señorita* przekonała mnie, abym pozwolił jej jechać z wami - stwierdził krótko. Pochyliwszy się, pomógł jej zeskoczyć na ziemię i natychmiast odwiódł konia o kilka kroków.

Wiedziała, że ma rozpalone policzki. Serce biło jej tak mocno, że pewnie wszyscy je słyszeli, ale wyprostowała się i podniosła głowę. Zdecydowanym krokiem podeszła do wozu i wspięła się do środka. Nikt się nie odezwał, a gniady koń zastrzygł uszami i ruszył w dalszą drogę, ciągnąc ciężki, drewniany pojazd wąskim szlakiem, służącym za drogę.

Carly także milczała. Lecz w jej wnętrzu wciąż szalała burza, a serce biło nierównym rytmem. Kiedy spojrzała na dona, uważając, aby tego nie zauważył, ujrzała ponurą, pociemniałą twarz, z której niczego nie mogła wyczytać.

Czyżby był zły? Jeśli tak, miała nadzieję, że złość szybko mu minie. Dopóki przebywała w Liano Mira-da, Ramon de la Guerra trzymał jej życie w swoich rękach. Mógł ją uwolnić, ale mógł też pozbawić ją życia.

Albo też mógł ją pojąć. Kiedy tylko chciał. Jak chciał i gdzie chciał. Kilka krótkich chwil wystarczyło, aby jej to uświadomił.

Poczuła dreszcz na plecach, tym razem zimny i nieprzyjemny. Nie zapomniała, że jest brutalny, że potrafi być bezlitosny i okrutny.

Nie zapomniała wrażenia, jakie odniosła, gdy ją pocałował.

Dobry Boże, gdyby poddała się namiętności, wuj nigdy by jej nie wybaczył. Nie byłaby już dziewczicą, a wuj Fletcher najadłby się wstydu. Mógłby ją nawet odesłać. A ona nie miała dokąd pójść, do kogo się zwrócić o pomoc. Nie mogła znieść myśli o kolejnych latach samotności, tęsknoty za własnym domem, a przynajmniej za kimś, komu by na niej zależało.

Jednak najbardziej tęskniła za powrotem na Rancho del Robles, gdzie znalazłaby bezpieczeństwo, za nowym życiem, które niedawno rozpoczęła.

Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak bardzo chciałaby uciec.

* * *

Pilnując, aby Carly nie odkryła drogi, Ramon poprowadził kobiety z powrotem do osady. Sanchez niewiele się odzywał, ale grymas niezadowolenia na jego twarzy był bardzo wymowny.

- Nie musisz nic mówić - rzekł do niego Ramon, gdy byli sami. - Chciałem tylko dać jej nauczkę, a tymczasem sam się czegoś nauczyłem.

- Tak? A czegoż to?

- Że gdy chodzi o tę *gringa*, nie mogę ufać samemu sobie. *Sangre de Christo*. Pedro, nie pamiętam, abym kiedyś tak bardzo pragnął kobiety.

Stary *vaquero* roześmiał się.

- Ta Amerykanka ma w sobie ogień, co? Jest piękna, odważna i silna. Gdybym miał o dwadzieścia lat mniej, sam bym się skusił. Musisz podjąć decyzję, co z nią zrobić, Ramon.

- Jeśli chcę zachować swoją wolność, nic nie mogę zrobić, a tylko dopilnować, aby tu pozostała.

- Może gdybyś jej wyjaśnił... powiedział całą prawdę... byłaby szansa, abyś na nią wpłynął.

Ramon tylko prychnął.

- To jest *gringa*. Nigdy nie stanie po stronie rdzennych Kalifornijczyków, nie postawi ich wyżej od swoich ziomków.

- Nie wiem, może masz rację. Ale w moim długim życiu widziałem już dziwniejsze rzeczy. Nauczyłem się, że prawda jest środkiem perswazji, który często potrafi przebić granice rasy i religii.

Ramon pokręcił głową. Sanchez chyba się starzeje. Czymś zupełnie niedorzecznym było przekonanie, że ta kobieta wysłucha go, że można jej zaufać, powierzyć wielką

tajemnicę.

Jednak ta myśl zaczęła go nachodzić coraz częściej. Następnego dnia wyjechał, aby powrócić do Rancho Las Almas. Postanowił trzymać się od dziewczyny z daleka. Lecz każdej nocy przypominał sobie, co czuł, całując Carly, wyobrażał sobie, jak się z nią namiętnie kocha. I każdego dnia wspominał słowa starego przyjaciela.

Gdyby tylko udało mu się ją przekonać, sprawić, by pojęła prawdę o swoim wuju, wtedy mógłby jej pozwolić wrócić na rancho. Wtedy problem zostałby rozwiązany, a on - prędzej czy później - zapomnieliby o dziewczynie.

Może powinien wrócić do osady i powiedzieć jej prawdę. Nie miał nic do stracenia.

Aż zadrżał na myśl, że mógłby stracić życie, gdyby okazał się aż takim głupcem i zaufał jej całkowicie.

* * *

Pomysł zjawił się znikąd, a może z kobiecych instynktów, które zawsze miała, lecz dopiero niedawno zaczęła je odkrywać.

Zadała sobie pytanie: kto w osadzie mógłby jej pomóc? Odpowiedź była jedna: nikt. Wszyscy byli lojalni wobec dona. A więc, kto mógłby zyskać, udzielającej pomocy w ucieczce? Teraz знаła już większość mieszkańców. Niektórzy byli najemnikami, jak dał jej do zrozumienia don, gdy tylko przybyli do osady. Przebywali tam skuszeni udziałami w łupach, lecz ona nie miała pieniędzy, aby im zapłacić, zaś obietnice niewiele były warte.

I wtedy tknęła ją ta myśl. Miranda.

Miranda Aguilar pragnęła wyjazdu Carly.

Już pierwszego dnia przyszła do domu Ramona, aby dać wyraźnie do zrozumienia, że jest jego kobietą. Nie uczyniłaby tego, gdyby nie uznała Carly za zagrożenie, Czy więc Miranda pomogłaby jej w ucieczce?

Carly nauczyła się trochę jeździć konno. Ale to nie don udzielał jej lekcji, bo wyjechał dzień po ich powrocie z wioski Indian. Zadanie to wzięli na siebie Ruiz i Sanchez. Obaj byli znakomitymi jeźdźcami i nauczycielami, cierpliwymi, a zarazem stanowczymi. Za punkt honoru przyjęli, aby umiała jeździć tak dobrze, jak hiszpańska szlachcianka.

Uczyli ją siedzieć okrakiem, lecz obiecali, że gdyby don Ramon znalazł boczne siodło, również pokazaliby jej, jak na nim jeździć. Bardzo tego chciała. Wiedziała, że wuj byłby zadowolony, gdyby umiała trzymać się na koniu jak modna dama.

Na razie wystarczyło jej, że umiała jeździć na tyle dobrze, aby uciec.

Oby tylko udało się przekonać Mirandę.

Tego ranka Carly ubrała się starannie, wyszczotkowała włosy, aż lśniły niczym miedziany ogień, po czym spięła je grzebykiem w taki sposób, że kusząco opadały na jedną stronę. Zsunęła ile się dało bluzkę, eksponując piersi, po czym zdecydowanym krokiem pomaszerowała do chatki Mirandy i lekko zapukała do drzwi.

Usłyszała kroki i po chwili drzwi otworzyły się. Na ganku stała ciemnowłosa kobieta. W jej oczach pojawiło się zaskoczenie, które szybko przeistoczyło się w jawną wrogość.

- Don Ramona tu nie ma - rzuciła, spoglądając na Carly z pogardą.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- *Buenos dias, Miranda*. Ładny dzień, prawda?

- Odejdź. Powiedziałam ci, że Ramona tu nie ma.

- Nie przyszedłem do Ramona - Carly celowo użyła jego imienia. - Przyszedłem do ciebie.

-Poco?

- Bo pomyślałam, że może mogłabyś coś dla mnie zrobić... w zamian za coś, co ja zrobiłabym dla ciebie.

Miranda patrzyła na nią zimno, wreszcie odrzuciła na plecy grzywę lśniących czarnych włosów i gestem zaprosiła Carly do środka. Domek był mały, składał się z dwu pomieszczeń, ale gliniana polepa była tak czysta, że sprawiała wrażenie wypolerowanej, zaś w oknie wisiały świeżo wyprane zasłony. Carly wyraźnie poczuła woń perfum gospodyni.

- Skąd ten pomysł, że jest coś, co mogłabyś dla mnie zrobić? - spytała Miranda.

Carly starała się nie myśleć, jaka to piękna kobieta, jaka zgrabna i pełna gracji, oraz że Ramon sypiał w jej łóżu. Skoncentrowała się na tym, by przekonać Mirandę, że Ramon woli nie ją, lecz Carly.

- Może nic takiego nie ma. Ale może wolałabyś, aby mnie tutaj nie było. Jeśli tak, mogłybyśmy zawrzeć pewną umowę.

Miranda powiodła wzrokiem po piersiach Carly, oceniając ich wielkość i kształt.

- Ramon chce, abyś tu została. Dlaczego miałabym przeciwstawić się jego woli?

Stały tuż obok rustykalnego stolika i krzeseł, lecz Miranda nie zaprosiła gościa do zajęcia miejsca.

- O to właśnie chodzi. Dlatego, że on chce, abym tu została. Albo po prostu on chce mnie.

- Nie chce ciebie, *puta*. Niby dlaczego? Ma przecież mnie.

- Skoro tak, to dlaczego mnie pocałował?

Miranda uniosła głowę. W jej ciemnych oczach pojawił się gniew, ale nie była zaskoczona. Wiedziała, że między nimi coś się wydarzyło. Pewnie kobiety jadące wozem z indiańskiej wioski wszystkiego się domyśliły. Może nawet wiedziały, że z tego powodu don opuścił osadę.

- Ramon jest mężczyzną - odparła Miranda. - A mężczyzna pragnie mieć każdą kobietę, która ma ochotę go zadowolić.

Carly z uśmiechem wzruszyła ramionami. Odwróciła się do drzwi, jakby zamierzała już wyjść.

- Skoro więc nie masz nic przeciwko temu, aby się nim podzielić...

- Gdybyś odjechała, Ramon nie byłby bezpieczny. Zdradziłabyś go władzom.

Carly spojrzała na nią, opierając dłonie na stoliku.

- Nie zrobiłabym tego, gdybyśmy doszły do porozumienia. Daj słowo, że pomożesz mi uciec, a ja obiecuję, że nie oddam Ramona w ręce sprawiedliwości.

- Jesteś *gringa*. Jak mam ci zaufać?

- A ty jesteś kobietą *dona*. Jak ja mam zaufać tobie? Mogłabyś posłać mnie w złym kierunku. Mogłabyś kazać komuś zacząć się na mnie po drodze i ukatrupić. Musimy sobie zaufać, jeśli ma się nam udać.

Miranda przygryzła wargę, zaś przepelnione nadzieją serce Carly zaczęło mocniej bić. Czy tamta dotrzymałaby słowa? Niebezpieczeństwa, o których wspomniała Carly, były bardzo realne. Musi wykazać się ostrożnością, znaleźć jakiś sposób, aby się zabezpieczyć, gdy tylko uda jej się opuścić osadę.

Powiedziałyby wszystko, aby tylko uciec. Nie chciała się zastanawiać, czy dotrzymałaby przysięgi milczenia, gdy dojedzie do domu.

- Dam ci znać wieczorem - rzekła Miranda. - Zostaw otwarte okno. O północy ci powiem, co zdecydowałam.

Carly opuściła domek, czując po raz pierwszy, że być może otwiera się przed nią mała szansa. Kobieta wyraźnie gardziła nią, ale raczej nie była w stanie popełnić morderstwa. Może wysłać ją w złym kierunku z nadzieją, że Carly zginie w górach, lecz najpewniej po prostu w ogóle odmówi jakiegokolwiek pomocy.

Miranda bała się o Ramona. I miała rację. Carly pomyślała, że gdyby była jego kobietą, uczyniłaby wszystko, aby go chronić. Ale z drugiej strony, gdyby naprawdę należał tylko do niej, zrobiłaby co w jej mocy, aby nie rzucił jej dla innej.

Ta myśl nie dawała jej spokoju. Ramon de la Guerra był banitą, może nawet mordercą, jak twierdził jej wuj. Przecież będzie musiała go zdradzić. Perspektywa złamania obietnicy

wprawiała ją w zakłopotanie.

Udając ból głowy, zjadła kolację w towarzystwie Pedra i Florentii, po czym wcześniej udała się do sypialni. Coraz bardziej denerwowała się, przemierzając tam i z powrotem niewielki pokój. O północy, tak jak zapowiedziała Miranda, za oknem rozległy się ciche, kobiece kroki.

- Señorita McConnell?

- Jestem. - Stała przy portalu, ale nie rozsunęła cienkich, muślinowych firan.

-Jutro o świcie wyrusza wóz po zapasy do San Juan Bautista. Powozić będzie Francisco Villegas. Dla odrobiny złota zrobi wszystko. Zapłaciłam mu, aby zawiózł cię na dół. Kiedy zbliży się do rancza twojego wuja, pokaże ci, którędy masz dalej iść.

Carly zamknęła oczy, czując ogarniające ją podniecenie.

- Rozumiem.

- Musisz znaleźć się w wozie jeszcze przed świtem. Ja będę siedziała niedaleko.

- Przyjdę.

- Obiecujesz mi, że Ramon będzie bezpieczny?

Carly nabrała dużo powietrza, aby się uspokoić.

- Tak, obiecuję.

- Jeśli kłamiesz, jeśli komukolwiek powiesz, że ci pomogłam, przysięgam, że cię zabiję. Słyszysz?

Oblizła wargi.

- Tak, słyszę.

Znowu za oknem rozległ się odgłos kruszonego żwiru. Miranda odeszła. Carly odetchnęła z ulgą. Nie wiedziała, co się stanie, co zrobi, gdy opuści osadę, zamierzała jednak się o tym przekonać.

Mijały godziny. Z koców zwinęła prowizoryczny tobołek, spakowała do środka szal, który kiedyś dał jej don, a także drugą spódnicę i bluzkę od Florentii oraz częściowo wypaloną łożową świecę. Półmetrowej długości świecznik był wykonany z kutego żelaza. Mógł się nadać jako broń. Przez ostatnie dwa dni gromadziła zapasy jedzenia, które owinęła płócienną ścierką na stoliku obok dzbanka z wodą i dołożyła do reszty rzeczy.

Splatając włosy w pojedynczy warkocz, związała je kawałkiem sznurka i położyła się do łóżka. Jednak nie mogła zasnąć. Wierciła się, przewracała z boku na bok, patrzyła w sufit i modliła się, aby wszystko się udało.

O czwartej w nocy zrezygnowała. Napisała wiadomość do Florentii, aby nie robiła

śniadania, bo poszła z kobietami wykąpać się i uprać ubranie w strumieniu. Zamierzała zjeść coś później z Tomasina.

Wszystko to miało opóźnić pościg.

Było zimniej, niż oczekiwała. Wyjęła więc szal, narzuciła go na ramiona, potem włożyła sandały i wyskoczyła przez okno z tobołkiem w rękach.

W pobliżu wozu nie było nikogo. Wspięła się do środka i naciągnęła na głowę kawałek brezentu. Każda minuta ciągnęła się w nieskończoność, mijały nerwowe chwile. W końcu usłyszała głosy i brzęczenie uprzęży, gdy wprzęgano konie. Potem wóz zaskrzypiał pod ciężarem mężczyzny, który usiadł na kozle. Jak wspomniała Miranda, był to Francisco Villegas.

Na dworze wciąż panował chłód, lecz między piersiami Carly spłynęła struzka potu. Miała wilgotne dłonie, serce waliło jak oszalałe. Gdy wóz nabrał szybkości, wyjęła z tobołka żelazny świecznik, który ukryła pod rzeczami. Potem czekała, ignorując ból poobijanego od jazdy po nierównym terenie ciała.

Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że wóz wcale nie skręcił w kierunku wjazdu do osady, ale potoczył się w innym kierunku. Tknęła ją także myśl, że wóz nie mógłby pokonać stromego zjazdu szlakiem, którym za pierwszym razem szła pod górę.

A więc musiała istnieć inna droga do Liano Mira-da. Don Ramon okłamał ją.

Nabrała pewności, że dobrze robi uciekając. Nie mogła ufać Ramonowi de la Guerra, bez względu na to, jak miłego udawał. Już raz mu zaufała i skończyła jako jego więzień. Obiecał, że nie będzie narażona na jego zaloty, a potem pocałował ją jak dzikus, dotykał jej piersi, a może i chciał pozwolić sobie na coś więcej. A więc ucieczka była jedynym wyjściem.

Brezent zaszeleścił i uniósł się od strony kozła.

- Leż i nie odzywaj się - powiedział szorstki głos.- Na trasie są strażnicy. Nie mogą cię zobaczyć.

Skinęła głową i brezent opadł, lecz przed oczami Carly pozostał obraz dużego, krzepkiego mężczyzny ze złotym zębem.

Znowu ogarnął ją strach, którego nie była w stanie opanować.

* * *

Z zatroskaną miną Pedro Sanchez zaciągnął mocno popręg siodła i wskoczył na grzbiet swojego siwka. W drzwiach przybudówki stała Florentia, załamując ręce.

- Dokąd ona mogła pójść? - spytała. - Żaden ze strażników jej nie widział. - Była już niemal dziesiąta. Poszukiwania zaczęli o dziewiątej, gdy gospodyni spostrzegła, jak Tomasina idzie w kierunku strumienia, żeby zrobić pranie. Ani ona, ani żadna z kobiet nie widziały Carly.

- Mogła oddalić się tylko w jeden sposób - rzekł ponuro Pedro. - Na wozie z Cisco Villegasem. Ostatnio nie mógł usiedzieć na miejscu, był żądny łupów, chciał też wydać pieniądze, które uzyskał ze sprzedaży koni.

Florentia przeżegnała się.

- *Madre de Dios*. Cisco jest najgorszy z nich wszystkich. Bezpieczniej by jej było ze stadem pum.

Uwagę Pedra przykuł jakiś ruch koło zagrody. Kiedy podniósł głowę, zobaczył Ramona de la Guerra, jadącego na dużym, gniadym koniu.

Odczuł ulgę, a zarazem żal, bo nie udało mu się zapewnić bezpieczeństwa małej *gringa*.

- Cieszę się, że cię widzę, don Ramon.

- Co się stało, Pedro? Widzę po twojej twarzy, że coś jest nie tak.

Zapytany westchnął ciężko.

- Dziewczyna znikła. Mógł ją zabrać ze sobą jedynie Villegas. - Ramon aż pobladł. - Ruiz i ja ruszamy w pościg. Przepraszam, przyjacielu, że sprawiłem ci zawód, ale dopilnuję, aby wróciła.

Ramon przez chwilę milczał, na jego twarzy pojawiła się złość.

- To nie twoja wina. Sam chciałem, aby miała trochę wolności. Nie mogłeś wiedzieć, że Villegas zechce to wykorzystać. - Strącił z głowy kapelusz, który spoczął na jego plecach, trzymając się na cienkim pasku zapiętym wokół szyi. Przeczesał dłonią falujące, czarne włosy. - Ten drań zechce ją sprzedać. Kiedy odjechali?

- Miał dziś jechać po zapasy. Wyruszył wozem o świcie.

Ramon zeskoczył na ziemię, podał cugle Ruizowi Domingo, który właśnie do nich podszedł, aby towarzyszyć Sanchezowi w wyprawie pościgowej.

- Osiodłaj Viento - rozkazał mu Ramon. - Pośpiesz się.

- *Si, don Ramon*.

- Macie zapasy w sakwach? - spytał Sancheza.

- Si, wystarczy na trzy dni.

- Zabiorę je.

- Poproszę Florentię, żeby przyniosła więcej, jeśli pojedziesz z nami.

- Pojadę sam. W ten sposób będzie szybciej. Poza tym to sprawa między mną a Villegasem.

Pedro chciał zaprotestować, przypomnieć mu, jak niebezpiecznym człowiekiem jest Cisco, ale nie odezwał się. Tylko raz widział na twarzy dona takie nieprzejednanie - tamtej nocy, gdy zginął jego brat. Gdy porwał dziewczynę.

- Potrzebna mi będzie moja broń - rzekł Ramon.

- Przyniosę. - Zanim Pedro wrócił do zagrody, Viento był już osiodłany i gotowy do drogi. Za siodłem miał przywiązaną wołokową derkę, po bokach sakwy z zapasami oraz pochwę z ciężką strzelbą.

Wziąwszy od Pedra pas z coltami, Ramon wskoczył na konia.

- Jeśli nie wrócę za trzy dni, weź kilku ludzi i jedźcie na Nogales. Odszukajcie dziewczynę i zabijcie Villegasa, bo wtedy będzie już wiadomo, że on zabił mnie.

Rozdział 9

Carly aż syknęła z bólu, gdy koń nagle postawił nogę w jakiejś dziurze. Jechali już wiele godzin, ale teraz już nie wozem, lecz na koniach, które go ciągnęły. Przez pół ranka leżała ukryta pod brezentem. Gdy tylko próbowała go unieść, Villegas kazał jej się nie ruszać. Po jakimś czasie zatrzymał wóz pod drzewem i zaczął wyprzegać konie.

Z początku nie zauważyła siodła leżącego w tylnej części wozu. Kiedy je spostrzegła, najpierw się przestraszyła, ale potem zrozumiała, po co zostały zabrane.

- Prędzej czy później pójda za nami. - Bandyta zapiął popręg pod brzuchem grubego gniadosza, po czym posadził Carly na jego grzbiecie. - Pojedziemy szybciej bez wozu.

- Ty nie zamierzasz tam wrócić, prawda?

Uśmiechnął się, połyskując złotym kłem. Zamiast drugiego była czarna dziura.

- Mam już dosyć Liano Mirada. Nadszedł czas, żeby się ruszyć gdzie indziej.

Jechali głównie na południe. Pamiętała, że gdy została porwana, poruszali się w kierunku północnym, chociaż wtedy wydawało się jej, że droga prowadziła bardziej na wschód. Jeśli tak, powinni teraz kierować się na południowy zachód. Ta myśl była niepokojąca, ale szybko ją wyparła. Nie знаła przecież tych gór, a oni wyjechali z osady inną drogą niż ta, którą tam przybyła.

Kręciła głową w prawo i lewo, aby rozruszać trochę zeszywniałe mięśnie szyi i ramion. Bolały ją nogi, a uda miała otarte niemal do krwi o zaniedbane, twarde krawędzie

siodła. Zastanawiała się, jak długo jeszcze Villegas zamierzał jechać przed rozbiciem obozu, ile czasu ona zdoła jeszcze wytrzymać na koniu.

Ocieniając dłonią oczy, spojrzała w kierunku zachodzącego słońca. Stało już nisko nad horyzontem. Jego ostre promienie nadawały dębom barwę złota, podobnie wodzie w skalistym strumieniu, wzdłuż którego się poruszali. Kilka minut później Villegas wskazał ręką inny szlak, który prowadził na wschód, zamiast na zachód. Wszystkie obawy Carly natychmiast wróciły ze zdwojoną siłą.

Przez jakiś czas milczała, w nadziei, że to tylko krótki objazd wokół wzgórza lub sposób na ominięcie jakiejś naturalnej przeszkody. Ale z biegiem czasu nic się nie zmieniało, a Carly zaczęła przygryzać policzek, aby nie wyrzucić z siebie pytania, które cisnęło się jej na usta: Na Boga, dokąd ty mnie prowadzisz?

- Muszę się zatrzymać na chwilę - powiedziała w końcu, udając zmieszanie. - Tu jest strumień. Może gdy... zajmę się sobą, ty napoiłbyś konie?

Warknął coś pod nosem, ale zatrzymał spienionego konia i zeskoczył na ziemię. Carly poszła jego śladem, ale drżące nogi niemalże ugięły się pod ciężarem jej ciała. Przeszła kilka kroków, przeciągnęła się, i ruszyła dalej nieco pewniej. Teraz albo nigdy. Z każdą przejechaną milą była coraz słabsza. Musiała zebrać wszystkie siły, aby stawić czoła Villegasowi. Odwróciła się do niego. Szedł, prowadząc konia do strumienia. Cicho wyjęła z wołoku ciężki, żelazny świecznik.

- Pośpiesz się - zawołał. - Niedługo będzie ciemno, musimy znaleźć miejsce na obozowisko.

- Tak, widzę. - Trzymała mocno świecznik za plecami. Miała wilgotne dłonie, bała się, że go upuści. Podeszła do miejsca, gdzie Villegas stał nad strumieniem. - Wcześniej jednak chciałabym wiedzieć dokładnie, dokąd mnie zabierasz. Jedziemy na wschód, zamiast na zachód. Dlaczego prowadzisz mnie w złym kierunku?

- To tylko mały objazd - powiedział rzeczowo. - Jutro skęcimy na zachód. Następnego dnia znajdziesz się na swoim Rancho del Robles.

Kłamał. Widziała to na jego wstrętnej twarzy.

- Nie wierzę ci. Chcę wiedzieć, dokąd mnie ciągniesz. I powiedz mi prawdę.

Przekonaj mnie, pomyślała. Żebym uwierzyła, że się myliłam. Że naprawdę prowadzisz mnie do domu. Francisco Villegas tylko się uśmiechnął.

- Chcesz prawdy, *señorita*? Prawda jest taka, że jedziemy do Nogales. Jesteś bardzo piękną kobietą... i niewinną, co? Kobiety w osadzie mówiły, że jesteś dziewicą. Za takie ciało i piękne, ogniste włosy dostanę za ciebie wysoką cenę.

- Chcesz mnie sprzedać? - zaskrzeczała piskliwie. Dobry Boże, on ją prowadził do burdelu! Chciał z niej zrobić dziwkę!

- Oczywiście - odparł. - A po co miałbym się tak poświęcać?

Oblizwała drżące wargi, mocniej zaciskając dłonie na świeczniku.

- Jeśli... jeśli chcesz pieniędzy, mój wuj ci zapłaci. Więcej niż dostaniesz w Nogales.

Jeszcze bardziej wyszczerzył zęby. Nienawidziła tego pewnego siebie wyrazu twarzy.

- Nie sędzę. Poza tym w Nogales są kobiety, a ja właśnie potrzebuję baby. - Zrobił krok w jej stronę, pociągnął sznurek, którym miała związany warkocz i przecesał grubymi palcami piękne włosy. Czowała na policzku jego kwaśny oddech. - A może kobiety w osadzie myliły się? Może El Dragon już cię posiadał? Wobec tego i ja mógłbym z ciebie skorzystać, co?

- Nie... one się nie mylą. Nigdy nie byłam z mężczyzną.

Położył szorstką dłoń na jej policzku. Gładził ją twardymi palcami o połamanych, brudnych paznokciach.

- Nawet jeśli cię wezmę, będziesz warta wysoką cenę. Może warto?

O Boże! Zmusiła się, żeby stać spokojnie. Będzie musiała go uderzyć, innego wyjścia nie było. Jeszcze mocniej chwyciła świecznik.

- Nie weźmiesz mnie, nawet mnie nie tkniesz! - Patrząc mu prosto w oczy, z całej siły zamachnęła się żelastwem. - Wracam do domu! - Świecznik uderzył go w szczękę i policzek tak mocno, że z ust wyleciał mu złoty ząb i chlusnęła jasnoczerwona krew.

Trzęsąc się, rzuciła świecznik i pobiegła do swojego konia. Wsunąwszy stopę w strzemień, skoczyła na siodło ze zdumiewającą energią, chwyciła cugle i piętami dźgnęła wierzchowca w oba boki. Zwierzę skoczyło do przodu w tym samym momencie, gdy bandyta objął ją w pasie i zrzucił z siodła.

Przez chwilę walczyła z nim, w końcu udało się jej wyswobodzić. Krzyknęła, gdy uderzył ją w twarz i obalił na ziemię.

- Nie powinnaś była tego robić - powiedział, dysząc ze złością.

Przerażona uniosła na niego wzrok. Nie była w stanie się poruszyć. Policzek boleśnie pulsował, w ustach poczuła miedziany smak krwi. W końcu uklękła. Rozpuszczone włosy rozsypały się po jej ramionach. Zaczęła rozpaczliwie rozglądać się po ziemi, szukając swojej broni. Rzuciła się, by pochwycić świecznik, lecz Villegas stanął na jej drodze. Złapał ją mocno za włosy, podniósł głowę i ponownie uderzył Carly w twarz.

- Śmiesz ze mną walczyć? - Otarł krew z ust wierzchem dłoni, postawił ją na nogi i rozerwał jej koszulę. - Żaden człowiek, który mi się przeciwstawił, nie pozostał przy życiu, a

ty jesteś tylko kobietą.

- Więc mnie zabij! - rzuciła drwiąco. - Bo jeśli tego nie zrobisz, przysięgam, że znajdę sposób, aby zabić ciebie!

Roześmiał się. Złapał ją za pierś i wykręcił boleśnie, aż zobaczyła wszystkie gwiazdy.

- *Put* - warknął. - A teraz będziesz moją dziwką.

Zaczęła się szarpać. Była tak przerażona, że pociemniało jej w oczach. Desperacko walczyła, by się uwolnić, gdy nagle jej uwagę zwrócił jakiś szelest. Oboje znieruchomieli.

- Puść ją. - Ramon de la Guerra stał w lekkim rozkroku o kilka kroków od nich. Na jego twarzy malowała się wściekłość. Czarny kapelusz z płaskim rondem nasunął nisko na oczy, lecz mimo to widziała w nich płonąca furie. Szczęki zacisnął tak mocno, że na gładkim policzku wyraźnie uwydatnił się napięty mięsień.

Villegas zostawił jej pierś w spokoju.

- Więc... to ty ruszyłeś w pościg za dziewczyną. Nie myślałem, że to zrobisz. - Zaśmiał się prostacko. - Ale z niej ognista sztuka, co?

- Powiedziałem, żebyś ją puścił.

Villegas zwolnił chwyt i Carly upadła na ziemię u jego stóp.

- Odsuń się od niego, Cara - powiedział łagodnie Ramon. - On już cię nie skrzywdzi.

Tłumiąc płacz, próbowała wstać, ale nie była w stanie utrzymać się na nogach. W końcu zmusiła się do wysiłku i na czworaka odsunęła się od przysadzistego Meksykanina. Z trudem oddychała, owładnięta strachem. Bała się o siebie. I o Ramona.

- Zabiję cię, *jefe*. A potem wezmę sobie dziewczynę - uśmiechnął się Villegas. W miejscu dwu kłów widniały puste dziury. - Zrobię sobie przyjemność w każdy znany mi sposób, a potem sprzedam ją Ernestowi. Jego knajpa to najlepszy burdel w Nogales.

Ramon jakby stracił nad sobą kontrolę. Napiąwszy mięśnie szyi i ramion, rzucił się na Villegasa, złapał go za gardło i obalił na ziemię. Bandyta wyrwał się, lecz Ramon szybkim ruchem wymierzył mu cios pięścią, powalając go ponownie. Padający, uderzył głową w twardy grunt. Potem nastąpił kolejny cios. I jeszcze jeden. I jeszcze.

Villegas miał zakrwawioną twarz, z rozbitego nosa płynęła czerwona struga. W końcu złapał Ramona za koszulę i wykonawszy obrót, przygniótł go ciężarem swojego ciała.

Zanim Ramon zdołał się wyswobodzić, otrzymał kilka mocnych uderzeń, po czym sam znalazł się na górze, obsypując ciosami głowę Villegasa. Walka dobiegała końca, gdy Carly spostrzegła, jak Meksykanin sięga po nóż, który miał ukryty za cholewą.

- Ramon! - wrzasnęła ostrzegawczo. W ostatniej chwili. Chwycił uzbrojoną w nóż rękę bandyty. Gdy się mocowali, Carly pomyślała, że zwycięży cięższy. Bez zastanowienia

pobiegła przez polanę, złapała ciężki świecznik i wróciła w samą porę, by zobaczyć, jak Ramon zatapia cienkie ostrze w piersi przeciwnika.

Ramiona Meksykanina zwiotczały i opadły, a oczy patrzyły pusto w niebo. Z otwartych szeroko ust płynęła krew. Ramon rzucił nóż i podniósł się na nogi. Carly wciąż stała ze świecznikiem uniesionym wysoko nad głową, gotowa uderzyć w każdej chwili, gdyby tylko Villegas się poruszył.

- Możesz już odłożyć swoją broń, *chica* – powiedział cicho Ramon. - On nie żyje. Już cię nie skrzywdzi.

Przesuwała palcami po żelazie, w końcu je rzuciła. Ciężki świecznik upadł u jej stóp, wzbijając w powietrze obłok pyłu. Po policzkach Carly zaczęły płynąć łzy. Widziała ponurą minę Ramona, który lekkim krokiem podszedł do niej i po chwili mocno przytulił.

- Nie płacz - wyszeptał. - Ramon jest przy tobie.

- Ja nie płaczę - załkała jeszcze głośniejszym głosem. - Nigdy nie płaczę.

Przesunął palcami po jej włosach, tuląc głowę Carly do ramienia.

- Już dobrze, *querida*. Są chwile, gdy wszyscy płaczemy. - Głaskał ją uspokajająco po plecach. Szeptał słowa pociechy, ale prawie ich nie słyszała. Brzmiały jednak słodko, łagodnie, pięknie. Już kiedyś słyszała ten głos. Gdzieś... nie umiała sobie przypomnieć.

Spojrzała na niego spod mokrych rzęs i po raz pierwszy zobaczyła, że jego oczy nie są po prostu brązowe, lecz nakrapiane złotem.

- Ramon, proszę cię - wyszeptała łamiącym się głosem - nie bądź na mnie zły. Musiałam to zrobić. Musiałam.

- Nie twoja wina, że Villegas... - Odsunął ją nieco, wbijając wzrok w jej twarz. - Pojechałaś z nim z własnej woli? Próbowełaś uciec?

Poczuła się niepewnie. On nie wiedział, że chciała wymknąć się z osady. Dobry Boże, co teraz z nią zrobi?

- Musiałam. Proszę... spróbuj zrozumieć.

Przyciągnął ją i objął czule.

- Rozumiem, Cara. To jeszcze jedna rzecz, za którą ponoszę winę. - Delikatnie odchylił jej głowę, smukłymi palcami dotykając stłuczenia na policzku. Pocałował ją, lekko muskając jej usta, wyrażając, jak bardzo mu przykro. Nie wiadomo dlaczego, znowu chciało się jej płakać.

Potem wziął ją na ręce i poszedł w kierunku drzew, gdzie zostawił konia.

- Bardzo się bałam - powiedziała, wtulając się w jego ramię. Czowała pod policzkiem, jak z każdym krokiem napinają się mięśnie na jego piersi. - Gdybyś nie nadjechał w porę...

Ramon uśmiechnął się zabójczo.

- Widziałem, jak byłaś przerażona, *chica*. Uderzyłaś go tak mocno, że prawie urwałaś mu głowę. - Zaniósł Carly na miejsce pod szerokolistną sykomorą, gdzie Viento leniwie skubał trawę, po czym postawił ją na ziemi. - Znajdziemy gdzieś miejsce, żeby przenocować. Rano wrócimy do domu.

Z trudem powstrzymała cisnące się do oczu łzy. Z nienawiścią myślała o powrocie do Liano Mirada. Lecz gdyby nie Ramon, spotkałby ją los o wiele gorszy. Uniosła wzrok na wysokiego, przystojnego Hiszpana. Był bardziej męski, niż go dotąd знаła, silniejszy, odważniejszy, piękniejszy. I delikatny. Nigdy by nie uwierzyła, że potrafi być tak delikatny. Poczowała ucisk w sercu.

- Czujesz się lepiej?

- Tak - odparła. Mimo to nie puszczał jej. Żadne z nich się nie poruszyło. Stał tak blisko, że u nasady szyi Ramona widziała pulsowanie żyły w rytmie uderzeń jego serca. Dłonie oparła na piersi Hiszpana, czując jak ta unosi się z każdym oddechem.

Dotknął jej policzka, odsunął ze skroni kosmyk włosów.

- Gdy dowiedziałem się o twojej ucieczce... chyba sam najbardziej się przestraszyłem. Nie mogłem znieść myśli, że coś ci się stanie. Poprzez łzy widziała lśnienie złocistych płamek w jego oczach. A on wpatrywał się w nią, jakby chciał wniknąć w duszę dziewczyny. Mijały kolejne sekundy. Miała pewność, że chciał ją pocałować. Jednak po chwili westchnął ciężko, odwrócił się i powoli odszedł.

Idąc przez polanę, starał się nie myśleć o Carly, o tym, co niemalże się zdarzyło. Chwycił cugle Viento i powrócił z koniem na polanę. Oparłszy dłonie na talii Carly, uniosł ją i posadził okrakiem na siodle, potem sprawnie wskoczył na grzbiet wierzchowca za jej plecami. Objął ją i poczuł, że cała drży. Jego serce zaś waliło jak młot.

Jeszcze nigdy tak się nie bał, nie był tak bliski utraty samokontroli, nie odczuł tak wszechogarniającej wściekłości, jak wtedy, gdy zobaczył ją na polanie z Villegasem. Zmusił się, żeby zaczekać, zając właściwą pozycję. Cisco stał tak blisko Carly, że nie mógł ryzykować strzału, poza tym chciał odebrać mu życie swoimi rękami.

Czegoś takiego nigdy jeszcze nie czuł. I miał nadzieję, że to był ostatni raz.

Przytrzymując Carly, podjechał do konia Meksykanina, aby go zabrać, po czym skierował się głębiej w las. Nie chciał długo jechać. Rano miał zamiar powrócić, aby pogrzebać ciało, o ile najpierw nie dobiorą się do niego wilki.

Sięgnął dłonią, aby wygładzić jedwabiste włosy Carly. Prawie już spała, wyczerpana uciążliwą podróżą i brutalnym atakiem tego zbira. Małą główkę opierała na ramieniu

Ramona.

Powiedziała wcześniej, że jest dziewicą. Nie wątpił w to. Cieszyło go, że nie tknął jej dotąd żaden inny mężczyzna, lecz z drugiej strony złościł się, bo sam nie mógł odebrać jej niewinności. Nigdy więcej jej nie skrzywdzi. I koniec. Carly potrzebowała męża, zaś Ramon postanowił, że w żyłach jego dzieci będzie płynąć hiszpańska krew.

Uśmiechnął się na wspomnienie jej bijatyki z Villegasem. Twarda była, ta mała *gringa*. Waleczna. Zasłużyła sobie na wolność.

I jeszcze bardziej pożałował, że nie może jej wypuścić.

* * *

- Dlaczego to robisz, Ramon? – Siedzieli pod wielkim czarnym dębem na grzbiecie wzgórza, skąd rozpościerał się widok na małą, śliczną dolinę. Słońce stało nisko nad zachodnim horyzontem, rozświetlając żółcią złote trawy, dziko rosnącą gorczycę i owies. Nad ich głowami szybował orzeł, zaś stadko przepiórek rozpierzchło się, gdy Ramon rzucił kamyk w jego środek.

- Walczymy o zwrot naszej ziemi - powiedział. -To wszystko. - Jechali bardzo powoli, lecz domyślił się, jak bardzo jest wyczerpana, jak obolałe ma mięśnie, nieprzyzwyczajone do konnej jazdy.

- Łamiecie prawo. Przez to jesteście banitami. -Po raz pierwszy od porwania zaczęła się zastanawiać nad przyszłością Ramona i rodzin mieszkających w osadzie. Nie sądziła, że do tego dojdzie, ale martwiła się o niego.

- My nie uważamy się za banitów. Jesteśmy ludźmi, którzy po prostu chcą odzyskać to, co prawnie do nas należy.

- Ludzie często popełniają omyłki, wydają błędne decyzje. Ale to nie oznacza, że potraktowano ich niesprawiedliwie.

- Za sprawą rządu utraciliśmy naszą ziemię.

- Jakim sposobem? Nie mogę sobie wyobrazić, by mogli celowo zrobić coś takiego. - Gdyby zdołała uprzytomnić mu, jak daremne są jego wysiłki, może zaprzestałby napadów, a wtedy byłby już bezpieczny.

Spojrzała na jego zaciśnięte usta.

- Nie wierzysz w to? Może to nie zostało zrobione celowo. Nie ma sposobu, aby się upewnić. Trzy lata temu wasz rząd wprowadził szereg reform. Miały na celu uregulowanie kwestii spornych dotyczących ziemi, załagodzenie napięcia między Kalifornijczykami

meksykańskiego pochodzenia, którzy właśnie przegrali wojnę z *gringos*, a Amerykanami z imigracji. Lecz ci pierwsi nie potrafili zaakceptować amerykańskiego prawa.

Spojrzał w dal, ponad dolinę. Na jego twarzy malowały się bolesne wspomnienia. Przepiórki znowu zbierały się w stada, wydziobując ziarna i jagody z żyznej gleby, lecz kolejny rzucony kamień rozgonił je.

- Mów dalej - ponagliła go Carly. – Chciałabym wiedzieć, co się stało.

Westchnął.

- Rdzenni Kalifornijczycy mieszkali tu tak długo, że naturalną kolejną rzeczą uważali się za właścicieli tej ziemi. Często nie mieli już map, pokazujących granice gruntów. Istniejące akty własności zostały zakwestionowane przez *gringos*. Akty nadania były stare, granice wyznaczone za pomocą niedokładnych, trudnych do zrozumienia opisów: były tam strumienie, które już dawno zmieniły swój bieg, zdania typu „dwie mile na północ od czaszki na skale” albo „pod kątem prostym na zachód do pochylonego dębu” i tym podobne.

- Rozumiem.

- A potem zleciały się te sępy. Ludzie tacy jak twój wuj. Wraz z innymi *gringos* doprowadzili intrygami do odebrania nam ziemi.

Carly zeszywniała, opierając się mocniej o pień dębu.

- Mój wuj? Chyba nie wierzysz, że mógłby brać w tym udział? To wielce szanowany członek społeczności. Rozumiem, że go nie lubisz, ale nigdy nie pojmowałam dlaczego. Co on ci zrobił?

Popatrzył na nią dziwnie.

- Nie wiesz? Wuj nigdy ci nie powiedział?

- O czym?

- O tym, że zanim tu przybył, Rancho del Robles należało do rodziny de la Guerra. Twój wuj ukradł naszą ziemię.

Wydała cichy okrzyk oburzenia. To nie mogło być prawdą. Ramon kłamał. Jej ciało ogarnęło jeszcze większe napięcie.

- Chyba nie myślisz, że w to uwierzę. Wuj nie jest taki.

- Słabo go znasz, *chica*. Od niedawna jesteś w Kalifornii. Ale nie jesteś głupia. Niedługo dowiesz się, że to, co mówię, jest prawdą.

Spojrzała na niego twardo w nadziei, że wyczyta kłamstwo na jego twarzy. Zaczęła protestować, lecz Ramon gwałtownie wstał.

- Czas ruszać. Dzień szybko mija, a przed nami jeszcze daleka droga.

Posłusznie się podniosła, ale niemalże jęknęła. Bardzo bolały ją nogi, z każdą

przejechałą miłą twarde skórzane siodło coraz bardziej wrzyło się w otartą skórę. Pomógł jej wsiąść na konia, a ona cały czas myślała o jego słowach.

Czy to mogło być prawdą? Czy wuj mógł być odpowiedzialny za odebranie ziemi rodzinie de la Guerra? Nie miała najmniejszego pojęcia, jak wszedł w posiadanie swoich włości. Nigdy nie zwracała sobie tym głowy. Ale, o dziwo, teraz przypomniała sobie, jak Lena wspominała coś o Rancho del Robles, gdy opowiadała o latach spędzonych w misji. Mówiła, że chciwość jest właściwa białym ludziom. Że zawsze potrafią ukraść to, czego nie mogli zdobyć legalnie.

Wtedy jednak Carly była tak zmęczona, że nie zwracała większej uwagi na jej słowa. Teraz tego pożałowała.

Po dwóch godzinach jazdy Ramon zatrzymał konie. Zmarszczył brwi słysząc, jak syknęła, gdy zdjął ją z siodła.

- Aż tak cię boli?

Zarumieniła się zmieszana.

- Siodło ociera się o moje nogi. Mam otartą skórę...

- Pokaż - zażądał.

- Nic mi nie pomożesz. Gdy wrócimy, będzie lepiej.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

- Widziałem już kobiece nogi, Cara. Obiecuję, że nie stracę panowania nad sobą i nie zniewolę cię.

- To niestosowne. Nie mogę ci pozwolić...

Nie zdążyła dokończyć, gdy chwycił ją, zaniósł na zwałony pień dębu, posadził i zadął jasnożółtą spódnicę sporo ponad kolana. Oblała się szkarłatnym rumieńcem, lecz Hiszpan tylko się skrzywił.

- Powinnaś była coś powiedzieć. - Przebiegł delikatnie palcami po szorstkim, czerwonym otarciu po wewnętrznej stronie uda. Poczowała, jak oblewa ją fala gorąca. - Nie możesz dalej jechać w takim stanie. - Podeszedł na chwilę do konia, wyjął coś z sakwy i wrócił, niosąc mały blaszany słoiczek z maścią. - To dla koni. Na rany i zadrapania. Zawsze mam ją ze sobą. Zrobiła ją Florentia.

- Lekarstwo dla koni? Mam skorzystać z tego...

- Masz być cicho, gdy zajmę się twoimi pięknymi nogami.

Jeszcze bardziej się zaczerwieniła. Czowała, jak gładzi palcami jej delikatną skórę, nakładając maść. Zrobiło się jej jeszcze bardziej gorąco. Dobry Boże! Na sam widok tych długich palców, które przesuwały się po jej udach, doznała suchości w ustach, miała wilgotne

dłonie. Maść wydzielala aromat sosny i koniczyny, mieszając się z zapachem Ramona, zapachem koni, skóry i mężczyzny.

Jeszcze kilka zdecydowanych, pewnych ruchów i skończył. Kiedy podniósł głowę, ujrzała jego pociemniałe oczy i drgający mięsień na policzku.

- Dziękuję...

Przez moment milczał, tylko patrzył na nią swymi gorącymi, ciemnymi oczami.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo cię pragnę?

Z trudem przełknęła i usiłowała powstrzymać drżenie, które ją ogarnęło pod tym spojrzeniem. Obciągnęła spódnice, lecz nie odrywała wzroku od jego twarzy.

- Powiedziałeś, że mnie nie zniewolisz.

- Tak. Tego bym nie zrobił. Jedynie kochałbym się z tobą. Najpierw delikatnie, aż przywykłałabyś do mego dotyku, a potem wszedłbym w ciebie tak głęboko, jak zawsze tego pragnę, gdy na ciebie patrzę.

Oblizwała usta. Było jej gorąco. Nie wiedziała, że tak strasznie jej pożądał. Przecież miał już kobietę w osobie pięknej Mirandy.

- Jestem twoim więźniem. Dlaczego... dlaczego do tej pory nie wzięłeś sobie tego, czego chcesz?

Położył dłoń na policzku Carly.

- Bo już dosyć cię skrzywdziłem. A ty jesteś niewinna. Mężczyzną, który cię posiadzie, powinien być twój mąż, ktoś, kto da ci poczucie bezpieczeństwa. Nawet gdybym nie był banitą, nie mógłbym ożenić się z tobą. Ślubowałem, że moją żoną zostanie kobieta czystej hiszpańskiej krwi.

Poczuła bolesny uścisk w sercu. To nie powinno mieć znaczenia. I nie miało, jak próbowała sobie wmówić.

- Miranda? - Miała nadzieję, że to nie ona. Nie zapomniała jej zdrady, spiskowania z Villegasem. Ramon zasługiwał na o wiele lepszą kobietę.

- Miranda jest tylko półkrwi Hiszpanką. Daje mi przyjemność w łóżku, ale żadne z nas nie chce małżeństwa. Nie wybrałem jeszcze kobiety, którą poślubię.

Z trudem opanowała się, by nie okazać ulgi.

- To naprawdę takie ważne... aby twoja żona była Hiszpanką?

- Si. To obietnica, którą dałem moim przyjaciom, rdzennym Kalifornijczykom. A także sobie samemu i mojej rodzinie. W żyłach de la Guerrów płynie królewska hiszpańska krew. Moje dzieci i ich dzieci muszą mieć czysto hiszpańskie pochodzenie.

Carly nie mogła się powstrzymać od myśli o kopalni i swoim niskim stanie.

McConnellowie nie należeli do arystokracji, a ona nie mogła zmienić tego, kim jest.

- Robisz to wszystko, bo tak bardzo nienawidzisz *gringos*.

- *Si*. Oni zabili mojego brata. Zagrabili ziemię mojej rodziny. Jestem prawdziwym Kalifornijczykiem. Tacy też będą moja żona i dzieci.

Nieoczekiwanie poczuła, jak coś ściska jej pierś.

- Ta maść mi pomogła. - Zmusiła się do uśmiechu. - Chyba powinniśmy już jechać.

Kiwnął głową. Podszedł do wierzchowca, wyjął koc i umieścił go na jej siodle, po czym posadził na nim Carly, a sam wskoczył na swojego konia.

Przez resztę popołudnia niewiele rozmawiali, lecz Ramon jeszcze kilka razy zatrzymywał rumaka. Wkrótce było jasne, że przed zapadnięciem zmroku nie dojadą do Liano Mirada.

Przygryzła wargę, przypominając sobie pożądanie, które widziała w jego oczach, ciepłe palce, którymi wodził po jej ciele. Ciekawe, czy zaplanował to sobie zawczasu, aby ją osiąść, gdy przyjdzie mu ochota. A może powinna mu wierzyć, że dotrzyma danego słowa?

* * *

Ramon jechał wyprostowany, wyraźnie zły, że muszą posuwać się tak powoli i dopiero nazajutrz dotrą do osady. Całą noc spędzi sam na sam z dziewczyną.

Jęknął chrapliwie. Tej nocy niewiele będzie spał. Po zabiegach leczniczych, jakich dokonał po południu, jego ciało wciąż jeszcze pulsowało żądzą. Wciąż pamiętał gładką skórę Carly pod swoimi palcami. Gdyby przesunął je trochę wyżej, dotknął by jej kobiecości. Mógł rozchylić jej śliczne nogi, rozsznurować swoje bryczesy i zanurzyć się w niej, zrzucić to napięcie, które czuł, gdy znajdowała się w pobliżu.

Niech to diabli! Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnął kobiety.

Gdy znaleźli się na polanie koło bagnistego stawu, otoczonego wierzbami, Ramon dał Carly znak, aby zatrzymała konia. Do stawu wpływał niewielki, czysty strumień, zaś wokół polany leżały głazy, dając jako takie schronienie. W milczeniu założyli obóz, po czym Ramon wjechał w las, aby coś upolować.

Nie zajechał daleko. Opowieści o niebezpiecznych pumach i grizzly były prawdziwe. Tego popołudnia widział świeże ślady niedźwiedzia. A dzikie bydło o długich, ostrych rogach mogło się okazać największym zagrożeniem.

A jednak udało mu się wrócić z dorodnym królikiem, z którego Carly ściągnęła skórę. Upiekli go na rożnie z wierzbowej gałęzi. Potem usiadł, opierając się o granitowy kamień,

patrzac, jak Carly zmywa blaszane naczynia w strumieniu, podczas gdy on zapalił krótkie cygaro.

Gdy skończyła, usiadła przed ogniskiem, podciągając pod siebie kształtne nogi i przyglądając mu się nieufnie.

Zaczęła bawić się małą, liściastą gałązką, którą podniosła z ziemi.

- Zastanawiałam się... - Podniosła na niego śliczną buzię, która błyszczała w płomieniach ognia. - Tamtej nocy, dlaczego mnie porwałeś?

Starął się nie zwracać uwagi na jej miedziane włosy. Przytrzymał cygaro między zębami.

- Bo tak chciał mój brat. Widziałem to w jego oczach, gdy jechał w twoim kierunku. W tamtej chwili, gdy strzelili do niego, poczułem się tak, jakbym sam był Andreasem, jakby jego wola stała się moją. Robiłem to, czego on by chciał.

- Twój brat by mnie porwał?

- *Si*. Widział cię w dniu wyścigu. Już wtedy cię pragnął.

Nerwowo oblizwała rubinowe wargi. Ramon poczuł sztywnienie w kroczu.

- Twój brat... chciał mnie zgwałcić?

Zaciągnął się dymem, po czym wypuścił go i patrzył, jak unosi się na tle nocnego nieba.

- Nie wiem. Nigdy czegoś takiego nie zrobił... ale też nigdy nie był z kobietą, która jest siostrzenicą jego najbardziej znienawidzonego wroga.

Przemyślała to w milczeniu i pochyliła się do przodu, a płomienie nadały różowy blask jej gładkiej jasnej skórze.

- Pozwoliłbyś mu?

Popatrzył na śliczną twarz, tak małą, niewinną, delikatną i kobiecą. Wiedział, że nie dopuściłby do tego.

- Nie.

Uśmiechnęła się do niego słodko.

- Może jednak nie myliłam się co do ciebie tak bardzo, jak myślałam.

Tez się uśmiechnął i zaciągnął się dymem z cygara.

- Jeśli to ma oznaczać, że już tak bardzo mną nie gardzisz, to chciałbym, aby tak było.

Zaśmiała się cicho, potem jakby zatopiła w myślach. Cienie mieszały się z światłem ogniska, tworząc przedziwne wzory na kasztanowych włosach Carly. Starął się nie patrzeć, gdy jej rozerwana koszula rozsunała się, odsłaniając kremową skórę i kawałek bujnych piersi. Krew pulsowała w jego żyłach w ciężkim rytmie. Czuł narastający żar w kroczu, który

jeszcze bardziej potęgował podniecenie. Cieszył się, że siedzi w cieniu.

- O czym myślisz? - spytał. Bezwiednie bawiła się gałązką.

- Przypominam sobie, co zrobiłeś wczoraj.

- O tym, że zabiłem Villegasa?

- Nie. O tym, jak mnie trzymałeś, mówiłeś delikatnym głosem. - Wytrzymała jego spojrzenie. – Ktoś mówił do mnie kiedyś w taki sposób, gdy byłem chora. Próbowałam sobie przypomnieć. Przez pewien czas myślałam, że to tylko sen. Ale to byłeś ty, prawda? Ty siedziałeś przy moim łóżku? Ciekaw był, czy będzie to pamiętała.

- *Si*, byłem tam.

- Ty się mną opiekowałeś. Pamiętam, jak ocierałeś moje czoło. Pewnej nocy obudziłam się... a ty się modliłeś.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- *Si, querida*. Tym razem Bóg mnie wysłuchał.

Coś zabłysło w jej oczach. Spojrzała na niego tak, jak nigdy przedtem.

- Dziękuję ci - wyszeptała ledwie dosłyszalnie.

Nie odpowiedział. Wpatrywała się w jego twarz krótką chwilę, jakby chciała zgłębić kryjące się w nim myśli, potem wstała i podeszła do koca, który rozłożyła sobie w pewnej odległości od jego pośłania.

Dziś był wdzięczny za to, że nie będzie spała tak blisko. Z każdym jej krokiem, gdy widział małe stopy i kostki pod rąbkiem spódnicy, wyobrażał sobie te kształtne nogi i drżenie, jakie ją ogarniało, gdy wodził palcami po jej udzie. Pełne piersi falowały pod bluzką, pamiętał ich krągłość pod swymi dłońmi. Jeszcze bardziej się podniecał, a z każdym ruchem tych pięknych ust, czuł coraz większy ból w pulsującym kroczu.

Musiał zebrać wszystkie siły, by nie podążyć za Carly, nie położyć jej i, zadarłszy spódnice, nie zanurzyć się w dziewczynie. Nijak nie umiał ujarzmić tego pragnienia, żadną miarą nie potrafił schłodzić swej gorącej krwi. Lecz nie mógł jej osiąść.

Czuł się jak związany, owładnięty pożądaniem, doznawał tej samej trudnej do zniesienia frustracji, której doświadczył kiedyś z Lily. Lecz Lily była kobietą, a nie dziewczęciem, diabolicą doświadczoną w kobiecych sztuczkach. W końcu przyszła do niego, zaprosiła go do swego łóżka. Pod bladym księżycem w Sewilli spędził z Lily cztery cudowne tygodnie, głównie między jej białymi, zgrabnymi nogami. Na punkcie Lily miał niemal obsesję do czasu, gdy odkrył, że nie był jedynym głupcem, z którym dzieliła łóżko.

Rozdział 10

Siedząc okrakiem na gniadoszu, Carly spoglądała na rozgałęziający się szlak, którego jedna odnoga wiodła dalej na północ, druga zaś na zachód, ku porośniętym dębami wzgórzom i dalej, ku dolinom. Z tęsknotą pomyślała o Rancho del Robles, które musiało być gdzieś w tamtym kierunku. Tuż przed nią Ramon zatrzymał się na szczycie stromizny, która schodziła po zboczu do małej, ustronnej doliny. Z zachwytem patrzyła na jego wąskie biodra i szerokie barki, podziwiała grację, z jaką trzymał się na koniu.

Uśmiechnęła się. Dziś miała lepsze samopoczucie, nogi przyzwyczyły się do długich godzin w siodle. Maść, którą zastosował Ramon, działała cuda. Oblewała się rumieńcem na myśl o fali gorąca, która ją ogarniała, gdy ją dotykał, gdy wodził po jej skórze długimi, ciemnymi palcami. Teraz zawrócił konia i podjechał do niej. Szybko odegnała wspomnienia.

- Czy jesteśmy już niedaleko osady? - spytała. - Chyba tak. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Zignorował pytanie.

- Jest coś, co muszę wiedzieć. I chcę, abyś powiedziała mi szczerą prawdę.

Uniosła głowę,

- Dobrze.

- Chodzi o dzień, gdy wyjechałaś z osady z Villegasem.. gdy próbowałaś uciec... dlaczego to zrobiłaś?

Poczuła ucisk w żołądku. *Bo przy tobie doznaję uczuć, których nie potrafię zrozumieć.*

- Bo się bałam.

- Bałaś się? Z pewnością nie mnie.

Poruszyła się w siodle i spojrzała Ramonowi prosto w oczy.

- Byłam twoim więźniem. Mogłeś ze mną zrobić, co tylko chciałeś. Wszystko. Oczywiście, że się ciebie bałam.

Patrzył na nią badawczo, szukając w jej oczach skrywanej tajemnicy.

- A teraz, *chica*? Nadal się boisz?

Miał w wyrazie twarzy coś, czego do końca nie zrozumiała.

- Tam w górach, ocaliłeś mi życie, ryzykując swoje własne. Obiecałeś mi nietykalność i dotrzymałeś słowa. Nie, Ramon. Już się ciebie nie boję. - *Za to boję się samej siebie.*

Milczał długą chwilę.

- Tutaj szlak się rozwidla. Ścieżka wiodąca na zachód zaprowadzi cię na Rancho del Robles. Gdybym miał pewność, że nie przyprowadzisz wuja do naszej osady zastanowiłbym

się, czy nie puścić cię do domu.

Serce Carly zaczęło gwałtownie łomotać. Boże, on mógł ją puścić wolno!

- Nie mam pojęcia, gdzie jest wasza osada. Gdy wyruszałam w drogę z Villegasem, leżałam pod brezentem, bo zobaczyliby mnie wasi strażnicy. Poza tym on jechał na południe. Nie znam tej okolicy i nie byłabym w stanie odtworzyć drogi.

- A noc, gdy zostałam porwana?

- Było ciemno, bardzo się bałam. Nie wiem, jakim szlakiem jechaliście, pragnęłam tylko jednego: pozostać przy życiu.

- Tak właśnie myślałam, ale chciałem to usłyszeć z twoich ust. Nie mogę narażać na niebezpieczeństwo życia moich ludzi.

Zajrzała mu w oczy, otoczone gęstymi, czarnymi rzęsami.

- A co ty mi powiesz, Ramon? Jeśli pozwolisz mi odejść, złożysz swoje życie w moich rękach. Wiem, kim jesteś, wiem, że mieszkasz w Las Almas. Musiałbyś przyjąć moje słowo, że nie oddam cię w ręce władz.

- *Si*, Cara. To się zgadza. Wiesz, kim jestem, a moje ranczo leży zaledwie kilka mil od hacjendy twego wuja. Jeśli chcesz widzieć mnie martwego, wystarczy że powiesz mu, iż Ramon de la Guerra to El Dragon.

Na samą myśl, że mógłby leżeć bez życia na ziemi jak Villegas, poczuła wewnętrzny ból.

- El Dragon to był głównie twój brat. Serafina powiedziała mi, że to wszystko od początku był jego pomysł. Ponad połowę napadów poprowadził osobiście. Powiedziała mi też, że El Dragon nie obrabował dylizansu tej nocy, gdy spotkaliśmy się na *fandango* u mojego wuja. Stwierdziła, że jest wielu bandytów, którzy rabują podróżujących na złotodajnych terenach, ale zwykle cała wina spada na El Dragona.

- Mówiłem, że nie jesteś głupia. I zyskałaś mój szacunek. Jeśli dasz mi słowo, że nie powiesz im, kim jestem, pozwolę ci odejść.

Znowu poczuła bolesne ukłucie. Ryzykował swoje życie, by obronić ją przed Villegasem, teraz znowu chciał to uczynić.

- Dlaczego? Dlaczego gotów jesteś odważyć się na taki krok?

- Jest wiele powodów, Cara. A może po prostu chodzi o to, że pragnę cię, a nie mogę cię mieć.

Czy to mogła być wystarczająca przyczyna? Pewnie nigdy się tego nie dowie, ale nie miało to znaczenia, o ile znalazłaby się w domu.

- Jeśli wszystko, co mi powiedziałaś, jest prawdą, to daję ci moje słowo. Twoja

tajemnica pozostanie zemną, don Ramon.

Kiwnął głową.

- Powiedz im, że przenosiliśmy nasze obozowisko i jechaliśmy na południe, gdy nam uciekłaś. Prawie cały czas miałaś zawiązane oczy i nie widziałaś nic, co mogłoby im pomóc w schwytaniu nas. Chcieliśmy wziąć za ciebie okup. Dlatego byłaś zostawiona w spokoju i El Dragon nie zaciągnął cię do łóżka.

Zarumieniła się.

- Powiem im tak - odparła cicho. Znowu poczuła w sercu bolesny skurcz. Po raz pierwszy zrozumiała, że jakaś jej część nie chciała wracać do domu. On musiał to wyczuć, bo patrzył na nią pociemniałym, jakby przydymionym wzrokiem. Pochyliwszy się, objął ją za szyję, przyciągnął ku sobie i pocałował w usta, ognście, a jednak delikatnie.

Bezwiednie sama też go objęła, oddając pocałunek. Łzy cisnęły się do jej oczu, gdy pieścił ustami jej czoło, policzki, nos, by powrócić do ust. Ostatni mocny pocałunek i Ramon oderwał się od Carly.

- Nie zbaczaj ze szlaku - powiedział chrapliwie. - Za dwie godziny dojedziesz do granicy rancza. Tam skreć w prawo i droga doprowadzi cię do domu. - Zawrócił konia. - *Vaya eon Dios, querida*. El Dragon cię nie zapomni. - Po chwili już go nie było.

Zacisnęła dłonie na cuglach. Coś w niej pękło. Po policzkach zaczęły płynąć łzy.

- Niech Bóg będzie z tobą, Ramon - szepnęła, spoglądając, jak oddala się na wielkim, czarnym rumaku. Patrzyła tak, aż znikł jej z oczu. Jednak nawet wtedy nie ruszyła w drogę. Po prostu siedziała na gniadym koniu, czując żal i osamotnienie. A przecież powinna być szczęśliwa.

W końcu zawróciła wierzchowca i ruszyła w dół szlakiem ku hacjendzie wuja. Powiedziała sobie, że przecież niedługo znowu go zobaczy, ale to nie miało znaczenia. Don Ramon będzie odwiedzał Rancho del Robles, tak jak zawsze. I będzie odgrywał rolę dżentelmena. Ale to był El Dragon, przystojny Hiszpan, który ją porwał, którego będzie wspominała w swoich marzeniach.

* * *

Z górskiego grzbietu Ramon obserwował, jak Carly zjeżdża szlakiem ku dolinie. Pojechał za nią w pewnej odległości, aż dotarła do granicy rancza, wtedy zawrócił. Czuł się zmęczony i dziwnie pusty, jakby ktoś zdmuchnął świeczkę, pozostawiając go samego w ciemnym pokoju.

Może obawiał się, że dziewczyna złamie słowo, ale tak naprawdę w to nie wierzył. Powstała między nimi pewna więź, jakaś dziwna nić porozumienia, która nie miała nic wspólnego z pożądaniem, które do niej czuł. Stało się to, gdy wjechał na polanę i postanowił, że będzie jej bronił. Więzy ta wzmocniła się jeszcze bardziej w chwili, gdy spostrzegł, że ona w takim samym stopniu gotowa jest walczyć o jego bezpieczeństwo.

A jeśli się mylił?

Bezwiednie wzruszył ramionami. To nie miało znaczenia. Nie mógł jej zatrzymać, nie był też w stanie ponownie jej skrzywdzić. Jeśli go zdradzi, niechaj tak będzie. Przeżył już dosyć w swoim brzemennym w wydarzenia życia, pełnym pięknych kobiet, cielesnych przyjemności, smaku najprzedniejszego wina, tańców i śpiewu. Żałowałby tylko jednego: że zawiódł swoich ludzi. Potrzebowali go, tak samo jak matka i ciotka Teresa. On zaś chciał, aby Rancho del Robles wróciło do rodziny de la Guerra.

Może był głupcem, ale nie mógł postąpić inaczej. Czas pokaże, czy Carly dotrzyma słowa.

Jechał ku osadzie. Chciał, aby Pedro i wszyscy inni wiedzieli, że jest bezpieczny, aby dowiedzieli się, co zrobił z dziewczyną. Potem wróci do Las Almas. W najbliższych dniach być może wybierze się do Monterey. Była tam pewna dziewczyna, Catarina Micheltoarena, w linii prostej potomkini byłego gubernatora starej Kalifornii. Właśnie skończyła siedemnaście lat, więc mniej, niż by sobie życzył, lecz była piękna, a w jej żyłach płynęła czysta, kastylijska krew. Taka kobieta wypełni każdy jego rozkaz i urodzi mu gromadkę silnych synów. Ojciec dziewczyny uznał, że tworzyliby świetną parę i był gotów wydać ją za niego za mąż.

Pomyślał o Carly, o jej odwadze, determinacji, niewinności i kobiecych kształtach. Przypomniał sobie uczucie, gdy miał ją w ramionach, i ogarnęła go jeszcze większa pustka. Dźgnął konia ostrogami, zmuszając go do galopu.

Po raz pierwszy od dawna zdał sobie sprawę, jak bardzo czuje się samotny.

* * *

- A więc, Caralee, moja droga, powtórzmy wszystko jeszcze raz.

Carly westchnęła, opierając się wygodniej.

- Wujku, opowiadałam ci już kilkanaście razy. Tej nocy, gdy był napad, zawiązali mi oczy, tak samo jak wtedy, gdy przenosili swój obóz. Cudem udało mi się uciec i szczęśliwie znalazłam się na szlaku, który prowadził w dobrym kierunku, a potem jakiś Indianin pokazał

mi drogę do Rancho del Robles. Nie widziałam niczego, co mogłoby wam pomóc w odszukaniu tych ludzi. Bardzo bym chciała pomóc, ale nie potrafię.

Siedzieli w jego gabinecie na brązowej, skórzanej sofie przed kominkiem. Wrzesień dobiegał końca. Na zewnątrz było jeszcze ciepło, więc nie palili ognia. Za to ogień płonął w zielonych oczach wuja.

Naprzeciwko nich siedział Jeremy Layton, szeryf z San Juan Bautista.

- Jednego nie mogę zrozumieć, panno McConnell. Dlaczego on wcześniej nie wystąpił z żądaniem okupu? Dlaczego czekał tak długo? - Szeryf był czterdziestokilkuletnim szczupłym mężczyzną o blond włosach i kościstej budowie. Miał opaloną, ogorzałą od wiatru twarz.

- Nie mam pojęcia. Pewnie chciał, aby wuj martwił się o mnie. On chyba go nie lubi. - Mówienie kłamstw przychodziło jej z większym trudem, niż oczekiwała. Z każdym słowem cała historia coraz bardziej się komplikowała.

- Żaden z tych brudasów mnie nie lubi. - Wuj zacisnął pięść. - Nie mogą znieść myśli, że przegrali wojnę. Byli zbyt słabi, by utrzymać ziemię, a teraz mszczą się na każdym Amerykaninie, który wchodzi im w drogę. - Spojrzał twardo na Carly. - Powiedz mi jeszcze raz, jak wygląda ten bandyta.

Zadrzała, skupiając myśli na Villegasie, którego w myślach podstawiała jako dublera El Dragona. Ten obrzydliwy typ był tak niepodobny do Ramona de la Guerra, jak tylko mógł być mężczyzna. Poza tym na szczęście już nie żył. Potarła skronie. Zaczynała boleć ją głowa.

- Jak mówiłam, jest duży, przysadzisty, z długimi zakręconymi wąsami. Brakuje mu jednego kła, a drugi miał zrobiony ze złota.

Po pierwszym, nieoczekiwanym przypływie radości, mocnym, krótkim uścisku i upewnieniu się, że nic się jej nie stało, wuj rozpoczął niekończące się przesłuchania.

- Znasz kogoś odpowiadającego temu opisowi, szeryfie?

- W tej chwili nie przypominam sobie, ale gdy wrócę do miasta, przejrzę plakaty poszukiwanych banitów, które mam na biurku. Być może coś pominąłem. - Kiedy Carly wróciła, szeryf wyjechał gdzieś służbowo. Przyjechał na rancho dopiero dziś rano, cztery dni po jej powrocie.

Cztery dni. A miała wrażenie, że minęły cztery tygodnie.

- Powiedz nam jeszcze raz o koniach, które ukradli - nie ustępował wuj. - Twierdzisz, że je sprzedali?

- Tak. Słyszałam jak jeden z nich mówił, że uzyskane pieniądze wystarczą im na jakiś czas. - Wuj uparcie wierzył, że jednak widziała coś, co pomoże im odszukać banitów. Im

bardziej się upierał, tym bardziej Carly trwała w swoim postanowieniu, że nie złamie danego słowa.

Fletcher z westchnieniem opadł na oparcie sofy.

- Przepraszam cię, moja droga. Wiem, że przeszłaś piekło. Cieszę się, że wróciłaś, zanim ten bandyta... nie pozwolił sobie z tobą za dużo.

Próbowała powstrzymać rumieniec, rozpaczliwie usiłowała nie myśleć o tym, jak Ramon kładł dłonie na jej piersiach, jak czuła sztywnienie sutków, jak wodził palcami po jej udach. Odpychała wspomnienie jego pocałunków, języka, którym pieścił jej usta.

- Tak, wujku - powiedziała cicho.

Spoglądał na nią w milczeniu. W końcu odwrócił się do szeryfa.

- Wybacz, Jeremy. Miałem nadzieję, że zanim przyjedziesz, moja siostrzenica przypomni sobie coś więcej.

- Na pewno był to dla niej ciężki okres. I wspomnienia też nie są przyjemne. - Wstał z krzesła. -Przepraszam, panienko, że musiałaś jeszcze raz przechodzić przez to wszystko, ale było to konieczne. Jeśli przypomnisz sobie coś jeszcze, niech wuj przyśle do mnie posłańca. - Zdjął z oparcia brązowy kapelusz i kręcił nim w smukłej dłoni. - Obiecuję jedno: prędzej czy później go znajdziemy. A wtedy zawisnie na najwyższym drzewie. - Carly przybladła, lecz szeryf tylko się uśmiechnął. - Miłego dnia, panno McConnell.

- Do widzenia, szeryfie. - Zmusiła się do uśmiechu. - Dziękuję, że pan przyjechał.

Tyczkowaty szeryf kiwnął głową. Wuj poszedł go odprowadzić, zaś Carly ruszyła korytarzem do swojego pokoju. Z westchnieniem zamknęła drzwi i rzuciła się na pokryte różową jedwabną narzutą łóżko. W pewien sposób cieszyła się, że jest w domu. Ha-cjenda wuja była luksusowa w porównaniu z glinianą chatką, którą zajmowała w osadzie. Ale tam kiedyś mieszkał Ramon i wszystko związane z tym miejscem - ręcznie gięte, wiklinowe meble, kolorowe, tkane koce, nawet zapach jego cygar, unoszący się w pomieszczeniach - wszystko przypominało jej do-na. Zatęskniła za tamtym domem.

Prawda była taka, że tęskniła za Ramonem. Nie mogła jednak zastanawiać się nad tym, bo nie wyszłoby to jej na dobre. Im prędzej zapomni o tych kilku tygodniach i o nim, tym lepiej. Niepokoiło ją to, co Ramon powiedział o wuju. Czy rzeczywiście przywłaszczył sobie Rancho del Robles? Była zdecydowana poznać prawdę, lecz teraz chciała zapomnieć o El Dragonie, o tym, co wydarzyło się w górach. Życie musi toczyć się dalej.

Westchnęła. Ach, żeby i wuj o tym zapomniał, przestał bombardować ją pytaniami i pozwolił odsunąć to wszystko w przeszłość.

Jednak nie wierzyła, że tak się stanie.

* * *

- Co o tym myślisz, Jeremy? - Szli wzdłuż pokrytego dachówką budynku. Fletcher towarzyszył szeryfowi, który prowadził swojego kasztanka.

- Trudno powiedzieć. Być może dziewczyna wciąż jest przerażona. Może on jej groził, że jeśli powie komukolwiek, gdzie obozują, wróci i ją zabije. Być może mówi prawdę i rzeczywiście nie wie nic, co mogłoby nam pomóc. Sam mówiłeś, że jest tu od niedawna. Nie zna okolicy. Boi się, że ją zabiją. Pewnie nie umiałyby wrócić tam, dokąd ją zabrali. Zresztą ona twierdzi, że przenieśli się w inne miejsce.

Fletcher pokiwał głową. Szeryf wypowiedział na głos jego własne myśli. Musiał jednak podać słowa Carly w wątpliwość.

- A ta druga sprawa? Twierdzi, że bandyta nie tknął jej palcem. Sądysz, że to możliwe?

Szeryf podniósł kapelusz i podrapał się w głowę.

- Taka kobieta... tak piękna i w ogóle... trudno w to uwierzyć. Ale dla jej dobra lepiej, aby to była prawda.

Fletcher zamilkł. Zamierzał to zbadać. Zbyt wiele zależało od dziewczyny, aby podejmować jakiegokolwiek ryzyko. Sprowadził ją na zachód w określonym celu. Chciał, aby poślubiła mężczyznę, który pomoże mu spełnić polityczne ambicje. I doskonale wiedział, kto nim będzie. Czas, aby przejść do czynów, właśnie nadchodził. Nie mógł sobie pozwolić, by się okazało, że dziewczyna nosi w sobie bękarta jakiegoś tam banity.

Zostawił szeryfa i wrócił do domu. Pozwoli jej wrócić do normalności, zapomnieć o okropnych przejściach. Da jej trochę czasu, ale długo nie będzie czekał. Jeśli istniała możliwość, że Caralee ma w sobie dziecko, zamierzał coś z tym zrobić.

Musiał znać prawdę.

Nie dopuści, aby ona zniszczyła jego plany.

* * *

Minął tydzień, po nim następny. Siła woli Carly podziałała już po kilku dniach, udało się jej więc odsunąć od siebie myśli o Ramonie i czasie spędzonym w osadzie. Jednakże nie potrafiła opędzić się od wątpliwości dotyczących wuja, które zasiał w niej El Dragon.

Poprzedniej nocy, gdy w domu zapadła cisza, zaś wuj Fletcher i cała służba zasnęli, wślizgnęła się do jego gabinetu i przejrzała zawartość biurka. Znalazła akt własności del

Robles, który leżał w dolnej szufladzie w małym, blaszanym pudełku. Ziemię sprzedał mu niejaki Thomas Garrison. Nie miała pojęcia, kto to taki, ale widocznie rodzina de la Guerra sprzedała mu ranczo, zanim wuj odkupił je od niego. W dniu transakcji Ramon przebywał jeszcze w Hiszpanii.

Poczuła ogromną ulgę. Ramon mylił się co do jej wuja. Może przekona go przy najbliższym spotkaniu. Na tę myśl oblała ją fala gorąca, znowu ujrzała przed oczami ciemne oczy, szerokie ramiona, wąskie biodra i gładką, ciemną skórę Ramona. Gdy biegła korytarzem do swojej sypialni, z ogromnym wysiłkiem udało się jej odegnąć tę wizję.

Tej nocy nie spała dobrze, męczona gorącymi snami o Ramonie. Przeklinała się, że wciąż o nim myśli. Bez względu na wszystko wciąż był banitą. Nawet jeśli jej pożądał, pragnął jedynie mieć ją w swoim łóżku. Fantazje z Ramonem w roli głównej nie mogły przynieść niczego dobrego.

Obudziła się zmęczona i nie w sosie. Tylko piękny jesienny ranek, pełen kolorowych liści i trawy pokrytej rosą, ocalił ją przed popadnięciem w zły nastrój. Ubrała się w strój do konnej jazdy, tak jak przez ostatnie dwa dni, z postanowieniem, by kontynuować lekcje. Wciąż pamiętała, ile wcześniej wycierpiała na końskim grzbiecie.

Lecz teraz uczyła się jeździć bokiem. Jeden z *vaqueros* wuja, przyjemny, starszy mężczyzna nazwiskiem Jose Gonzales, zgłosił się na ochotnika jako nauczyciel. Nie wspomniała nic o lekcjach, które dawał jej Pedro Sanchez, więc *vaquero* był niezwykle zadowolony z jej - jak to określił - „naturalnych zdolności”. Poza tym nauka jazdy w damskiej pozycji była także po myśli wuja.

Szła korytarzem, szeleszcząc szafirową suknią, gdy na jej drodze stanął wuj. Zatrzymała się gwałtownie.

- Chcę z tobą porozmawiać, moja droga, jeśli pozwolisz.

- Oczywiście, wujku. - Zdziwiona, poszła za nim do gabinetu, gdzie zajął miejsce za szerokim, dębowym biurkiem. Carly usiadła na rzeźbionym krześle po drugiej stronie. - Słucham? Wydawał się trochę zmieszany.

- Musimy o czymś pomówić, moja droga. Niestety, nie jest to przyjemna sprawa, szczególnie dla młodej, delikatnej damy. Ale musisz mi zaufać i powiedzieć prawdę.

Przeszedł ją lekki dreszcz.

- Oczywiście, wujku.

Pochylił się do przodu.

- Pytałem cię o mężczyznę, który cię porwał tamtej nocy. Powiedziałaś, że to El Dragon.

Przygotowała się na kolejną serię pytań dotyczących Ramona.

- Tak, zgadza się.

- Jesteś piękną dziewczyną, Caralee. A ten człowiek to banita. Bezlitosny, brutalny, bez krzty sumienia. Nie byłoby twojej winy, gdyby wziął cię siłą. Muszę wiedzieć, moja droga, czy nie skłamałaś w tej kwestii? Czy ten człowiek cię nie zgwałcił?

Zarumieniła się, lecz zarazem poczuła dziwną ulgę. Przynajmniej teraz mogła powiedzieć prawdę.

- Nie, wujku. - Uśmiechnęła się z lekka. – Pewnie obawiał się, że nie zapłaciłbyś okupu, gdyby mi odebrał dziewictwo. - Wtem uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy uderzyła ją pewna straszna myśl. - Ale... to chyba nie miałyby znaczenia... prawda, wujku?

Odchrząknął.

- Nie bądź niemądra. Oczywiście, że nie. Jesteś córką mojej siostry, bliską krewną. Chyba nie sądzisz, że zostawiłbym cię na łasce tego złoczyńcy?

Znowu się uśmiechnęła. Ułga była jeszcze większa niż poprzednio.

- Gdyby mnie zniewolił, miałbyś ze mną kłopot. Upadłe kobiety są niezbyt atrakcyjnym materiałem na żonę.

Austin też się rozchmurzył.

- To wcale nie jest prawda. Jesteś Amerykanką, a do tego piękną damą. – *I to dzięki mnie*, dodał spojrzeniem.

Zaczęła wiercić się na krześle. Przez chwilę poczuła się tak jak wtedy, gdy Ramon powiedział jej, że poślubi kobietę jedynie czystej hiszpańskiej krwi. Poczuła się jak kocmołuch rodem z górniczego osiedla.

- Tutaj kobiety takie jak ty są rzadkością – podjął wuj. - Vincent Bannister był przerażony, gdy dowiedział się o twoim porwaniu. Zaproponował, że sam pojedzie za bandytami, ale oczywiście nie pozwoliłem mu. To przecież chłopak z miasta. Nie ma pojęcia o ściganiu przestępców po lasach.

To prawda. Jeśli już wcześniej uważała jasnowłosego Vincenta Bannistera za dandysa, to teraz, gdy poznała Ramona, był dla niej zupełnym firecykiem.

- A właśnie, przyjedzie tu ze swoim ojcem pod koniec przyszłego tygodnia. Martwił się o ciebie. Wysłałem wiadomość o twoim szczęśliwym powrocie, więc chciałby się z tobą spotkać.

- Bardzo ładnie z jego strony. Mam tylko nadzieję, że nie zechce...

Rzucił jej ostre spojrzenie. Na jego czole nabrzmiały niebieskie żyły.

- Że czego nie zechce, moja droga? Chyba nie masz na myśli, że nie chciałabyś się z

nim zobaczyć?

- To bardzo miły chłopak. Mam nadzieję, że nie myśli, że ja... jestem nim zainteresowana.

- Chcesz powiedzieć, że nie jesteś? Mogę spytać dlaczego? I lepiej, aby nie miało to nic wspólnego z tym łajdakiem, El Dragonem.

Wyprostowała się na krześle.

- Oczywiście, że nie.

- Jeśli odkryję, że mnie okłamałaś, Caralee, jeśli nosisz w sobie dziecko tego bandyty, to przysięgam, że...

- Że co zrobisz, wujku? - Wstała. - Odeślesz mnie gdzieś daleko, abyś nie musiał mnie oglądać? Wyrzekniesz się mnie? Zmusisz, abym zarabiała na utrzymanie na ulicy?

Aż zaczerwienił się ze złości.

- Oczywiście, że nie. Nie to miałem na myśli. -Przeczesał ręką siwiejące włosy. - Siadaj. Może wyjaśnimy sobie coś bez owijania w bawełnę.

Posłuchała, nachylając się do przodu. Zaciśnięte dłonie położyła na kolanach.

- To, co mówiłem o mężczyznach, jest prawdą. Jest ich wielu dookoła, lecz tylko nieliczni mają takie pochodzenie, bogactwo i wpływy, jak Bannisterowie. A ta eskapada nie poprawi twojej reputacji. Vincent Bannister chce się z tobą ożenić. Dał mi to wyraźnie do zrozumienia.

- Vincet chce się ze mną... ożenić?

- Oczywiście. A dlaczego nie? Jesteś piękna i młoda. Potrafisz się zachować jak dama, czego osobiście dopilnowałem. Chce być twoim mężem, a ja uważam, że to doskonały pomysł.

Próbowała utrzymać nerwy na wodzy, choć nie było to łatwe.

- Według mnie to okropny pomysł. Prawie go nie znam. - Ścisnęła w dłoniach spódnice, zgniatając miękkie, błękitny aksamit. Po chwili wygładziła palcami zmiętą tkaninę.

- Wybacz, moja droga, nie chciałem cię zdenerwować. Może powinienem poczekać, aż Vincent sam ci wszystko powie, lecz po tym wszystkim, co się stało, wskazane byłoby, abyś się nie ociagała z decyzją. Małżeństwo z Vincentem zapewni ci wejście do odpowiedniej klasy społecznej. Pragnę tego ze względu na ciebie, Caralee. I dla ciebie.

A może chce tego dla samego siebie? - pomyślała Carly. Kiedyś wspomniał jej, że chciał dostać nominację do Komisji Gruntowej. Twierdził, że Bannisterowie mają w tej materii wielkie wpływy. Przypomniała sobie, co powiedział Ramon: że wuj ukradł Rancho del Robles. Ciekawe czy akt zakupu od Thomasa Garrisona był przykrywką dla jakichś

machinacji.

- A jeśli ja nie chcę go poślubić? Jeśli chcę poślubić kogoś, kogo pokocham?

Fletcher prychnął.

- Nie bądź dzieckiem, Caralee. Miłość nie istnieje. Małżeństwa są zawierane ze względów praktycznych. Byłoby z korzyścią dla nas obojga, gdybyś wyszła za Vincenta Bannistera.

- Ja... nie jestem gotowa na małżeństwo. Muszę się zastanowić. Dopiero co poznałam Vincenta. -Nie mogła skupić myśli. Wszystko działo się zbyt szybko. Wiedziała, że mogą wystąpić różne konsekwencje porwania, ale coś takiego nie przyszło jej do głowy.

- Jesteś wszystkim, co mam, Caralee. Musisz mi zaufać, że działam w twoim najlepiej pojętym interesie.

Zmusiła się do uśmiechu. Wiele mu zawdzięczała. Uratował ją, dał szansę na nowe życie. Zawsze starała się go zadowolić, odplacić za to, co dla niej zrobił. Bardzo chciała zyskać jego akceptację, może nawet miłość.

Zrobiłaby dla niego niemal wszystko.

Tylko nie to.

- Jak mówiłam, Vincent to bardzo miły chłopak. Rozumiem twoje obawy, lecz nie czuję do Vincenta Bannistera niczego ponad przyjaźń i nie zamierzam go poślubić. - Wstała sztywno, szeleszcząc niebieską suknią, która ocierała się o nogi krzesła. - A teraz, jeśli mi wybaczysz...

Nie próbował jej zatrzymać, tylko skrzywił się niezadowolony, patrząc, jak opuszcza gabinet.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, podszedł do barku i nalał sobie drinka. Zazwyczaj nie pił o tak wczesnej porze, lecz doprowadziła go do tego krnąbrna siostrzenica. Uśmiechnął się z niechęcią. Po części podziwiał ją. Miała w sobie hart ducha, była piękna i niegłupia. Przypominała mu siostrę, Lucy, jedyną kobietę, którą w swoim życiu tak naprawdę podziwiał. Gdyby znalazł kobietę choć w połowie tak dzielną jak siostrzenica, ożeniłby się z nią bez dnia zwłoki.

Co nie oznaczało, że zamierzał dopuścić, by sama decydowała o swoim losie.

Uniósłszy piękny kryształowy kieliszek, który trzymał w dłoni, pociągnął łyk brandy, z przyjemnością czując ciepło rozlewające się po żołądku. Trochę się uspokoił. Caralee była uparta, bardziej niż się spodziewał. Wiedział o tym od początku, chociaż starała się sprawiać wrażenie posłusznej i potulnej. Potrzebowała mężczyzny, który trzymałby ją krótko, a mężczyznę tego wybierze osobiście Fletcher.

Ponownie napił się brandy. Być może Vincent wyglądał trochę fajtłapowato, lecz Fletcher widział go kiedyś z kochanką. Chłopak nie bał się podnieść na nią rękę, gdy powstała taka potrzeba. Nie miał skrupułów, by pokazać kobiecie, gdzie jest jej miejsce. Zaś jego apetyt na łóżkowe igraszki był gwarancją, że Caralee urodzi mu synów.

A ich dzieci mogą się okazać jedynymi dziedzicami Fletchera Austina.

Przynajmniej dziewczyna nie jest w ciąży. Był tego niemal całkowicie pewny. Miał też pewność, że wyjdzie za Vincenta Bannistera.

Uśmiechnął się. Zawsze realizował swoje zamierzenia. Tym razem będzie podobnie. Wiedział już, w jaki sposób zmusi siostrzenicę do poślubienia syna swego zamożnego przyjaciela - i to jeszcze przed końcem następnego tygodnia.

* * *

Teresa Apolonia de la Guerra kochała swego bratanka, Ramona, jak własnego syna. Nie miała swoich dzieci, gdyż nigdy nie wyszła za mąż. Jej *novio*, Esteban, zginął w wieku dwudziestu lat podczas wojny, jaką Hiszpania prowadziła z Napoleonem. Jednak nigdy go nie zapomniała. Jedynie bliskość z jej bratem, Diego, jego żoną Anną Marią i ich dwoma synami, Andreasem i Ramonem, pozwalały uniknąć samotności przez te wszystkie lata.

A teraz Diega nie było. Andreas również odszedł i już niedługo zaśnie w swoim miejscu obok ojca na wzgórzu. Spojrzała na Ramona, który patrzył przez okno w kierunku zachodniego horyzontu.

Uniosła spódnicę z ciemnobrązowej krepy, w milczeniu przeszła przez pokój i położyła swoją małą, zylastą dłoń na umięśnionym przedramieniu bratanka.

- Co się stało, Ramon? Ostatnio nie jesteś sobą. Wiem, że wciąż oplakujesz brata, ale chyba nie tylko to jest przyczyną.

Spojrzał na nią, starając się przybrać swój zwykły wygląd, lecz zdążyła dostrzec mrok w jego ciemnych oczach. Był taki przystojny, piękniejszy od wszystkich mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziała... może z wyjątkiem Estebana.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Wybacz, *tia*. Nie masz się czym martwić. Po prostu boję się o ludzi w osadzie. Bez Andreeasa, El Dragon już niedługo pozostanie na wolności.

Ścisnęła go mocniej.

- Nawet gdyby twój brat jeszcze żył, prędzej czy później pochwycono by was obu. Mówiłeś mu to od samego początku. Że jego wysiłki są daremne, że musi istnieć inny sposób

na odzyskanie tego, co jest nasze. W głębi serca nadal w to wierzysz.

Położył rękę na jej pokrytej starczymi plamami dłoni.

- *Si*, to prawda. Ale to nie rozwiąże problemu nakarmienia naszych ludzi.

- Oni są silni, Ramon. Przeżyją nawet bez twojej pomocy. Nie możesz opiekować się wszystkimi.

- Gdybym tylko tu był, gdy potrzebował mnie ojciec... gdybym nie siedział w Hiszpanii...

- To nie była twoja wina. On wierzył, że sądy potwierdzą ważność jego aktu własności ziemi, myślał, że sam załatwi tę sprawę. A gdy ty dowiedziałeś się o wszystkim, było już za późno.

Wiedział to wszystko, lecz wciąż czuł się winny. Gdyby był na miejscu, może zrobiliby coś, aby uratować ziemię. Może ojciec nie zapadłby na chorobę i nie pękłoby mu serce.

- Co planujesz? - spytała Teresa.

Pokręcił głową.

- Nie wiem. - Znowu popatrzył przez okno na zachód, jak to czynił już wiele razy. Powiedział, że martwi się o swoich ludzi. Teresa wierzyła mu, lecz wiedziała, że musi być coś jeszcze.

- Wybierasz się na fandango do señora Austina w sobotę? - Tego popołudnia *vaquero* z del Robles przywiózł zaproszenie.

- Nie jestem pewien. - Spojrza! jej w oczy. Znowu ujrzała w nich zakłopotanie. - Chyba że ty i matka chcecie pojechać.

- Wiesz, że jesteśmy w żałobie.

- Wszyscy jesteśmy w żałobie, lecz tamci o tym nie wiedzą i nie mogą się dowiedzieć. Poza tym trochę muzyki i śmiechu dobrze wam zrobi.

Coś kazało jej wyrazić zgodę - ze względu na Ramona - uczynić wyjątek od starych zasad, od przyjętego obyczaju. Chciał tam jechać. Nie wiedziała dlaczego, ale widziała to na jego twarzy. Mimo wszystko sądziła, że nie podda się temu pragnieniu.

- Może to dobry pomysł - powiedziała, uważnie mu się przypatrując. - Zostało nas już niewielu de la Guerrów, tylko nasza trójka i twoi kuzyni. Maria i Angel są daleko, więc powinniśmy zrobić to, co będzie dla nas najlepsze. Może miło będzie pojechać na jakiś czas, posiedzieć i posłuchać muzyki.

Uśmiechnął się, lecz znowu dojrzała w nim pewien niepojęty mrok.

- *Bien*. Jeśli tego chcesz, pojedziemy. Poklepała go po ręce.

- Porozmawiam z twoją matką. Na pewno się zgodzi. - Chociaż nie od razu. Była bardzo przywiązana do właściwych form zachowania, mocno opłakiwała syna. Ale kochała Ramona i zrobiłaby dla niego wszystko.

Teresa postanowiła dowiedzieć się, co takiego nieustannie przyciągało uwagę bratanka do Rancho del Robles. Z bolesnym wyrazem twarzy zmarszczyła czoło.

Rozdział 11

Nadszedł dzień, gdy zorganizowali fandango. Taka impreza była ostatnią rzeczą, jakiej Carly pragnęła, lecz już trzy dni wcześniej przybyli Vincent Bannister z ojcem, wuj postanowił więc zapewnić im godną rozrywkę.

Teraz jęknęła w milczeniu, zwracając się do swojej hiszpańskiej pokojówki.

- Skończyłaś już, Candelaria? – Siedziała przed lustrem przy toalecie z rzeźbionego dębu, wierząc się niecierpliwie, podczas gdy dziewczyna układała jej fryzurę. Była w tym już naprawdę dobra, zważywszy że od niedawna pełniła rolę osobistej służącej.

- *Si, señorita*. Jeszcze tylko chwilka, a wszystkie piękne loczki znajdą się na swoim miejscu. – Była ładną dziewczyną o krągłej buzi, ostatnio nieco puszystą, ale skórę miała jasną, brązowe włosy i także duże oczy, z długimi, czarnymi rzęsami.

Carly lubiła ją. Była zawsze miła i wesoła. Na samym początku Carly czuła się tak samotna, że zwierzała się Candelarii, ale teraz wstydziła się na myśl o tym, co jej o sobie opowiedziała. Mówiła jej o swojej matce, ojcu, biednym życiu w górniczym osiedlu.

Wuj chyba by dostał zawału serca, gdyby się o tym dowiedział.

Westchnęła. To w sumie nie miało znaczenia. W pewien sposób zaprzyjaźniły się z Candelarią. Wuj na pewno by tego nie zaakceptował, ale ona nie miała w zwyczaju stawiać się ponad innych.

Było jasne, że w jej żyłach nie ma nawet jednej kropli arystokratycznej krwi.

Na tę myśl zmarszczyła czoło, czując jednocześnie nerwowy ucisk w żołądku. Na imprezę została zaproszona rodzina de la Guerra. Ciekawe, czy pojawi się również Ramon.

- Wygląda panienka prześlicznie. - Candelarią cofnęła się kilka kroków, aby obejrzeć swoje dzieło. Zaczesane do góry kręcone włosy lśniły w świetle lampy, podkreślając barwę topazowej sukni, która dość śmiało odsłaniała ramiona oraz miała bardzo odważny, duży dekolt. Spódnica o lekko dzwonołowym kształcie podkreślała wąską talię, była wykończona brązowym aksamitem i gęstą, złocistą koronką.

- Wuj czeka już na panienkę - ponagliła ją delikatnie Candelarią. - Nie powinna panienka go rozgniewać.

Tak, nie chciała go rozgniewać, ale nie chciała też spędzać kolejnego wieczoru w towarzystwie Vincenta.

Zrezygnowana wstała z krzesła. Wuj wykorzystywał każdą sposobność, aby zbliżyć ich do siebie. Po prawdzie, na samym początku próbowała wyobrazić sobie siebie w roli żony Vincenta. Wuj byłby uszczęśliwiony. Przecież nie mogła oczekiwać, że będzie zapewniał jej utrzymanie do końca życia, takie rozwiązanie mogło więc okazać się całkiem dobre.

Bardzo szybko zorientowała się, jak okropny czekałby ją los.

- Już nie mogę się doczekać, kiedy przyjedziesz do miasta - powiedział jej pewnego późnego wieczoru, gdy spacerowali pod rozłożystymi dębami, rosnącymi za domem. - San Francisco jest naprawdę ekscytujące. - Westchnął dramatycznie. - Oczywiście nie może się równać z Filadelfią. - Sam pochodził z tego miasta. - Nie ma ludzi tego samego kalibru, tak dystygowanych i z klasą, ale przynajmniej można dobrze zjeść. Nie trzeba ciągle opychać się tymi wstrętnymi tortillami i fasolą, tak jak tutaj.

- A mnie zasmakowała tutejsza kuchnia - odparła. Próbowła pokierować rozmowę na inne tory, lecz on ciągle opowiadał, jak bardzo nie podoba mu się ten kraj, wyciągał uprzedzenia, które żywił wobec hiszpańskich właścicieli ziemskich, a przede wszystkim wracał do swego ulubionego tematu - którym był on sam. Najbardziej interesowało go, kto jest kim w elicie San Francisco, kto ma najwięcej pieniędzy, lubił też opowiadać o interesach ojca.

- Pewnego dnia całe San Francisco będzie własnością Bannisterów - przechwalał się. Kobieta, którą poślubię, będzie żyła jak królowa. - Odwrócił ją do siebie i ujął dłonią jej podbródek. - Mogłabyś być tą kobietą, Caralee. Wszystkie kobiety w mieście by ci zazdrościły... a mnie wszyscy mężczyźni.

Wtedy pochylił się i ją pocałował. Zacisnęła oczy w nadziei, że poczuje ten sam ogień, który wywoływał w niej Ramon. Lecz równie dobrze mogła całować bakłażan, który zerwała dziś rano w ogrodzie.

Odsunęła się dopiero wtedy, gdy przesunął dłoń do jej piersi. Nie chciała, aby sobie pozwalał na zbyt wiele. Po prawdzie niczego nie czuła do Vincenta Bannistera. I jasne było, że nigdy nie poczuje.

Teraz stała pod okapem domu, obserwując wuja i jego gości. Z niechęcią myślała o kolejnym wieczorze w tym niemiłym towarzystwie. Postanowiła wytrwać przy swoim. Odetchnęła głęboko i ruszyła ku grupie elegancko ubranych osób, stojących koło parkietu do

tańca, który wuj kazał wybudować na *fandango*.

Dwóch mężczyzn brzdąkało na gitarach, trzeci wodził smyczkiem po strunach skrzypiec, grając rzewną hiszpańską melodię. Na linkach między wielkimi dębami wisiały kolorowe lampiony, z boku stały stoły uginające się pod tacami i półmiskami z gorącym jedzeniem. Mały byczek kręcił się na rożnie, ustawionym na skraju, nasycając chłodne wieczorne powietrze smakowitym aromatem. Dookoła stała grupka *vaqueros* wuja, śmiejąc się i paląc tytoń przy wtórze dźwięków rytmicznej muzyki.

Większość gości trzymała pucharki z sangrią, zrobioną z ciężkiego czerwonego wina, dzikich jagód, pomarańczy i limonek. Kilku mężczyzn popijało doskonałą, importowaną whisky, którą wuj przywiózł z San Francisco.

- Caralee! - Fletcher przywołał ją ruchem dłoni. - Najwyższy czas, abyś do nas dołączyła. Młody Vincent już się niecierpliwi.

William Bannister roześmiał się głośno, zawtórowało mu kilku innych mężczyzn. Vincent poczerwieniał na twarzy.

Wuj tylko się uśmiechnął.

- Piękny widok dla zmęczonych oczu, co, mój chłopcze? Kazałem uszyć tę suknię specjalnie dla niej. Przypląnęła wokół przylądka Horn aż z Nowego Jorku. - Poklepał jasnowłosego młodzieńca po plecach. Tamten uśmiechnął się dobrotliwie.

Przynajmniej to przemawiało na jego korzyść. Wydawało się, że jest raczej zrównoważony.

- Wygląda naprawdę cudownie, panie Austin. Pańska siostrzenica jest piękną kobietą. - Zerknął na Carly. - I w związku z tym mam nadzieję, że zechce ze mną zatańczyć.

- Ależ oczywiście. - Wuj rzucił jej spojrzenie, wykluczające najmniejszy sprzeciw. Zmusiła się do uśmiechu.

- Naturalnie, będzie mi bardzo miło. - Trzeba mu było również przyznać, że jest doskonałym tancerzem. Pozwoliła się odprowadzić na parkiet i zaczęli pisać w delikatnym rytmie walca. Miała nadzieję, że zagrają polkę lub mazurka, coś żywszego, aby nie trzeba było rozmawiać.

- Mówiłem szczerze. Wyglądasz dziś cudownie, Caralee. - Vincent uśmiechnął się, patrząc na nią ciepło. - Nawet w San Francisco byłabyś najpiękniejsza na każdym balu.

- Dziękuję, Vincent. Pochlebia mi to. - Ale przecież on niemal cały czas mówił pochlebstwa. Carly tańczyła, wsłuchując się w miłą dla ucha muzykę, nie mogła jednak skupić uwagi na Vincencie, który zabawiał ją nudną rozmową. Wbrew własnej woli szukała wzrokiem Ramona. Rozpoznała Sama Hollingwortha i jego żonę, Amandę, którzy byli

najbliższymi sąsiadami wuja od strony północnej. Byli też George Winston i Royston Wardell, a także Montoyowie i kilka innych hiszpańskojęzycznych rodzin. Jednak nigdzie nie dostrzegła wysokiego, ciemnookiego dona.

Może to i lepiej, próbowała przekonać samą siebie. Ale w głębi serca czuła rozczarowanie.

- Czy ty mnie słuchasz, Caralee? - spytał Vincent, prowadząc ją z parkietu. - Powiedziałem, że chcę spotkać się z tobą na osobności. Chcę ci coś pokazać.

Zesztywniała, czując, jak oparł rękę na jej biodrze. O Boże, a jeśli zechce się oświadczyć?

- Chcesz mi coś pokazać?

- Tak właśnie powiedziałem. Spotkajmy się w stodole za dwadzieścia minut.

- W stodole? To nie jest dobry pomysł. A jeśli ktoś nas zobaczy?

- Dajże spokój. Założę się, że nie byłaś tak tchórzliwa, gdy chodziłaś po lesie z tym hiszpańskim smokiem.

Spięła się jeszcze bardziej. Nie podobało się jej spojrzenie, jakie zobaczyła w oczach Vincenta. Ale po chwili już tylko się uśmiechał. Może to podziałała jej wyobraźnia?

- Ale dlaczego to musi być stodoła? Nie ma innego miejsca?

- Tam właśnie znajduje się niespodzianka. Musisz przyjść, Caralee. Kazałem to zrobić specjalnie dla ciebie. Obiecuję, że będziesz zadowolona.

Musiała przyznać, że ją zaintrygował.

- No dobrze. Więc za dwadzieścia minut. Uśmiechnął się, ściskając ją za rękę.

- Nie każ mi długo czekać.

Bezwiednie kiwnęła głową, ale myślami była już na drodze wiodącej do rancza, przy powozie, który nadjechał w trakcie rozmowy. Wstrzymała oddech na widok wysokiej postaci Ramona, któremu towarzyszyły dwie starsze kobiety, zapewne jego matka i ciotka.

Przez chwilę nie mogła się ruszyć. Znowu ujrzała w wyobraźni tygodnie spędzone w górach tak wyraźnie, jakby nadal tam była. Poczowała usta Ramona nad swoimi, jego pocałunek, tak gorący, że rozpała! ją od środka. I jego dłonie... piękne, długie palce... to, jak pieścił jej piersi, aż sutki twardniały jej pod bluzką. Z trudem przełknęła ślinę, gdy zbliżył się i stanął przed nią.

- Señorita McConnell. Miło panią widzieć. – Był ubrany w dopasowane czarne *calzonevas*, te ze srebrnymi ozdobami *conchos*, które biegły wzdłuż nogawki aż do ziemi.

Na ramionach miał krótki czarny kabat, o klapach bogato zdobionych srebrną nitką.

- Chyba nie poznała jeszcze pani mojej matki i ciotki. - Przez wzgląd na nie, mówił do

niej po hiszpańsku, uśmiechając się miło, ale nie spuszczał wzroku z jej oczu, przekazując jej milczącą wiadomość. *Uczyliś tak, jak obiecałaś. Nie złamałaś danego słowa.*

Zwilżyła suche usta. Z trudem wydobyła z siebie głos.

- Nie, nie poznałyśmy się jeszcze. Dobry wieczór, *senoras*. Bardzo mi miło.

Matka Ramona tylko skłoniła głowę. Była kręłą kobietą, ubraną w ciemnofioletową suknię, na głowie zaś miała czarne *rebozo*, które opadało na ramiona.

Ciotka była wyższa i szczuplejsza od matki, ale oczy miała bystrzejsze.

- Mnie także miło jest panienkę poznać, *señorita McConnell*. - Otaksowała ją wzrokiem, po czym przeniosła spojrzenie na Ramona, który starał się zachować obojętność. - Przypominam sobie panienkę. Stała panienka koło mojego bratanka w dniu, kiedy odbył się wyścig.

Carly uśmiechnęła się.

- Tak, Don Ramon okazał się tego dnia niezwykle waleczny. - Serce waliło jej tak mocno, że bała się na niego spojrzeć.

Ciotka wciąż mierzyła ją wzrokiem. Potem ruchem głowy wskazała muzyków, grających na skraju parkietu.

- Posłuchaj, Anno - powiedziała do swojej towarzyszki. - Piękna muzyka, prawda? - Z uśmiechem spojrzała na Carly. - Mój bratanek jest świetnym tancerzem, jak jego ojciec, Diego, niech Bóg ma jego duszę w opiece. Ramon, może pokażesz panience, jak Hiszpan tańczy walca?

Zmarszczył brwi.

- Nie wydaje mi się, by spodobało się to wujowi panienki.

- A według mnie to znakomity pomysł - rzuciła impulsywnie Carly. Bez względu na to, jak bardzo rozeźli to wuja, już nigdy nie zachowa się wobec Ramona tak jak dawniej.

Zrobił wielkie oczy, po czym uśmiechnął się swoim niesamowicie męskim uśmiechem, który tak bardzo pragnęła zapomnieć. Jej dłonie zwilgotniały, poczuła stróżkę potu spływającego między piersiami. Może jednak taniec z Ramonem nie był aż tak dobrym pomysłem.

Ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

- Nic nie sprawi mi większej przyjemności, *señorita McConnell*.

Zostawili starsze panie pod czerwonym, papierowym lampionem i jasnym rogalikiem księżycy, kierując się na parkiet. Kiedy odwrócił ją przodem do siebie i położył dłoń na jej talii, poczuła żar przez grubą materiał sukni. Muzyka zagrała żywiej i poprowadził ją w tańcu z taką samą gracją, z jaką dosiadał swego wspaniałego rumaka.

Uśmiechnął się, w oczach miał złociste iskierki.

- A więc... wciąż żyję. A wcale nie byłem tego pewien. - Ocierał się umięśnionymi nogami o jej nogi, wywołując kolejną falę gorąca. Czowała mrowienie w palcach, które ujmował w swojej dłoni, jednak na Ramonie nie robiło to widocznego wrażenia, bo doskonale nad sobą panował, a z jego ust nie znikał stosowny uśmiech. Poza tym utrzymywał między nimi odpowiednią odległość.

Tego typu konwenanse byłyby przedmiotem drwiny El Dragona. Poczwała się lekko rozczarowana.

Lecz gdy spojrzała mu w oczy, nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Jesteś zaskoczony, że nie powiedziałam wujowi? A ja myślę, że to dla ciebie żadna niespodzianka. Doskonale wiedziałeś, że cię nie zdradzę.

Zdziwił się lekko.

- A skąd miałbym to wiedzieć? - spytał z nutą rozbawienia w głosie.

Carly zignorowała motylki, szalejące w jej żołądku.

- Nie jestem pewna. Może to wynika z liczby kobiet, które znałeś w swoim życiu. Pewnie potrafisz stwierdzić, czy którąś z nich zauroczyłeś.

Zaśmiał się melodyjnie, nieco chrapliwie. Pochylił się odrobinę, by szepnąć jej do ucha.

- Więc to mój urok sprawił, że dałaś słowo? A nie moje ogniste pocałunki?

Oblała się rumieńcem.

- Dzisiaj grasz rolę dżentelmena - drażniła go - a dżentelmen nie przypomina damie o takich rzeczach. Być może don Ramon i El Dragon nie różnią się tak bardzo, jak się powszechnie uważa? Jak byś chciał, żeby ludzie myśleli?

Chwycił ją trochę mocniej, złociste iskry w jego oczach zapłonęły jeszcze jaśniej.

- Zapewniam cię, Cara, że w wielu aspektach jesteśmy dokładnie tacy sami. - Odważne spojrzenie ognistych oczu i pełne żarliwości oblicze były nad wyraz wymowne. Jednak po chwili znikły. Muzyka umilkła, a Ramon odsunął rękę, którą trzymał Carly w talii.

- Mam nadzieję, że podobał ci się nasz taniec. Bo mnie bardzo. A teraz czas, abym cię odprowadził do twoich przyjaciół.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Oczywiście - rzuciła, lekko poirytowana jego grzecznością. - Wuj już na pewno zorientował się, gdzie jestem... no i Vincent też na mnie czeka. - Odczuła małą satysfakcję, widząc cię niezadowolonego jego twarzy. Po chwili zostawił ją w towarzystwie jakichś kobiet, a sam wrócił do matki i ciotki, stojących z rodziną Montoya.

Carly odczekała jeszcze kilka minut, po czym przeprosiła swoje rozmówczynie i poszła w kierunku stodoły. Obiecała Vincentowi, że się zjawi i zamierzała dotrzymać słowa. Zwłaszcza że Ramon tańczył właśnie z piękną wdową, Isabel Montoya.

W wielkiej ceglanej stodole było ciemno, lecz przez otwarte okna sączyło się światło księżyca, zaś Vincent zapalił latarnię na jednym z boksów. W chłodnym powietrzu unosił się zapach siana i koni. W słabym, żółtym świetle lampy drobinki kurzu opadały na utwardzoną podłogę, małe owady śmigwały do swoich kryjówek.

- Bałem się, że nie przyjdiesz. - Zbliżył się do niej, wyciągnął rękę i przyciągnął Carly do siebie. W świetle lampy połyskiwały kłamry na jego modnych pantoflach. Białą apaszkę miał związaną w wielką muchę.

- Nie mogę tu długo zostać - rzekła. - Co chciałeś mi pokazać?

Odsunął się od drewnianej przegrody, która odgradzała dwa sąsiednie boksy. Na poręczy wisiało najpiękniejsze damskie siodło, jakie kiedykolwiek widziała.

Vincent uśmiechnął się czarująco.

- Kiedyś wspomniałaś, że chciałaś się nauczyć jeździć. W niedawnym liście do mego ojca twój wuj napisał, że rozpoczęłaś już lekcje. Chciałem, abyś miała odpowiednie wyposażenie.

Gapiała się na siodło. Wykonane było ze skóry w delikatne, kwieciste wzory, zaś na wierzchu leżała beżowa narzutka z misternie wyszytymi różyczkami. Siodło miało idealnie dobraną wielkość, było nieco mniejsze od tego, na którym jeździła wcześniej - starego siodła, pożyczonego od jednego z sąsiadów.

- Jest piękne, Vincent. - Podeszła bliżej, z lubością przesunęła palcami po pięknej skórze. - Cudowne. - Spojrzała mu w oczy, czując wyrzuty sumienia z powodu złych myśli, jakie wcześniej kierowała pod jego adresem. Szkoda że nie była w stanie obdarzyć go względami, jak sobie życzył wuj. Przestała się uśmiechać. - Niestety, ja nie mogę tego przyjąć.

Vincent wyglądał na bardzo zawiedzionego.

- Nie możesz przyjąć? Dlaczego, Caralee?

- Bo nie jesteśmy... bo jest zbyt kosztowne. Nie mogłabym...

Przyciągnął ją do siebie.

- Czy ty nic nie rozumiesz? Chcę, abyś została moją żoną. Siodło to tylko początek. Chcę ci kupować klejnoty, stroje, wszystko, czego zapragniesz. Będziesz na ustach wszystkich w San Francisco, zostaniesz królową całego miasta.

Aż jęknęła w głębi duszy. Ani słowa o miłości do niej, żadnych uczuć. Zawsze myślał

tylko o pieniądzach. Pragnął jej ze względu na urodę, na piękne ubrania i ogładę towarzyską, wyniesioną ze szkoły. Nie obchodziło go, jaką jest kobietą w środku. Nawet jej nie znał.

- Ja nie mogę za ciebie wyjść, Vincent. Po prostu nie kocham cię. Chcę poślubić mężczyznę, którego pokocham.

Chwycił ją mocno za ramiona. Kosmyki blond włosów opadły mu na czoło.

- Nie oczekuję, że mnie pokochasz... nie od razu. Nasze uczucie pojawi się z czasem. Najważniejsze jest to, że do siebie pasujemy.

- Wcale nie pasujemy. W niczym nie jesteś do mnie podobny. Nie chcę ranić twoich uczuć, lecz nie mogę przyjąć tego prezentu... i nie mogę cię poślubić.

Całe ciepło znikło z jego twarzy. Jakby przybyło mu lat. W świetle lampy jego szczęki układały się w dość dziwny kształt, cienkie usta przybrały szarą barwę.

- Twój wuj mówił, że się nie zgodzisz. Ale fakty są takie, Caralee, że zostaniesz moją żoną. - Był o tym tak przekonany, że przez chwilę chciała wybuchnąć śmiechem. Nie było możliwości, aby kiedykolwiek poślubiła Vincenta.

- Muszę wracać do gości. Już zbyt długo tu jestem. - Odwróciła się od niego, lecz złapał ją za nadgarstek i przyciągnął ku sobie.

- Nie możesz jeszcze odejść, Caralee.

- Puść mnie, Vincent. Wuj...

- Z czasem zrozumiesz, że to się stało dla twojego dobra. Kiedyś nawet podziękujesz mi za to. - Pocałował ją niezdarnie. Chciała się wyrwać, lecz trzymał ją jak w imadle. Lizał ją po ustach wilgotnym językiem. Wpadła we wściekłość. Niech go wszyscy diabli! Co on sobie myśli? Kopnęła go mocno w goleń. Zawył z bólu, ale nie rozluźnił chwytu. Zamiast tego dłonią zakrył jej usta i pchnął ją na stertę siana.

- Postaram się być delikatny - powiedział, szarpiąc na sobie ubranie. - Obiecuję, że następnym razem będzie lepiej.

Następnym razem? Teraz naprawdę dostała furii. Chciał wziąć ją siłą, odebrać dziewictwo i zmusić do ślubu. Sposób, którym chciał tego dokonać, powiedział jej dobitnie, jakim jest człowiekiem. Próbowwała zawołać o pomoc, lecz on był silniejszy, niż się z pozoru zdawało i łatwo przytłoczył ją ciężarem swojego ciała.

Drżącymi rękami obmacywał jej piersi. Walczyła z nim wściekle. Spinki powypadały jej z włosów, które wachlarzem rozsypały się na ramionach. W końcu zdołała uderzyć go pięścią w podbródek. Zaklął siarczyście. Rozległ się trzask rozrywanego materiału. Zrozumiała, że podwija jej spódnicę, jednocześnie rozpinając sobie spodnie. Złość dodała jej siły. Przygniatał ją swoim ciężarem i nagle ten ciężar... znikł, uniesiony z taką łatwością,

jakby był dzieckiem, a nie dorosłym mężczyzną.

Kilka metrów obok stał w lekkim rozkroku Ramon de la Guerra z dłońmi zaciśniętymi w pięści. U jego stóp leżał na sianie Vincent Bannister.

- Nie wtrącaj się, de la Guerra. - Vincent usiadł i spojrzał na Ramona. - To nie twoja sprawa.

- Być może to się właśnie staje moją sprawą.

Carly chciała go uściskać. Vincent wstał i rzucił się na Ramona z siłą, jakiej się u niego nie spodziewała. Uderzył jako pierwszy, lecz zaraz Ramon odpowiedział ciosem. Zwarli się ze sobą i zaczęli zмагаć, lecz światło latarni, które nagle wpadło przez okno, położyło kres walce.

Do stodoły wkroczył Fletcher Austin, a za nim Sam Hollister, jego żona, Amanda, George Winston, Royce Wardell oraz chyba z połowa gości, łącznie z ojcem Vincenta.

Dobry Boże! Carly przytrzymała rozdarte ubranie, rumieniąc się ze wstydu. Drżącą ręką wyciągała słomę ze zmierzwionych włosów. Boże, co oni sobie pomyślą. Vincent wyprostował się i stanął przed jej wujem z wyrazem fałszywej skruchy na twarzy. Ramon pozostał w cieniu.

- Co to ma znaczyć? Co tu się dzieje, Vincent? - W świetle lampy widać było nabrzmiałe oblicze wuja. Spodziewała się wybuchu wściekłości. O dziwo, był nieoczekiwanie spokojny.

- Bardzo przepraszam, panie Austin. To nie jest wina Caralee. Zaprosiłem ją tutaj, aby wręczyć jej podarunek, który dostarczono dziś rano. - Uśmiechnął się czarująco, niemal chłopięc. Carly chciała go kopnąć. - Wyglądała tak ślicznie, że po prostu straciłem głowę.

Wuj tylko zmarszczył czoło.

- Takie rzeczy się zdarzają u ludzi w waszym wieku. Oczywiście zdajesz sobie sprawę z konsekwencji?

Carly nie wiedziała, co się dzieje. Czy takie rzeczy się zdarzają? Chyba źle usłyszała słowa wuja. Po chwili ujrzała błysk triumfu w jego zielonych oczach. Nie mogła się już mylić. Również w oczach Vincenta dostrzegła dumę z odniesionego zwycięstwa. Patrzyła na obu z rosnącym przerażeniem. Zaplanowali to od samego początku! Vincent chciał, aby zostali przyłapani, być może nawet w momencie samego aktu.

Zaczerwieniła się jeszcze mocniej. Ze złości prawie nie mogła oddychać. Jak oni mogli? Przerażona, poszukała wzrokiem Ramona, który stał z pociemniałą twarzą niedaleko lampy. Widziała, że podobnie jak ona, dokładnie rozumiał, co tu się wydarzyło. Na jego obliczu malowało się oburzenie, w oczach dojrzała głęboki żal i coś jeszcze, czego nie umiała

określić.

Zdała sobie sprawę, że nie może liczyć na żadną pomoc z jego strony. Pozostawił ją swojemu losowi, bez możliwości wyboru.

A jednak nie zamierzała tego zrobić!

Któraś z kobiet coś powiedziała. Carly skierowała wzrok na Amandę Hollister i pozostałe damy. Jeśli nie poślubi Vincenta, nie przyjmą jej więcej do swojego grona. Będzie poza nawiasem społeczności, przyniesie wstyd całej okolicy i kilku przyjaciołom, których zdołała już zdobyć. Cała jej złość skierowała się przeciwko wujowi. Nie mogła opanować drżenia rąk, poczuła się przegrana. Zwiesiła ramiona.

Boże, czy naprawdę nie mogła już nic zrobić?

Vincent tłumaczył się wylewnie, błagając jej wuja o wybaczenie, prosząc o jej rękę i zapewniając, że będzie dobrym mężem. Powiedział, że mogą się pobrać jeszcze przed jego powrotem do miasta.

Na samą myśl Carly poczuła mdłości. Znowu spojrzała na Ramona, który stał ze stoickim spokojem i nagle uderzyła ją myśl, która mogła przynieść ocalenie.

To było tak proste, tak oczywiste, że nagle poczuła ogromną ulgę i lekkość, aż zakręciło się jej w głowie. Myślała intensywnie, szukając możliwych pułapek: plan nie był doskonały, ale nie miała wyboru. Poza tym wart był nauzki, jaką da wujowi. Już nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć jego minę.

Przygryzła wargę, aby nie zacząć chichotać. Ramon się wścieknie, ale gdy zostaną sami, wyjaśni mu wszystko.

Podeszła do zgromadzonych i wyczarowała najśłodszy uśmiech.

- To już zaszło za daleko, Vincent. Okazałeś się bardzo miły, wręcz rycerski, ale nie mogę pozwolić, abyś to zrobił.

- Co? O czym ty mówisz? - Patrzył na nią, jakby postradała zmysły. W jednej chwili odzyskała pewność siebie.

- Dziękuję ci za to, Vincent, że próbujesz okazać szlachetność. Wiem, że chcesz mi pomóc i doceniam to bardziej, niż potrafię wyrazić słowami, ale nie powinieneś brać na siebie winy za coś, czego nie zrobiłeś.

Wśród zebranych rozległy się okrzyki zdumienia. Carly odwróciła się i spojrzała bezpośrednio na Ramona.

- A skoro tak, zaś señor de la Guerra jest równie godnym człowiekiem, to na pewno tak samo zechce uczynić, to, co nakazuje honor. - W uśmiechu Carly była determinacja. Spojrzeniem przypomniała mu, że jest jej to winien i że jego życie nadal spoczywa w jej

rękach. - Czyż nie, don Ramon?

Przez moment milczał, po prostu patrzył, jakby nie wierzył własnym uszom. Ale ona wiedziała, że Ramon zaraz przemówi. To przecież El Dragon. Caralee McConnell wiedziała o tym. Hiszpan nie miał wyboru.

Wyszedł z cienia. Miał ponurą minę, napięcie malowało się na jego twarzy.

- Przepraszam panienkę za to, na co sobie pozwoliłem. - Uśmiechnął się zimno, bez żalu. - Oczywiście, pana też przepraszam, señor Austin. I pragnę wziąć pańską siostrzenicę za żonę.

- Cooo? To absurd! - Wuj skoczył do przodu jak wściekły niedźwiedź. - I ani myślę pozwolić mojej siostrzenicy, aby wyszła za...

- Przykro mi, wuju, że sprawiliśmy ci zawód -przerwała Carly - ale sam mówiłeś, że takie rzeczy się zdarzają u ludzi w naszym wieku. - Udało mu się zmusić ją do małżeństwa, i nie było już od tego odwrotu. Jednak Ramon był o wiele lepszym kandydatem na męża. A przynajmniej będzie nim, gdy zrozumie jej intencje.

Mięsień na policzku Austina pracował nerwowo.

- Oczywiście istnieje problem różnych religii. -Ostatnia deska ratunku. Miał pociemniałe oczy, które mówiły jej: Skończ tę farsę, zanim będzie za późno.

Tym razem to Carly uśmiechnęła się triumfująco.

- Mój ojciec był Irlandczykiem. Byłam wychowywana w rodzinie katolickiej. - Co prawda nie była jeszcze w kościele od dnia przyjazdu do Kalifornii, lecz to nie zmieniało faktu, że wyznawała tę samą religię co Ramon. - Ksiądz na pewno nie będzie miał nic przeciwko naszemu małżeństwu.

- Vincent, powiedz coś. No, przemów, chłopcze.

- Caralee... Co ty chcesz zrobić? Jak możesz wyjść za tego...

- Ślub odbędzie się w niedzielę - powiedział zimno Ramon. Niemalże trząśł się ze złości. - W zaistniałych okolicznościach jestem pewien, że padre Xavier odstąpi od zapowiedzi. - Tymczasem w stodole pojawili się Montoyowie, jedna z ostatnich zamożnych i wpływowych rodzin o hiszpańskim rodowodzie. Na ich widok wuj aż skulił się w sobie. Zrozumiał, że nie może odrzucić oświadczeń Ramona, nie obrażając tych ludzi.

Carly wiedziała, że zwyciężyła.

- Jutro porozmawiam z księdzem – powiedział oschle don. W jego oczach wciąż płonął ogień i żądza zemsty. Carly poczuła ciarki na plecach. Nie widziała u niego takiego spojrzenia od poranka po dniu, gdy dokonali napadu. Obudziła się wtedy i ujrzała jego wysokie, czarne buty. Odegnęła tę wizję. Gdy mu wyjaśni, Ramon na pewno zrozumie.

- Caralee? - Vincent spojrzał na nią błagalnie. Wciąż nie mógł w to wszystko uwierzyć. - Czy ty naprawdę wyjdiesz za tego...

- Niestety, tak, Vincent. - Uśmiechnęła się do niego jeszcze bardziej słodko. - Przecież to jedyna honorowa rzecz, jaką teraz można zrobić.

Rozdział 12

Czy naprawdę minęły tylko trzy dni? Czasem wydawało się, że to cała wieczność, a czasem że kilka minut. Wuj Fletcher strasznie się pieklił i zabronił jej wychodzić z domu, lecz Carly nie ustąpiła. Vincent z ojcem wrócili do San Francisco. Młody Bannister był wściekły nawet bardziej niż don Ramon.

Wszyscy złościli się na nią, ale nic sobie z tego nie robiła.

Znowu walczyła o swoje życie.

Wyjrzała przez okno sypialni. Szare, nisko wiszące chmury zapowiadały deszcz, a silny wiatr poruszał konarami wielkich dębów, rosnących dookoła domu. Bezwiednie pomyślała o tym, kiedy nadejdzie burza i czy opóźni ich poranny wyjazd.

W ciągu godziny mieli wyruszyć do miasta i spotkać się z Ramonem w misji. Dziś miała wyjść za mąż.

Poniekąd wyjść za mąż.

Stojąc przed lustrem, przyglądała się swemu odbiciu. Wybrała suknię z perłowego jedwabiu z zapięciem pod szyją i długimi rękawami. Z przodu były drobne zakładki i rząd perłowych guziczków. Na spódnicy widniały paski w kolorze fuksji, a krótka pelerynka miała tej samej barwy jedwabną podszewkę.

Uwielbiała tę suknię. Była prosta, a zarazem piękna. Dobrze się w niej czuła, a dziś szczególnie potrzebowała dobrego samopoczucia. Musiała nabrać pewności siebie.

Zadrzała, ale nie z zimna.

Miała nadzieję, że przed ślubem porozmawia z Ramonem. Była pewna, że jej pomoże, gdy zrozumie, że te tylko małżeństwo z rozsądku i w dodatku jedynie na kilka krótkich miesięcy.

Niestety, wuj zabronił jej spotykać się z nim. A teraz będzie musiała spojrzeć w te pociemniałe ze złości oczy i nie ulęknąć się widoku zaciśniętych mocno szczęk. On pragnął pojąć za żonę kobietę czystej hiszpańskiej krwi, a nie skundloną pół-Irlandkę z osiedla górników w Pensylwanii. Ramon pomyśli, że złapała go w sidła, wrobiła w niechciane

małżeństwo, bo z pozoru wszystko tak właśnie wyglądało.

- Czy panienka jest już gotowa? - W drzwiach stała Candelaria.

- Prawie. Muszę jeszcze nałożyć czepek. - Podniosła go z łóżka, lecz dziewczyna złapała ją za rękę.

- A może zamiast niego włoży panienka to. - Podniosła piękną, białą mantylkę. - Należała do mojej matki. Niech panienka ją weźmie. Don Ramonowi też pewnie się spodoba.

Dotknęła pięknej hiszpańskiej koronki, czując ucisk w gardle. Przynajmniej udało się jej pozyskać jedną przyjaciółkę.

- Jest śliczna, Candelario. Z radością ją nałożę. - Wujowi to się nie spodoba, ale Ramon może zaakceptuje je strój.

A może tylko przypomni mu o prawdziwej Hiszpance, którą pragnął poślubić.

Poczuła w środku bolesny skurcz, dziwny ból, jaki nie powinien się pojawić. Zaczął się w żołądku, potem ogarnął pierś. Zmusiła się, by nie zwracać na niego uwagi. Zrobiła to, co musiała. Niedługo Ramon będzie wolny i wtedy poślubi kobietę, której naprawdę zapragnie.

Uśmiechnęła się, unosząc mantylkę nad głowę.

- I jeszcze to się przyda. - Dziewczyna wyciągnęła rękę z rzeźbionym, szylkretowym grzebykiem. - Odda mi panienka później. Wsunęła go we włosy Carly i udrapowała piękną koronkę na jej głowie i ramionach. Potem przyjrzała się swemu dziełu z pełnym zadowolenia uśmiechem.

- Teraz wygląda panienka jak hiszpańska narzeczona.

- Dziękuję ci Candelario. To piękny prezent ślubny. - Przełknęła, by złagodzić ból w ściśniętym gardle, po czym opuściła sypialnię i korytarzem przeszła do dużego, wysoko sklepionego pokoju, w którym czekał jej wuj.

Ujrzawszy ją, zacisnął mocno zęby.

- Widzę, że już wczułaś się w swoją rolę.

Zignorowała jego sarkastyczny ton.

- Wiem, że nie jesteś ze mnie zadowolony, wujku, ale może z czasem zrozumiesz, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam. - Już mu wybaczyła. Chciał tylko jej dobra. Może z biegiem czasu pojmie, dlaczego nie mogła wyjść za Vincenta. Może gdy to wszystko się skończy, przyjmie ją z powrotem do swego domu. Miała taką nadzieję. Wuj był jej jedyną rodziną.

A nawet jeśli jej nie zechce, znajdzie sposób, aby przetrwać bez jego pomocy.

Podróż do miasta przebiegła w pełnym napięcia milczeniu. Było późne popołudnie, żółte słońce unosiło się ponad czerwonymi dachówkami, gdy dotarli do San Juan Bautista,

tętniącego życiem miasteczka u podnóża gór Gabilan. Żłociste wzgórza pod ogromnymi, rozłożystymi dębami spoglądały na miasto, które pierwotnie było misją, a potem rozrosło się wraz z odkryciem złóż złota. Boom już minął, lecz wraz z napływem rdzennych Kalifornijczyków, przybywali także nowi osadnicy. Miasto zachowało hiszpański wygląd, charakteryzujący się budynkami z suszonej na słońcu, glinianej cegły.

Na ulicach panował duży ruch: tu wóz pełen rudy pochodzącej z nowo odkrytej kopalni rtęci w New Idria, tam dylizans firmy Wells, Fargo & Co., do którego wsiadali pasażerowie przed nowym, pięknym hotelem Plaža, dalej znów zepsuta *carreta*, ciągnięta przez sennego wołu, którego ciemnowłosa woźnica obrzucał stekiem hiszpańskich przekleństw.

Misja znajdowała się na otwartym, porośniętym trawą placu, otoczonym drzewami oliwnymi i kolorowymi, kwitnącymi kwiatami. Stanowiła centralny punkt miasta, wokół którego skupiało się całe życie. Kościół zbudowano w roku 1797 i był największym kościołem spośród wszystkich misji w Kalifornii, o czym Carly dowiedziała się, gdy padre Xavier oprowadzał ich po placu. Główny budynek miał dwa piętra i wysokie, łukowate skrzydło, dobudowane z boku. Całość zbudowano z białej cegły, w środku były drewniane ławy i łukowato zakończone kolumny, zaś ściany pomalowano niezwykle jasnymi barwami: były tam odcienie błękitu, czerwieni, purpury, żółci i zieleni. Z sufitu zwisały ogromne kandelabry z kutego żelaza, a umieszczone w nich świece oświetlały wnętrza żłocistym blaskiem.

Carly uśmiechnęła się do krępego księdza, który pokazywał im kościół. Miał łysiejącą głowę, ale zaprawione w pracy ręce wydawały się silne i muskularne, pod habitem zaś nie rysował się jeszcze wystający brzuszek.

- Ramon powiedział mi, że jesteś katoliczką -rzeki duchowny. - Jak to możliwe, że nie widzimy cię w kościele?

Nerwowo przygryzła wargę.

- Wybacz, ojcze, ale jestem w Kalifornii od niedawna, a jak wiesz, mój wuj jest innego wyznania. -Próbowała skoncentrować się na słowach księdza, lecz jej wzrok wędrował ku drzwiom w poszukiwaniu Ramona. Minęła już godzina wyznaczona na ceremonię zaślubin. Może zrezygnował i nie przyjedzie?

Poczuła nieprzyjemny skurcz. Zostałaby pohańbiona, a wuj skompromitowany, chociaż całkowicie sobie na to zasłużył. Mimo wszystko wierzyła, że Ramon przyjdzie, choćby dlatego, aby upewnić się, że ona nie zdradzi jego tajemnicy.

Lecz gdyby się nie zjawił, nie mogłaby go za to winić. A ona i tak nie wydałaby go

tylko dlatego, że nie chciał jej pomóc.

Czas mijał, jej dłonie coraz bardziej wilgotniały, wuj chrząkał co chwilę. Wszyscy byli zaniepokojeni.

Po kolejnych dziesięciu minutach serce Carly było coraz mocniej. Pewnie Ramon domyślił się, że jej pogrożka nie była na serio i postanowił nie przyjechać.

Patrzyła na drzwi, z trudem tłumiąc płacz. Powinna być zła, że jej plan się nie powiódł, lecz bardziej dokuczało jej uczucie rozczarowania.

- No i cóż, Caralee, jesteś zadowolona? – Wuj spojrzał na nią wściekłym wzrokiem. - To jasne, że de la Guerra się nie zjawi. Zniszczyłaś swoją reputację, swoje szanse u Vincenta, a teraz staniesz się pośmiewiskiem całej okolicy.

Przełknęła z trudem przez ściśnięte gardło. Nie chciało jej się nawet przypominać mu, że to właśnie on zniszczył jej reputację. A ona po prostu podjęła ryzyko, by powalczyć o własne życie, ale niestety przegrała. Naiwnie uwierzyła, że może ocalić swoje dobre imię nie wychodząc za Vincenta. Lecz za sprawą Ramona cały plan spalił na panewce.

Próbowała uśmiechnąć się, ale nie mogła powstrzymać drżenia warg.

- Chyba już czas, abyśmy wrócili do domu - powiedziała cicho.

Wuj tylko kiwnął głową. Jego twarz była równie czerwona jak alkowy świętych za ołtarzem.

- Bardzo mi przykro - odezwał się ksiądz. - Może zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Don Ramon nie łanie danego słowa.

Rzez chwilę w sercu Carly zawitał promyk nadziei, lecz jeszcze szybciej zgasł. Przecież on w zasadzie nie złamał obietnicy, gdyż nie obiecał, że przybędzie na ceremonię zaślubin. Ruszyli szerokim przejściem w kierunku wielkich, rzeźbionych drzwi wejściowych, lecz gdy byli już blisko, zaczęły się otwierać z cichym skrzypieniem.

Kiedy Ramon wszedł do kościoła, serce Carly jakby przestało bić. Zauważyła dopasowane, czarne spoinie, lecz tym razem bez srebrzystych ozdobników. Do tego miał prostą, białą koszulę z długimi rękawami i czarne buty z cholewkami. Strój świadczył o tym, że Ramon nie dostosował się do atmosfery radosnego świętowania.

Poczuła bolesne ukłucie, ale dumnie uniosła głowę. Spoglądał przed siebie twardym wzrokiem, czekając na matkę i ciotkę, które nadeszły po chwili w towarzystwie Pedro Sancheza. Obrzucił Carly przelotnym spojrzeniem, zauważył jednak elegancką, perłową suknię i mantylkę z białej koronki, zakrywającą jej głowę. Na moment w jego oczach dostrzegła błysk, który jednak szybko znikł.

- Wybacz spóźnienie... *mi amor*. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Mam nadzieję, że nie

było to dla ciebie kłopotliwe. - Jednak w jego twarzy nie widziała ani odrobiny żalu. Spóźnił się celowo. Chciał ją ukarać za wymuszenie tego małżeństwa. Jak mogła zapomnieć, że to także część Ramona?

- Pokazałeś nam, co o tym myślisz, de la Guerra. - Wuj Fletcher spojrzał na niego ostro. - A więc będzie ten ślub czy nie?

Skinął lekko głową.

- Ależ oczywiście. Przecież po to tu jesteśmy, prawda?

Carly nie odezwała się, gdy wziął ją za rękę i chwycił mocno, nieustępliwie, tak samo jak na nią patrzył.

- Ja... miałam nadzieję, że najpierw porozmawiamy - powiedziała. - Chcę ci coś wyjaśnić.

- Później będzie czas na rozmowy. Kazaliśmy księdzu czekać na nas już wystarczająco długo.

Nie wspomniała, że to on sam się spóźnił. Miał zły nastrój, więc zdecydowała, że lepiej będzie zamilknąć.

Ceremonia była krótka. Nie odbyła się wielka msza przed ołtarzem w obecności przyjaciół i rodziny, tak jakby sobie tego życzył Ramon, gdyby żenił się z kobietą z własnego wyboru.

Po raz pierwszy od początku tej całej historii poczuła wyrzuty sumienia. Nie postąpiła uczciwie wobec Ramona. Ale z drugiej strony i on nie był w porządku, gdy w czasie napadu wciągnął ją na konia i zmusił do marszu przez góry.

Wyprostowała się. Do diabła z nim! W końcu wszystko się ułoży. A na razie będzie go po prostu ignorować.

Patrząc przed siebie, pozwoliła, by ujął jej dłoń, usłyszała słowa małżeńskiej przysięgi, potem sama je powtórzyła. Wsunął coś na jej palec. Zobaczyła grubego złotego pierścień, herb rodziny de la Guerra, otoczony wianuszkami czerwonych kamieni. No i było już po wszystkim.

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego - powiedział ksiądz - ogłaszam was mężem i żoną. Możesz pocałować żonę, don Ramon.

Uśmiechnął się cynicznie. Przyciągnął ją mocno do siebie i pocałował gorąco. Aż jęknęła, czując wsuwający się w jej usta natarczywy język, czując jak cały trząsie się ze złości.

O Boże! Był bardziej szalony, niż myślała. Puścił ją tak niespodziewanie, że musiała chwycić go za ramiona, aby się nie przewrócić.

- Ramon, proszę cię, gdybyśmy mogli przez chwilę porozmawiać...

Wbił w nią ciężkie spojrzenie.

- Robi się późno. Idzie na burzę, a zanim dojedziemy do domu, będzie już ciemno. Będzie czas na rozmowy, gdy znajdziemy się w Las Almas.

- Ale...

Wziął ją pod rękę i podziękowawszy księdzu za posługę, wrzucił kilka monet do puszek na datki, po czym ruszył z Carly ku wielkim podwójnym kościelnym wrotom. Tuż za nimi szedł Pedro Sanchez w towarzystwie dwóch starszych pań. Na jego twarzy malowała się troska.

Z tyłu podążał Austin, a gdy wyszedł z kościoła, podszedł do powozu Ramona i wzięwszy Carly za rękę, uściskał ją nadspodziewanie delikatnie.

- Do widzenia, moja droga. - Spojrzał na dona, który stał obok z kamienną twarzą. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

I ona żywiła podobną nadzieję. Boże, nie spodziewała się, że do czegoś takiego dojdzie.

- Wszystko będzie dobrze. - Pod wpływem chwilowego impulsu uściskała go mocno. - Przykro mi, że wszystko tak wyszło.

Zawahał się, zaskoczony tym niespodziewanym gestem.

- To moja wina - mruknął. - Szkoda, że nie posłuchałaś mojej rady.

Tylko pokiwała głową. W tym momencie myślała podobnie. Nawet małżeństwo z Vincentem wydawało się lepsze od stawienia czoła rosnącej wściekłości Hiszpana.

Spojrzała, jak pomaga wsiąść matce i ciotce do podniszczonego już trochę powozu, którego czerń przyblakła z czasem, na skórzanej czerwonej tapicerce widniały liczne pęknięcia, zaś deski podłogi zaskrzypiały pod ciężarem pasażerek. Tymczasem do Carly podszedł Pedro Sanchez, trzymając w rękach kapelusz.

- Życzę ci jak najlepiej - powiedział ponurym głosem.

- On jest na mnie wściekły, Pedro. Gdyby tylko pozwolił mi wytłumaczyć...

Dotknął stwardniałą dłonią jej policzka.

- Już kiedyś wycierpiałas z powodu jego porywcze-go charakteru, *pequeña*. Nie powinnaś była tego zrobić. - Spojrzał na zawziętą minę Ramona i westchnął ciężko. - Ale może to palec Boży i w końcu wszystko stanie się według Jego woli.

- Nic na to nie wskazuje, Pedro. Gdyby tylko zechciał mnie wysłuchać.

Stary *vaquero* pokiwał głową.

- Z czasem złość mu przejdzie. I będziesz miała sposobność, żeby mu wytłumaczyć. -

Jednak po jego twarzy widziała, że nie miało to znaczenia.

Znowu poczuła ucisk w żołądku. Nie doceniła Ramona, gdy go poznała. Modliła się, aby teraz było inaczej.

W drodze do rancho Las Almas kobiety mało się odzywały, jedynie zdawkowo powitały ją w rodzinie i złożyły życzenia szczęścia w małżeństwie. Ramon milczał. Obok nich jechał Pedro na pełnym werwy dropiatym siwku. Zanim dojechali do małego ranca Ramona, na dachu powozu zabębniły kropelki deszczu, zaś ciemność zakryła kłębiące się chmury. Jednak było jeszcze dość światła, by zobaczyć rozłożoną pośród sykomor posiadłość, przez którą wił się wartki strumień, a wzdłuż jego brzegów rosły liczne wierzby. Budynki były w większości ceglane: stodoła, zewnętrzna kuchnia, wędzarnia i kilka solidnych zagród.

- Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowana -rzekł chłodno Ramon, pomagając jej wysiąść. - To tylko pięćset akrów, a nie dwadzieścia tysięcy jak na Rancho del Robles. Ale z czasem na pewno się przyzwyczaisz.

- Tu jest cudownie, Ramon. - Nie chcąc patrzeć na jego zaciętą minę, przeniosła wzrok na dwie kobiety, które nie uczyniły żadnego ruchu, aby wysiąść z powozu.

- Pedro się nimi zajmie. - Stary *vaquero* zsiadł z konia i przywiązał go do tyłu pojazdu, po czym zajął miejsce na koźle. Ramon rozchylił usta w chłodnym półuśmiechu.

- Przez kolejnych kilka dni moja matka z ciotką zamieszkają u przyjaciół... aby nowożeńcy mogli się lepiej poznać.

Przeszedł ją dreszcz grozy. To już zaszło za daleko.

- Ramon, musimy porozmawiać. I to bez zwłoki. Uniósł kształtne brwi, wykrzywając lekko usta.

- Jak sobie życzysz... *mi amor*.

- I przestań tak do mnie mówić!

Po raz pierwszy w jego spojrzeniu pojawiło się coś innego niż złość.

- Chodź. Porozmawiamy w domu.

Bogu dzięki. Doznała takiej ulgi, że aż poczuła słabość w nogach. Przynajmniej mogli omówić wszystkie sprawy, jasno i bez owijania w bawełnę. Pozwoliła, by zaprowadził ją do wnętrza małego ceglaneanego domu, w którym było ciepło od płonącego w kominku ognia. Wokół świeciły oliwne lampy. Od paleniska rozchodził się aromat palonego cedru, zaś na stole przy sofie czekał na nich posiłek złożony z chleba, zimnego mięsiwa i sera. Obok stała butla wina.

Ramon zamknął drzwi, które trzasnęły złowrogo, jakby podkreślając nieodwracalność sytuacji, w której się znalazła. Serce skoczyło jej do gardła. Gdy się do niej odwrócił, zaczęła

mówić. Słowa popłynęły nieprzerwaną falą, wyrzucane tak szybko, jak tylko zdołała poruszać wargami.

- Wiem, że jesteś na mnie zły i wcale cię o to nie winię. Miałam nadzieję, że uda się nam o tym porozmawiać tamtej nocy, gdy odbywało się *fandango*, ale wtedy nie było takiej możliwości. Przepraszam cię za to, co się wydarzyło, ale musiałam to zrobić. Nie chciałam wyjść za tego... półgłówka, Vincenta Bannistera, i nie obchodzi mnie, jak bogata jest jego rodzina. A po tym, co zrobił mi w tej stodole, musiałam kogoś poślubić. Na pewno to rozumiesz. Inaczej byłabym skompromitowana. A tak z czasem wszystko popadnie w niepamięć. Możemy uzyskać anulowanie małżeństwa i wtedy ożenisz się z kim tylko zechcesz. Oczywiście, moja reputacja trochę na tym ucierpi, ale nie zostanie kompletnie zniszczona. Mam nadzieję, że wuj przyjmie mnie do siebie, że do tego czasu zrozumie, że nie może mnie do niczego zmusić. Jeśli nie będę mogła wrócić do del Robles, pojedę gdzie indziej. Mogę wyjechać do San Francisco. Tam podobno nawet kobieta może znaleźć jakąś pracę. - Uniosła głowę, oblewając się rumieńcem. - Mam na myśli przyzwoite zajęcie. Jestem bardzo wytrzymała i sama sobie poradzę. Robiłam to już...

Urwała. Niemalże powiedziała mu, że brała do domu pranie w górniczym osiedlu. Przecież nie mogła mu tego powiedzieć.

- Skończyłaś?

- Tak... chyba tak. Chciałam cię tylko jeszcze przeprosić za to, że wciągnęłam cię w to wszystko i podziękować za pomoc... którą mi okazałeś, co prawda wbrew sobie.

- A teraz już skończyłaś?

Dlaczego wciąż tak się złościł?

- Czy rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć?

Przez jego twarz przemknęło krótkotrwałe zakłopotanie, ujrzała je także w jego oczach.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie zamierzasz honorować naszego małżeństwa? Ze to był tylko sposób na pozbycie się Bannistera?

- Oczywiście. Ja uwolniłam się od niego, a niedługo i ty uwolnisz się ode mnie. Wrócę do wuja albo znajdę pracę w...

Złapał ją za ramiona i gwałtownie przycisnął do swojej piersi.

- To chyba ty czegoś nie rozumiesz.

- Co... o czym ty mówisz? - Powiedziałaś, co miałas do powiedzenia, teraz moja kolej. Więc mówię ci, że ty i ja jesteśmy małżeństwem. Wziąłem cię za żonę przed obliczem Boga i księdza. Złożyłem ci przysięgę i nie zamierzam jej złamać. I ty... *querida*... także tego

nie zrobisz.

Patrzyła na niego długo, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Ty chyba... nie mówisz tego poważnie. Musimy uzyskać anulowanie małżeństwa. Ty nie chcesz mnie za żonę. Pragniesz Hiszpanki. I chcesz mieć hiszpańskie dzieci. Przysiągłeś to swojej rodzinie i przyjaciołom.

Uśmiechnął się kąciakiem ust, ale to nie był przyjemny grymas.

- *Si, chica*. Taką złożyłem obietnicę.

- Więc dlaczego nie możemy po prostu...

- Już ci powiedziałem dlaczego. Bo wypowiedzieliśmy słowa małżeńskiej przysięgi.

Bo wzięliśmy na siebie zobowiązanie przed świętym ołtarzem w kościele.

-Ale...

Jego oblicze stwardniało jeszcze bardziej.

- Tam jest nasza sypialnia - przerwał jej. Wskazał patio i ciężkie, dębowe drzwi, wychodzące z centralnego podwórza. - Idź i przygotuj się na przyjęcie swojego męża.

Zaschło jej w ustach. Spojrzała mu prosto w pociemniałą twarz.

- Chyba nie zamierzasz... chyba nie oczekujesz, że ja...

- Oczekuję, że zrobisz dokładnie to, co ślubowałaś zrobić w kościele Matki Boskiej. A teraz idź.

Przygryzła wargę, dusząc w sobie okrzyk przerażenia. To nie był Ramon. To był okrutny, bezlitosny człowiek, którego poznała w czasie drogi przez góry. To był hiszpański El Dragon.

Zebrawszy całą odwagę, uniosła głowę i z godnością wyszła z pokoju. Nogi miała jak z drewna. Po chwili znalazła się na podwórzu, przed drzwiami, które wskazał jej Ramon.

Drżącymi dłońmi odemknęła zasuwkę z kutego żelaza, otworzyła drzwi i stanęła w oświetlonym wnętrzu. Pokój był mały i czysty, przypominał jej trochę pokój Ramona w chatce w górskiej osadzie, tylko tutaj meble były ładniejsze, hiszpańskie, rzeźbione w ciemnym drewnie. Nie było ich wiele, ciężkie biurko z lustrem na blacie, duża rzeźbiona szafa, nocny stolik i ogromny, wypchany fotel, pokryty końską skórą.

Obok łóżka stała para butów z pięknej, czarnej skóry, do których przymocowane były srebrne ostrogi z dużymi, hiszpańskimi kólkami. Na drzwiach wisiał na długim plecionym, skórzanym pasku jeden z jego płaskich kapeluszy o szerokim rondzie.

Weszła dalej i z bijącym sercem zbliżyła się do łóżka. Na kołdrze leżała piękna, jedwabna nocna koszula, haftowana przy karczku w białe kwiatki, a dookoła leżały rozsypane aromatyczne płatki róż. Na ten widok ogarnął ją strach. Poczowała zawrót głowy. Na Boga,

wszyscy uwierzyli, że to małżeństwo jest na serio.

W każdym razie Ramon w to wierzył. Dlatego tak się wściekał. Nie chciał jej za żonę, ale zmusiła go do ślubu, nie zważając na jego uczucia, myśląc tylko o sobie. Myślała, że ją zrozumie, że zechce pomóc.

Zamiast dandysa pokroju Vincenta, miała męża, który nią gardził, bo zniszczyła mu życie.

Przycisnęła dłonią usta, by powstrzymać płacz, lecz coś chwyciło ją mocno za gardło. Nie, nie będzie płakała! Nie załamała się, gdy prowadził ją przez góry, więc i teraz tego nie zrobi. Ale to nie zmieniało faktu, że strasznie się bała.

Przypomniała sobie jego okrucieństwo podczas napadu, jaki potrafił być bezlitosny i zimny. Niewiele wiedziała o stosunkach damsko-męskich. Przerazała ją myśl, co Ramon może jej w złości zrobić.

Drżącymi palcami podniosła jedwabną koszulę, poczuła chłodny materiał. W tym momencie rozległo się ciche pukanie, przyciągając jej uwagę. Pukanie było delikatnie, więc na pewno za drzwiami nie stał Ramon.

Zmusiła się, by przejść przez pokój i otworzyć ciężkie drzwi. Ujrzała niską, lekko przygarbioną Indiankę, która wchodząc, uśmiechnęła się, marszcząc twarz.

- *Buenos noches, señora de la Guerra.* Moje imię to Błękitna Derka. Don Ramon przysłał mnie, abym pomogła pani przygotować się do łóżka.

Już na sam dźwięk słowa „łóżko” poczuła gorący rumieniec, skurcz w brzuchu i wilgoć na dłoniach. Przycisnęła je do szarej, jedwabnej spódnicy, aby się tak nie trzęsły. Tłumiąc nagłą potrzebę ucieczki, spojrzała w stronę okna. Jednak ten pomysł nie był dobry, wszak nie miała ani pieniędzy, ani miejsca, do którego mogłaby się udać. A gdyby nawet, i tak nie wiedziałyby, jak tam dotrzeć. Poza tym sama sprowadziła sobie na głowę cały ten kłopot, uruchomiła całą sekwencję wydarzeń. Pozostało jedynie wypić nawarzone przez siebie piwo.

- Dziękuję ci, Błękitna Derko - rzekła cicho.

- Wystarczy samo Błękitna. Proszę tak do mnie mówić.

Ze strachu czuła mdłości. Stojąc sztywno, pozwoliła, by kobieta rozpięła jej guziki na plecach perłowej sukni. Błękitna pomogła jej zdjąć ubranie, warstwy bielizny, potem rozwiązała i ściągnęła z niej gorset. Na końcu, ponaglana lekko, Carly zdjęła halkę i reformy i stojąc sztywno czekała, aż Indianka nałoży jej przez głowę jedwabną nocną koszulę. Błękitna rozczesała jej włosy, po czym uśmiechnęła się szeroko, ukazując bezzębne dziąsła.

- Powiem don Ramonowi, że jest pani gotowa. -Bezszelestnie wycofała się z pokoju,

zostawiając Carly w ciszy, która brzmiała o wiele tragiczniej niż podzwonne.

* * *

Ramon uniósł ciężki, kryształowy kieliszek, należący do rodzinnego dziedzictwa, które przywiózł z Hiszpanii, odchylił głowę do tyłu i dopił brandy. Nadal dyszał z wściekłości, podobnie jak przez ostatnie trzy dni.

Nie mógł uwierzyć, że jest żonaty, że dał się zrobić jak naiwny młodzieniaszek. A najbardziej niewiarygodne było to, że kobietą, która tego dokonała, była Caralee McConnell, siostrzenica Fletchera Austina. Co gorsza, to przecież *gringa*.

Miał ochotę skrócić jej kark.

Uśmiechnął się zimno, z goryczą. Przynajmniej ona teraz ogrzeje mu łóżko. Zamierzał osiąść ją, tak jak tego pragnął od chwili, gdy się poznali. Chciał w nią wejść twardo i głęboko, aż zaspokoi swoją żądzę. Na samą myśl odczuł podniecenie. Poprzez bryczesy sterczała jego erekcja, pulsując krwią, rosnąc coraz bardziej.

Carly wymusiła to małżeństwo. Wykorzystała go, aby ocalić własną skórę. Cóż, teraz jest jego żoną i on będzie rym, który zrobi sobie z niej użytek.

Postawił kieliszek na stole. Nie zdając sobie sprawy, że pada rześisty deszcz, otworzył szeroko drzwi prowadzące na patio. Owiał go zimny wiatr, ale był zbyt wściekły, zbyt podniecony, aby go poczuć. Gdy dotarł do swojej sypialni, nie zapukał, po prostu odsunął zasuwkę i pchnął ciężkie, dębowe drzwi.

Stała koło łóżka, ubrana w białą, jedwabną koszulę nocną, którą ciotka uszyła dla niej jako ślubny prezent. Miała rozpuszczone włosy, które lśniły jak wypolerowana miedź w świetle stojącej na toalecie lampy. Zadrżała, gdy wszedł do środka i spojrzała na niego szeroko otwartymi, zielonymi oczami.

Była tak piękna, że na chwilę zabrakło mu tchu. Poczul, jak ogarnia go jakieś ciepło, które zmiękcza twardą barykadę wokół serca. Widział już tę koszulę, gdy szyła ją ciotka. Wiedział, że jest śliczna, ale nie wyobrażał sobie nawet, jak pięknie będzie wyglądała na Carly. Nie przewidział, jak cudownie będą lśniły rozpostarte na ramionach miedziane włosy, jak biel jedwabiu podkreśli jasną barwę jej skóry i szmaragdowe oczy.

Nie myślał, jak bardzo będą drżały jej miękkie, rubinowe wargi, chociaż, jak zwykle, mimo niepewności, wysoko trzymała głowę.

Poczul dziwny ból, skurcz, który rozprzestrzenił się i wywołał suchość w jego ustach. Nie podobało mu się to ani trochę, że jedno spojrzenie na Carly podziałało na niego aż tak

mocno.

Powiódł po niej wzrokiem, ogarniając kobiece krągłości. Zatrzymał spojrzenie na ciemnych aureolach wokół sutków, czując wzmożone pulsowanie w kroczu. Otaksował jej wąską talię, ciemny trójkąt między nogami. Słyszał krew tętniącą w swoich żyłach.

- Widzę, że zaakceptowałaś to, co ma nastąpić. To dobrze. - Milczała, gdy rozpinał i zrzucił koszulę, a potem usiadł i zzuł buty. Deszcz bębnił głośno w pokryty gontami dach, ale w głowie Ramona więcej hałasu robiło bicie własnego serca.

Wstał i zaczął rozpinać rozporek.

- Ramon?

Zamarł. Na sam dźwięk swojego imienia, które padło z jej ust, poczuł wszechogarniające pożądanie, pobudzane dodatkowo złością... i niechcianymi emocjami.

- Czas rozmowy mamy już za sobą. – Rozpiął ostatni guzik na przodzie bryczesów, ale nie zdjął ich, tylko podszedł do miejsca, gdzie stała. - A teraz nie chcę słyszeć słów, ale twoje kobiece jęki i krzyki, gdy będę w ciebie wchodził.

Załkała cicho. W tym odgłosie było tyle niepodobnego do niej przerażenia, że podniósł wzrok na jej twarz. Dolna warga Carly trzęsła się, w oczach lśniły łzy,

- Wybacz mi, Ramon. Chciałabym cofnąć to, co się stało.

- Mówiłem ci, że nie chcę słyszeć...

- Wiem, jak bardzo jesteś zły... i że to wszystko moja wina. - Zamrugła, a łzy zaczęły płynąć po jej policzkach. Pamiętał, jak bardzo nie lubiła płakać. -Odczułam na sobie twoją złość - powiedziała cicho. Smutek w jej oczach wzruszył go bardziej niż cokolwiek innego. - Poznałam też twoją delikatność. Błagam cię, Ramon. Okaż mi ją teraz.

Poczuł skurcz w sercu. Jeszcze przed chwilą resztką sił tamował swój gniew, który lada chwila mógł wybuchnąć z wielką mocą, a teraz nagle wszystko gdzieś znikło. Pojawiły się natomiast uczucia, które miał do niej i które w sobie tłumił. Poczuł, jak drży mu ręka, gdy otarł łzy z jej jedwabistych policzków.

- Nie płacz, *querida*. - Pocałował ją w skroń. Trzęsła się cała. - Nawet gdybym chciał, nie umiałbym cię znowu skrzywdzić.

- Przepraszam cię, Ramon. Tak strasznie cię przepraszam.

Przechylił palcami jej podbródek i zajrzał w te smutne oczy, po chwili musnął ustami jej wargi.

- To ja powinienem cię przeprosić. Wszyscy popełniliśmy błędy. Jestem ostatnim człowiekiem, który mógłby o tym zapomnieć. - Ujął jej twarz w dłoń, powiódł kciukiem po kształtnej szczęce. Znowu się pochylił i posmakował jej miękkie, drżące usta.

- Nie bój się - wyszeptał. Gładził ją delikatnie, uspokajająco. - Pragnąłem cię od chwili, gdy cię poznałem. A teraz jesteś moją żoną. Musisz mi zaufać, tak jak zaufałaś już kiedyś.

Patrzyła na niego, tłumiąc cisnące się do oczu łzy. Na twarzy Ramona widać było łagodność i coś więcej, od czego poczuła, jak rośnie w niej serce. Wyciągnęła doń ręce i objęła za szyję.

- Ufam ci. - To był jej Ramon. Mężczyzna, który ocalił jej życie. Wrócił do niej. Przestała się bać.

Za oknem zalśniła błyskawica. Muskał policzek i szyję Carly ciepłymi, natarczywymi ustami. Dotykał językiem, aż dostawała gęsiej skórki, całym ciałem wtapiając się w jego wysoką, masywną postać. Przyciskał nagą pierś jej biust przez warstwę jedwabiu. Wypinała ku niemu nabrzmiałe sutki.

Wycisnął na jej wargach ognisty pocałunek, od którego zakręciło się jej w głowie. Językiem penetrował wnętrze ust Carly, dłonią sięgając ku jej piersi. Pieścił palcem sutek, szczyptał go i ciągnął, aż napiął się niczym gotowy do rozkwitu pąk. Bezwiednie pochyliła się, przesuując dłonią po jego ramionach, owłosionej piersi. Zarost był miękki, zarazem sprężysty, działał podniecająco, gdy czuła go na swojej skórze. Pod palcami poczuła napięte mięśnie. Jęknął cicho.

Pocałował ją jeszcze raz i zsunął koszulę z ramion Carly, która została nago, gdy jedwab opadł koło jej stóp. Na chwilę odsunął się, aby na nią popatrzeć, stojącą przed nim bez odzienia.

- Jesteś piękna - powiedział zduszonym głosem. -Ale to zawsze wiedziałem.

Za oknem wiatr smagał gałęzie drzew, zaś niebo rozwarło się, uwalniając ogromne ilości wody, która spadła na ziemię z głośnym hukiem. Objął ją wpełni i przyciągnął do siebie, aby poczuła twardą męskość. Rozdzierał gorącymi wargami jej usta, rytmicznie drażąc językiem, rozpalając w niej ogień, który ogarniał powoli całe ciało Carly. Całował ją namiętnie, delikatnie ugniatając pierś, sztywniejącą pod jego dotykiem.

Błyskawica rozdarła niebo, po chwili zawtórował jej głośny grzmot, który rozległ się jakby na jego rozkaz. Zacisnęła palce na ramionach Hiszpana, potem przesunęła je po jego masywnych plecach, czując, jak twardnieją, poruszają się pod skórą. Wodził dłońmi po ciele Carly, zakręcił małe kółko wokół pępka, by w końcu położyć rękę niżej. Długie, szczupłe palce wsunęły się w połyskujące włoski wokół krocza, rozchyliły jej uda i wniknęły do środka.

Jęknęła.

- Spokojnie, Cara. - Pocałował ją ogniście. Wkładając i wysuwając palec, dotykał nabrzmiałego koralika w fałdach jej kobiecości, wywołując gorący dreszcz na całym ciele Carly. Znowu jęknęła, prężąc się i wypinając do jego dłoni.

- Podoba ci się to?

- Takkk... - Powinna się wstydzić, ale potrafiła myśleć tylko o ognistych doznaniach, przenikającej ją przyjemności, rytmicznych ruchach palców Ramona. Po chwili uniósł ją, położył na środku łóżka i szybko ściągnął spodnie. Słyszała wycie wiatru za oknem, czuła chłód płatków pod rozgrzаныmi plecami.

Drżąc na całym ciele, patrzyła zafascynowana, jak kładzie się przy niej, lśniący, muskularny, ciemnoskóry. Pod pępkiem sterczała jego nabrzmiała męskość. Widziała już nagich mężczyzn, gdy pomagała opatrywać ich w górniczym osiedlu, ale żaden z nich tak nie wyglądał.

- Ramon?

Okna zadrgały pod wpływem nagłego podmuchu. Wygiął się nad jej ciałem i pocałował dziko w usta. Powiodł językiem po gładkiej szyi, delikatnie pieścił płatek ucha.

- *Si, querida?*

- Jesteś taki... wielki.

Zaśmiał się gardłowo.

- Wszyscy mężczyźni są tacy, Cara, gdy się kochają.

- Wszyscy? Wszyscy są tacy ogromni?

Znowu parsknął śmiechem.

- No, może nie aż tak ogromni. Ale dopasujemy się... zobaczysz.

Dopasujemy? Nie bardzo wiedziała, co miał na myśli. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak mało wie o tych rzeczach.

- W jaki sposób ty... my...

- Ciii, *querida*. Nic nie mów. Pokażę ci, jak to się robi.

Pieścił jej pierś, aż sutek znowu nabrzmiał niczym dojrzały pąk. Usta poszły śladem jego palców. Zaczął go ssać, a Carly zapomniała o całej niepewności, czuła jedynie ogarniające ją płomienie. Żar przenikał jej ciało, wżerał się w żyły, zalewał wilgocią jej gniazdko.

Znowu pieścił ją palcami, wsuwał je do wnętrza, a ona wyginała się ku niemu. Kolejna błyskawica rozdarła niebo. Pokojem wstrząsnął huk pioruna, płomyk lampy stojącej koło łóżka zakołysał się, na chwilę jakby przygasł. Carly pojękiwała cicho, poruszając głową na boki. Wdzierał się wargami w jej usta, dłońmi gwałtownie pieścił jej ciało, które ogarniał

niedający się opanować ogień. Pieścił językiem jej pierś, lekko chwycił zębami sutek, wzbudzając w niej kolejną falę pożądania.

- Ramon - wyszeptała, podrygując dziko. Przesunęła dłonią po jego włosach, które przypominały czarną satynę.

Włożył w nią drugi palec, przygotowawczo rozsuwając ją na boki, wyzwalając kolejny spazm rozkoszy. Ogarniały ją płomienie, wiła się na łóżku, błagając o coś, czego jeszcze nie umiała nazwać.

I wtem ujrzała go nad sobą. Kolanem rozchylił jej nogi, pieszcząc jeszcze głębiej. Zatrzęsła i spięła się, zwinęła w sprężynę oczekującą wyzwolenia.

Zabrał palce, wsuwając w ich miejsce swoją nabrzmiałą męskość. Wchodził w nią powoli, rozciągając ją, wypełniając.

Dobry Boże... nawet sobie nie wyobrażała...

Zatrzymał się na chwilę. Dysząc szybko, nieregularnie, nachylił się nad Carly i znowu wtargnął językiem w jej usta. Wygięła się w tej samej chwili, gdy pchnął mocno przed siebie. Coś w niej pękło, aż zawyla z bólu. Ramon znieruchomiał.

- Przepraszam, Cara. Już zaraz będziesz miała za sobą swój pierwszy raz.

Czuła, jak napina swe silne mięśnie, jak stara się nad sobą zapanować.

- Ale... ja nie chcę mieć tego za sobą... ja chcę... Uśmiechnął się kącikiem zmysłowych ust.

- *Si*, wiem, czego chcesz, Cara. Bałem się, że sprawiłem ci ból. - Zaczął się powoli poruszać. - Przekonajmy się, czy potrafię ci dać to, czego pragniesz. - Jego męskość wchodziła w nią, wysuwała się, ocierając o miejsce, które wcześniej dotykał. Poruszał się coraz szybciej, wchodził coraz głębiej w rytmie, od którego jeszcze mocniej się trzęsła. Cały dom drgał od mocnych podmuchów wiatru, burza osiągała szczyty, tak samo jak ogień trawiący wnętrzości Carly. Rytm stawał się coraz szybszy. Wąskie pośladki Ramona zaciskały się, pchając go głębiej, prędeż i mocniej, by nadażyć za szalejącą na zewnątrz burzą.

Ściśnięta w Carly sprężyna obudziła się do życia. Wbiła paznokcie w muskularne ramiona, czując jeszcze mocniejszy ucisk w dolnej części brzucha. Krew z szumem pędziła w jej żyłach. Napięcie wzmagало się, wyciskając na jej skórę kropelki potu.

I nagle ta rozgrzana, nakręcona sprężyna uwolniła się, wymknęła spod kontroli. Carly leciała i leciała gdzieś wysoko, szybowała na srebrnych skrzydłach ku miejscu o niezwykłej słodczy, ku światu rozkoszy, jakiej dotąd nie znała.

- Ramon! - krzyknęła, wyprężając ciało, wciągając go jeszcze głębiej. W jej oczach

rozbłyskały złote gwiazdy. Owładnęła nią nieziemską przyjemność, spłynęła na nią fala ciepła i rozkoszy tak słodkiej, że czuła jej smak na języku.

Ramon napinał się coraz bardziej. Rytmicznie wchodził w nią, by po chwili odrzucić głowę do tyłu i krzykiem dać jej znać, że dotarł do tego samego miejsca. Przywarła do niego, jakby w obawie, że sama nie odnajdzie powrotnej drogi.

Poczuła na czole jego usta. Całował jej oczy, nos, wargi. Wiatr na zewnątrz jakby zelżał, szumiąc pośród drzew. Deszcz bijący w dach szemrał miarowo. Ramon przewrócił się na bok, przytulając Carly mocno do piersi, wciąż połączony z nią w miłosnym zwarciu.

Delikatnie odgarnął włosy z jej twarzy.

- Wybacz, że sprawiłem ci ból. Ale on przychodzi tylko jeden raz.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Nie sprawiłeś mi bólu. Tylko w jednej chwili poczułam niemiłe ukłucie. Chętnie znowu zapłacę tę cenę.

Poruszył się w miejscu, gdzie ich ciała wciąż były złączone. Wrócił dłonią do jej piersi, wodził po jej zaokrąglonych konturach, pobudzając sutek. Znowu zeszywniał w jej wnętrzu, wywołując w niej następny strumień gorąca.

- Ramon...? - szepnęła.

Położył ją na plecach, nie wychodząc z jej wnętrza ani na chwilę.

- Jeśli cię boli, nie wezmę cię drugi raz.

Uśmiechnęła się, spoglądając na jego piękną, ciemną twarz.

- Czuję się cudownie.

Kiwnął głową.

- To dobrze. Bo znowu cię pragnę. Zbyt długo byłem bez kobiety.

To ją ubodło. Dzięki niemu poczuła się tak wyjątkowo, ale on zachowałby się podobnie, gdyby był z kimś innym. Zamrugła, by odegnąć łzy, cisnące się do jej oczu. Coś ścisnęło ją za gardło.

On po prostu potrzebował kobiety.

A teraz miał żonę.

Tymczasem Ramon znowu zaczął ją całować, poruszać się w jej wnętrzu i cały smutek gdzieś znikł. Już po chwili zaczęła skręcać się pod nim, chwyciła go za ramiona, jęcząc, owładnięta namiętnością. I znowu doszła do słodkiego miejsca, do którego doprowadził ją przedtem. Ramon zadrżał całym sobą i znieruchomiał.

Położył się obok, przytulając ją, otulając swoim ciepłem, długimi palcami gładząc jej włosy.

- Ramon?

- Spij, Cara. Za nami długi dzień, a jutro będziesz obolała.

Na te słowa zarumieniła się. Po raz pierwszy dotarło do niej, co zrobili i jak odważnie się zachowała. Chciała spytać, czy było mu dobrze, ale miał zamknięte oczy i myślał chyba o czymś innym. Może mężczyźni zawsze tacy są po miłosnym akcie. Nie miała o tym żadnej wiedzy.

Zamknęła oczy, lecz nie mogła zasnąć. Słuchała szumu deszczu i wiatru, starając się nie myśleć o tym, co się wydarzyło. Lecz nieustannie w jej głowie kłębiły się wizje związane ze ślubem, który wymusiła. Miała świadomość, że jej mąż jest banitą, że jego życie jest w ciągłym niebezpieczeństwie.

Leżąc w ciemności, zastanawiała się, o czym myśli Ramon, ale nie śmiała go zapytać. Sprawiała mu już wystarczająco dużo kłopotów.

Kuląc się u jego boku, w końcu zasnęła.

Kiedy obudziła się rano, zobaczyła, że miejsce obok niej jest puste.

Rozdział 13

Ramon zawrócił dużego, gniadego rumaka w kierunku Liano Mirada. Jechał pod górę z doliny, zagłębiając się między niewysokie wzgórza. W górze jasno świeciło słońce, osuszając zmoczoną deszczem ziemię. Małe stadko jeleni, kozioł i sześć łani, pasło się na łączce, zaś ponad drzewami szybował złocisty orzeł o cętkowanych piórach, które mieniły się w ciepłych promieniach.

Wyjechał z domu o świcie, pędzony nie dającą się opanować potrzebą ucieczki. Musiał zaczerpnąć świeżego, chłodnego górskiego powietrza, aby oczyścić myśli i spróbować zrozumieć, co się stało.

Potaął dłonią nocny zarost i opuścił kapelusz nieco niżej na czoło. Powinien był zostać w Las Almas i podjąć obowiązki wynikające z odpowiedzialności za nową rodzinę. A tymczasem zostawił żonie krótką, suchą notatkę i oddalił się konno między wzgórza.

Musiał to zrobić. Musiał uciec przed wstrętem do samego siebie za to, jak się zachował. W zimnym świetle poranka został zmuszony stanąć w obliczu prawdy, tego, co się wydarzyło od czasu tamtego pierwszego *fandango*.

Po raz drugi w czasie znajomości z Caralee McConnell złość, którą czuł do niej, powinien skierować na swoją osobę.

Zaklął siarczyście. W rzeczy samej Carly wcale nie wymusiła na nim małżeństwa. Nie było kobiety na świecie, która mogłaby tego dokonać, gdyby jej nie chciał. Okłamywał samego siebie, tak jak wcześniej.

Tamtego wieczoru w stodole, gdy spojrzała na niego błagalnie, prosząc o pomoc, całą siłą woli musiał się powstrzymać, by nie powalić Vincenta Bannistera na ziemię i nie zabrać Carly ze sobą. Ocalił go jej sprytny plan. Bóg jeden wie, co by zrobił kilka minut później.

Wówczas był tak skołowany emocjami, że w odruchu obronnym zaczął okazywać złość. Drażyło go to przez trzy kolejne dni, aż do wczorajszego wieczoru, gdy zbliżył się do ich małżeńskiego łóżka.

Ale gorzka prawda była taka, że naprawdę pragnął Caralee McConnell. Do tego stopnia, że złamał dane kiedyś słowo. Zignorował swe zobowiązania wobec rodziny i ludzi, których los od niego zależał. Co gorsza, gdy już zaciągnął Carly do swojego łóżka, czuł do niej coraz większe pożądanie. Mimo że była siostrzenicą Fletchera Austina i Amerykanką.

Skierował konia ku grzbietowi wzgórza, pozostawiając ślady w błocie, lecz myślami wciąż był przy Carly i nie dającej się zdławić żądzy. Jego brat także jej pożądał. Tak bardzo, że dał się zabić.

Ale to nie była jej wina. Nic, co się wydarzyło od dnia ich pierwszego spotkania, nie stało się z jej winy. Mimo to nie wiedział, jak zareagują matka i ciotka, gdy dowiedzą się, że to ona wszczęła alarm w noc napadu na ranczo. Modlił się, aby do tego nie doszło.

Przypomniał sobie, jak z niej zadrwił w czasie ślubu, i okrutne słowa, które rzucił jej w twarz wieczorem. Poczł wyrzuty sumienia, tak silne, że na czole pojawiły mu się kropelki potu. Potraktował ją źle, kierowany niepewnością powiedział i zrobił rzeczy, których tak naprawdę nie chciał.

W pewien sposób nie miał wyboru. Nie mógł sobie pozwolić, by w pełni odczuć to, co w nim wzbudziła, nie mógł pojąć tej przemożnej potrzeby, aby ją chronić. Nie podobało mu się uczucie zazdrości, jakiego doświadczał, gdy jakiś inny mężczyzna po prostu patrzył w jej kierunku, ciepło, jakiego zaznawał, gdy była blisko.

Zatrzymał konia na grzbiecie wzgórza i spojrzał za siebie na dolinę. Las Almas już dawno zostało za horyzontem, ale wciąż jeszcze widział zachodnią granicę dwudziestu tysięcy akrów Rancho del Robles. Ziemi, która powinna należeć do niego, której odzyskanie obiecał swojej rodzinie, a która teraz była własnością Fletchera Austina, jedyne żyjącego krewnego amerykańskiej żony Ramona.

Znowu pomyślał, że powinien być zostać. Ciekawe, co ona pomyśli, gdy odkryje, że zostawił ją nazajutrz po ślubie. Przynajmniej posiadał ją delikatnie. W głębi duszy wiedział, że

nie postąpiłby inaczej, nawet gdyby się strasznie pieklił i wygrażał.

Przypomniawszy sobie jej ognistą namiętność, niesamowite pożądanie, które w nim wzbudziła, gorętsze niż kiedykolwiek czuł do kobiety. Nawet Lily nie umiała tak go rozgrzać, jak jego mała żona. A mimo to dał jej do zrozumienia, że jest jak każda inna, którą brał sobie do łóżka.

Lecz nie była to prawda. Pragnął jej niemal obsesyjnie, lecz *gringa* nie mogła się o tym dowiedzieć. One miały inne pojęcie o małżeństwie niż Hiszpanki. Przyprawienie rogów mężowi, sypianie z tuzinem innych mężczyzn nic dla nich nie znaczyło. Zażywały przyjemności, kiedy tylko miały po temu okazję.

W Hiszpanii obracał się w kręgach zamożnych podróżników, głównie Amerykanów, Anglików i Francuzów. Tam właśnie poznał Lily, w sewilskiej willi swojego przyjaciela. Z początku był nią oczarowany. W następnych latach sypiał z dziesiątkami innych, takich samych jak ona.

Być może Caralee okaże się inna. Miał nadzieję, że tak będzie, ale żadnej pewności nie było.

Ufał jej w wielu sprawach, lecz nie mógł jej powierzyć kluczy do swego serca.

Ruszył galopem, spod końskich kopyt wzbijały się kawałki wilgotnej ziemi. Musiał załatwić pewne sprawy w osadzie, a te kilka dni z dala od Carly pozwoli mu odzyskać samokontrolę. Do jego powrotu Sanchez i kilku innych *vaqueros* zapewnią jej bezpieczeństwo. Za trzy dni do domu wrócą matka z ciotką, więc nie będzie już sama.

Starał się zignorować drążący go żal z powodu trzech dni, których nie spędzi w ramionach swej ognistej żony.

* * *

Zostawił jej kartkę na kominku. Napisał, że ma do załatwienia parę spraw w osadzie, ale Carly dobrze wiedziała, co się za tym kryło. Ramon posiadał ją ostatniej nocy, gdyż potrzebował kobiety, ona zaś nie dała mu przyjemności. Co gorsza, poczuł się odepchnięty.

Czuła ucisk w piersi i dławienie w gardle. Chodziła tam i z powrotem po ciepłym pokoju, nie zwracając uwagi na ciemne, rzeźbione belki na suficie i trzaskający ogień w dużym, kamiennym kominku. Na białych ścianach wisiały portrety rodziców Ramona, jego ciotki i brata. Białe koronkowe serwetki leżały na oparciu sofy, rozjaśniały ciemne, dębowe stoły. Carly ledwie je zauważyła. Za bardzo ciążyło jej poczucie winy i straszliwa świadomość porażki.

Wcześniej rano przyszedł do niej Pedro Sanchez. Powiedział jej, że pod nieobecność Ramona będzie bezpieczna. *Vaqueros* otrzymali instrukcje, aby jej pilnować, gdy Ramon rozmawiał z nimi przed odjazdem. Błękitna miała zająć się gotowaniem i sprzątaniami. Tak więc Carly powinna czuć się dobrze \o czasu, gdy jej mąż wróci do domu.

Tak, powinna czuć się dobrze.

Jednak wcale się tak nie czuła.

Miała mdłości na myśl o pięknej kobiecie, która czekała na Ramona w Llano Mirada. Gdyby tylko miała nieco więcej czasu, nauczyłaby się, jak sprawiać mu przyjemność.

Zdała sobie sprawę, że tego właśnie pragnie bardziej niż cegokolwiek na świecie - sprawiać mu przyjemność.

Dlatego, że jest w nim zakochana.

Siadając na sofie, poczuła przeszywający ból. Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegła? Dlaczego tak długo skrywała prawdę przed samą sobą? Kochała Ramona od chwili, gdy obronił ją przed Villegasem, i może nawet jeszcze wcześniej.

Może pokochała go w chwili, gdy zobaczyła, jak siedzi koło jej łóżka i modli się za nią.

Może więc, skoro go kochała, właśnie dlatego wymusiła na nim to małżeństwo. Wówczas nie przyszło jej to do głowy. Wiedziała, że to konieczne, jedyne wyjście z sytuacji. Lecz może w głębi duszy pragnęła Ramona tak bardzo, że była gotowa zrobić wszystko, aby go zdobyć. Jeśli tak, okazała się nie lepsza od Vincenta Bannistera. Na tę myśl poczuła w sercu bolesny skurcz.

Minęły trzy dni. Z początku czuła się zażenowana. Ramon wyjechał od razu po nocy poślubnej, o czym wiedzieli Pedro, *vaqueros* i wszyscy inni w Las Almas. Spędzała całe godziny wędrując po domu, a potem zaprzyjaźniła się z małym Bajito, łaciatym psiakiem, który w dniu wyścigu paradował na grzbiecie rumaka Rey del Sol.

Pies spał w jednej ze stajni obok swojego dużego przyjaciela, ale uwielbiał się bawić. Carly wywabiała go na zewnątrz, aby rzucać mu kijek, który chętnie aportował. Potem codziennie przychodziła do stajni z kostką cukru dla Reya i resztkami z kolacji dla Bajito.

Pewnego dnia, gdy siedziała na podłodze w stajni, bawiąc się z kudłatym kundelkiem w przeciąganie kawałka szmatki, którego jeden koniec trzymała w ręku, a drugi szarpał zębami jej mały przyjaciel, usłyszała *vaqueros*, rozmawiających pod oknem stajni.

Pancho Fernandez był w del Robles owego wieczoru, gdy odbywało się *fandango*. Usłyszał o tym, co wydarzyło się w stodole, jak don Ramon dał się wrobić w małżeństwo, i podzielił się tą wiedzą z kolegami. Powiedział, że Ramon tak naprawdę wcale jej nie chciał i

dlatego zostawił ją samą.

Poczuła ucisk w gardle. To wszystko prawda, która okazała się bardziej bolesna, usłyszana z ust *vaquero*.

- Nie wierzę w to - odezwał się inny mężczyzna. Carly cofnęła się, aby jej nikt nie zauważył. - Jakież zdrowy na umyśle mężczyzna by jej nie chciał? Poza tym widziałem, jak on na nią patrzy. Ma w oczach coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem.

Na te słowa zapłonął w niej mały promyk nadziei, obudziła się przygaszona iskierka. Może nauczy się dawać mu przyjemność i zdobędzie jego miłość. Nadzieja rosła z każdym dniem i - o dziwo - wzmocniła się jeszcze bardziej wraz z powrotem jego matki i ciotki, które wyraziły zdziwienie z powodu nieobecności Ramona.

- Musiał wyjechać w jakichś ważnych sprawach - wyjąkała zaczerwieniona Carly. - Na pewno wróci, gdy tylko będzie mógł.

Matka Ramona zmarszczyła czoło, ale ciotka uśmiechnęła się radośnie.

- Nie martw się, *niña*. Mój bratanek nie ma doświadczenia w roli męża. Na razie trochę się denerwuje, ale wróci do siebie.

Była wdzięczna starszej pani za te słowa. Tia Teresa miała sposób na usuwanie dzielących je barier. Przypominała Carly jej babkę, Irlandkę, która mieszkała z rodziną McConnell w górniczym osiedlu, kobietę wielkiej odwagi i ogromnego serca. Carly uwielbiała ją, jej opowieści o koszmarnej podróży z ojczyzny do Ameryki, dotyk jej spracowanych dłoni, którymi delikatnie zaplatała jej warkocze, a nawet zapach whisky, który od czasu do czasu wyczuwała w jej oddechu.

Babcia McConnell już nie żyła, lecz już po kilku dniach Carly poczuła niemal tę samą bliskość z tia Teresą, bliskość, jakiej nie zaznała z żadną inną kobietą od czasu śmierci matki.

- Jesteś zajęta, *tia*! - Carly zbliżyła się do niej pewnego wieczoru, gdy matka Ramona udała się już na spoczynek. Starsza pani siedziała w salonie, haftując żyłastymi dłońmi tak sprawnie, jak młoda kobieta. Carly właśnie wyszła z kuchni, gdzie pomagała Błękitnej zmywać naczynia po kolacji.

Nie musiała pomagać. Matka Ramona okazała pewne niezadowolenie, że kobieta nosząca nazwisko de la Guerra wykonuje zajęcia przypisane służbie. Jednak Błękitna była już stara i Carly nie miała nic przeciwko udzieleniu jej pomocy. Dzięki temu zajęciu mogła zapomnieć o innych rzeczach.

Tia Teresa ostrożnie odłożyła tamborek na sofie.

- Co się stało, *niña*? Martwisz się o Ramona, prawda?

- Tak, chyba tak. - Martwiła się o niego codziennie, modliła się, aby nie pojechał ze

swoimi ludźmi na jakąś niebezpieczną akcję. - Ale nie o to chciałam zapytać.

- Nie? A więc o co? Zarumieniła się.

- Chodzi o noc poślubną. To trochę wstydlive dla mnie... - Nabrała głęboko powietrza, aby dodać sobie odwagi. - Nie bardzo wiedziałam, co mam robić. Ramon był... - Cudowny, niesamowity, wspaniały. - W każdym razie, chyba zrobiłam coś źle, coś, z czego był niezadowolony.

- Myślisz, że właśnie dlatego odjechał?

- Tak...

- Ale to mężczyzna powinien znać się na tych rzeczach. Cóż takiego mogłaś zrobić, żeby był niezadowolony?

- No... nie wiem. Myślałam sobie... jak zachowałyby się hiszpańska kobieta w noc poślubną?

Starsza pani uśmiechnęła się. Jej pomarszczona twarz wydawała się teraz mniej krucha.

- Mogę ci tylko powtórzyć to, co kiedyś mi opowiedziała matka i inne kobiety. Sama z siebie nie mam nic do opowiadania.

- Wiem. - Ciotka Ramona wspominała o swoim *novio*, młodzieńcu imieniem Esteban. Powiedziała, że został zabity, a ona nigdy nie wyszła za mąż. Było oczywiste, że nawet po tylu latach nadal go opłakiwała. Carly zazdrościła jej. Jakże ogromna musiała być ta miłość, która przetrwała tyle lat.

Kobieta wzięła tamborek i zaczęła rytmicznie haftować. Igła niemal samorzutnie wchodziła w materiał, zupełnie jakby nie musiała nią kierować ręka.

- Gdy Hiszpan poślubia Hiszpankę, zawsze odbywa się wielka fiesta. Tańce zaczynają się zaraz po ślubie, zabawa trwa całą noc, a czasem nawet tydzień. Często państwo młodzi przez kilka dni nie mają możliwości, by skosztować małżeństwo.

Carly wstydziła się zadać takie intymne pytanie, lecz nie miała nikogo innego, kto mógłby jej pomóc.

- A gdy ten moment w końcu nastąpi?

Tia podniosła wzrok.

- Panna młoda bardzo się denerwuje i oczywiście jest bardzo onieśmielona. Oczekuje męża w łóżu, a gdy przychodzi, pozwala mu korzystać z praw, na które się zgodziła małżeńskim ślubowaniem.

- A... jak to się odbywa?

Kobieta przewróciła oczami, osłabiona naiwnością Carly, lecz po chwili uśmiechnęła

się.

- Gasi świecę przy łóżku, unosi nocną koszulę i pozwala mężowi wejść w swoje ciało.

- Unosi koszulę? Kładzie się do łóżka w koszuli?

- *Si*. Zwykle jest bawełniana, ale pomyślałam, że jedwabna będzie ładniejsza. Ramon zawsze lubił piękne rzeczy.

- Tak... jest piękna. - Lecz nie miała jej na sobie. Przypomniała sobie, jak Ramon zrzucił nocną koszulę z jej ramion, ale może zrobił to dlatego, że nie czekała nań w łóżku. Być może w takim wypadku uniósłby koszulę tylko do pasa. Nie umiała sobie tego wyobrazić, nie po tym, co zrobił. Nie potrafiła wyobrazić sobie czegokolwiek innego niż rozgrzaną, lśniącą od potu skórę i ogniste pocałunki.

Nagle przypomniała sobie coś dziwnego. Wyprostowała się, straszliwa myśl niemalże powaliła ją na kolana. O Boże! Pochyliła się do przodu, siedząc na krześle naprzeciwko ciotki Ramona.

- Rano, kiedy... - *ściągałam prześcieradło z materaca, żeby sprać krwawe plamy* - kiedy ścieliłam łóżko, zauważyłam coś dziwnego. W wierzchnim prześcieradle była dziura, pięknie przyozdobiona haftem z białej nici, który tworzył kwiatowy bukiet, jakby wieniec wokół otworu. Zupełnie o tym zapomniałam. Chyba kobieta...

Nerwowo oblizwała wargi w nadziei, że się jednak myli.

- Chyba kobieta nie leży pod... a mężczyzna na...- Lecz gdy spojrzała na tia Teresę, zobaczyła, że staruszka dostała rumieńców.

Uśmiechnęła się z mądrą miną.

- Używano tego od dawna w obronie kobiecej skromności. Ale mój bratanek z pewnością... pokazał ci, jak to się robi?

Poczuła ogień na policzkach.

- Chyba osiągnęliśmy ten sam cel, *tia*, choć niezupełnie w taki sposób.

Czy to nieśmiałość? Rumieniec z twarzy ogarnął całe ciało. Przypomniała sobie, jak błagała Ramona, aby nie przestawał, jak leżąc pod nim prężyła ciało, jak wbijała paznokcie w jego muskularne ramiona.

Poczuła się źle. Oczywiście, nałożenie białej, koronkowej mantylki nie uczyniło z niej Hiszpanki. Jeśli chce zadowolić Ramona, zatrzymać go z daleka od ramion jego pięknej kochanki, musi nauczyć się zachowywać jak kobieta, którą zawsze chciał poślubić.

- Nie martw się, *niña*. To nie takie trudne. Musisz po prostu leżeć i pozwolić, aby robił wszystko według swojego uznania. To brzemię, które ciąży na kobiecie. Gdy wyobrażam

sobie taką scenę z Estebanem, wiem, że wcale nie miałabym nic przeciwko temu.

Głowa Carly zaczęła pulsować. Nie miałabym nic przeciwko temu? Ona łaknęła każdego dotyku Ramona, pragnęła go, a nie po prostu biernie znosiła swój los. Jej ciało płonęło, podobnie jak teraz, na samą myśl, jak się wtedy czuła. Jakaż kobieta zachowuje się w taki sposób? Na pewno nie czystej krwi Hiszpanka.

Nic dziwnego, że ją zostawił i uciekł.

- Dziękuję ci, *tia* - powiedziała w końcu lekko spiętym głosem. - Wybacz, że pytałam o takie rzeczy, ale nie mam do kogo się zwrócić.

Staruszka machnęła bagatelizująco ręką.

- Cieszę się, że mogłam pomóc. - Uśmiechnęła się. Ramon niedługo powróci, a ty będziesz już wiedziała, czego on oczekuje.

- Tak... - Odwróciła wzrok, dławiąc w sobie kolejną falę wstydu. Jak dotąd nie czuła zażenowania z powodu tego, co się między nimi wydarzyło. Przeciwnie, modliła się o więcej.

Teraz już wiedziała, jaka była bezwstydna, i to ją przerazało. Boże, jakże teraz spojrzysz mu w oczy?

- Robi się późno. - Carly wstała z krzesła. - Pójdę już spać.

Tia Teresa kiwnęła głową.

- I na mnie już czas.

Razem wyszły z salonu, potem każda udała się w swoją stronę, korytarzem okalającym patio. Carly wciąż myślała o haftowanym otworze w prześcieradle, którego Ramon powinien był użyć, gdy się kochali.

Nienawidziła się za to uczucie rozczarowania, że gdy znowu będzie się z nią kochał, nie poczuje jego gorącej, gładkiej skóry na swoim nagim ciele.

* * *

Minęło dziesięć dni. Ramon skierował wierzchowca po zboczu wzgórza ku ranczu Las Almas. Cieszył się z powrotu do domu. Cieszył się, że zobaczy żonę i znajdzie się w jej łóżku.

Od dnia ślubu pogodził się ze swoimi odczuciami w stosunku do niej. Złamał dawne obietnice, lecz był temu tak samo winien jak ona, więc nie było sensu żałować. Po prawdzie pragnął Carly McConnell od samego początku. Teraz jest jego żoną i chociaż nigdy nie zamierzał brać z nią ślubu, to jednak wcale nie było mu z tego powodu przykro.

Największy problem stanowił Fletcher Austin, a Ramon był zdecydowany jak nigdy

odzyskać swoją ziemię. Teraz, gdy Andreas już nie żył, dokonywanie napadów mogłoby przejść do historii. Od samego początku Ramon postulował znalezienie legalnego sposobu na kłopoty, brat jednak nie chciał go słuchać. Zaślepiła go wściekłość po niepotrzebnej śmierci ojca i utracie ziemi de la Guerrów.

Zanim Ramon wrócił z Hiszpanii, El Dragon rozpoczął już swoją działalność. Poczł się w obowiązku pomóc bratu w jego walce. W końcu to Andreas wziął na siebie odpowiedzialność za rodzinę - odpowiedzialność, ciężącą na Ramonie, gdy ten oddawał się lenistwu w sewilskiej willi.

Teraz Andreea nie było wśród żywych. Ramon został głową rodziny, a jeśli istniał pokojowy sposób odzyskania ziemi, zamierzał go odnaleźć. Obiekcjami małżonki zajmie się, gdy przyjdzie na to czas.

Dotknął ostrogami boków gniadosza i koń od razu zwawiej ruszył po zboczu wzgórza. Żałował, że nie jedzie na Rey del Sol, lecz wielki rumak łatwo rzucał się w oczy, podobnie jak wspaniały czarny wierzchowiec El Dragona. Przynajmniej gniadosz był dobrze ułożony, o co postarał się Pedro.

Tak samo jak zawsze starał się opiekować rodziną i kobietą Ramona.

Moją kobietą, dodał w myślach. Jego żoną. Ogarniało go podniecenie na samą myśl o zbliżającym się wieczorze. Niemalże czuł usta Carly przywierające do jego warg, smakował pożądanie w jej oddechu. W wyobraźni widział ją, jak stoi naga, z koszulą leżącą wokół szczupłych stóp, jej falujące, jędrne piersi sterczą dumnie, a różowe sutki wychodzą naprzeciw jego dłoni.

Jeszcze bardziej się podniecił, przeniknięty ognistym pożądaniem. Chciał ją osiąść na tuzin sposobów, całować całe jej miękkie ciało. Wiedział, że będzie się złościła, gdyż ją zostawił, ale zdoła jej to wyjaśnić. A może same pocałunki wystarczą, by zrozumiała, jak bardzo za nią tęsknił.

Opuścił kapelusz na czoło, dał koniowi ostrogę i puścił go galopem. Gdy dojedzie do domu, będzie ciemno.

Nie mógł się już doczekać.

* * *

- Wraca! Ramon wraca!

Serce Carly zaczęło walić jak młot. Podbiegła do matki Ramona, która stała przy oknie, wpatrując się w ciemność.

- Gdzie? Nie widzę go.

- Tam... - Wskazała miejsce, gdzie szlak prowadzący na wschód krzyżował się ze strumieniem w bok od domu. - Nie widzisz? Teraz przechodzi na drugą stronę potoku. - Carly po raz pierwszy widziała ją tak podekscytowaną. Większość czasu siedziała na bujanym fotelu, bądź wyglądała przez okno. Carly było jej żal. Z początku nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo kobieta cierpi po utracie najmłodszego syna.

Jak zwykle na tę myśl czuła bolesne ukłucie. Może gdyby nie wszczęła alarmu tym dzwonkiem... Gdyby Andreas nie próbował jej porwać... Ale stało się inaczej, a teraz on nie żył.

Odsunęła na bok te niemiłe wspomnienia. Los tak chciał, a to co się stało, było już przeszłością. Nawet Ramon musiał się z tym pogodzić.

Ramon. Patrzyła, jak jedzie ku niej, wysoki i wyprostowany w siodle - kwintesencja gracji i siły. On i koń poruszali się z elegancją, jakiej nie widziała nigdy u żadnego jeźdźcy.

- Na pewno jest głodny. - Tuż przy Carly stanęła tia Teresa. - Może zobaczysz, co Błękitna zostawiła po kolacji?

Carly uśmiechnęła się.

- Tak, już idę. - Pobiegnęła do kuchni, wydała polecenia starej Indiance, aby podgrzała resztki jedzenia, po czym szybko wróciła do saloniku. Chciała go powitać przed domem, przeprosić za swoje nieczne zachowanie, obiecać, że dziś będzie inaczej, lecz nie wiedziała, co on może sobie myśleć. Chciała mu się objawić jako prawdziwa dama.

Sądziła, że nauczyła się być damą w szkole pani Stuart, lecz nie było tam lekcji na temat zachowania w czasie nocy poślubnej. Na myśl o tym zaczerwieniła się. W tym momencie do środka wszedł Ramon i od razu spojrzał jej prosto w oczy.

Zdjąwszy kapelusz, powiesił go na wieszaku koło drzwi, potem odwrócił się, by uściskać matkę. Pocałował ją w rękę i policzek, co w jego społeczności było oznaką najwyższego szacunku, potem objął i ucałował ciotkę. Lecz co chwilę spoglądał ponad ich głowami w stronę miejsca, gdzie Carly stała obok sofy. Jego brązowe oczy promieniały.

- *Buenos tardes, Caracita.* - Nie spodziewała się, że przemówi do niej tak ciepło. - Tęskniłem za tobą przez tych kilka dni. - Może postanowił wybaczyć jej niewłaściwe zachowanie. Może da jej drugą szansę. Pomyślała o Mirandzie i poczuła bolesny skurcz. Ciekawe, jak ona zachowywała się w jego łóżku. Szybko jednak odrzuciła tę wizję. Ramon jest jej mężem, a nie Mirandy. Jego miejsce jest tutaj, przy niej, więc tym razem to ona sprawi mu przyjemność.

- Dobrze cię widzieć, Ramon. - Na jej uśmiech odpowiedział jeszcze jaśniejszym

blaskiem oczu. -Czy... jesteś głodny?

Jego spojrzenie mówiło, że tak, ale nie chodziło mu o jedzenie.

- *Si*. Nic nie jadłem od rana.

Wyszła do kuchni, wdzięczna za chwilę czasu, gdy będzie mogła uspokoić oszalałe serce. Po chwili wróciła z gorącym talerzem *cocido*, potrawy z wołowiny, kiełbasy, papryki, marchewki i fasoli, a także talerzem zupy z dyni, gorących tortilli i pucharkiem mocnego czerwonego wina.

- Zjesz ze mną? - spytał, unosząc głowę sponad parujących talerzy. Ogarnął wzrokiem prostą, brązową suknię, potem zatrzymał spojrzenie na jej ustach.

Oblizła się nerwowo.

- Nie... my jesteśmy już po kolacji. - Żałowała, że nie zdążyła przebrać się w coś ładniejszego i uczesać włosów, które były związane u nasady szyi.

- Więc usiądź ze mną, aż skończę.

- Dobrze.

- Matko - kiwnął ręką na swoją rodzicielkę. - Chciałbym usłyszeć, co ty i *tia* robiłyście, aby zabawić moją żonę, gdy mnie nie było.

Kobieta uśmiechnęła się słabo.

- Twoja żona za dużo pracuje - rzekła szorstko, lecz w głosie była też cieplejsza nutka, której dotąd nie słyszała. - Pomaga tej beznadziejnej Indiance, Błękitnej. Powiedziałam jej, że teraz nazywa się de la Guerra, a kobiety o tym nazwisku nie pracują jak niewolnice, lecz ona wcale mnie nie słucha. Może teraz posłucha swojego męża.

Zaśmiał się cicho.

- Nigdy przedtem mnie nie słuchała. I nie sądzę, aby teraz było inaczej.

Carly zaczerwieniła się. W jego głosie brzmiało uczucie, co usłyszeli wszyscy obecni. Iskierka nadziei w jej sercu przeistoczyła się w jasny płomień. Poczula nagły przypływ miłości do niego, coś ścisnęło go za gardło. Tej nocy da mu przyjemność, pokaże, że potrafi być kobietą, jakiej pragnął.

Czekała cierpliwie aż zjadł, przysłuchując się jego rozmowie ze starszymi paniami. Gdy skończył i odsunął krzesło od stołu, chciała pozbierać talerze.

Złapał ją za rękę.

- Robi się późno. Zostaw to Błękitnej i idź do naszego pokoju. Za chwilę do ciebie przyjdę. - Od jego gorącego spojrzenia poczuła zawrót głowy. Dobrze wiedziała, co on sobie myśli. Bo sama myślała podobnie!

- Tak... - wyszeptała wyschniętymi wargami. - Tam na ciebie zaczekam.

Rozdział 14

Carly nie mogła spojrzeć w oczy obu kobietom. Nie wiedziała, co sobie myślą, po ich twarzach wyraźnie było widać, że wiedzą, co ma nastąpić. Opuściła salonik i korytarzem poszła do sypialni, wdzięczna, że ściany w tym domu mają pół metra grubości. W pokoju szybko zdjęła ubranie, prostą dzienną sukienkę z białym, pikowanym kołnierzem, pończochy i pantofle. Kalifornijki wyższych klas o latynoskim rodowodzie ubierały się po europejsku, tak jak Amerykanki. Tylko chłopki nosiły takie odzienie, jakie dostała w górach.

Była dobrze ubrana, a jednak pragnęła nosić coś innego, na przykład w kolorze szafranowej żółci, czy też coś z wełny o barwie zielonego lasu. Po raz pierwszy od bardzo dawna cieszyła się z ubrań, które kupił jej wuj.

Otworzywszy szufladę wielkiej dębowej komody, którą wniesiono tu dla jej użytku, sięgnęła po bawełnianą nocną koszulę. Nie tę z cienkiego jedwabiu. Nie mogła nałożyć jedwabnej koszuli, bo od razu przypomniałaby sobie, jak dostawała gęsiej skórki, gdy Ramon patrzył, jak miała ją na sobie. Zdawał się pożerać ją wzrokiem.

Wobec tego nałożyła gładką, bawełnianą, białą nocną koszulę z długimi rękawami i pośpiesznie zapięła wszystkie guziczki aż po samą szyję. Rozpuściła włosy, przeczesła je szczotką, splotła pojedynczy warkocz i szybko podbiegła do łóżka. Odsunęła kolorową kódrę i wsunęła się w pościel, starannie przykrywając się prześcieradłem z ozdobnie obszytym otworem.

Czuła się trochę głupio. Przecież Ramon już widział ją nagą. Lecz coś podpowiadało jej, że nie zna się na hiszpańskich obyczajach, skoro więc to ma sprawić mu przyjemność, ona bardzo chętnie się podporządkuje.

Sięgnęła do lampy i zmniejszyła płomyk, pozostawiając minimalne światelko. Czekała. Już po chwili w korytarzu rozległy się ciężkie kroki i do sypialni wszedł Ramon. Był tak szeroki w ramionach, że wypełniał niemal cały otwór drzwiowy. Uosobienie gib-kości i siły. Na nogach miał obcisłe bryczesy. Zobaczyła jego piękne, męskie rysy na brązowej od słońca twarzy.

Gdy zamknął drzwi, odcinając księżycową poświatę, przez co w pokoju znowu zapanował półmrok, ujrzała, że przez chwilę się zawahał. Może myślał, że będzie na niego czekała tak jak poprzednio, że zawstydzi go, zachowując się jak kobieta.

W milczeniu się rozebrał. Próbowwała nie patrzeć na wydatne mięśnie jego piersi, twarde, płaski brzuch, wąskie, sprężyste pośladki, które poruszały się z każdym jego krokiem. Starala się ignorować przeszywające ją sztylety podniecenia. Szkoda, że nie mogła

kontrolować wilgotnienia między udami, które zdradzało jej stan.

Łóżko ugięło się pod ciężarem Ramona. Jednym ruchem przyciągnął Carly do siebie.

- Tęskniłem za tobą, Cara. Głupio zrobiłem, że wyjechałem. - Pocałował ją, zanim zdążyła odpowiedzieć. Wdarł się w jej usta z taką namiętnością, że zobaczyła w oczach wszystkie gwiazdy. Boże, to będzie trudniejsze, niż jej się wydawało.

Oddała mu pocałunek, pozwoliła mu dotykać się językiem, jednak sama nie odważyła się na podobną pieszczotę. Oparła dłonie na jego ramionach, lecz nie tuliła się do niego tak jak przedtem, mimo że całe jej ciało tego pragnęło.

Dotknął jej włosów i ponownie się zawahał.

- Wolę, gdy są rozpuszczone - mruknął, zdejmując wstążkę na końcu warkocza. Przechesał je palcami i rozpostarł równomiernie wokół ramion Carly.

Przełknęła ślinę. Każdy jego dotyk powodował, że spływała na nią kolejna fala gorąca. Leżała na poduszce, wpatrując się w sufit, licząc podtrzymujące go belki, by zapomnieć o łomotaniu serca. Ramon pochylił się i zaczął pieścić jej piersi przez nocną koszulę. Znowu poczuła w sobie ognisty dreszcz. Pobudził sutek, aż stał się napięty i sterczący, by w końcu ująć go lekko wargami, zostawiając mokry ślad na materiale.

Zamrugnęła mocno, nie spuszczać wzroku z sufitu, próbując skupić myśli na czymś innym. Lecz jej ciało ogarniały płomienie, w uszach słyszała szum pulsującej krwi.

- Zdejmij koszulę - powiedział stanowczym głosem, rozpinając powoli guziki. - Chcę cię widzieć naga.

- Ale... - To nie tak miało być. Traktował ją jak zwykłą *gringa*. Na pewno nie odezwałby się tak do prawdziwej Hiszpanki. To ją zabolalo, bo zrozumiała, co on do niej czuje. Pocałował ją znowu, sunąc językiem po ustach, aż w końcu wniknął do środka. Zalała ją kolejna fala płomiennych dreszczy. Pomyślała o *cocida*, którą zjedli na kolację, o skomplikowanym przepisie na potrawę, który Błękitna pokazała jej po południu. Myślała o wszystkim, byle nie o Ramonie.

Trzask rozrywanej koszuli przywołał ją do rzeczywistości.

- Powiedziałem, że chcę cię widzieć naga - powtórzył ostro, bez cienia szacunku, jaki okazałby Hiszpance. A więc kolejny cios, który jednak wywołał w Carly determinację.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli zostanę w koszuli - odezwała się cicho, lecz z godnością. - Chętnie ją uniosę, jeśli takie jest twoje życzenie.

Chciała mu powiedzieć, aby wykorzystał otwór w prześcieradle, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała. Mimo to postanowiła zachowywać się jak Hiszpanka. Chciała dać mu przyjemność, ale również otrzymać w zamian szacunek.

W słabym świetle lampy prawie nie widziała jego twarzy, spostrzegła jednak pewne zakłopotanie, niepewność, a po chwili złość.

Szarpnął ją za ramiona.

- Powinienem był wiedzieć. Myślałem, że jesteś inna, ale jesteś taka jak wszystkie. - Chrząknął gniewnie. - Trochę się dziwię, że już masz mnie dosyć, ale w końcu jesteś *gringa*. Niektóre z nich tylko udają, że sprawia im to przyjemność. A inne potrzebują tuzina mężczyzn, żeby się zaspokoić.

Puścił ją i odsunął się na skraj łóżka.

- I wszystko mi jedno, którego ty jesteś rodzaju, bo nie zamierzam dzielić z tobą łoża.

Patrzyła na niego przerażona. Boże, co też ona zrobiła?

- Ramon, proszę cię... dokąd idziesz?

Bez sowa naciągnął bryczesy, buty i tak ubrany wyszedł z sypialni.

O matko! Piekące łzy popłynęły po jej policzkach. Znowu kompletne fiasko. Sądziła, że to ważne, aby zachowywała się, jak przystało na hiszpańską damę. A tymczasem znowu odepchnęła go od siebie.

Wyrzebała się z łóżka i stanęła na drżących nogach. Narzuciła granatowy, pikowany szlafrok. Może powinna go poszukać, wyjaśnić. Pomyślała o Mirandzie, czekającej na niego w osadzie. Czy już wyjechał, aby spotkać się z kochanką w Llano Mirada? Jak ona zachowywała się w jego łóżku? Jak diablica czy jak dama? Wszystko jedno, na pewno umiała zrobić wszystko jak należy.

Pobiegła po dywanie do drzwi. Księżyc w pełni jasno oświetlał ziemię, zalewał pola srebrzystym blaskiem. Ujrzała Ramona po drugiej stronie podwórza, koło zagrody. Stał, opierając łokieć o drewniany bal ogrodzenia. Z cienkim cygarem w zębach wpatrywał się w ciemność. Zaciągał się powoli, wypuszczając obłok dymu w pokryte gwiazdami niebo.

Ruszyła w jego stronę, nie zważając na zimną, wilgotną ziemię pod bosymi stopami. Myślała tylko o nim, o tym, jak nieustannie sprawiała mu zawód. Spostrzegłszy ją, zeszytniał, odrzucił cygaro, które zatoczyło w powietrzu znaczonej czerwienią łuk. Patrzył na nią w milczeniu.

Czuła w uszach pulsowanie serca. Cierpiała, lecz mimo to dumnie uniosła głowę.

- Już raz uciekłeś ode mnie... rankiem po naszej nocy poślubnej. Pedro powiedział, że pojechałeś do Llano Mirada. Czy pojechałeś do tej kobiety? - Przełknęła ślinę, mimo że coś ścisnęło ją za gardło. - Do Mirandy?

Wbił w nią zimne, nieprzeniknione spojrzenie.

- A co to cię obchodzi?

- Zrobiłeś to?

Odczekał moment, po czym pokręcił głową. Ciemne włosy zakotływały się na jego czole.

- Widziałem się z nią w osadzie, ale nie wziąłem jej do łóżka.

Przygryzła mocno wargę.

- Przepraszam cię za dzisiaj. Wiem, że mi nie uwierzysz, ale pragnęłam tylko sprawić ci przyjemność.

Prychnął gardłowo, ale nic nie powiedział.

- Myślałam, że... będziesz zadowolony, jeśli zachowam się jak prawdziwa hiszpańska dama. Że pomyślisz o mnie jak o żonie, a nie jak o kolejnej kobiecie, która ogrzeje ci łóżko. Poprzednim razem zachowałam się źle i odjechałeś. Miałam nadzieję, że tym razem... zostaniesz.

Patrzył na nią nieruchomym wzrokiem.

- Myślałeś, że to był powód mojego wyjazdu? Bo zrobiłaś coś źle?

Oblała się rumieńcem, wyraźnie widocznym w świetle księżyca.

- Błagałam cię, abys nie przestawał, pozwoliłam ci dotykać mnie... wszędzie. Z pewnością prawdziwa dama nie zachowywałaby się jak...

Wyciągnął rękę i jednym ruchem przyciągnął Carly do siebie, przytulił mocno.

- *Santos de Christo*. Jak mogłaś pomyśleć coś takiego?

- Tia Teresa powiedziała...

- Tia Teresa nigdy nie była z mężczyzną. - Podniósł drżącą dłonią jej podbródek. - Od momentu wyjazdu nie myślałem o niczym innym, tylko o kochaniu się z tobą. Wspominałem każdy dotyk, każdy pocałunek. Pragnąłem znowu cię tak dotykać. - Musnął ustami jej wargi. - Powinienem być ci powiedzieć, ile dałaś mi rozkoszy. To, co ci powiedziałem tego wieczoru... to ze złości... i to nie była prawda. Byłem skonfundowany, niepewny własnych uczuć. I kochałem się z tobą nie dlatego, że pragnąłem kobiety. Pragnąłem ciebie.

Poczuła łzy w oczach. Zamrugła, ale i tak spływały po policzkach.

- Ramon... - Objęła go za szyję i przytuliła się.

- Wybacz mi, *querida*. Mam niewielkie doświadczenie z niewinnością taką jak twoja. *Por Dios*, jak można być takim idiotą? Pocałował ją, śmiało, gorąco, zniewalająco.

Tym razem nie walczyła z ogarniającym ją podnieceniem. Pragnęła dać mu przyjemność.

Kochała go.

Oddała pocałunek, ich języki zwały się, aż Ramon zajęczał cicho. Trwała tak, aż on sam oderwał się i uniósł ją w swe ramiona.

- Ramon? - Trzymała go mocno za silną szyję, gdy szedł w kierunku domu.

- *Si, querida?*

- A co z... tym otworkiem?

- Jakim otworkiem?

- No wiesz, z tym w prześcieradle, ozdobionym haftem.

Zatrzymał się, nie mogąc powstrzymać głośnego śmiechu.

- Tia ma dobre serce, ale słabo zna mężczyzn. Chyba nie ma na świecie Hiszpana, który kiedykolwiek używał takiego prześcieradła z dziurką.

Carly również się roześmiała. Doznała tak wielkiej ulgi, że aż zakręciło się jej w głowie. Ponownie wstąpiła w nią nadzieja. Chciała mu powiedzieć, że go kocha, ale gdyby to zrobiła, mógł sobie przypomnieć, że przecież wymusiła na nim to małżeństwo. Mógłby uwierzyć, że od samego początku chciała go usidlić, ale nie chciała narażać się na jego gniew. Pragnęła tylko tego, aby się z nią kochał.

Zamilkli, zbliżając się do domu. Ramon czubkiem buta otworzył drzwi, po czym delikatnie położył Carly na łóżku.

- Cokolwiek się między nami wydarzy, nie będzie powodem do wstydu - powiedział, ujmując dłońmi jej twarz. - Obiecuj mi, że o tym nie zapomnisz.

- Obiecuję.

Zdjął jej przez głowę nocną koszulę.

- To nie będzie potrzebne. Będziemy spali razem, jak Bóg przykazał. - Zarumieniła się, lecz jednocześnie zaznała ogromnej radości, że oto każdej nocy będzie dotykała jego gładkiej skóry, że będzie ją otulał swoim męskim ciałem.

Patrzyła, jak się rozbiera, podziwiając jego muskularne ciało. Zbliżył się zupełnie nagi, a ona powitała go z otwartymi ramionami i z całą miłością, jaką do niego czuła, której istnienia nie mogła zaprzeczyć.

Pocałował Carly ognście, potem łagodnie, pobudzając jej zmysły. Kochał się z nią namiętnie, wypełniając ją całym sobą, aż krzyczała na głos jego imię. A potem posiadał ją delikatnie, pieszcząc, szepcząc do ucha hiszpańskie słowa. Tym razem, gdy skończyli się kochać, wiedziała, że dała mu przyjemność. Może z czasem mógłby ją pokochać.

Przespali się trochę, a potem znowu ją wziął, i jeszcze raz, tuż przed świtem. Od pocałunków miała lekko otarte usta, ciało od kochania się obolałe, lecz cudownie zaspokojone. Była nasycona, ukontentowana, jak nigdy przedtem.

A potem jej myśli powędrowały ku barierom, jakie wciąż stały między nimi: jego nienawiść do jej wuja, przysięga, że odzyska Rancho del Robles, niebezpieczeństwo, na które się narażał jako El Dragon. Ale najważniejsze było to, iż Carly nie była tą kobietą, którą chciał poślubić.

Leżała wtulona bezpiecznie w jego ramiona, lecz mimo to nie mogła zasnąć.

* * *

- Nie mogę uwierzyć, że rzeczywiście wyszła za niego za mąż. Przecież ona nawet go nie zna. - Vincent Bannister siedział naprzeciwko Fletchera Austina w klubie Stockmana w San Francisco.

Fletcher przybył do miasta na coroczne jesienne spotkanie ze swoim prawnikiem, Mitchellem Websterem, a także przyjacielem i doradcą finansowym, Williamem Bannisterem, aby omówić podział zysków na zakończenie jesiennego *matanza*, uboju bydła dla pozyskania skór i łoju, oraz ze sprzedaży kilku tysięcy sztuk popędzonych na północ ku złotonośnym polom.

Spotkanie przebiegło zgodnie z planem. Webster już poszedł, lecz William postanowił towarzyszyć Fletcherowi do ekskluzywnego klubu Stockmana. Przyłączył się do nich także Vincent. Młody Bannister od samego początku miał tylko jeden temat rozmowy: Caralee.

- Jak ona mogła to zrobić? - mówił bardziej do siebie niż do Fletchera. - Myślałem, że chociaż trochę zależy jej na mnie.

- No cóż, chyba wywieraliśmy na nią zbyt wielki nacisk. - Podeszedł kelner, niosąc kryształowe szklaneczki ze znakomitą irlandzką whisky i źródlaną wodą. Postawił je na wypolerowanym blacie z różanego drewna, po czym bezszelestnie się oddalił.

Fletcher pokręcił głową.

- Powinienem był przewidzieć, że ona się zbuntuje... w końcu to córka swojej matki, - To ostatnie wypowiedział z niejaką dumą. Lucy Austin była zupełnie inna od kobiet, które znał: piękna, uzdolniona, inteligentna. Zmarnowała sobie życie z tym nędznym górnikiem, którego poznała w Filadelfii. Faktem jest, że rodzina była wtedy biedna i Lucy niewierzyła starszemu bratu, gdy zapewniał, że pewnego dnia będzie bogaty, na tyle bogaty, by zaopiekować się obojgiem.

Małżeństwo z Patrickiem McConnellem było czynem głupim, nawet jeśli wybranek był niebieskookim przystojniakiem. Oczywiście, Lucy zapłaciła za to życiem pełnym ciężkiej harówki. Lecz nigdy, w żadnym liście, który od niej otrzymał, nie przeczytał ani jednego

słowa skargi.

Siedzący w nadmiernie wypchanym fotelu William Bannister przerwał tok jego myśli. Wysoki mężczyzna rozprostował nogi, odziane w perfekcyjnie uszyte spodnie z brązowej wełny.

- Sprawy rzeczywiście przybrały dość dziwny obrót - powiedział. - Jak widzisz, mój syn nie otrząsnął się jeszcze z szoku i straty narzeczonej. Nadal ma dużo szacunku do Caralee.

- Przykro mi, mój chłopcze. Wina częściowo leży po mojej stronie. Nie postąpiłaby w ten sposób, gdybyśmy dali jej nieco więcej czasu.

Vincent nachylił się do przodu.

- Myśli pan, że zrobiła to panu na złość? Ze mogło jej jednak zależeć na mnie? - Oparł się znowu z wyraźną satysfakcją na twarzy. - Tak, to musi być prawda. Jak wspomniałem, ona prawie nie знаła tego człowieka. Bóg jeden wie, jaką teraz przechodzi gehennę. Na nasze nieszczęście.

Mówił jeszcze przez kilka minut o tym, w jakie kłopoty się wpakowała, lecz myśli Fletchera powędrowały już w innym kierunku.

- Przepraszam, Vincent. Mówiłeś coś o tym, że...ona prawie go nie znała?

- Tak.

Bezwiednie potarł podbródek.

- Być może znała go lepiej, niż nam się wydaje.

- Jakże to?

- Być może Ramon de la Guerra ma jakiś związek z banitą imieniem El Dragon. I oboje byli razem, gdy więziono ją w górach.

- To nie może być prawda - zaprotestował William. - Rodzina de la Guerra cieszy się wielkim szacunkiem. Poza tym don Ramon był z nami w del Robles, gdy El Dragon dokonał napadu na dyliżans.

- Zgadza się, ale mógł mieć z tym jakiś związek. A jeśli tak, możliwe, że de la Guerra nakazał dokonać porwania. Ma do nas głęboką urazę. Byłoby mu na rękę, gdyby mógł zdobyć coś mojego... może nawet moją siostrzenicę. Jeśli drań odebrał jej dziewictwo, Carly czułaby się w obowiązku, żeby go poślubić.

- Gdyby tak było - wtrącił się Vincent - dlaczego utrzymywała ten fakt w tajemnicy po swojej ucieczce? - Jasne było, że młodzieniec wolałby ten pierwszy scenariusz, lecz Fletcher miał przeczucie, że w końcu dochodzi do prawdy.

- Nie mam pojęcia. - Oparł się wygodniej na obitej brokatem kanapie. Grubym

palcem postukiwał w brzeg szklanki. - Ale gdy tylko wrócę do del Robles, postaram się czegoś dowiedzieć.

* * *

Od powrotu Ramona minął tydzień. Tydzień namiętych pocałunków, zmysłowych nocy, miłości i poznawania muskularnego ciała męża. Raz wybrali się w pewne odosobnione miejsce, znajdujące się na gruntach del Robles, dokąd Ramon przyjeżdżał, gdy był małym chłopcem. Nieduży potok spływał ze skalnej półki do płytkiego stawu, otoczonego piniami.

Kochali się w miękkiej, zielonej trawie kolo stawu.

Na samo wspomnienie Carly uśmiechnęła się tego ranka, gdy spuściła nogi na podłogę i wstała z łóżka. Ramon obudził się wcześniej i już go nie było w sypialni. Wraz z innymi mężczyznami kończyli jesienne *matanza*. Pracowali bardzo ciężko, zganiając bydło, znakując młode sztuki, oddzielając od stada zabłąkane zwierzęta, a także separując bydło przeznaczone na rzeź od przeznaczonego do sprzedaży jako żywiec.

Carly przeciągnęła się i ziewnęła. Miała wciąż zeszywniane plecy z powodu wielu godzin spędzonych nad garnkami z łojem, wielkimi żelaznymi kotłami, w których rozgrzewano tłuszcz pozyskany z ubitych wołów. Łój topiono na smalec, a którego część chowano, a część przeznaczano na sprzedaż. Część łoju chowano na później, by wytworzyć z niego mydło i świece.

Nawet matka Ramona i ciotka Teresa pomagały w tej pracy, z wyraźnym zadowoleniem obserwując, że Carly bez wahania czyni to samo.

Ubrana w prostą spódnicę z szarej bawełny i białą bluzkę, chwyciła szal i wyszła z domu. Na zewnątrz panował ożywiony ruch. *Vaqueros* siodłali konie, z kuchni dobiegały głosy ludzi kończących poranny posiłek. Błękitna nie spała już od dawna, pobrząkując garnkami i ustawiając talerze na blatach. Nawet na takim małym ranczu kucharka musiała wstać sporo przed świtem, by rozpaść ogień, przyrządzić w grubych rondlach kawę i kakao, smażyć tortille i mięso.

Carly trochę pomagała, z przyjemnością wachając kuchenne zapachy, słuchając wesołych rozmów kobiet. Gdy słońce uniosło się ponad góry i zalało pola złocistym blaskiem, wyszła z kuchni w poszukiwaniu Ramona. Pomyślała, że spacer dobrze jej zrobi, pozwoli rozciągnąć obolałe mięśnie. Poza tym dzień był ciepły, a niebo cudownie błękitne.

Carly minęła sykomory. Ramona nie było wśród *vaqueros*, którzy chwytali lassem pojedyncze sztuki bydła na otwartym terenie, gdzie spędzono zwierzęta. Zatrzymała się na

chwilę, podziwiając umiejętności pasterzy w posługiwaniu się długim lassem z plecionej skóry, które nazywali *reata*. Kiedy wołu oddzielono od stada, jeden z jeźdźców zarzucał mu linę na szyję, drugi zaś podcinał mu nogi, obalając zwierzę na ziemię.

Ubój przebiegał szybko i sprawnie, ale ten widok spowodował, że zawróciła w kierunku domu. Zauważyła kilku mężczyzn na oddalonym pastwisku i postanowiła skierować się w tamtą stronę. Wyszędłszy spomiędzy drzew, stanęła przy szerokim pniu dębu, szukając wzrokiem Ramona. Ujrzała Rey del Sol, który potrząsał śnieżnobiałą grzywą z każdym ruchem wspaniałej szyi. Prychając i przebierając nogami, trącał nosem piękną małą klacz palomino. Dopiero teraz Carly zrozumiała, co ogier chciał zrobić.

Zaczerwieniła się, lecz została na miejscu, niczym zahipnotyzowana wpatrując się, jak wspaniały rumak wspina się na swoją równie śliczną towarzyszkę. Pomyślała, ileż siły tkwi w tym zwierzęcy, nieokiełznanym pożądaniu. Konie stapały jakby w tańcu, podskakiwały, prychając i rżąc. W pewnym momencie ogier obnażył zęby, aby poskromić klacz, przytrzymując ją za kark.

Wspiął się na nią, balansując kopytami na jej grzbiecie i wszedł w jej wnętrze głęboko, z łatwością panując nad sytuacją. Odbierał to, co natura mu przeznaczyła. Carly obląła fala gorąca. Kiedy ogier zaczął się poruszać, wbijając się w klacz potężnymi pchnięciami, Carly dostała dreszczy na plecach. Poczula suchość w ustach, zaś wilgoć na dłoni, którą opierała o pień drzewa.

Nie usłyszała, gdy Ramon zbliżył się do niej bezgłośnie, po prostu poczuła na policzku jego oddech.

- Wspaniały widok, prawda? Ogier wchodzący na swoją klacz. To jak hołd składany życiu.

Oblizwała wyschnięte wargi, czując jak Ramon przywiera do niej na całej długości ciała. Był podniecony, czuła na pośladkach jego męskość.

- Tak... Na swój sposób to jest piękne.

- *Si*. To prawda. - Zaczął pieścić dłonią pierś Carly, odszukał stwardniały sutek, który jeszcze bardziej zesztyniał pod jego dotykiem. Z taką samą delikatnością wypowiadał słowa, niemalże muskając ustami jej policzek. - Czujesz to, Cara? To pragnienie, siłę pożądania? Widzisz, jak on ją dominuje, bierze, co chce, a ona to akceptuje?

Kiwnęła głową, czując przyspieszone bicie serca z każdym jego słowem, z każdym dotykiem.

- Dzieje się tak, ponieważ klacz również tego pragnie. Chce wiedzieć, że jej partner jest dość silny, aby ją ochronić. Jakże miałyby być mu posłuszna, gdyby nie poczuła jego

mocy? - Delikatnie uciskał jej pierś, trącąc nabrzmiały sutek. - Kiedy ją bierze tak jak teraz, wchodząc tak głęboko, ona wie, że jest od niej silniejszy... i że będzie przy nim bezpieczna.

Odciągnął ją nieco do tyłu, tym samym schowali się za drzewem i byli już niewidoczni. Carly wbiła palce w szorstką korę drzewa, opierając na nim czoło. Ramon powędrował ręką niżej, aby unieść spódnice i podwinąć ją wokół jej talii. Poczula, jak wodzi dłonią po jej pośladkach, odnajdując rozcięcie w bieliźnie. Nabrała gwałtownie powietrza, gdy gładził jej skórę, dotykając kragłych wypukłości, a w końcu delikatnie wsunął palec w miejsce, gdzie zwilgotniała podczas obserwacji parzących się zwierząt.

- Kobieta jest taka sama - powiedział cicho. - Kobieta musi wiedzieć, że jej mężczyzna jest silny. - Ugryzł ją w szyję, na tyle mocno, że poczuła lekki ból połączony z przyjemnością. Rozpiął jej bluzkę, zaczął masować piersi. Gdy wsunął do środka drugi palec, poczuła pulsujący, słodki ból. - Musi wiedzieć, że on ma siłę, aby ją zdominować, jeśli takie jest jego życzenie. - Przesunął ustami po szyi Carly, zostawiając wilgotny ślad pocałunków. Puścił dłonią jej pierś, aby rozpiąć spodnie. Już po chwili dotykał jej swoją nabrzmiąłą męskością.

- Rozsuń nogi, *querida* - szepnął do ucha, drażniąc je językiem. - Zrób to dla mnie. - Przeszedł ją dreszcz, jeszcze bardziej zwilgotniała między udami.

Poruszyła nogami, rozchylając je dla niego. Nawet nie przyszło jej do głowy, by go powstrzymać. Zupełnie jak ta klacz, zapragnęła, aby ją posiadał, pokazał jej siłę swej brutalnej męskości.

A on jakby słyszał jej niewypowiedziane myśli. Rozsunął jej kobiece fałdy i wszedł z łatwością do środka. Czula rozgrzane krocze Ramona na pośladkach, gdy oparł dłonie na jej biodrach, pociągnął je do siebie i jednym pchnięciem wcisnął się w nią do samego końca.

Przygryzła usta, by nie krzyknąć z rozkoszy. Chwyliła się pnia i trzymała ze wszystkich sił, gdy on wchodził w nią raz po raz, coraz głębiej, mocniej, najpierw powoli, ocierając się o nią, potem szybciej, z coraz większą dominacją. W wyobraźni widziała ogiera, który wbijał się w swoją klacz, silnymi ruchami podkreślając, że jest jego własnością. Po chwili ujrzała twarz Ramona, jego muskularne ciało, obie wizje zaczęły się przenikać: wysoki, barczysty Hiszpan i długie, głębokie pchnięcia ogiera, gdy wchodził w swoją klacz.

Wstrząsnął nią potężny orgazm. Poczula ogromny skurcz, zaciskający się na męskości Ramona. Nie mogła powstrzymać głośnego jęku. Jeszcze dwa mocne pchnięcia i on również osiągnął szczyt, z gardłowym charkotem przytrzymując jej biodra, pompując bez wytchnienia, aż zalał ją swoim nasieniem.

- *Por Dios* - wyszeptał, gdy nieco ochłonął. - Jeśli ten ogier czuje to samo co ja, to

właśnie klacz pokazała mu swoją siłę.

Zaśmiała się cicho, opierając głowę na jego ramieniu. Kocham cię, Ramon, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos. Poczwała, jak odrywa się od niej. Spódnica opadła na swoje miejsce. Gdy skończył zapinać spodnie, odwrócił ją do siebie i pocałował delikatnie w usta, a potem w wewnętrzną stronę dłoni.

- Czy mam odprowadzić cię do domu?

Pokręciła głową.

- Ludzie mogą pomyśleć, że my...

- Robiliśmy to, co robiliśmy?

- Tak. - Uśmiechnęła się.

Teraz on się zaśmiał.

- Dobrze, *querida*. Jakże udało mi się znaleźć taką kobietę, jak ty?

Nie bardzo wiedziała, jak ma rozumieć te słowa, lecz podobał się jej sposób, w jaki na nią patrzył, gdy je wypowiadał. I podobało się jej to, co sama w tym momencie poczuła.

Ignorując jej wcześniejszy sprzeciw, wziął ją za rękę i poprowadził w kierunku hacjendy. Uśmiechnął się do niej, gdy byli już blisko, pocałował na pożegnanie i nagle spojrzał gdzieś ponad jej głowę. Odwróciła się i ujrzała niewielką postać, wynurzającą się spośród sykomor, idącą w ich stronę przez wysoką, brązową trawę. Postać minęła sad i zagon melonów, zanim Carly ją rozpoznała.

- To Dwa Sokoły! - Zaczęła biec do niego z szerokim uśmiechem, ciesząc się na spotkanie z chłopcem, do którego miała w sercu wiele ciepłych uczuć. Kiedy się zbliżył, stanęła, widząc jego pełną niepokoju, smutną twarz. Od razu odgadła, że coś jest nie tak.

- Co się stało?

Jedynym okryciem chłopca był zawinięty na kształt krótkich spodni materiał, teraz brudny i pokryty plamami krwi. Na ramionach i twarzy miał liczne długie i głębokie zadrapania. Jedno oko chłopca było mocno podsinione, górna warga opuchnięta i przyciemniała od zakrzepłej krwi.

Patrzył w ziemię błędnym wzrokiem.

- Żołnierze... milicja... przyjechali do wioski. Najpierw dziwiliśmy się, że w ogóle nas znaleźli, bo mieszkamy daleko w górach. A potem zaczęli do nas strzelać.

Poczwała ucisk w sercu. Kiedy chłopiec na nią spojrzał, miał w oczach łzy.

- Najpierw celowali w mężczyzn, zabijając każdego w zasięgu wzroku, a potem wzięli się za resztę...kobiety i dzieci. Uciekliśmy do lasu, ale pojechali za nami. Walczyłem z

jednym z nich, zabiłem go jego własnym nożem. Wbiłem mu go w pierś i wcale nie żałuję. - Hardy wyraz twarzy znikł, pojawiło się na niej cierpienie i smutek. - Ale Lena nie żyje... i wielu innych też.

- Boże miłosierny - szepnęła Carly.

- Nie wiedziałem, co robić. Jakiś czas błąkałem się po górach... W końcu przyszedłem tutaj.

- Tak strasznie mi przykro. - Sięgnęła po jego dłoń, która była bezwładna i zimna, bez najmniejszej iskierki życia.

- Dobrze zrobiłeś przychodząc tutaj - odezwał się Ramon, stając obok Carly. - Możesz zostać tak długo, jak chcesz.

Chłopiec nie odpowiedział, tylko kiwnął głową. Jeśli nawet zdziwił się na widok Carly w Las Almas, nie okazał tego po sobie. Ale przecież jego siostra zawsze uważała, że Caralee jest kobietą don Ramona.

Ramon spojrzał na jego ubranie i obita twarz.

- Będziesz musiał tu pracować. Możesz zamieszkać razem z *vaqueros*.

Na te słowa w oczach chłopca pojawił się lekki blask. Spojrzał na Ramona.

- Będę pracował ze wszystkich sił. Dwa Sokoły nie weźmie nic, na co nie zapracuje.

Ramon położył dłoń na jego wychudłym ramieniu i uściśnął go uspokajająco.

- Dopilnuję, abyś zarobił na swoje utrzymanie. Trzeba przerobić łąk na świec, okopać ogród i powyrywać chwasty, ubić parę wieprzy... a może później -domyślił się, co poprawiłoby chłopcu nastrój - Mariano znajdzie trochę czasu, aby nauczyć cię pracy przy koniach.

Mariano był *segundo* Ramona, gdy Pedro powrócił do osady.

- Chciałbyś tego, co? Nauczyć się być *vaquero*?

Na twarzy małego Indianina pojawiła się iskierka nadziei.

- *Si, don Ramon*. Bardzo bym chciał.

- A na razie - rzekła Carly - chodź ze mną. -Uśmiechnęła się zachęcająco, mimo że w sercu czuła ogromny żal z powodu śmierci kobiety, z którą zdążyła się zaprzyjaźnić w wiosce, z powodu gehenny chłopca. - Potrzebne ci nowe ubranie, przyszykuję ci też coś do jedzenia. - Spojrzała przelotnie na Ramona, po czym zaprowadziła przybysza w stronę stojącej osobno kuchni. Błękitnej na pewno zostało trochę jedzenia po śniadaniu, aby go nakarmić, a tymczasem ona poszuka mu jakiegoś przyodziewku.

Poza tym, miała nadzieję, że Błękitna pocieszy małego. Co prawda Dwa Sokoły był Jokutem, zaś Błękitna pochodziła ze szczepu Mutsen, ale nie miało to większego znaczenia.

Tragedie, jakie dotknęły oba plemiona, zjednoczyły ich bardziej niż cokolwiek innego.

Pozostawiła chłopca pod opieką staruszki, a po jakimś czasie wróciła z ubraniem i zaczęła, aż wróci znad strumienia, dokąd poszedł, aby się umyć i przebrać.

Uśmiechnęła się na jego widok. Ubranie było trochę zbyt obszerne na jego wątłą postać, ale wyglądał jak ktoś zupełnie inny. Miał na sobie spodnie z kozłej skóry, białą, muślinową koszulę i trochę porysowane, skórzane buty. Umyte, czarne włosy spiął sobie na karku kawałkiem skózanego rzemyka.

- Jestem gotowy do pracy - powiedział po prostu.

- Przeszedłeś prawdziwe piekło. Może trochę odpoczniesz? Pracę zaczniesz od jutra rana.

Poczuł się wyraźnie zawiedziony. Opadły mu ramiona, zrzędła mina. Dopiero nadejście Ramona sprawiło, że podniósł głowę.

- Jest trochę roboty w zagrodzie - rzekł Ramon. - Mariano czeka już na ciebie. - Był to *vaquero*, który wystąpił w jej obronie, gdy podsłuchiwała rozmowę mężczyzny o niechcianym małżeństwie dona. Carly miała słabość do tego wielkiego, szorstkiego człowieka. Jednak w tej chwili chłopiec był jeszcze pogrążony w głębokim bólu.

- Myślę, że powinien odpocząć - stwierdziła. - Powiedziałam mu, żeby...

- Czy takie jest twoje życzenie, *muchacho*? - Ramon spojrzał na chłopca, który po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Chcę pracować, *señor*.

- A więc idź. Jest dużo pracy. Kiedy skończysz, zapoznam cię z Bajito. Myślę, że przypadnie ci do gustu.

- Bajito?

- *Si*, ale to dopiero później. A teraz zmykaj.

Chłopiec ruszył przed siebie, a z każdym krokiem kucyk podskakiwał mu na plecach. Carly spojrzała na Ramona i zrozumiała, że mąż miał rację.

- On potrzebuje jakiegoś zajęcia - wzruszył ramionami. - To pomoże mu zapomnieć.

- Tak... i znajomość z Bajito też dobrze mu zrobi. Cieszę się, że zjawiliś się we właściwej chwili.

Lecz przecież zawsze radowała się na jego widok, a ostatnio on podobnie reagował na jej obecność. Jej serce było pełne miłości i nadziei, chociaż nie odsłaniał przed nią swego całego wnętrza. Nie kochał Carly, ale w jakimś stopniu zależało mu na niej.

Nie więcej zaznałaby od Vincenta.

Jednak od Ramona chciała więcej.

Rozdział 15

Patrzyła, jak Ramon odchodzi, rozmyślając o tym, jak bardzo go pokochała. Zaopiekował się chłopcem, ale już wcześniej widziała, jak odnosi się do dzieci. Co myślał o dzieciach, które ona mogła mu urodzić? Czy będzie je kochał tak samo, jakby były czystej hiszpańskiej krwi?

Zaniepokoiła ją ta myśl i nie opuszczała jej, gdy pracowała po południu u boku matki i ciotki Ramona. Przetapiały ostatnią porcję tłuszczu na łój z resztek ubitych wołów. Była to ciężka, znojna praca, a gdy wreszcie się z nią uporały, Carly wyszła z domu, kierując się ku miejscu, gdzie strumień wypływał spośród drzew. Usiadła na granitowym głazie, podniosła z ziemi kilka otoczków i zaczęła wrzucać je do wody.

Tam też znalazł ją Ramon. Wpatrywała się w potok, zatopiona w niezbyt wesołych myślach.

Usiadł obok niej.

- Co ci chodzi po głowie, Cara? Czemu jesteś taka smutna?

- Myślałam o Dwóch Sokołach i o Lenie. Jak to mogło się stać? Jaki powód mieli ci żołnierze, aby ich zabić?

Ramon oparł się o pień olchy.

- Rozmawiałem o tym z chłopcem. Powiedział, że dwóch młodzików z wioski wybrało się na rabunek. Ukradli kilka koni z rancza u podnóża góry San Juan. Właściciel rancza został postrzelony w ramię, więc wezwał na pomoc milicję, która niestety dotarła po śladach do wioski.

- Mieszkańcy na pewno bardzo potrzebowali tych koni. Gdy byłam w wiosce, widziałam tylko kilka sztuk.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

- To dlatego, *querida*, że oni je zjadają.

- Co ty mówisz?

Kiwnął głową.

- Od wielu lat konina jest podstawą pożywienia Jokutów. Dawno temu na tych wzgórzach i w dolinach roiło się od dzikich koni. Stąd pochodzi większość naszych wierzchowców.

- Oni naprawdę... zjadają je?

- *Si*. Jedzą też gryzonie... pieką je razem z futrem i pchłami. Wiosną prawdziwy rarytas stanowią polne koniki. Gotują też duże, grube robaki, jedzą larwy os. Robią pieczone

z jaszczurek, węży, kretów...

- Dobrze, wystarczy! - przerwała mu. - Widzę, że ich menu jest znacznie obszerniejsze od naszego. -Poczuła lekkie mdłości.

- Miałaś szczęście, że wtedy przyjechaliśmy do wioski z własnym prowiantem.

- A ja chciałam się wybrać na jedną z ich zabaw -mruknęła.

Ramon zaśmiał się cicho.

- Oni są po prostu inni od nas. Dlatego istnieje wobec nich tyle uprzedzeń. Potrafią też być bardzo okrutni. Walczyli na śmierć i życie z pierwszymi kolonistami i ranczerami, zabijając wielu z nich. Nadal od czasu do czasu napadają i mordują.

- Ale strzelanie do kobiet i dzieci... to nie w porządku.

- Nie, *chica*. To nie jest w porządku. Przykro mi z powodu Leny, ale cieszę się, że chłopiec żyje.

Carly też się cieszyła. Jeśli Dwa Sokoły wróci do pełni sił, jeśli będzie ciężko pracował i pobierał nauki od Ramona i jego *vaqueros*, wyrośnie na silnego, mądrego mężczyznę.

- To ładnie, że mu pomogłeś.

- Może zrobiłem to, aby ci sprawić przyjemność -odparł z uśmiechem.

Pokręciła głową, poruszając kosmykiem, który wysuwał się z warkocza na policzek.

- Nie sędzę. Myślę, że pomógłbyś każdemu, kto byo to poprosił. Bo taki jesteś.

Nie odezwał się, ale na te słowa w jego oczach zaczęło błyszczeć zadowolenie. Wziął ją za rękę i spacerkiem zaczęli iść w kierunku domu.

- Rozmawiałam dziś z twoją matką - odezwała się, nawiązując do tematu, którego Ramon sam nie poruszał. - Powiedziała mi, że wyjeżdżasz na kilka dni... że masz jakąś sprawę w Monterey. - Modliła się, aby to nie miało związku z osobą El Dragona.

- *Si*, to prawda. - Na jego twarzy pojawiło się chwilowe zakłopotanie. Poczuła nieprzyjemny ucisk w sercu.

- Jak długo cię nie będzie?

- Niecały tydzień. - W końcu podniósł wzrok na jej twarz. - Pomyślałem sobie, że może... chciałabyś pojechać ze mną?

- A chciałbyś mnie zabrać?

- To nie będzie wyczerpująca podróż. Mógłbym szybko załatwić sprawę, a potem mielibyśmy trochę czasu dla siebie. W Monterey jest przyjemny hotel. Chyba kilka dni to nie jest zbyt wiele, gdy mąż prosi swoją niedawno poślubioną żonę?

- Och, Ramon! - Objęła go za szyję i przytuliła mocno.

- Gdybym wiedział, że tak się ucieszysz, już dawno zaplanowałbym taki wyjazd.

Roześmiała się wesoło, ale zaraz posmutniała. Przypomniała sobie Dwa Sokoły i poczuła wyrzuty sumienia.

- A może powinnam zostać i pomóc chłopcu wrócić do siebie. W końcu strasznie się wycierpiał, doznał ogromnej straty.

- Mariano się nim zajmie. Największe marzenie chłopaka to zostać *vaquero*. A twoja ciągła obecność wcale mu w tym nie pomoże.

Zastanowiła się. Już wcześniej rozumiała, że taka jest prawda. Ale przecież chłopak mimo to będzie odczuwał samotność.

- No... nie wiem. Jest taki młody i...

- Jeszcze przed naszym wyjazdem będziesz miała czas, żeby mu pomatkować. A potem całą uwagę masz poświęcić mnie.

Uśmiechnęła się.

- Kiedy wyjeżdżamy?

- Pojutrze. Do tej pory Dwa Sokoły dojdzie do siebie, a ja mam do załatwienia sprawę wielkiej wagi.

- A w czym rzecz?

Spojrzał na nią trochę nieufnie.

- Nie twoja rzecz. To sprawa rodzinna de la Guerrów.

Zignorowała ten przycinek. Chciała powiedzieć, że teraz ona też należy do rodziny de la Guerra, ale mąż pewnie nigdy tak o niej nie pomyśli.

- Chyba już pójdę - powiedziała, nie uśmiechając się już tak radośnie jak przed chwilą.

- Błękitna szykuje *carne asada* na kolację. Chcę, żeby mnie nauczyła gotować to danie. Ramon złapał ją za ramię.

- Niegdyś mieliśmy trzy służące, które przygotowywały każdy posiłek. Może ten czas jeszcze wróci.

Odsunęła się.

- Dla mnie to nie ma znaczenia, Ramon. Do szczęścia potrzebna mi jest tylko twoja obecność.

Zaskoczony podniósł głowę. Na pewno wiedział, co ona czuje. A może nie? W tej sytuacji poczuła zadowolenie. Widziała go w towarzystwie Isabel Montoya i Mirandy Aguilar. Obie były piękne i najwyraźniej zakochane w nim po uszy. I widać było wyraźnie, że nie odwzajemnia! ich uczuć.

Była żoną Ramona, ale nie on dokonał wyboru. Cokolwiek do niej czuł, nie była to

miłość.

Poczuła lekki ból w sercu. Co tak naprawdę do niej czuł? Nie było wątpliwości, że jej pragnął. Ale podobnie pożądał innych kobiet. Zawsze miał dużo kochanek. Jak by się poczuła, gdyby zostawił ją dla innej, gdyby wrócił do Mirandy albo Isabel Montoya? Dlaczego miałyby wierzyć, że już nigdy nie będzie żadnej innej kobiety?

Coś ścisnęło ją w żołądku. Kiedyś była w stanie to znieść, ale teraz wiedziała, że jakaś cząstka wewnątrz niej umarłaby, że nie byłaby już w pełni kobietą, którą stała się od czasu poznania Ramona.

Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że oddając Ramonowi swoje serce, podjęła ogromne ryzyko.

Na jej ustach zawitał uśmiech fałszywej radości.

- Nie martw się o mnie. Nie mam nic przeciwko odrobinie ciężkiej pracy. Traktujesz mnie dobrze, a sypianie z tobą na pewno jest lepsze od sypiania z Vincentem Bannisterem. - Wypowiedziawszy te chłodne słowa, zostawiła go. Czowała się źle, ogarnięta niepewnością i cierpieniem.

Nie przestała się jednak uśmiechać. W jednej chwili podjęła decyzję. Z każdym dniem coraz bardziej kochała Ramona, ale on nie mógł się o tym dowiedzieć. Przynajmniej do czasu, aż ona się upewni, że zdobyła jego miłość. Być może w Monterey zbliżą się do siebie.

W głębi serca nie była jednak pewna, czy on do tego dopuści. Nie była pewna, czy jakakolwiek kobieta jest w stanie zdobyć miłość Ramona.

Zwłaszcza taka, w której żyłach nie płynie hiszpańska krew.

* * *

Przez następne dwa dni odsuwała te obawy na bok, poświęcając się przygotowaniom do podróży. Nigdy nie była w starym hiszpańskim miasteczku Monterey. Pojechać tam z Ramonem, być z nim sam na sam prawie przez tydzień, wydawało się szczytem rozpusty. Trochę się martwiła o Dwa Sokoły, ale chłopak dobrze przystosował się do nowego trybu życia i ludzi pracujących na ranczo. Błękitna chodziła wokół niego jak kwoka, poza tym było tam jeszcze kilku Indian, a jeden z nich pracował jako *vaquero*.

Jednak chłopak zachowywał się tutaj inaczej niż w wiosce. Większość czasu był jakby nieobecny, prawie się nie odzywał. Jedyne wyjątek stanowiły chwile, które spędzał z Bajito. Wtedy był znowu radosnym i beztroskim dzieckiem, takim samym jak w górach. Tak samo ujmującym. Zawsze wszystkim pomagał w potrzebie i nieustannie był głodny. Carly

zastanawiała się, jak długo szedł bez jedzenia z wioski do rancza, bo sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie mógł się najeść do syta.

Wcale się więc nie zdziwiła, gdy nagle znikł jeden z jeżynowych placków, upieczonych przez tia Teresę.

- Zupełnie nie wiem, jak to się stało - powiedziała z rozdrażnieniem do Anny. - Leżał na parapecie w kuchni, a po chwili go nie było.

- Czego nie było? - spytała Carly. Weszła do saloniku, niosąc jedną z białych koszul Ramona i nitkę z igłą.

- Mojego placka - odparła tia. Nie gotowała zbyt często, ale jej placek był naprawdę wyjątkowo smakowity. - Najpierw pomyślałam, że złapał go jakiś dziki zwierzak, a potem znalazłam na parapecie te okrągłe kamyczki. Co to takiego jest?

Carly z namysłem obejrzała kamienie.

- Nie mam pojęcia. Ale może Ramon będzie coś wiedział. - Ale już chyba zrozumiała, co się stało z plackiem. Miała tylko nadzieję, że tia nie zauważy ciemnych plam po jeżynach na szczupłych, brązowych dłoniach indiańskiego chłopca.

* * *

Dwa dni później wyruszyli w podróż do Monterey. Siedzący w ozdobionym srebrem siodle Ramon pochylił się pod zwisającą gałęzią i przytrzymał ją, aby Carly mogła swobodnie przejechać pod spodem. Ranek wstał jasny i piękny, cytrynowe słońce świeciło na lazurowym niebie. Uśmiechnął się i w myślach podziękował Marii Dziewicy za dar tak cudownego dnia dla swojej młodej żony.

Jechali wierzchem. Ramon zaproponował powóz, ale Carly niespodziewanie odmówiła.

- Z każdą kolejną lekcją jeździ mi się coraz lepiej- powiedziała. - Poza tym na przełaj szybciej dotrzemy na miejsce. Mówiłeś, że jest skrót przez wzgórze, więc mogliśmy go wykorzystać, gdybyśmy nie musieli trzymać się ubitego traktu. - Uśmiechnęła się do niego pięknie. - Poza tym przyda mi się praktyka. Dotknął jej policzka.

- Tak, *querida*, gdy się tak uśmiechasz, jakież mężczyzna mógłby ci odmówić? - To była jedynie dwudniowa podróż. Był dumny, że chciała podnieść swoje jeździeckie umiejętności.

Drugi raz zaskoczyła go, gdy rano pojawiła się na wielkim, damskim siodle jego ciotki. Przynajmniej teraz powierzchnia siodła nie była już taka sztywna i nierówna. Ktoś

wspaniale ją poprawił, zmięczył skórę, wypolerował do połysku, oczyścił srebrne ozdoby. Miał niezbite podejrzenie, że to jego żona dokonała tej przemiany.

- Czy jesteś tego pewna, Cara?

- Zaczęłam używać damskiego siodła po powrocie do del Robles. Chciałam się nauczyć jeździć jak dama.

- Ale to siodło jest za wielkie dla ciebie. Na pewno sobie poradzisz?

- Poradzę, Ramon. Uczylałam się na siodle tej wielkości.

Uśmiechnął się.

- No dobrze, słońce jest coraz wyżej. Czas wyruszyć.

Wyglądała ślicznie w szafirowym stroju do konnej jazdy. Jej ogniste kręcone włosy opierały się na ramionach. Znowu poczuł przemożne pragnienie, aby ją pojąć, chociaż kochali się już tego ranka.

Stłumił pełen frustracji jęk. Za każdym razem, gdy na nią patrzył, wywoływała w nim pożądanie. Miał nadzieję, że to nienasycenie minie, a tymczasem jeszcze bardziej rosło z każdym kolejnym dniem. *Madre de Dios*. To było do niego niepodobne. Sam nie wiedział, co ma zrobić.

Czy na pewno zabrałaś dosyć ubrań? - Na grzbiecie muła, którego zabrali jako zwierzę juczne, prócz śpiworów i prowiantu była tylko jedna torba.

Podróż miała być przyjemna, więc Ramon postanowił nie oszczędzać. W sakwach z jedzeniem na drogę pełno było jabłek z sadu, były *pinole*, tortille z *carne seca*, a więc z suszonym mięsem, kawa, i herbata *yerba buena*. Był też świeżo upieczony kurczak na wieczorny posiłek, paszteciki z fasolą, ser i słodkie bułeczki. Na grzbiecie muła jechał nawet cienki puchowy materac na noce, które mieli spędzić pod gołym niebem.

- W torbie jest więcej rzeczy, niż ci się wydaje - odparła, spoglądając nań błyszczącymi oczami szmaragdowej barwy. - Powiedziałaś, żebym wzięła coś ładnego, więc tak zrobiłam. Sukniom nic się nie stanie, trzeba je będzie tylko przewietrzyć i wyprasować.

Mógł sobie tylko wyobrazić mnogość strojów, jakie zabrałyby ze sobą w podróż Isabel Montoya. Aby je unieść, potrzebne byłyby trzy muły. Zresztą nie byłyby w ogóle potrzebne, bo Isabel nalegałaby na podróż powozem.

Matka i tia Teresa wyszły z domu, aby ich pożegnać. Dwa Sokoły pracował w stajni z Mariano, dokąd chodził każdego wieczoru po zakończeniu wszystkich innych zadań.

- Życzę ci bezpiecznej podróży, mój synu - powiedziała matka. Spojrzała na Carly. - I tobie... moja córko.

Piękne, zielone oczy jego żony zaszyły łzami. Uśmiechała się do jego matki z takim

uczuciem, że Ramon poczuł w sobie dziwną miękkość. Miał nadzieję, że matka i ciotka zaakceptują Carly, ale nawet nie marzył o tym, że kiedyś pokochają ją tak samo jak on.

Ramon ściągnął nieco cugle, aż Rey del Sol zaczął podskakiwać lekko i poruszać rytmicznie wielkim łbem. Nie mógł tego powiedzieć głośno, ani nawet w swoich myślach. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Wiedział, czym to grozi. *Por Dios*, wiedział dokładnie, jakie to uczucie, gdy kobieta łamie mu serce.

- *Vaya con Dios* - zawołała za nimi ciotka. Jedźcie z Bogiem. - Miłej podróży. Ramon, nie zapomnij pozdrowić swoich kuzynek. - Przyszedł list od Marii de la Guerra, która miała odwiedzić Monterey wraz ze swoją córką.

- Przekonam je, aby nas odwiedziły - powiedział.

- Uważajcie na siebie - zawołała Carly. Ramon pomachał im ostatni raz i popędził konia ostrogami. Carly jechała obok na grzbiecie świetnie ułożonej, niedużej, białej klaczy.

- One są bardzo serdeczne - powiedziała, spoglądając za siebie na dwie, coraz bardziej oddalające się postacie. Jeszcze raz pomachała na pożegnanie. -Bardzo je polubiłam.

Ramon milczał. Nadal walczył z myślą, że coraz bardziej kocha Caralee McConnell. Zapewniał sam siebie, że w każdej chwili może położyć temu kres. Zdystansować się od jej ciepłych spojrzeń, łagodnych uśmiechów, namiętności, jaką dzielili w łóżku.

Tak, podziwiał ją. Doceniał w kobiecie odwagę, umiejętność obrony swoich racji, a także to, że umiała się postawić także jemu. Szacunek jest bardzo dobrą rzeczą w małżeństwie. To i przyjaźń, wraz z dużą dawką żądz, zamykały listę jego potrzeb.

Wmawiał sobie, że na tym koniec. Że nie pozwoli jej zbliżyć się jeszcze bardziej.

Spojrzał na nią kątem oka, na jej radosny, podekscytowany uśmiech, gdy wskazała mu palcem jastrzębia, szybującego nad ich głowami pośród chmur.

Serce w nim rosło. Już wiedział, że zabrnął o wiele dalej, niż tego pragnął.

* * *

Szeryf Jeremy Layton podjechał na dużym gniadym wałachu przed hacjendę rodziny de la Guerra, ale nie zeskoczył na ziemię. Pośród ranczerów panował zwyczaj, że nie zsiadało się z konia, jeśli nie zostało się zaproszonym. A jego nikt nie zaprosił. Zresztą w tym momencie Jeremy nie miał powodu, by zachowywać się nieprzyjaźnie wobec Ramona de la Guerra czy kogokolwiek z członków jego rodziny. W końcu byli to ogólnie szanowani obywatele.

A jednak... Fletcher Austin podejrzewał, że don może mieć jakiś związek z bandytą o przydomku El Dragon. Austin w ogóle był dosyć specyficzny: prymitywny, bezwzględny, a nawet zachłanny.

Ale nikt nigdy nie powiedział, że jest głupi.

Do szeryfa podszedł krępy, trzydziestokilkuletni mężczyzna o ciemnej skórze, szerokiej piersi i krzaczastych, dużych wąsach.

- *Buenos tardes, señor*. Szuka pan don Ramona?

Jeremy przypomniał sobie, że mężczyzna ma na imię Mariano i jest jednym z najlepszych *vaqueros* don.

- Tak, chciałbym z nim zamienić parę słów. Czy jest w domu?

- Nie, *señor*. Nie ma go.

- Więc może mógłbym porozmawiać z jego żoną?

- Niestety, także jej nie ma. A może chciałby pan porozmawiać ze starszą panią... albo z ciotką don Ramona...?

- A czy mogę wiedzieć, dokąd pojechali don i jego żona?

Zawahał się, ale po chwili na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech.

- To podróż poślubna, *señor*. Panny młode często są nieśmiałe, prawda? Więc don pewnie chce ją nauczyć paru rzeczy... a najlepiej zrobić to z dala od porozumiewawczych spojrzeń rodziny i przyjaciół.

A może don już wcześniej nauczył ją tych rzeczy w górach, jak uważał Fletcher Austin.

- Przekaż im moje gratulacje. Powiedz, że niedługo znowu tu zajrzę, aby się z nimi spotkać.

- *Si*, powtórzę im to, szeryfie Layton.

Obrzucił wzrokiem dom i gospodarstwo, ale nie zauważył niczego podejrzanego.

- Czy mogę napić konia?

- Oczywiście. Przepraszam, że sam tego nie zaproponowałem. A może przyniosę też coś dla pana... kawę albo czekoladę... albo coś do jedzenia?

- Nie, dziękuję. Tylko wody dla konia.

Mariano skinął głową i poprowadził ich w kierunku porośniętego mchem koryta. Jeremy dał koniowi napić się do woli, potem cofnął zwierzę o kilka kroków i wygodniej usadowił się w siodle. Dotykając róna kapelusza w geście pożegnania, spostrzegł ruch firanki w jednym z okien, jednak nikt nie wyszedł mu na spotkanie. Niezbyt to miłe.

Z drugiej jednak strony dona nie było w domu, więc dwie starsze panie mogły mieć pewne opory przed rozmową z obcym mężczyzną.

Na szczycie wzniesienia zatrzymał się, aby jeszcze raz spojrzeć na hacjendę. Krępy *vaquero* rozmawiał z ciemnoskórym, indiańskim chłopcem, po czym pomógł mu wsiąść na konia, o lekko łękowatym grzbiecie. Mały, łaciaty piesek szczekał, kręcąc się koło końskich nóg, ale nie sprawiał wrażenia przestraszonego. Poza tym na ranczo trwała praca. Kilku mężczyzn naprawiało zepsuty fragment ogrodzenia, dwóch innych *vaqueros* siedziało w cieniu, splatając lassa z cienkich pasków skóry. Niczego podejrzanego.

Mimo wszystko, chciałby jeszcze raz porozmawiać z dziewczyną. I z don Ramonem. W niedzielę niektórzy z tych ludzi pojawią się na mszy w misji i wtedy będzie mógł zamienić z nimi kilka słów.

Przynajmniej El Dragon na razie nie dokonywał kolejnych napadów.

Być może człowiek, który dostarczał mu informacji, był zbyt zajęty kochając się ze swoją ognistą żoną.

* * *

Pueblo Monterey, niegdyś stolica starej Kalifornii, niewiele się zmieniło od czasów dawnych hiszpańskich rządów. Senne miasteczko, położone na łagodnym, porośniętym piniami zboczu, skąd rozpościerał się widok na zatokę. Ponad położonym na skarpie fortem powiewała amerykańska flaga, podobnie jak na budynkach rządowych i budynku z żółtego kamienia, który służył jako siedziba magistratu. Z jednej strony Carly zauważyła grupę solidnie zbudowanych domów, niektóre były z cegły, inne drewniane. W błękitnej zatoce kołysało się na kotwicy kilkanaście łodzi i statków.

- Tu jest pięknie, Ramon.

- *Si*, Cara. To zawsze było ładne miasteczko. - Pochylił się do przodu i oparł łokieć na łęku siodła, marszcząc czoło. - A jednak zmieniło się od czasu przybycia Amerykanów. Powstały liczne bary, kwitnie hazard. Mężczyźni od rana do nocy grają w bilard i w karty na pieniądze. Te spelunki są otwarte cały czas, nawet w niedziele.

Zmusił się do uśmiechu.

- Ale jest też przyzwoity hotel. Jedźmy, pokażę ci. Robi się późno, więc na pewno z przyjemnością trochę odpoczniesz.

O dziwo, wcale nie była bardzo zmęczona, ani nawet obolała od konnej jazdy. Podróż z Las Almas w towarzystwie Ramona była cudownym przeżyciem, którego nigdy nie

zapomni.

Pomógł jej zsiąść z klaczy. Zameldowali się w hotelu „Cyprys”, który mieścił się w ślicznym ceglany, krytym dachówką budynku z widokiem na zatokę. Ramon powiedział, że kiedyś była to rezydencja gubernatora, lecz niedawno zakupiła go grupa Amerykanów, którzy odremontowali dom. Salon, który teraz pełnił funkcję holu, był wysoki na dwa piętra, miał witraże w oknach, masywne drewniane belki i kominek tak ogromny, że mógłby w nim stanąć wyprostowany mężczyzna.

Ich pokój był nieduży, lecz dobrze wyposażony. Stało w nim duże dębowe łóżko, pokryte błękitną narzutą, w oknach wisiały koronkowe firanki. Z balkonu widać było Pacyfik.

- Tu jest wspaniale, Ramon - powiedziała Carly, gdy jej mąż zamknął ciężkie, dębowe drzwi.

- Nie aż tak, jak bym chciał, ale dość wygodnie. - Uśmiechnął się kącikiem ust. - Może po kolacji sprawdzimy, czy łóżko jest równie wygodne jak reszta umeblowania. - Spojrzał na nią oczami, w których błyszczały złote iskry. Jego wzrok zatrzymał się na piersiach Carly. Objął ją wół i przyciągnął do siebie. - A może już teraz się o tym przekonamy.

Pocałował ją mocno, namiętnie, aż rozplynęła się w sobie, bezwiednie chwytając go za ramiona. Poczula, jak twardnieje, pomyślała o tym, jak ta twarda męskość wchodzi w nią i przez chwilę nawet wzięła pod uwagę możliwość opuszczenia kolacji.

Ramon jednak odsunął się.

- *Querida*, człowiek traci przez ciebie głowę. Później będzie mnóstwo czasu, żeby się kochać. Na razie kazałem, żeby przygotowano kąpiel. Muszę załatwić jedną sprawę, potem zajrzę do łaźni, żeby ostrzyć włosy i się ogolić. Zjemy, gdy wrócę.

- Dobrze - zgodziła się, oddychając z trudem. Jeszcze raz pocałował ją mocno, zabrał ubranie na zmianę i wyszedł.

Zanim wrócił, przebrała się w fioletoworóżową jedwabną sukienkę z dużym dekoltem, którą wyprasowała dla niej indiańska pokojówka. Ramon miał na sobie obcisłe szare spodnie z czarną lamówką, przylegające do długich, twardych ud, zaś na dole rozszerzające się dzwonowato. Na szerokie ramiona narzucił dopasowaną do spodni marynarkę, pod którą miał białą jedwabną koszulę z falbanami.

- Gdzie zjemy kolację? - spytała Carly, gdy poprowadził ją do drzwi.

- W mieście jest moja kuzynka, Maria, z Santa Barbara. Zaprosiła nas, abyśmy odwiedzili ją i jej córkę, Charlotte, w domu Ricardo Micheltoreny, u którego się zatrzymała. Będzie tam również kilku innych gości. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Niestety, powiedziałem jej, że nie możemy przyjąć miłego zaproszenia... przynajmniej dzisiaj. Tej nocy

chcę cię mieć tylko dla siebie.

Przeszedł ją przyjemny dreszcz.

- Bardzo bym chciała je poznać, ale wcale nie będzie mi przykro, jeśli to nie stanie się dzisiaj.

- Później będzie po temu sposobność.

Zjedli w hotelowej restauracji prosty posiłek: asa-da z kurczaka, czerwonej papryki ogórków i kukurydzy, a także *guisado* z wołowiny i ziemniaków. Wszystko było znakomicie przyrządzone.

Rozmawiali o podróży z Las Almas. Carly powiedziała, jak bardzo podobała się jej jazda przez malownicze wzgórza Kalifornii. Stwierdzili również, że Dwa Sokoły bardzo ochoczo zdobywa umiejętności *vaquero*.

- Jego dotychczasowe życie musiało być bardzo ciężkie - powiedziała Carly ze smutkiem. - Zanim przybył do Las Almas, chyba przymierał głodem.

- W dawnych czasach wszędzie było mnóstwo zwierzyny. Indianie nie musieli się martwić. Ale wraz z pojawieniem się górników przybyli myśliwi, którzy strzelają do wszystkiego, co się rusza, chociaż wiele zwierzyny marnuje się. Większość młodych, odważnych ludzi opuściła wioski w poszukiwaniu pracy, zostali głównie starcy i dzieci, którzy sami muszą zapewnić sobie byt.

Smutno pokiwała głową. Pomyślała o chłopcu i o placku z jeżynami, który tajemniczo znikł. Uśmiechnęła się.

- Myślę, że Dwa Sokoły ukradł placek z jeżynami, który zrobiła tia Teresa. Ale wiedząc, co dla niego oznacza pożywienie, nie miałam serca robić mu z tego powodu wyrzutów.

- On tego nie ukradł - poprawił Ramon. - Jest na to zbyt honorowy. Kupił ten placek.

- Kupił? Ale jakim sposobem... - Urwała z uśmiechem. - To te kamyki, które zostawił na parapecie.

Ramon zaśmiał się.

- To specjalne kamienie do handlu wymiennego, używane wśród jego współplemieńców. Dla niego są tym samym co pieniądze.

- Ha! Zdaje się, że Dwa Sokoły może nas nauczyć tyle samo, co my jego.

Ramon skinął głową. Skończyli kolację i wrócili do pokoju, zrzucili ubranie i kochali się wśród szumu poruszanych wiatrem drzew i plusku fal, rozbijających się o skaliste nabrzeże.

Rankiem Ramon udał się na spotkanie, które było głównym celem jego przyjazdu do

Monterey. Tylko jedna mała rzecz nie dawała Carly spokoju: jej mąż starannie unikał najmniejszej wzmianki o naturze sprawy, którą miał załatwić.

* * *

- *Buenas tardes, don Ramon.* Proszę dalej. - Alejandro de Estrada, dystyngowany mężczyzna po pięćdziesiątce o siwiejących włosach, gestem zaprosił Ramona do środka. Alejandro pisał do do-na jakiś czas temu i bardzo chciał poznać syna swojego dawnego towarzysza, Diego de la Guerra, człowieka, którego znał i szanował od samego początku pobytu w Kalifornii.

- *Gracias, don Alejandro.* Od dawna czekałem na tę okoliczność.

- Ja także, don Ramon. Zanim zaczniemy, czy miałby pan ochotę na kawę, albo może filiżankę czekolady?

- Poproszę o kawę. - Niska, otyła kobieta przyniosła poczęstunek do małego, lecz schludnego gabinetu. Na ścianach z białej cegły wisiały dyplomy, upoważniające gospodarza do wykonywania zawodu prawnika w Kalifornii, a także obraz namalowany przez artystę, który był mu winien pieniądze.

Alejandro zasiadł za niewielkim dębowym biurkiem, odsuwając na bok listy, które właśnie czytał. Ramon de la Guerra zajął miejsce naprzeciwko niego, w obitym skórą fotelu.

- Przyjechał pan, żeby omówić sprawę Rancho del Robles - zaczął Alejandro. - Wiem, jakie ma pan kłopoty. Pański ojciec na początku zwrócił się do mnie. Miałem nadzieję, że uda mi się zapobiec utracie tej ziemi, lecz wówczas, co muszę z przykrością stwierdzić, nie byłem w stanie mu pomóc. - Westchnął ciężko, wspominając śmierć dobrego przyjaciela. - Bardzo tego żałuję.

- Był pan przez wiele lat jego *abogado*. W swoim liście wspomniał pan, że ujawniły się nowe okoliczności, które mogą coś zmienić.

- Si, to prawda. Akt własności Rancho del Robles, stwierdzający jego przynależność do pańskiego ojca, spłonął w czasie pożaru tutaj, w Monterey, ponad dwadzieścia lat temu, zaś opis ziemi w jego oryginalnym *diseno*, był tak niejasny, że sądy odmówiły przyjęcia go bez dodatkowej weryfikacji.

Don pochylił się.

- A teraz znalazł się na to sposób?

- Po przegraniu sprawy przez pańskiego ojca do sądu wniesiono inną *Haciendado*, który był właścicielem ziemi, don Fernando Seville, przedstawił dokumenty kościelne na

poparcie swego roszczenia. Były to zapisy urodzeń i śmierci, które pokazywały, że jego rodzina jest właścicielem tych terenów już od czterech pokoleń. Z początku Komisja Gruntowa nie chciała tego przyjąć, gdyż zawsze była sceptycznie nastawiona do Kościoła katolickiego, ale w końcu don Fernando wygrał. Jego roszczenie zostało uznane i Rancho Las Palmas wróciło do jego rodziny.

- Jeśli istnieją takie dokumenty, czy mogłyby również stanowić dowód w roszczeniach de la Guerrów?

Alejandro skinął głową.

- To całkiem prawdopodobne. Niestety, ksiądz, który mógłby coś wiedzieć, właśnie wybiera się do Los Angeles. Jeśli nie znajdzie go pan dzisiaj, minie wiele miesięcy, zanim tutaj wróci. Zresztą być może wcale nie wróci, bo ma się udać do Meksyku. Don wstał.

- Gdzie on teraz jest?

- W małym kościółku około trzydziestu mil na południe stąd. Dowiedziałem się o jego wyjeździe od księdza z misji w Carmelo. Człowiek, którego pan szuka, ojciec Renaldo, jest już bardzo stary. Przez jakiś czas mieszkał w misji w San Juan Bautista.

- *Si...* chyba pamiętam go jeszcze z moich chłopięcych czasów.

- Tam nie ma kościelnych dokumentów, ale jeśli gdziekolwiek istnieją, on będzie wiedział, gdzie ich szukać.

- Muszę więc się do niego udać... porozmawiać, zanim wyjedzie.

Alejandro odsunął krzesło od biurka i wstał.

- To daleka i męcząca droga, ale innego wyjścia nie ma. Poza tym, nawet jeśli znajdzie pan dokumenty, nie mogę ręczyć, że Komisja Gruntowa zmieni decyzję.

- Rozumiem. Ale to daje przynajmniej jakąś nadzieję, której od dawna już nie miałem.

Alejandro obszedł biurko i wyciągnął rękę do dona.

- Niech Bóg będzie z tobą, mój synu.

- *Gracias, don Alejandro.* Ja i moja rodzina dziękujemy panu za całą pomoc. -
Podszedł do drzwi i je otworzył.

- Aha, jeszcze jedno - uśmiechnął się prawnik. -Moje najserdeczniejsze życzenia z okazji ślubu.

Na chwilę ostre spojrzenie Ramona złagodniało.

- *Gracias.* Przekażę je mojej żonie. - Po chwili rysy jego twarzy znowu stwardniały. Zdecydowanym krokiem wyszedł na cichą jeszcze ulicę. Alejandro zamknął za nim drzwi.

* * *

- Wybacz mi, *chica*. Okropnie się czuję, że cię tu zostawiam, ale nie mogę cię ze sobą zabrać. Może powinienem porozmawiać z moją kuzynką... zapytać, czy znalazłby się dla ciebie pokój w Casa Micheltorena.

- Nie bądź niemądry. Jeśli to jest tak ważne, jak mówisz, to oczywiście musisz jechać. Nic mi się nie stanie, a przecież wrócisz do jutrzejszego wieczora. Potem zaś będziemy już razem.

Pochylił się i ją pocałował.

- Monterey to spokojne miasto, ale nie jest już tak bezpieczne jak kiedyś. Obiecuj mi, że nie będziesz się ruszać z hotelu, a przed snem starannie zamknij drzwi na klucz.

- Powiedziałaś ci już, że nic mi się nie stanie.

- Obiecuj.

- Dobrze, obiecuję.

Uśmiechnął się. Była taka śliczna. Naprawdę z niechęcią myślał o wyjeździe.

- Będę liczył godziny do mojego powrotu. Wziął podróżne sakwy i skierował się do drzwi.

- Ramon?

- *Si, querida?*

- Na pewno nie chcesz mi powiedzieć, o co tu chodzi?

Na jego twarzy zagościło chwilowe zmieszanie. Bardzo by chciał powiedzieć jej prawdę, wytłumaczyć, że ta ziemia naprawdę od pokoleń należała do jego rodziny, nadal do niej należy, że zrobi wszystko, aby ją odzyskać. Lecz jego przeciwnikiem był wuj Carly. Nie wiedział, jak ona na to zareaguje.

- Może gdy wrócę. - Przyciągnął ją do siebie, wycisnął na jej ustach gorący, władczy pocałunek, który mówił, że należy do niego i powinna o tym pamiętać. - *Hasta mañana*, moja śliczna żono. Wrócę najszybciej jak będę mógł.

- Powodzenia, Ramon.

Wróciła niepewność. Od czasu pobytu w osadzie nie rozmawiali o jej wuju. Jakby każde z nich bało się dotknąć tematu, który mógłby ich poróżnić. Zastanowił się, czy rzeczywiście życzyłaby mu powodzenia, gdyby wiedziała, co planował.

- *Gracias, querida*. Uważaj na siebie.

Rozdział 16

Chciała zostać w hotelu, naprawdę miała taki zamiar, ale dzień był taki piękny, a ona nigdy nie była w Monterey. Pragnęła jedynie odbyć krótki spacer po najbliższej okolicy, zerknąć na to senne miasteczko, które Ramon obiecał jej pokazać. Poszła główną ulicą, oglądając sklepowe wystawy, potem skierowała się ku przystani, gdzie przystanąła, by popatrzeć, jak do przystani wpływa niewielki dwumasztowiec z rozwianymi żaglami.

- Ten statek, który nadpływa - odezwała się do starego rybaka, który siedział na nabrzeżnej skale, trzymając w ręku wędkę zrobioną z wierzbowej gałęzi - wygląda, jakby coś holował. Co oni robią? - Obok niego stało wiaderko ze srebrzyście połyskującymi karpami, na pół zanurzonymi w wodzie.

- To bostoński statek wielorybiczny, panienko. Przywiózł połów, z tego co widzę, dwudziestopięciometrowego szarego walenia. Będzie z niego ze sto beczek oleju.

- Przewożą wieloryby aż do Monterey?

- Tak. Jak się z nimi obrobiją, holują je do zatoki. Plaża na południowym wschodzie jest biała od ich wyschniętych kości.

- Rozumiem. - Przez chwilę obserwowała statek, potem spojrzała na inną część wody. Niedaleko od brzegu płynęło na grzbiecie jakieś futerkowe zwierzę.

- To morska wydra, panienko. Sprytna sztuka, co?

- Co ona robi?

- Rozcina swój obiad. One jedzą ostrygi. Otwierają je pustymi muszlami. Unoszą się na grzbiecie, zażywając słońca. Piękne mają życie, psubraty, nie ma co gadać. - Zarumienił się lekko. - Wybacz, panienko. Od wyjazdu z Aberdeen nieczęsto rozmawiałem z damą.

- Nie szkodzi, panie...?

- MacDugal. Wszyscy wołają na mnie Mac.

- Miło cię poznać, Mac. - Uśmiechnęła się. - Ja jestem Carly de la Guerra.

- Bardzo mi przyjemnie, panienko... zaraz, de la Guerra?

- Tak, a o co chodzi? Zna pan mojego męża?

- Nazywa się Angel? Przystojny chłopak, szczupły, o kręconych czarnych włosach?

- Mój mąż ma na imię Ramon.

- To ktoś inny. - Pokręcił głową, potrząsając długą, siwą brodą. - Ale wcale nie jest mi z tego powodu przykro. Tamten to hulaka, wczoraj pił i zabawiał się z dziewczynkami w barze „Conchita”. Taka panienko jak ty, nie chciałaby mieć go za męża.

Na pewno nie. Zastanowiła się jednak, czy Ramon i Angel są spokrewnieni.

Powiedział, że w mieście są jego kuzyni, ale wymienił tylko Marię i jej córkę.

- Robi się trochę późno - powiedziała. – Chyba już pójdę. Dziękuję za miłą rozmowę, Mac.

- I ja dziękuję. Niech panienka na siebie uważa.

Kiwnęła mu głową, kierując się pod górę do hotelu, cały czas rozmyślając o Angelu de la Guerra, ale jeszcze bardziej o Ramonie i o samotnym wieczorze, który ją oczekiwał.

* * *

Oparty o ścianę budynku pod zadaszonym gankiem, Angel de la Guerra patrzył na oddalającą się, piękną Amerykankę. Chodził za nią całe popołudnie, obserwował hotel od chwili, gdy zobaczył, jak jego kuzyn wyjeżdża na koniu ze stajni. Angel był bardzo ciekawy młodej żony kuzyna od chwili, gdy podsłuchał, jak wczoraj wieczorem Ramon opowiadał o niej jego siostrze.

Zaciągnął się ręcznie skręconym *cigarillo*.

A więc to była ta wstydliva żoneczka Ramona.

Całkiem niezła... mimo że *gringa*. Ale przecież kuzyn zawsze miał dobry gust, jeśli chodzi o kobiety.

I zabawiał się z nimi swobodnie przez ostatnie pięć lat, podczas gdy Angel gnął w więzieniu w Arizonie. Myślał o tym, że ile razy pragnął kobiety, ta kobieta zawsze wolała wybrać jego kuzyna. Rywalizowali ze sobą już od dziecka, ale już wtedy Ramon wygrywał z nim na każdym polu.

Angel prychnął. Co w tym dziwnego? Diego de la Guerra był bogatszy i bardziej wpływowy od jego ojca. Ramon był lepiej wykształcony, wyższy, znacznie lepiej jeździł konno. Kobiety ulegały jego urodzie i czarowi, pogardliwie traktując nieudolne zaloty Angela, który zawsze we wszystkim mu ustępował.

Nawet Yolanda, jego młodzieńcza miłość, potajemnie marzyła o Ramonie. Kiedyś powiedziała Angelowi, że nie może go poślubić, bo kocha innego. Fakt, że Ramon jej nie chciał, w niczym nie zmieniał faktu, że ona pragnęła jego.

Po raz ostatni zaciągnął się *cigarillo* i rzucił je na ulicę, wzbijając mały obłok pyłu, który zdusił ogień. Pomyślał o miedzianowłosej kobiecie i poczuł, jak sztywnieje między nogami. Nie był już tym samym nieopierzonym chłopakiem, jak wtedy, gdy ostatni raz widział się z Ramonem. Te pięć lat bardzo go zmieniło.

Potrzebował kobiety. Znowu był wolny i zamierzał brać, co chciał. Najwyższy czas

wyrównać rachunki.

* * *

Carly wypożyczyła z hotelowej biblioteczki oprawioną w skórę książkę i wróciła do pokoju, gdzie zamierzała zjeść kolację, ale czas ciągnął się tak niemiłosiernie, że w końcu nie wytrzymała i zeszła na dół. Jadalnia nie była duża, znajdował się tam jeden długi stół przez środek z ławami po obu jego stronach, a także kilka pojedynczych stolików z krzesłami na patykowatych nogach. Usiadła na jednym z nich w samym rogu. Po chwili zjawiała się otyła, uśmiechnięta Meksykanka.

- Witam, *señora de la Guerra*. Pani małżonek wspominał, że być może dołączy pani do nas. Prosił, abyśmy się panią zajęli pod jego nieobecność.

- Wiem, że powinnam raczej zjeść na górze, ale...pomyślałam, że tutaj będzie ciekawiej.

- Oczywiście, *señora*. Dlaczegoż piękna kobieta miałaby zamykać się w pustym pokoju i zupełnie odcinać od świata?

Carly uśmiechnęła się na te słowa zachęty.

- Jest pani głodna, *señora*? - Kobieta wytarła pulchne dłonie w fartuch.

- Strasznie. To chyba spacer tak bardzo pobudził mój apetyt.

- Zaraz coś na to zaradzimy. Co pani powie na smakowite *chilena*? Kukurydza zapieczona na złoty kolor, dokładnie tak jak trzeba. Zaręczam, że jest przepyszne.

- Dziękuję. Brzmi wspaniale.

Kobieta oddaliła się pośpiesznie, aby przygotować posiłek, a Carly rozejrzała się po obecnych w jadalni. Była tam czwórka Hiszpanów - małżeństwo z dziećmi - a także dwaj górnicy w brezentowych spodniach i flanelowych koszulach, najwyraźniej Amerykanie ze złotonośnych pól. Kilku mężczyzn nosiło fraki, zapewne byli to biznesmeni lub państwowi urzędnicy. Przy stoliku koło drzwi siedział, opierając się o ścianę, szczupły, ale wyglądający na twardziela mężczyzna o falujących czarnych włosach i ciemnych oczach. Zauważyła, że ją obserwuje.

Gdy ich spojrzenia spotkały się, jego twarz pojaśniała uśmiechem. Po chwili leniwie wstał i ruszył w jej stronę swobodnym, pewnym krokiem. Był na tyle podobny do Ramona, że szybko zorientowała się, z kim ma do czynienia.

- *Señora*?

- Tak?

- Jestem kuzynem pani męża, na imię mi Angelo. Czy mogę się przysiąść.

- Tak... bardzo proszę. Słyszałam, że w mieście przebywa teraz jego rodzina. Miło mi cię poznać.

Odsunął krzesło i usiadł. Był niższy od Ramona, nieco szczuplejszy, ale szeroki w ramionach i umięśniony, dobrze zbudowany. Jak wspomniał Mac, był przystojnym mężczyzną, ale inaczej niż Ramon, miał bardziej ascetyczny typ urody, niemniej tak samo atrakcyjny.

- Mój kuzyn zostawił cię tutaj samą? To do niego niepodobne, opuścić tak piękną kobietę... zwłaszcza własną żonę.

- Wynikła nagła sprawa. Musiał nieoczekiwanie wyjechać. Powiedziałam mu, że poradzę sobie, pod jego nieobecność.

Uśmiechnął się, połyskując białymi zębami, lecz brakowało mu ciepła, jakie miał w sobie każdy uśmiech Ramona.

- Szkoda że się z nim rozminąłem. Przybyłem do miasta dopiero dziś po południu.

Jednak Mac mówił zupełnie coś innego.

- Więc twoja siostra nie wie, że tu jesteś?

- Jeszcze nie. Najpierw musiałem załatwić pewną sprawę.

Jak popijawa i zabawy z dziewczynkami u „Conchity”, pomyślała. Teraz niemal żałowała, że nie poprosiła o kolację do pokoju. W Angelu de la Guerra było coś, czego nie umiała nazwać, ale to coś wywoływało jej niepokój.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Czy... zjesz ze mną?

- Już jadłem. Poza tym mam jeszcze coś do załatwienia. - Wstał i pocałował ją w rękę. Miało zimne, nieprzyjemne w dotyku usta. - Miło było cię poznać...?

- Caralee - podpowiedziała. Wolałaby nie podawać mu swego imienia. Ale był to kuzyn jej męża. Nie miała wyboru.

- A więc, miło było cię poznać, kuzynko Caralee. Pozdrów ode mnie Ramona.

Carly tylko kiwnęła głową. Patrzyła, jak wychodzi z jadalni, pewnym siebie krokiem. Kiedy otyła Meksykanka przyniosła posiłek, Carly stwierdziła, że już nie jest głodna.

Podłubała trochę na talerzu, zmuszając się do zjedzenia małej porcji, po czym wróciła na górę poczytać. Kilkakrotnie myślała o Angelu de la Guerra i o niemiłym odczuciu, którego doświadczyła w jego obecności. W końcu strony książki zaczęły się zamazywać, odłożyła ją więc na stolik przy łóżku. Zdmuchnęła lampę i głębiej wsunęła się w pościel. O dziwo, szybko zasnęła.

Śniła o Ramonie. To był sen przepełniony ciepłem, miłością i nadzieją na przyszłość. Ciekawe, czy również ona jemu się śniła.

* * *

Angel de la Guerra bezgłośnie przemknął korytarzem z wprawą człowieka, który doskonale potrafi się skradać. Właśnie tej pewności siebie zawsze mu brakowało, zanim trafił do więzienia... a może zanim po raz pierwszy zabił człowieka.

W holu na dole cicho tykał zegar na szafce, poza tym panowała cisza. Już dawno minęła północ. Spod żadnych drzwi nie padała smuga światła, wszyscy goście spali. Nadstawił ucha, ale nie dobiegły go odgłosy niczyich kroków, wyjął więc z paska od spodni długi, cienki drut, wsunął go w dziurkę od klucza, pokręcił delikatnie w obie strony, w końcu z zadowoleniem usłyszał charakterystyczny chrzęst.

Wyjął drut, powoli przekręcił gałkę, wreszcie otworzył drzwi i wszedł do środka.

Zatrzymał się przy łóżku. Caralee de la Guerra spała, jej miedziane włosy leżały rozsypane na poduszce. Miała na sobie pięknie haftowaną, białą nocną koszulę z jedwabiu, tak cienką, że widział różowe obwódki na wypukłościach jej piersi. Koc i pościel była chaotycznie zsunięta aż do talii. Zobaczył, że ponad biodrami jest bardzo szczupła.

Już teraz był bardzo podniecony. Doskonale wiedział, czego chce, miał tego świadomość, jeszcze zanim otworzył drzwi. Teraz jego męskość była nabrzmiąta, wrywała się ze spodni. Poczul na dłoniach wilgoć swojego potu, gdy wyobraził sobie, jak wchodzi w jej apetyczne ciało. A jeszcze słodsze było to, że dziewczyna należała do Ramona.

Spała głęboko. Bezgłośnie zdjął z siebie ubranie, po czym wsunął się pod pościel koło Carly. Poruszyła się tylko raz. A teraz odwróciła się do niego, oparła małą dłoń na jego piersi i uśmiechnęła się.

Angel także się uśmiechnął. Zsunął koszulę z jej ramienia, obnażając jasną pierś, na której położył rękę i zaczął masować sutek. Gdy stwardniał, otworzyła oczy i uniosła się na łóżku. Zdusił jej krzyk pocałunkiem, jednocześnie chwytając Carly za nadgarstki i przygważdżając z powrotem do materaca. Tylko szósty zmysł, który nabył w więzieniu, pozwolił mu dosłyszeć otwierające się szeroko drzwi.

Odwrócił się i ujrzał sylwetkę kuzyna, który stał w wejściu. Na jego twarzy malowała się wściekłość. Angel zebrał się w sobie. Tym razem nie da się pokonać.

- Ramon... co ty tu robisz?

Mąż Carly stał w miejscu, jakby przynitowany do podłogi.

- Myślę, że to powinno być pytanie skierowane do ciebie.

- Ramon... - wyszeptała Carly.

Angel spojrział na nią z góry i puścił jej nadgarstki.

- Wybacz, kuzynie. Nie wiedziałem, że ta kurewka należy do ciebie.

Mięsień w zaciśniętej szczęce Ramona zaczął niebezpiecznie drgać.

- Ta *kurewka* jest moją żoną.

Angel zaklął cicho, ale bez zająknięcia.

- *Dios mio*, nie wiedziałem. Spuścił nogi na podłogę. Zobaczyłem ją w jadalni. Rozmawialiśmy chwilę, a ona zaprosiła mnie tutaj. Gdybym tylko wiedział, kim ona jest...
por Dios, Ramon...

- Wynoś się!

- Co... co ty mówisz? - Carly patrzyła to na Ramona, to na Angela. Trzęsła się cała ze złości i strachu. - To wcale tak nie było!

- Wybacz, kuzynie. - Angel chwycił bryczesy, nałożył je, potem wziął koszulę i buty. Ruszył do drzwi.

- Chyba mu nie wierzysz? - Carly zebrała myśli na tyle, aby się odezwać. - Wszedł tutaj i próbował... próbował... chyba nie pozwolisz mu wyjść?

Angel zamknął za sobą drzwi, a wtedy Ramon przeniósł spojrzenie na Carly. Na jego twarzy zobaczyła dziką furję. Znowu zobaczyła w nim bezlitosnego, brutalnego samca, tak jak kiedyś.

- A może wolałabyś, żebym to ja wszedł, bo zdaje się, że ty i mój kuzyn bardzo miło się zabawialiście.

- Co takiego?

- Miej chociaż tyle przyzwoitości, żeby się okryć. Możesz być pewna, że nie jestem już zainteresowany twoimi zbrukanymi wdziękami, bez względu na to, jak bardzo są kuszące.

Spuściła wzrok i dostrzegła się, że Angel obnażył jej pierś. Oblała się rumieńcem. Drżącymi dłońmi poprawiła na sobie koszulę.

- Ramon, proszę cię... Chyba nie wierzysz, że to, co on powiedział, jest prawdą. Nawet nie wiem, jak tu wszedł.

- Ale wiesz, kim jest? Poznałaś go, tak jak mówił, na dole w jadalni?

- Rozmawiałam z nim bardzo krótko. Nie zaprosiłam go tutaj. Jak możesz przypuszczać, że to zrobiłam?

- Nie jestem ślepy, Cara, jak to sobie wyobrazasz. Widziałem cię z nim, pamiętasz? Całował cię i obmacywał twoje piękne piersi. - Sięgnął ręką i odrzucił pościel. Siedziała w

nieładzie na łóżku, drżąca, z koszulą podwiniętą aż po uda.

- Ubieraj się - rzucił szorstko. - Wyjeżdżamy.

Zadrżała jeszcze bardziej. W oczach stanęły jej łzy, poczuła ucisk w gardle. Dopiero teraz zaczęło do niej docierać, co się stało, lecz wciąż nie mogła w to uwierzyć.

- Nie możemy teraz wyjechać. Jechałeś całą noc. Musisz się przespać.

Złapał ją za ramię i siłą wyciągnął z łóżka.

- Rób, co ci każę! - rzucił z furją. Widziała wściekłość w każdej części jego twarzy. Oczy miał tak ciemne, jak droga wiodąca do piekła. - Kiedyś ci obiecałem, że już nigdy cię nie skrzywdzę. Ale teraz bardzo trudno mi dotrzymać słowa. - Puścił ją, aż zatoczyła się i upadła na łóżko. - Rób, co ci każę. Pakuj swoje rzeczy i szykuj się do drogi.

Wpatrywała się w niego. Wciąż czuła pulsowanie w nadgarstkach, gdzie trzymał ją Angel. Miała opuchnięte wargi po jego brutalnym pocałunku, ściśnięte gardło, a serce bolało ją tak mocno, że miała wrażenie, iż lada moment pęknie.

- Dlaczego? Dlaczego tak łatwo wierzysz jemu, a tak trudno ci uwierzyć mnie?

Nie odpowiedział. Chwycił naręczę ubrań Carly, które leżały w szafie, i rzucił je na łóżko.

- Ubieraj się, ty mała *puta*. W ogóle nie powinienem był cię tu przywozić. Powinienem był wiedzieć, że pokusa okaże się zbyt silna dla takiej *gringa* jak ty.

Gringa jak ja, pomyślała z bólem. Amerykanka, której słowo nigdy nie wygra przeciwko słowu mężczyzny o nazwisku de la Guerra. Zamrugła, słone łzy spłynęły po jej policzkach.

- Ty i Angel... Myślałam, że różnicie się jak niebo i ziemia. Ale może nie jesteś tak bardzo inny, jak mi się zdawało.

Ramon odwrócił się w milczeniu, gdy ubierała się w strój do konnej jazdy i trzęsącymi się rękami zaplatała włosy w długi, gruby warkocz. Zostawiwszy na toalecie kilka złotych reali jako zapłatę za pokój, pociągnął Carly na korytarz i dalej schodami na dół. Czekala w alejce, czując przeszywające zimno, podczas gdy on poszedł do stajni po konie.

Biała klacz była gotowa do drogi. Ramon prowadził także Rey del Sol, ale rumak był wyraźnie zmęczony długą drogą, więc wielkie hiszpańskie siodło spoczywało na grzbiecie dużego gniadego wałacha.

- A co z mułem? - spytała.

- Zamieniłem go na konia. Rey potrzebuje czasu, żeby nabrać sił, zresztą teraz mamy mniej bagażu. - Uśmiechnął się gorzko. - Cieszę się na powrót do domu. - Chwycił ją mocno

w talii i posadził bokiem na siodle. W milczeniu wskoczył na swojego konia, w milczeniu też przejechali przez puste uliczki i wjechali między wzgórze.

Cały ranek forsował szybkie tempo, zatrzymując się tylko, by napoić konie. Carly nie jadła, podobnie Ramon. Wyobrażała sobie, jak bardzo musi być wyczerpany. Przed nastaniem nocy sama poczuła się zmęczona, w dodatku towarzyszyła jej straszliwa świadomość, że w czasie jednej długiej nocy spędzonej w Monterey na zawsze straciła swojego męża.

Starła się nie płakać, ale podczas długich nocnych godzin nie umiała powstrzymać łez. Tak bardzo go kochała. Zrobiłaby dla niego wszystko. Wszystko. I głupio wierzyła, że pewnego dnia i on mógłby ją pokochać.

Zamiast tego, nazwał ją swoją dziwką, uwierzył, że spała z jego kuzynem. Mimo że Angel to de la Guerra, człowiek czystej hiszpańskiej krwi, Carly nawet nie spojrzałyby na niego. Gdyby ostatniej nocy miała w pokoju broń, zapewne by go zastrzeliła.

A co z Ramonem? Była dla niego pełna podziwu, ale teraz dostrzegła to, czego nie widziała wcześniej. Uprzedzenie, którego nienawidził u Amerykanów, wrogość wobec ludzi innych niż on sam, czyniły go podobnym do jego adwersarzy. Myślała z bólem serca, że nigdy nie spełni jego oczekiwań, nie zyska jego zaufania. A to wszystko dlatego, że ma inne pochodzenie.

Wiedziała o tym doskonale. Jasno postawił tę sprawę od samego początku, ale tak naprawdę nigdy w to nie uwierzyła. Nie dopuszczała do siebie takiej myśli, bo za bardzo go kochała.

Leżąc na wołoku, pogrążona w smutku Carly zwinęła się w kłębek i zakryła głowę rękami. Jej ciałem wstrząsały dreszcze, wywołane łzami spływającymi po policzkach na koc. Nie dbała o to, czy Ramon słyszy jej płacz. Już o nic nie dbała. Wiedziała tylko, że jej życie jest skończone, że ma złamane serce, że cała miłość do niego ulatuje z niej jak woda z dziurawego naczynia.

Wypłakała sobie oczy, a potem leżała, spoglądając na gwiazdy. Tak naprawdę wcale ich nie widziała. Za bardzo cierpiała, zbyt wielką czuła rozpacz. Jeszcze przed świtem podeszła przez polanę do miejsca, gdzie stały konie, osiodłała swoją klacz, za siodłem przywiązała zwinięty koc, po czym wsiadła na konia.

Odjechałaby, gdyby Ramon w ostatniej chwili nie złapał konia za uzdę.

- A ty dokąd się wybierasz?

Uśmiechnęła się gorzko.

- Tam, skąd pochodzę. Nie powiem, że do domu, bo takiego już nie mam. Wracam na

Rancho del Robles. Jeśli wuj mnie nie przyjmie, pojedę gdzieś indziej. Nie musisz mi wskazywać drogi.

Zacisnął usta.

- Mimo to pojedziesz ze mną - rzucił zwięźle. -Jeśli chcesz udać się do del Robles, dopilnuję, abyś tam dotarła. - Skrzywił się ponuro. - Być może wydarzenia potoczyły się dokładnie tak, jak od początku planowałam. Jeśli znajdziesz sposób, uzyskasz anulowanie małżeństwa, tak jak tego pragnęłam. Na pewno znajdą się liczni mężczyźni, którzy zechcą sprawić ci przyjemność, tak jak ja to robiłem, a niektórzy na pewno posuną się o wiele dalej w kierunku, którego dopiero zacząłem cię uczyć.

Jednym płynnym ruchem uderzyła go mocno w twarz. Przez chwilę myślała, że ściągnie ją z konia, tyle wściekłości ujrzała na jego obliczu. Ale to wrażenie szybko znikło, zastąpiły je smutek i desperacja. Wbrew sobie nie mogła oderwać od niego oczu, pragnęła mu ulżyć.

- Nie zrobiłam rzeczy, o których mówił twój kuzyn. Nie wierzysz mi, ale taka jest prawda.

Wykrzywił usta w zimnym, okrutnym uśmiechu.

- Wybrałaś niewłaściwego człowieka... *mi amor...* gdy próbowałaś uwieść mężczyznę z rodu de la Guerra. Angel i ja wychowywaliśmy się razem jako dzieci. Dla mnie jest bardziej bratem niż kuzynem.

- Jest także kłamcą, ale to pewnie nie ma znaczenia.

Podniósł głowę.

- Wrobiłam cię w to małżeństwo. Chciałeś poślubić Hiszpankę, a zamiast tego dostałeś mnie. Być może zrobiłam to celowo, mówiąc szczerze, nie jestem już pewna. Być może kochałam cię tak bardzo, że uczyniłabym wszystko, aby cię zdobyć. Jeśli tak było, to przepraszam. - Klacz zatańczyła, schodząc lekko w bok, lecz Carly pociągnęła cugle i zatrzymała ją. - Teraz masz drugą szansę. Może znajdziesz kobietę, która cię uszczęśliwi. - Dźgnęła piętami klacz w żebra, a zwierzę od razu skoczyło przed siebie, unosząc Carly na grzbiecie.

Ramon spoglądał za nią przez dłuższą chwilę. Potem wskoczył na Rey del Sol i ruszył za nią z zacieklą miną. W jego piersi serce dudniło głucho, obolałe tak bardzo, że ledwie trzymał cugle w trzęsących się dłoniach.

Wiedział, że do tego dojdzie. To było oczywiste. Wiedział, że jest Amerykanką i rozumiał, że nie może jej ufać, że ta kobieta tylko złamie mu serce.

A jednak pozwolił, aby to się stało. Wbrew ostrzeżeniom i obietnicom, że nie dopuści

jej zbyt blisko siebie. Czy wtedy tak bardzo ją kochał? Czy gotów był zaryzykować cierpienie, które kobieta taka jak Caralee musiała mu przynieść?

Odpowiedź uderzyła go szybko i mocno, zostawiając gorzki posmak w ustach. Tak, wtedy ją kochał. Nad życie. Nawet teraz narażał się, skoro ona wybierała się do wuja. I pewnie to zrobi, gdyż została odrzucona.

Nic go to nie obchodziło.

Już nic nie miało znaczenia od chwili, gdy wkroczył do tamtego pokoju i zobaczył, jak ona leży półnaga w ramionach jego kuzyna. Gdyby nie zmienił swoich planów, gdyby nie najął zapasowego konia w nadziei, że szybciej do niej wróci, gdyby nie jechał jak szaleniec, spragniony jej widoku - nie przyłapałby jej z Angelem.

Dałby się wystrychnąć na dudka z taką łatwością, jak w przeszłości.

Por Dios, ależ z niego głupiec.

I płacił za swoją głupotę każdym bolesnym uderzeniem serca.

Jechali cały dzień, zatrzymując się tylko na krótko, aby odpocząć i napić konie. Nim nastał wieczór, dotarli do rozwidlenia szlaku, którego jedna odnoga prowadziła do Rancho del Robles, druga zaś do Las Almas i znajdujących się dalej terenów. Carly zatrzymała konia.

- Czy to jest droga do mojego wuja? - spytała.

- *Si*. To tylko jedna mila na północ. Pojadę z tobą. Pokręciła głową.

- Nie, chcę jechać sama. - Odwróciła się, a wtedy promienie słońca, przedzierające się przez konary dębu, rozświetliły jej włosy. Piękno jej twarzy wdzierало się w jego myśli, drżenie warg wywoływało podobne drżenie jego serca.

Ramon milczał, obserwując, jak Carly dumnie siedzi okrakiem w siodle. Serce mu pękało z żalu. Nie powinien tak się czuć, nie powinien myśleć o tym, jak płakała całą noc, łkała cicho, tak przejmująco, że całą siłą woli powstrzymał się, aby do niej nie podejść, nie wybaczyć i nie błagać, aby z nim została. Nie powinien przypominać sobie tego pełnego bólu i niedowierzania spojrzenia, które zobaczył w jej oczach, gdy nazwał ją swoją dziwką, cierpienia, gdy ona mówiła mu, jak bardzo go kocha.

To nie była prawda. Gdyby go kochała, nie zdradziłaby go.

- Ramon?

- *Si*, Cara?

- Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, niejeden raz to sobie udowodniliśmy. Zapamiętaj, jak wtedy było, dobrze? Udawaj, że Monterey nigdy się nie wydarzyło. Pamiętaj, co robiliśmy, jak było nam razem dobrze, pamiętaj te dobre rzeczy, a nie złe. Zrobisz to dla mnie?

- *Si*, Cara, postaram się - wydusił. Nie mogąc opanować drżenia, zawrócił konia.

- Jeszcze jedno.

Spojrzał na nią. Łzy płynęły po jej policzkach.

- Nie myśl źle o tym, co się stało. Gdybyś mnie kochał, rozpoznałbyś prawdę, nawet gdyby oczy ci podpowiadały, że to kłamstwo. Znajdź kobietę, którą potrafisz pokochać, Ramon. Nie wiąż się z żadną inną.

Znowu poczuł ukłucie w sercu. Z trudem przełknął ślinę przez rozpalone gardło.

- Cara, proszę... ja nie mogę...

Żadne z nich nie odezwało się więcej, ale patrzyła na jego twarz, jakby chciała ją dobrze zapamiętać.

Mijały sekundy, długie, niezmierzone chwile, które oznaczały koniec wszystkiego, co było między nimi, burzliwe wichry, które odmieniły ich życie. Ich jedność była już historią. Nigdy nie zrobią razem rzeczy, o których zaczął skrycie marzyć. Nie ma już dla nich przyszłości, nie będą mieli dzieci, które wychowają na dumnych, silnych ludzi.

Walczył z falą cierpienia, która na niego spłynęła. Carly zawróciła klacz, uderzyła ją palcatem i popędziła galopem po szlaku. *Powiedziała mu: gdybyś mnie kochał.* Myliła się. Naprawdę ją kochał. Tak bardzo, że utrata jej stała się dlań najbardziej bolesnym życiowym doświadczeniem. Patrzył, jak Carly odjeżdża i czuł się tak, jakby wszystko nagle zgasło, pozostawiając go w ciemności.

Drżącą ręką trzymał lęk siodła. Jak to możliwe, że tak bardzo ją kochał, a zarazem tak nienawidził? Jak mógł jej nienawidzić, a jednocześnie pożądać?

Zamknął oczy, starając się wymazać obraz nagiego kuzyna, obmacującego pierś jego żony. Gdyby tknął ją inny mężczyzna, już by nie żył. Lecz Angel to rodzina, nosi nazwisko de la Guerra. Niegdyś został oszukany, tak samo jak Ramon.

Ruszył, ciągnąc za sobą drugiego konia. Na szczycie wzgórza zatrzymał się i patrzył, aby się upewnić, że Caralee bezpiecznie dotrze na ranczo. Zdawało mu się, że ona płacze, ale nie mógł być pewny. Może na swój własny sposób też go kochała.

Carly zjeżdżała w dolinę wyprostowana, z podniesioną głową. Ciekawe, o czym myślała, czy żałowała tego, co zrobiła. Ciekawe, czy chciałaby wrócić do Las Almas tak bardzo jak on chciał zabrać ją do domu.

Obserwował ją jeszcze przez chwilę, ignorując tępy ból w piersi, pragnienie, by cofnąć czas do momentu przed podróżą do Monterey. Może gdyby inaczej się zachował, potrafiłaby go pokochać na tyle, by nie zbłądzić.

Patrzył na nią, aż skryła się za wzgórkim, po czym pognał swojego konia. Jednak przejechał ledwie kilka metrów i stanął, słuchając zanikających odgłosów kopyt jej klaczy,

stapającej po skalistym szlaku.

Kiedy te dźwięki zamarły, pozostał jedynie szum wiatru w drzewach. Ramon z rezygnacją musiał przyjąć do wiadomości bolesną prawdę.

To była już zamknięta karta historii. Tak jak Andreas, również Caralee przestała dla niego istnieć, przestała być częścią jego życia. Poprzedniego dnia rozmawiał z padre Renaldo, do którego tak daleko musiał jechać. Ksiądz powiedział mu, że potrzebne dokumenty prawdopodobnie znajdują się w lochach misji w Santa Barbara. Kiedy je zdobędzie, będzie szansa na odzyskanie rodowej ziemi.

Po raz pierwszy od śmierci ojca i brata Ramonowi przestało na tym zależeć.

Rozdział 17

Czy to nie moja siostrzenica tu jedzie? - Fletcher Austin stał przy oknie w dużym salonie, spoglądając w stronę doliny, porośniętej wysoką brązową trawą i licznymi dębami. Pytanie skierował do Rity Salazar, która przybyła na ranczo w poszukiwaniu pracy tuż przed ślubem Carly.

- *Si, señor Fletcher.* Myślę, że to ona. - Rita była pół Hiszpanką, pół Indianką z plemienia Miwoków. Fletcherowi podobały się jej pełne kształty, długie, lśniące czarne włosy i wydatne usta. Najął ją do pracy w kuchni, ale nie był niezadowolony, gdy czasami ogrzewała mu łóżko.

Bezwiednie klepiąc Ritę po krągłych pośladkach, obserwował zbliżającą się, niewielką postać Caralee. Niepokój walczył w nim z nieoczekiwaną radością. Nie wiedział, dlaczego przyjechała. Może tylko w odwiedziny, bo sam zamierzał ją odwiedzić, aby się upewnić, że wszystko u niej w porządku. A może dostała nauczkę i zapragnęła wrócić do domu.

Taką właśnie miał nadzieję. Gdy wyjechała, odkrył, że za nią tęskni.

Jednakże, nawet gdyby wróciła, nie zamierzał pozbywać się kobiety. Siostrzenica nie była już niewinną dziewczynką, a Ramon de la Guerra miał złą reputację. Do tej pory Caralee na pewno została dobrze przeszkolona w sztuce dawania mężczyźnie przyjemności, tak samo jak Rita nauczyła się dawać rozkosz jemu. Od wielu lat nie był z kobietą, uodpornił się na potrzebę jakiegokolwiek czułości. Musiał być twardy, nieustępliwy. Lecz obecność siostrzenicy sprawiła, że zaczął tęsknić za dotykiem kobiety. I był wdzięczny Ricie, że zjawiała się we właściwej chwili.

Ruchem głowy nakazał jej powrót do kuchni, a sam otworzył ciężkie frontowe drzwi.

- Caralee, moja droga. Jak dobrze cię widzieć. - Uśmiechnął się. - Zaczynałem się niepokoić. Gdybym nie miał od ciebie żadnej wiadomości jeszcze przez kilka dni, musiałbym osobiście wybrać się do Las Almas, aby się upewnić, że wszystko u ciebie w porządku.

Wydawała się zmęczona, co zauważył, gdy jeden z *vaqueros* podbiegł, aby pomóc jej zeskoczyć z siodła. Miała opuchnięte, podkrążone oczy, jakby płakała.

- Przepraszam cię, wujku. Powinnam była wysłać list. Miałam taki zamiar, ale nie bardzo wiedziałam, co napisać.

Przyjrzał się uważnie jej pobladłej twarzy i zmęczonym oczom. Być może jednak Vincent miał rację. Może była nieszczęśliwa z Ramonem i w końcu zrozumiała, jaki popełniła błąd, poślubiając go.

- Mam nadzieję, że wszystko ci się udało tak, jak sobie zaplanowałaś - powiedział szczerze.

Podeszła do niego na ganek.

- Niezupełnie. A prawdę mówiąc, nic się nie udało. Miałaś rację, wujku. Powinnam była zrobić dokładnie to, co mówiłaś, i wyjść za Vincenta.

Wyglądała tak żałośnie, że wyciągnął rękę i serdecznie objął Carly.

- No już, uspokój się. Na pewno nie jest aż tak źle.

- Niestety, jest. - Zaczęła łkać, by po chwili wybuchnąć płaczem.

Poczuł ucisk w sercu.

- Już dobrze, Caralee. Jesteś w domu, razem z rodziną. Tu jest twoje miejsce.

Uniosła głowę znad jego ramienia.

- To znaczy, że mogę zostać? Wybaczysz mi wszystko, co zrobiłam?

- Nie mam ci czego wybierać. Oczywiście, że możesz zostać. - Odgarnął z jej twarzy wilgotne kosmyki. - Wszyscy popełniamy błędy, ale nie każdy jest na tyle odważny, aby się do tego przyznać.

Pokiwała głową. Jeszcze tuliła się do niego, ale po chwili pociągnęła nosem i odsunęła się.

- Lepiej ci? - Podał jej chusteczkę. Wydmuchała nos, otarła oczy.

- Tak, o wiele lepiej. Dziękuję ci, wujku.

Wziął sakwę, którą *vaquero* zdjął z grzbietu klaczy, i poprowadził siostrzenicę do środka, do jej dawnego pokoju.

- Jesteś głodna? Może powiem Candelarii, to przyniesie ci coś do jedzenia?

- Nie jestem głodna. - Odetchnęła przez drżące usta. Znowu chciało się jej płakać.

- Nie smuć się. - Uścisnął lekko jej dłoń. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Jeśli

jest coś, co twój wuj dobrze potrafi, to na pewno potrafi odwracać każdą sytuację na swoją korzyść. - Uniósł jej podbródek. - Nadal jesteś piękną kobietą, nigdy o tym nie zapominaj. A właściwy mężczyzna doceni, co dostał od losu.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Dziękuję, wujku. Przepraszam za wszystkie kłopoty, których narobiłam.

- Teraz tym się nie martwmy. Może odpoczniesz trochę? Wszystkie twoje rzeczy są tam, gdzie je zostawiłaś. Masz tu dużo ubrań, a jeśli jest coś jeszcze, czego potrzebujesz...

- Nie, wujku, wszystko mam w torbie.

Podał jej sakwę.

- Możesz się przespać, a potem wykapać i przebrać. A później, jeśli zechcesz, powiesz mi, co się stało.

Otarła z policzka ostatnią łzę.

- Wolałabym o tym wszystkim zapomnieć, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Najważniejsze, że małżeństwo już jest skończone. I chciałabym, jeśli to możliwe, zdelegalizować ten związek.

Uśmiechnął się.

- Nic się nie bój, moja droga. Zostaw to mnie. A teraz porzuć swoje smutki i postaraj się odpocząć.

Odczekał, aż zniknie w swoim pokoju i zamknie drzwi. W jego głowie kłębiły się różne pomysły, różne możliwości. Rozważył kilka z nich, niektóre odrzucił, przyjrzał się pozostałym. Uśmiechnął się. Jak zwykle, istniał jakiś sposób na załatwienie sprawy. Caralee wróciła do domu, a istniały duże szanse, iż Vincent Bannister jej wybaczy i można będzie ich pożenić.

Vincent będzie mu jeszcze wdzięczny, podobnie jak jego ojciec. A on sam, gdy tylko wejdzie do tak wpływowej rodziny Bannisterów, będzie mógł osiągnąć wszystko, czego zapragnie. Miał nadzieję, że Caralee nie nosi w łonie potomka Hiszpana, ale gdyby nawet, to szybkie działanie może rozwiązać i ten problem.

Przypomniał sobie, że będzie miał też pytania do Caralee, dotyczące El Dragona, a także ewentualnego wspomaganie jego zbrodniczej działalności przez Ramona de la Guerra. Fletcher wszedł do gabinetu, zamknął drzwi i nalał sobie brandy.

Potrzebował tylko czasu, a gdy Caralee była znów w domu, czas pracował na jego korzyść. Uśmiechnął się z satysfakcją i jednym haustem opróżnił kieliszek.

* * *

Ramon rzucił się w wir pracy. Tyrał od świtu do zmierzchu, aż do zupełnego wyczerpania, a nawet wtedy nie mógł spać. Na ranchu panował spokój. Rozpacz sączyła się z Ramona, co widzieli zarówno pracujący z nim mężczyźni, jak i matka z ciotką.

Nikommu nie powiedział, co się stało. Po prostu stwierdził, że Caralee postanowiła zakończyć ich małżeństwo. Matka pomstowała na niego, mówiła, że taka rzecz nie może mieć miejsca. Błagała go, aby powiedział, co się między nimi wydarzyło, aż w końcu stracił cierpliwość i krzyknął, aby się nie wtrącała.

Ciotka zachowała się z większym taktem. Mówiła o Caralee, kiedy tylko był w pobliżu, wyrażając się o niej z taką miłością, że zaczął zdenerwowany wychodzić z domu. Wybierał się do Santa Barbara, aby poszukać dokumentów, które mogły dopomóc w odzyskaniu Rancho del Robles, ale w końcu wysłał Mariana, aby załatwił tę sprawę. Obawiał się, że w Santa Barbara spotka swojego kuzyna, że Angel mógł już wrócić do małej, rodzinnej hacjendy. A Ramon nie mógł ręczyć, że po raz kolejny okaże mu pobłażliwość.

Przez ostatnie dwa tygodnie mieszkał w osadzie. O dziwo, cieszył się, że nie było Mirandy, gdyż wyjechała odwiedzić rodzinę swego zmarłego męża, mieszkającą w wielkiej centralnej dolinie. Ramon nie był gotów na zbliżenie z kobietą. Z jakąkolwiek. Na samą myśl o tym przypominał sobie Caralee i Angela i czuł wzbierającą w nim żołąć.

Zabrało mu to nieco czasu, ale w końcu zapanował nad swoimi uczuciami. Tak jak w przeszłości, pozwolił, aby żołąć wyparła cierpienie. Hodował ją jak żywe stworzenie, karmił, aby ulżyła bólowi serca. Za dnia zmuszał się do wspomnienia chwili, gdy znalazł ich oboje w hotelowym pokoju, aby znowu poczuć w sercu ten sam przeszywający ból. Myślał o niej i Villegasie, wmawiał sobie, że być może ona również jego pragnęła, że gdyby się wtedy nie zjawił, doświadczyłyby brutalnych, acz miłych dla niej doznań.

Jedynie nocą nie mógł w to wszystko uwierzyć.

Pamiętaj mnie taką, jaką byłam wcześniej. Udawaj, że Monterey nigdy się nie wydarzyło. Pamiętaj, co robiliśmy, jak było nam razem dobrze, pamiętaj te dobre rzeczy, a nie złe.

I w jego snach właśnie tak było. Przypominał sobie, jak ślicznie wyglądała w noc poślubną, jak go błagała, aby był delikatny. Wspomnił, jaka była odważna, gdy z trudem pokonywała ciężką drogę przez góry, przeciwstawiając mu się, a w końcu zyskując jego szacunek. Pamiętał, jak bardzo się starała, aby coś osiągnąć, jak daleką przeszła drogę od nieszczęśliwego życia w ubóstwie górniczego osiedla, do roli pięknej i szykownej damy, która mogła być ozdobą każdego salonu wyższych sfer.

Przypomnił sobie długie godziny, które spędziła w indiańskiej wiosce, opiekując się

chorymi u boku Leny, jak bliski stał się jej Dwa Sokoły, jak się przejęła śmiercią jego siostry.

Myślał o dniu, gdy patrzyli na parzące się konie, gdy poczuł niesamowitą żądzę, aby ją osiąść... A i ona czuła to samo do niego. W mglistych snach zadawał sobie pytanie, jak ona mogła go zdradzić.

Może gdyby zrozumiała głębię jego uczuć do niej...

A potem budził się i musiał stanąć w obliczu prawdy. Była Amerykanką. Tak jak Lily. I jak jej wuj. Tak samo bezlitosna i okrutna.

Ale zarówno we dnie, jak i w nocy nadal jej pożądał, nawet myślał o tym, aby ją zmusić do powrotu do jego łóża. Przecież ciągle jest jego żoną. Należy do niego, może z nią robić, co chce. Lecz nawet gdyby ją wziął i wyładował złość na jej pięknym ciele, sam najbardziej by cierpiał, bo trzymając ją w ramionach, przypominałby sobie, jak go wcześniej zdradzała.

Usuwał ją więc ze swoich myśli, jak tylko umiał, koncentrując się na sprawach i problemach w osadzie. Pieniądze ze sprzedaży koni wkrótce się skończą. Nastąpi jesień i *gringos* będą niedługo sprzedawać bydło i konie. Dylizanse będą pełne pieniędzy, więc jeszcze raz nadchodził czas El Dragona.

Po raz pierwszy od czasu, gdy zaczął brać udział w napadach razem z bratem, Ramon cieszył się na możliwość wyładowania swej wściekłości na Amerykanach, którzy zadali mu tyle cierpienia.

* * *

- Caralee, musimy porozmawiać.

- Przepraszam, wujku... co mówiłeś? - Stała w tylnej części domu, spoglądając przez okno na góry na południowym wschodzie. W kierunku Las Almas.

- Mówiłem, że musimy porozmawiać.

Uśmiechnęła się bezwiednie.

- Oczywiście, jak sobie życzysz.

Zaprowadził ją do swojego gabinetu i starannie zamknął drzwi.

- O co chodzi, wujku?

- Mówiąc wprost, moja droga, o tego bandytę, El Dragona. Napadł na dylizans z San Filipe i zabrał dwa tysiące dolarów przeznaczone na wypłaty dla górników z kopalni New Idria.

Oblizwała usta. Przez ostatnie trzy tygodnie nic nie czuła. Chciała niczego nie czuć.

Teraz poczuła wzmożone bicie serca.

- Czy... schwytali go?

- Nie. Sukinsyn uciekł. Utworzyli straż obywatelską. Biorę paru ludzi i dołączymy do nich dziś po południu. - Patrzył na nią badawczo. - Miałem nadzieję, że być może wiesz coś, co mogłoby nam pomóc.

Zacisnęła dłonie na fałdach modnej, fioletowej sukni.

- Chyba wiesz, że gdybym cokolwiek wiedziała, powiedziałabym ci.

- Chciałbym ci wierzyć, Caralee. - Podszedł i ujął jej zimne dłonie. - Wiem, że w środku jesteś rozdarta. Przecież don Ramon...

- Don Ramon? A co on ma z tym wspólnego?

- Miałem nadzieję, że od ciebie się dowiem.

Podniosła głowę, ale w środku cała drżała.

- Ramon nie ma nic wspólnego z Hiszpańskim Smokiem. To szanowany człowiek. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

- Ten człowiek chce się zemścić, Caralee. Uważa, że zagarnąłem jego ziemię. Wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że zlecił twoje porwanie, aby się na mnie odegrać.

Dobry Boże! To było niebezpiecznie bliskie prawdy.

- A czy zrobiłeś to, wujku? - spytała. - Zagarnąłeś jego ziemię?

- Nie gadaj głupstw. Kupiłem te grunty od niejakiego Thomasa Garrisona.

Nazwisko tego człowieka widziała na akcie własności.

- A skąd miał je Garrison?

Odchrząknął.

- No więc on... nabył je, gdy zostały wystawione na sprzedaż. Diego de la Guerra nie był w stanie udowodnić swoich roszczeń. Komisja Gruntowa skonfiskowała całą ziemię i nakazała sprzedaż. Zapewniam cię, że wszystko odbyło się legalnie.

Opadła bezsilnie na krzesło, doznając wielkiej ulgi.

- Przepraszam cię, wujku. Cała ta sprawa zupełnie mnie rozstraja.

- Rozumiem, moja droga. Nie powinienem cię naciskać... Miałem jednak nadzieję... ech, może tym razem nam się uda. Najęliśmy tych samych indiańskich tropicieli, którzy pomogli nam dotrzeć za dwoma renegatami do indiańskiej wioski. Są najlepsi, jakich znam.

Krew powoli odpłynęła z jej twarzy.

- Chyba... nie byłeś razem z milicją w wiosce Jokutów?

- Potrzebowali więcej ludzi. Ten kraj trzeba chronić. Oczywiście, że z nimi pojechałem.

Powoli wstała, chwytając mocno za oparcie stojącego obok krzesła. Ledwie się trzymała na miękkich nogach.

- Pomogłeś im zmieść z powierzchni ziemi całą wioskę? Zabijałeś niewinne kobiety i dzieci?

- Nie było innej możliwości, moja droga. Trzeba się było z nimi rozprawić, bo to mordercy. Wszyscy.

- Powiedz mi, że to nieprawda. Powiedz, że nie wziąłbyś udziału w czymś tak okropnym.

Zacisnął zęby i złapał ją mocno za ramiona.

- Nie rozumiesz tego kraju, Caralee. Tutaj trzeba zabijać, aby żyć. Tylko najsilniejsi przetrwają. Indian należało powstrzymać, teraz trzeba zrobić to samo z El Dragonem. Ale gdy go znajdziemy, nie przyjdzie mu tak łatwo umrzeć, jak tym głupim dzikusom. Wyrwała się z jego uchwytu.

- Ramon de la Guerra nie jest w żaden sposób związany z El Dragonem. A teraz wybacz mi... - Minęła go, szeleszcząc fałdami spódnicy, po czym wyszła na korytarz, trzaskając drzwiami. Cała się trzęsła, gdy u siebie w pokoju przylgnęła plecami do ściany. Zacisnęła oczy na myśl, że jej wuj brał udział w zabijaniu ludzi w wiosce.

Nie wyszła z pokoju, gdy wuj odjeżdżał, by dołączyć do straży obywatelskiej, nie wyszła też na kolację, jedynie poskubała trochę jedzenia, przyniesionego na tacy przez Candelarię.

Późnym rankiem następnego dnia, po nieprzespanej nocy, nałożyła suknię do konnej jazdy w rdzawym kolorze, zapinane buty, zakrywające kostki, po czym ruszyła do drzwi. Musiała oddalić się od tego domu, od myśli o wuju, od niepewności, co może się stać z Ramonem.

Idąc w stronę stajni, poprosiła wysokiego smukłego *vaquero* imieniem Jose, aby osiodłał jej konia. Od powrotu na rancho jeszcze nie jeździła, a teraz sama nie wiedziała, jak to się stało, że tyle czasu spędziła zamknięta w czterech ścianach.

- Przygotowałem dla pani Chimara - powiedział *vaquero*, prowadząc niedużego wałacha kasztanowej maści.

- Dziękuję ci, Jose. - Mężczyzna bez wysiłku podniósł ją i posadził w siodle. Umieściła kolano we właściwej pozycji, stopę wsunęła w strzemień. Dopiero wtedy zauważyła, że nie siedzi na starym, zniszczonym siodle, na którym jeździła wcześniej, lecz na tym, które Vincent podarował jej pamiętnego wieczoru, gdy odbywało się *fandango*.

- Przepraszam, Jose, ale to nie jest moje siodło. Ono należy do señora Bannistera.

- Nie, *señora*. Pani wuj powiedział nam w dniu pani powrotu, że od tej chwili ma pani używać tego siodła. Powiedział, że kazał je zrobić specjalnie dla pani w San Francisco.

A więc to wuj je kupił, nie Vincent. To do niego podobne. Wykorzystał to siodło, aby nią manipulować, ale zamówił je powodowany troskliwością. Nigdy go nie zrozumie, nie zaakceptuje jego postępowania, a jednak, na swój sposób, lubiła go. Był dla niej dobry, no i był jedynym krewnym, jakiego miała. Mimo tej makabrycznej rzezi w wiosce, mimo wszystkich wątpliwości, nadal pozostawał dla niej kimś bardzo bliskim.

- Dziękuję, że mi powiedziałaś, Jose.

- To piękne siodło, prawda?

- Tak, bardzo. - Z lubością pogładziła gładką, ręcznie wytłaczaną skórę, czując, jak coś chwyta ją za gardło. Jak on mógł być tak dobry, a zarazem tak okrutny?

Chwyliła cugle i dźgnęła kasztanka piętą. Gdy tylko straciła z oczu stajnię, pochyliła się mocno do przodu, przechodząc w galop. Chciała poczuć pęd powietrza na policzkach. Sama nie wiedziała, dokąd jedzie, po prostu chciała wyrwać się z domu. Musiała znaleźć promyk światła w ciemności, która ogarnęła jej duszę i chciała zatopić ją w żalu.

Może dlatego skierowała się do płytkiego stawu, utworzonego pod strumieniem, spływającym po zboczu góry. Kiedyś była tu szczęśliwa. Pławiła się w ciepłe dotyków swego męża, czuła się bezpiecznie, pełna życia, jak nigdy dotąd. Może cząstka tego światełka jeszcze pozostała i teraz odnajdzie ją, by rozświetlić mrok spowijający jej serce.

Bardzo tego pragnęła. Przez ostatnie trzy tygodnie płakała za Ramonem, mimo że próbowała o nim zapomnieć. W środku czuła się tak zdruzgotana, jak uschnięte, jesienne liście pod końskimi kopytami. Była w kiepskim nastroju, jakby nieobecna. Po rozmowie z wujem jeszcze raz poczuła przeszywający ból z powodu utraty Ramona, ból, nad którym starała się zapanować. Teraz mógł z nią pozostać już na stałe.

Odnalazła strumień, choć nie była pewna, czy potrafi, zeskoczyła na ziemię i doszła jego brzegiem do małego jeziorka. Przywiązała konia do pobliskiej sykomory, której gałęziami poruszał lekki wiatr. Jak na tę porę roku dzień był ciepły. Carly poczuła, że zaczyna się pocić. Może to wcale nie z powodu ciepła, lecz myśli o Ramonie, o tym, jak ją posiadał, tutaj, na tej miękkiej trawie.

Na to wspomnienie znowu coś ukłuło ją w serce. Może nie powinna była tu przyjeżdżać.

Przyklękła koło stawu, zmoczyła dłoń w wodzie i zwilżyła sobie rozpięty dekolt, aż chłodne krople spłynęły między jej piersiami. Spoglądając na lśniąca powierzchnię stawu, przypomniała sobie, że tamten dzień był chłodniejszy, więc nie wchodzili wtedy do wody.

A teraz nie było chłodno. Poczula, że musi zmyć z siebie ten wszechobecny smutek. Rozpięła sukienkę, potem usiadła i ściągnęła buty, potem zsunęła pończochy, wreszcie zaczęła rozsznurowywać gorset.

Jakiś delikatny szelest sprawił, że gwałtownie uniosła głowę. Miała na sobie tylko gorset, cienką halkę i pantalon. I wtedy ujrzała swojego męża, który siedział na skale nad samą wodą. Żuł długie źdźbło trawy, obserwując ją ciemnymi oczami, z których nie potrafiła niczego wyczytać, tak pięknymi jak w dniu, gdy się poznali.

- *Buenas tardes... mi amor.* - W jego głosie zabrzmiała gorycz, sączyła się niczym jad z każdego słowa.

- Co tutaj robisz?

Wzruszył szerokimi ramionami.

- Pewnie to samo co ty. Szukam wytchnienia. -Odrzucił trawę, wstał ze skały i ruszył w jej kierunku z wdziękiem i determinacją pumy, pragnącej pochwycić swoją ofiarę.

Bezwiednie cofnęła się o krok.

- To jest teren del Robles. Wszedłeś na prywatną ziemię.

- Ach, *querida...* na pewno nie odmówisz mężowi możliwości odwiedzenia miejsca, które kocha od czasów dzieciństwa. - Nadal szedł, zatrzymał się dopiero tuż przed nią, gdy musiała zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy.

Oblizła usta, które nagle wyschły.

- Jestem... nieubrana. Mógłbyś chociaż się odwrócić, abym mogła włożyć ubranie.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

- Niby dlaczego miałbym to zrobić?

- Na pewno nie dlatego, że jesteś dżentelmenem. Zaśmiał się sardonicznie.

- Masz rację. Z pewnością nie dlatego.

Czula łomotanie serca, a jednak dumnie uniosła głowę i wbiła w niego wzrok.

- Powinieneś stąd pójść.

Znowu się roześmiał, tym razem mniej gardłowo.

- Już zapomniałem, jaka z ciebie kocica, gdy się złościysz.

- A ja zapomniałam, jak potrafisz być irytujący. -Sięgnęła po sukienkę, która leżała na skale, starannie złożona. Ramon także po nią sięgnął i wyciągnął z drżącej dłoni Carly.

- Ubranie nie będzie ci potrzebne, przynajmniej na razie.

Oblała ją fala gorąca. Na Boga! W jego ognistych, ciemnych oczach ujrzała pożądanie, którego wcale nie skrywał. Poczula w żołądku przyjemne ciepło. Na niebiosa, ona go również pożądała! Może nawet bardziej teraz niż kiedykolwiek przedtem.

Musiał odczytać jej myśli, bo uśmiechnął się szelmowsko.

- Więc ty też to czujesz... Właśnie byłem ciekaw...

Odwróciła się od niego, próbując zapanować nad drżeniem ogarniającym całe jej ciało.

- Odejdź ode mnie, Ramon.

Jednym ruchem zawrócił ją, aby stanęła przodem do niego.

- Nie sądzę. - Przycisnął ją do siebie i przywarł do jej ust w ognistym pocałunku. Oswobodziła się i zamachnęła z całej siły, aby uderzyć go w policzek.

Złapał ją za nadgarstek, zanim osiągnęła swój cel.

- Jeden raz na to pozwoliłem. Może chciałem poczuć ból. Ale ten czas już minął. - Znowu ją pocałował, mocno, brutalnie, naciskając jej usta z góry, wciskając język głęboko między zęby Carly.

Chciała z nim walczyć, bo wiedziała, co się stanie, jeśli tego nie zrobi. W głębi duszy krzyczała głośno: *Nie rób tego! Pomyśl o cierpieniu! Gdy on odejdzie, ból będzie nie do zniesienia!* Odpychała dłońmi jego pierś, jednocześnie przywierając wargami do jego ust w błaganiu, by nie przestawał.

Jęknęła cicho, z bólem, zarazem się poddając. Pragnęła Ramona, kochała go tak, jak nikogo nigdy już nie pokocha. Ścisnęła dłonie na froncie jego białej koszuli. Jej wargi zmiękły pod jego mocnym pocałunkiem, językiem dotknęła jego ust.

Usłyszała, jak sieknął. Długimi, brązowymi palcami pociągnął wstążkę na jej halce, uwalniając piersi, które wyskoczyły wprost w jego czekające dłonie. Masował je, ugniatał, mocno ciągnął za sutki, aż zaczęły pulsować i nabrzmiwać. Pociągnął tasiemkę pantalonów, ściągnął je niecierpliwie i już po chwili pieścił Carly, przyciskając dłoń do wciętej talii, potem niżej, gładząc pośladki, w końcu między nogami, przedzierając się przez lśniące włoski ku udom, dotykając fałdek w kroczu.

Cofnął Carly o krok, aż poczuła na plecach szorstką korę drzewa. Odrzuciła głowę do tyłu, wystawiając szyję na grad pocałunków. Sunął gorącymi ustami po ramionach. Ściągnął ramiączka halki, by całkowicie odsłonić piersi i zaczął je ssać, wciągając głęboko w usta.

- Ramon... - szepnęła. Jego imię było krzykiem cierpienia, studnią smutku, rozpadliną, przez którą tryskał żar. Nie oszczędził gorących pocałunków także drugiej piersi, ssał, podgryzał sutek, aż napęczniał i stwardniał. Carly wygięła ku niemu ciało, rozogniona i drżąca, czując, jak wilgotnieje od środka. Rozpiął spodnie, obnażając swój nabrzmiąły członek. Uniósł Carly, a gdy objęła go nogami, przesunął długie, ciemne palce po jej jasnej skórze, w końcu dotknął najczulszego miejsca i tam je zatopił.

- Wiesz, że tego pragniesz, Cara. Obejmij mnie za szyję. - Nie zastanawiając się, posłuchała. Rozsunął szeroko jej nogi, wsuwając swoją nabrzmiałą męskość między wydatne, wilgotne fałdy. Najpierw dotykał jej delikatnie, słodko drażnił, wreszcie wszedł do środka, głęboko, do samego końca.

Przygryzła wargę, żeby nie krzyknąć, gdy mocno przytrzymał ją za pośladki, unosząc i wypełniając, nadziewając na siebie, i znowu, i jeszcze raz. Wbijał się w nią dziko, głęboko, uderzał raz po raz, aż przestała myśleć, ogarnięta żarem namiętności, ogłuszona łomotaniem swojego serca.

- *Te quiero* - wyszeptał. Pragnę cię.

- Tak. Ja też pragnę ciebie. - I pragnęła go naprawdę, tak mocno, że myślała, że za chwilę umrze. Na pewien sposób rzeczywiście umarła. Bo pulsujące mięśnie w jej podbrzuszu eksplodowały nagle, zalewając ją światłością miliona gwiazd. Zajęczała z rozkoszy, czując gorącą słodycz, która rozplynęła się w jej żyłach niczym płynny miód.

- Ramon - zawołała cicho.

- *Si*, Cara... Jestem tutaj... Zanurzam się w tobie.

Trzymał ją tak przez chwilę, smakując przyjemność, po czym pchnął znowu, raz, drugi, szybciej, mocniej. Ciało Carly zapłonęło, aż straciła na sobą panowanie, poddając się błogości. Ramon zeszywniał i po chwili także doszedł, zalewając jej wnętrze nasieniem. Bezwiednie objęła go za szyję, oparła głowę na jego ramieniu. Gorące łzy popłynęły po jej policzkach.

- Ramon - szepnęła. - Tak bardzo cię kocham.

Znieruchomiał, wstrzymał oddech. Cały drżący odsunął się, pozwalając, aby stanęła na ziemi. Spojrzał na jej łzy, potem wyżej, gdzieś ponad jej głowę. Chwilę stał tak, wreszcie zaczął rozpinać sobie koszulę.

Przyglądała się, jak zdejmuje ubranie, ściąga buty i bryczesy. Nie zrobiła żadnego ruchu, po prostu patrzyła. Zapragnęła dotknąć jego ciemnej skóry, pod którą falowały wydatne mięśnie. Nagi, przyciągnął Carly ku sobie i zaczął ją również rozbierać.

Nie odzywała się, gdy wyjął z jej włosów spinki i rozpuścił loki, wsunął w nie palce. Uniósł ją lekko i pocałował, wchodząc do jeziora, by po chwili zanurzyć ich oboje w wodzie. Po chwili wstali, spryskiwani zimnym prysznicem strumienia, mocno objęci, przytuleni. Ciemne włosy Ramona lśniły w popołudniowym słońcu niczym rwący potok.

Posiadł ją znowu, tam, na brzegu, potem odsunął kosmyki mokrych włosów z jej twarzy.

- Słyszałam o napadzie - powiedziała cicho, gdy minęło trochę czasu. - Bałam się o

ciebie i innych. Mój wuj szuka was nawet w tej chwili.

- Niczego nie znajdzie. Chyba że powiesz mu, kim jestem.

- Wiesz, że tego nie zrobię.

- Dlaczego?

- Bo jesteś mi drogi, ty i twoi towarzysze... bez względu na to, co sobie myślisz.

Nie odzywał się dłuższą chwilę, lecz spoglądał na nią badawczo, wnikliwie, wdzierając się w jej duszę. W końcu oparł się na ramieniu.

- Robi się późno. Muszę jechać.

Poczuła ucisk w krtani. Wiedziała, że musiał odjechać, a jednak miała nadzieję... modliła się skrycie...

- Pragnąłeś mnie. Myślałam... miałam nadzieję, że to może coś więcej.

Ujrzała błysk w ciemnych oczach Ramona.

- Zawsze cię pragnąłem, Cara. Zawsze. Nawet twoja zdrada nie ugasiła płomienia żądzy, którą czuję w sobie.

Serce Carly zamarło. Czy nic nie zdoła sprawić, aby jej uwierzył? Patrzyła, jak wstaje, uosobienie gracji i siły, jak zaczyna wkładać ubranie.

- Mam do ciebie słabość, Cara. Nie potrafię o tobie zapomnieć. Nawet gdy przypominam sobie, jak leżałaś w łóżku z moim kuzynem.

Zamarła, ogarnięta złością, dzięki której ból stał się mniej dokuczliwy. Jakże łatwo mu było ją oskarżać, wierzyć we wszystko, co najgorsze.

- Myślisz, że jesteś inny, ale wcale nie jesteś. Jesteś zupełnie taki, jak mój wuj. Tak samo nienawidzisz, uprzedzasz się... A to cię zaślepią dokładnie tak samo, jak Amerykanów.

Zesztywniał, jednak po chwili zmusił się do spokoju, wkładając ubranie.

- Myślisz sobie, że możesz tutaj przyjechać, i wziąć to, na co masz ochotę - podjęła. - Że możesz mnie wykorzystać i porzucić. Więc powiem ci, że jesteś w błędzie, Ramon. Jestem równie dumna jak ty...i tak samo honorowa. Jeśli teraz ode mnie odejdiesz, jeśli wciąż będziesz wierzył w te brednie, nigdy więcej cię do siebie nie dopuszczę.

Znowu znieruchomiał na moment. Kiedy odwrócił się do Carly, na jego twarzy ujrziała wściekłość.

- Jesteś moją żoną. I dopóki tak jest, należysz do mnie. I będę cię brał, kiedy tylko przyjdzie mi ochota. Wykorzystam cię tak, jak zrobiłby to mój kuzyn.

Przełknęła, tłumiąc dławiące łzy.

- Jesteś bezwzględny, brutalny człowiekiem, Ramon. Widziałam to wielokrotnie, ale za każdym razem sprawiałeś, że starałam się o tym zapomnieć. - Patrzyła, jak podchodzi

do konia, wkłada stopę w strzemień i z gracją wskakuje na siodło.

- To było bardzo miłe popołudnie - stwierdził. - Być może przyjadę i zabiorę cię do Liano Mirada. Mirandy już nie ma, a ja potrzebuję dziwki.

Nie umiała dłużej powstrzymać gorzkich łez.

- Jeśli jeszcze raz postawisz nogę na ziemi mojego wuja, a on cię nie zabije, ja to zrobię!

Uśmiechnął się krzywo.

- Może to już nie będzie miało znaczenia. Może ja już teraz nie żyję. - Miał twarz jak z wykutą z granitu, zmatowiałe, pozbawione dawnego blasku, brązowe oczy. Po raz pierwszy Carly zrozumiała, że Ramon cierpi tak samo jak ona.

- Być może pewnego dnia przejrzysz na oczy i poznasz prawdę. Ale niestety, wtedy będzie już za późno.

Milczał, patrząc na nią przez kilka pełnych napięcia minut. Potem naciągnął na czoło płaski, czarny kapelusz, zawrócił konia i ruszył ostro przed siebie.

Gdy tylko znikł jej z oczu, wybuchnęła płaczem. Jeśli sądziła, że nad jeziorkiem zazna ukojenia, była w błędzie. Ból wrócił, wbijając w nią swoje ostrze, szydząc z jej głupoty. Chciałaby odjechać, nie oglądając się za siebie, zapomnieć, że kiedykolwiek kochała Ramona, zapomnieć o cierpieniu, które odczuwała, gdy był w pobliżu.

Zamiast tego wsiadła na konia i ruszyła do domu, dziękując w duchu losowi, że wuj jest nieobecny i nie zauważy łez na jej policzkach, że będzie cierpiała w samotności.

Rozdział 18

Ramon nie wrócił do Liano Mirada. A chciałby, bo w tamtym miejscu nie wracał tak często myślami do Carly. Lecz dopiero co dokonali napadu, musiał więc pozostać w domu, aby odwrócić od siebie podejrzenia. Jechał, nie dając rumakowi wytchnienia, do samego Las Almas, smakując wysiłek, z jakim musiał dominować nad potężnym zwierzęciem, z rozkoszą chłonąc oczyszczający powiew wiatru, promienie słońca.

Nie chciał myśleć o Carly, o ogromnej tęsknocie, jaka go boleśnie przeniknęła, gdy ujrzał ją nad stawem. Nie chciał myśleć o tym, jak ciągnie go do niej, wbrew jego woli. Na sam widok Carly w miejscu, gdzie niegdyś się tak cudownie kochali, odzywała się w nim gorąca krew, kipiała niczym rozgrzana lava. Pragnienie, by ją dotknąć, wejść w nią z całą mocą, było trudne do opanowania.

Wmawiał sobie, że zrobił to, aby ją ukarać. A także, ponieważ jej pożądał. Był jej mężem, bez względu na to, z iloma mężczyznami sypiała. Należała do niego i mógł z nią zrobić, co chciał. Powiedział sobie, że potrzebował kobiety. Była na miejscu, a wykorzystanie jej dawało mu przyjemność. Wynajdywał tuzin różnych wymówek, lecz żadna z nich nie była prawdą. Przyszedł do niej, gdyż innego wyboru nie miał.

Powiedziała, że go kocha. Powtarzała te słowa już wielokrotnie. Nienawidził jej za to. I za to, że kazała mu, by jej pragnał, by ją kochał.

Pochylił się nad siodłem i galopem pokonał wzniesienie. Lśniący rumak z rozwianą grzywą dzielnie wspinał się na pochyłość. W końcu Ramon spowolnił wyczerpanego ostrą jazdą konia do lekkiego stępu. Sam zresztą też czuł się zmęczony. Rozpamiętywanie przeszłości nie mogło przynieść niczego dobrego. Cokolwiek czuł do Carly, należało do przeszłości. Teraz miał na głowie inne problemy. Martwił się o matkę, której samopoczucie ostatnio znacznie się pogorszyło.

Martwił się też o chłopaka.

Wciąż pamiętał, jak okropnie spojrzał nań Dwa Sokoły, pytając o Caralee.

- Don Ramon?

Był w stajni, gdzie szczotkował Rey del Sol, który stał spokojnie w swoim boksie. Koło jego nóg spał na sianie Bajito.

- *Si, muchacho*, o co chodzi?

- Mariano mówi, że *señora* nie wróci.

Ramon mocniej zacisnął dłoń na szczotce, zatrzymując rękę w połowie ruchu.

- *Si*, to prawda.

- Dlaczego, *señor*? Myślałem, że podoba się jej ten dom. Mówiła mi, że jest szczęśliwa.

Przeciągnął szczotką po muskularnym karku wierzchowca.

- Czasami takie rzeczy się zdarzają.

- Ale to przecież pana żona, *señor*. U nas żona zawsze musi być przy mężu. A u was jest inaczej?

Ramon zignorował ucisk w dołku.

- *Si*, ale... czasami sprawy układają się inaczej niż planujemy.

Chłopiec otworzył szeroko ciemne oczy.

- Chyba nie wyjechała z mojego powodu? Z powodu tego, co się stało w wiosce... bo zabiłem białego człowieka?

Ramon zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. Zrobiłeś to, co zrobiliby każdy mężczyzna. Próbowaleś bronić swoich bliskich. *Señora* to zrozumiała. Jej wyjazd nie ma nic wspólnego z tobą.

Ale Dwa Sokoły chyba mu nie uwierzył. Po wyjeździe Carly z biegiem czasu stawał się coraz smutniejszy, zamknięty w sobie. Ramon martwił się o niego, lecz nie bardzo wiedział, jak może chłopcu pomóc.

Dopiero sześć dni po spotkaniu nad stawem, gdy starał się nie myśleć o Carly, tknęła go pewna myśl. Właśnie tamten epizod podpowiedział mu, co mógłby zrobić dla chłopca. Był wczesny ranek, gdy poszedł do zagrody, aby go poszukać.

- Chciał mnie pan widzieć, don Ramon? - Dwa Sokoły podbiegł do niego zdyszany. Miał spoconą twarz.

- Chcę, abys coś zrobił, *muchacho*. W salonie na sofie leży trochę rzeczy *señory*. Chcę, abys jej to zawiózł na Rancho del Robles.

Chłopiec pobladł.

- Miałbym pojechać do niej?

- Właśnie.

- A jeśli nie zechce mnie widzieć?

- Ramon położył rękę na jego ramieniu.

- Zechce. Cokolwiek wydarzyło się między mną i moją żoną, nie ma to nic wspólnego z tobą. Obiecuję, że chętnie cię przyjmie.

Mały Indianin nie był przekonany, ale z rezygnacją pokiwał głową. Nieco skrócił swoje czarne włosy, ale nadal wiązał je w koński ogon. Wydawało się, że urósł o kilka centymetrów, ale prawda była taka, że mając dobrą opiekę i pod dostatkiem pożywienia, zaczął się zaokrąglać, nabierać ciała.

- Znasz drogę do del Robles? - spytał Ramon.

- *Si*. Byłem tam kiedyś z moją siostrą.

- Więc jedź i dopilnuj, aby *señora* dostała swoje rzeczy. Na pewno będzie wdzięczna.

Patrzył za odchodzącym chłopcem. Wiedział, że mimo wszystko Carly nadal bardzo lubi chłopca, że zrozumie jego obawy i na pewno uspokoi swojego przyjaciela.

Poczuł zazdrość, że Carly obdarzy swoim uśmiechem i przytuli nie jego, lecz chłopca.

Dwa Sokoły wrócił ze stajni, prowadząc osiodłanego wałacha, na którym uczył się jeździć pod okiem Mariana. Trzymał się w siodle prosto, tak naturalnie, jakby był do tego stworzony. Ramon pomyślał, że pewnego dnia wyrośnie na znakomitego *vaquero*. Był równie dumny jak wspaniały andaluzyjczyk, którego dopiero uczył się ujeżdżać.

Machając ręką przez ramię, Dwa Sokoły przejechał przez bramę i minął jeźdźca, który

zbliżał się z przeciwnego kierunku. Ramon osłonił oczy dłonią, spoglądając na przybysza, który siedział sztywno w siodle, jakby czegoś się obawiał.

Ramon wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu. Może kuzyn ma rację, że się boi. Nawet teraz Ramon powstrzymywał się, żeby nie ściągnąć Angela z konia nie wkopać go w ziemię. Rozluźnił zaciśnięte pięści i odpowiedział na powitanie kuzyna jeśli nie uśmiechem, to przynajmniej jego namiastką.

- Angel. Jesteś ostatnią osobą, jakiej się spodziewałem.

- Nie wątpię w to, kuzynie. Ale mimo to jestem tutaj.

- Widzę. Czego chcesz? - rzucił oschle, chociaż starał się zachować spokój.

- Nie zamierzam zostać na dłużej, jeśli o to się boisz. Twoja żoneczka na pewno już dopilnowała, abym nie był tu mile widziany.

Część złości opuściła Ramona. To, co się stało, nie było winą Angela w większym stopniu niż jego.

- Wybacz, kuzynie. Oczywiście, że jesteś mile widziany. A co do mojej żony, już jej tu nie ma.

Na te słowa Angel uspokoił się nieco.

- W Monterey nie dane nam było porozmawiać. Dopiero co dowiedziałem się, że Andreas nie żyje.

- *Si*. - Na dźwięk imienia brata Ramon poczuł bolesne ukłucie w sercu. Zwykle potrafił zapanować nad tym bólem, który tkwił w nim cały czas. Od wyjazdu Carly stał się bardziej dotkliwy. - Pewnie siostra ci powiedziała. Mało kto wie o jego śmierci. Tylko nieliczni wiedzieli o jego powrocie do kraju.

- Przykro mi, kuzynie. Twój brat był dobrym człowiekiem. - Angel uśmiechnął się nieznacznie. - I podobno także dobrym dowódcą.

Ramon spiął się, lecz chyba tego nie zauważył.

- W rodzinie niewiele da się ukryć, Ramon. Słyszałem o tym *bandito*, El Dragon, i wiem że był nim Andreas. Teraz on nie żyje, ale bandę prowadzi ktoś inny i nadal napadają na Amerykanów. Chciałbym do nich dołączyć. Myślę, że wiesz, gdzie mógłbym ich znaleźć.

W przeszłości nie wahałby się opowiedzieć kuzynowi tej całej smutnej historii. Ale teraz powiedział po prostu:

- Obozują w Llano Mirada. Pamiętasz to miejsce z naszego dzieciństwa? To płaskowyż, który znaleźliśmy, gdy po raz pierwszy sami poszliśmy na polowanie. - Angel na pewno dowie się o udziale Ramona w napadach, ale jeszcze nie teraz.

- *Si*, pamiętam - uśmiechnął się Angel. Wyglądał teraz młodziej i przystojniej niż

dawniej. Ciekawe, czy to ten uśmiech skusił Carly, by zaprosić go do swego łóżka.

- Prowadzą tam dwie drogi - mówił dalej Ramon. - Obie są pod silną strażą. Powiedz im, że jesteś kuzynem Andreasa. - Zdjął z palca ciężki, złoty pierścień z herbem rodowym de la Guerrów, pierścień, który podarował Carly w dniu ślubu. Gdy wrócił z Monte-rey, znalazł go w sakwie przytroczonej do siodła.

- Pokaż im to i powiedz, że ja cię przysłałem. - Podał mu pierścień, ignorując ironię losu, że oto kuzyn zostaje posiadaczem pierścienia, którym on zaślubił Carly.

- *Gracias, amigo.*

- Nie wiedziałem, że wypuścili cię z więzienia -rzekł Ramon.

- Niezupełnie mnie wypuścili. Uciekłem. - Angel zaczął cofać konia. - Jeszcze raz przepraszam za to, co się stało w Monterey.

- Ja także. I najlepiej nigdy więcej do tego nie wracajmy.

Angel zacisnął usta.

- Jak sobie życzysz. Dziękuję za informacje. - Zawrócił konia i dźgnął go mocno ostrogami, ruszając z kopyta gościńcem.

Ramon spoglądał za nim, aż na wysokiej, brązowej trawie osiadł pył. Nie był zachwycony faktem, że będzie oglądał kuzyna przy każdej swojej wizycie w Liano Mirada. Ale być może niedługo nie będzie to miało znaczenia. Istnieją przecież dokumenty, dzięki którym być może Rancho del Robles wróci do prawowitych właścicieli.

Gdy sprawa zostanie ponownie otwarta do rozpatrzenia, być może odzyska ranczo, a wtedy zaprzestanie napadów. Tak jak dawniej, rodzina znów będzie zamożna, a jego ludzie otrzymają pracę i dom.

Tęsknił za tym, lecz w głębi duszy wiedział, że bez Carly to już nie będzie to samo. Odsunął tę myśl i ruszył z powrotem do domu.

* * *

Carly chodziła nerwowo tam i z powrotem po swojej sypialni. Wuj wrócił późnym wieczorem, zmęczony, brudny i zły, że znowu nie schwytali El Dragona. Jednak dodał ponuro, że nie poddadzą się. Indiancy tropiciele cał po calu zbadają całą okolicę, przeczesaą góry Gabilan i pasmo Diablo.

Kapitan Harry Love, który swego czasu zatrzymał osławionego bandytę nazwiskiem Joaquin Marieta, poprowadził ochotników. Mocno wierzyli, że tym razem odnajdą El Dragona i jego ludzi.

Carly bała się o Ramona, Pedra, Florentię, Tomasinę i innych mieszkańców osady. Nie chciała, aby skończyli tak jak mieszkańcy wioski Jokutów.

Musiała porozmawiać z Ramonem, przekonać go, by zaprzestał napadów, zanim będzie za późno. Nie wiedziała jednak, gdzie go szukać, a zważywszy, jak się miały sprawy między nimi, jej przyjazd do Las Almas wyglądałby co najmniej dziwnie. Nie chciała jeszcze bardziej wzbudzać podejrzeń wuja.

Zawróciła gwałtownie w miejscu i ruszyła w przeciwnym kierunku. Prócz niepokoju o Ramona dokuczało jej coś więcej. Nuda. Przed powrotem do del Robles nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo lubiła zajęcia, które wykonywała w Las Almas. Tam wspólnie coś budowali. Nie miało znaczenia, że tamto ranczo było znacznie mniejsze od del Robles.

Osiągali coś, a ona miała w to swój wkład.

Zupełnie inaczej niż w del Robles.

Oczywiście tak było łatwiej. Tutaj wszyscy jej nadszali, oczekując jedynie miłego uśmiechu damy i grzecznej konwersacji przy kolacji. Niestety, nie było w naturze Carly spędzać cały dzień w salonie na robieniu koronek, jak od niej oczekiwali wuj. Nie potrafiła odczuwać przyjemności, ćwicząc godzinami na fortepianie. Trochę czasu spędzała na czytaniu, ale brakowało jej zajęcia. Lubiła ciężką pracę, lubiła oglądać jej efekty, a chociaż w Las Almas nikt nie oczekiwał od niej, że będzie sobie urabiała ręce po łokcie, nawet Ramon akceptował jej zaangażowanie.

Być może szanował jej potrzebę, a może po prostu sądził, że skoro nie jest Hiszpanką, to nie jest również prawdziwą damą, więc ciężka praca jest czymś, co przystoi każdej *gringa*. Ta myśl nie była zbyt zachęcająca, ale w każdym razie chciała być częścią tego, co się dzieje na ranczu.

A może po prostu potrzebowała własnego domu, jak to kiedyś powiedział wuj?

Na tę myśl poczuła bolesny skurcz w sercu. Miała swój dom... kiedyś. Prawdziwy, tak przynajmniej myślała. Miała męża, ludzi, którym była bliska, teściową i ciotkę, które zdążyła pokochać. Czy oni wszyscy myślą tak samo jak Ramon? Czy uznali ją za zdolną do tak ohydnej zdrady? Co on im powiedział? I co Angel powiedział swojej siostrze Marii?

Poczuła łzy w oczach, ale jednocześnie zacisnęła pięści. Ramon wierzył kuzynowi, bo był członkiem rodziny de la Guerra. Był także kłamcą, ale nie miała sposobu, żeby to udowodnić. A gdyby nawet miała, ona nadal pozostałaby *gringa*, a nie Hiszpanką, jaką chciał poślubić jej mąż.

Westchnęła. Jakie to miało znaczenie? Ramon wyrzucił ją ze swojego życia, jakby nigdy nie istniała, i nic tego nie zmieni. Zostawił pustkę, która nigdy się nie wypełni, ale na

pewno był jakiś sposób, aby jeszcze zaznała szczęścia. Może wuj Fletcher miał rację, może powinna wyjść za Vincenta. Już przesłał jej wyrazy uszanowania. Wczoraj po południu posłaniec przywiózł list. Widocznie wuj natychmiast poinformował byłego adoratora o jej powrocie. Wyraźnie kłopoty, do których doprowadziły jego manipulacje, niczego go nie nauczyły.

Zresztą, jeśli Vincent nadal chciał Carly za żonę, to może rzeczywiście ją kochał. Być może powinna wyjść za niego i spokojnie żyć. Nie miała wątpliwości, że wuj jakoś załatwiłby anulowanie małżeństwa. Chciał, aby poślubiła Vincenta. Gdyby od razu postąpiła zgodnie z jego życzeniem, nie cierpiałaby teraz tak bardzo.

Znowu ruszyła przez pokój, spojrzała w okno i zatrzymała się tak gwałtownie, że niemal upadła. Popatrzyła przerażona i zamrugła, nie wierząc, że to, co widzi, jest prawdą.

- Dobry Boże! - Skoczyła do drzwi, otworzyła je i wybiegła na korytarz. Z bijącym sercem, popędziła do tylnego wyjścia i wyskoczyła na podwórzec. - Przestańcie! Co wy robicie? Przestańcie natychmiast!

Ale bat znowu świsnął w powietrzu, uderzając w małe, brązowe plecy, na których widniały już długie pręgi i trzy strużki krwi. Carly rzuciła się ku chłopcu, gdy bat zatoczył kolejny krąg. Pochylając głowę, wpadła pomiędzy chłopca i pejcz, objęła jego wąskie ramiona i osłaniając go, sama przyjęła przeznaczone dlań uderzenie.

Syknęła z bólu, jeszcze bardziej współczując skazanemu na chłostę.

- Stój! - zawołał Fletcher Austin, mimo że mężczyzna wymierzający karę już zrozumiał swoją pomyłkę.

- Przepraszam, panno McConnell. - Cleve Anders, zatrudniany przez wuja chudy nadzorca cofnął się. - Mam nadzieję, że nie zrobiłem panience krzywdy.

Cienki pasek skóry przeciął materiał sukni i zostawił pręgę na plecach Carly. Bolało ją bardzo, ale poza tym nic złego się nie stało.

- Powinieneś się martwić o chłopca, a nie o mnie.

Dwa Sokoły patrzył przed siebie buntowniczo, zaciskając mocno zęby. Jego uniesione wysoko ręce przywiązane były do gałęzi drzewa. Miał nagi tors, a zbyt wielkie spodnie wisały nisko na wąskich biodrach.

- Odetnijcie go - zażądała Carly.

Gdy mężczyźni nie wykonali najmniejszego ruchu, by uwolnić chłopca, a jedynie poruszali się niespokojnie, wymieniając między sobą jakieś uwagi, całą uwagę skierowała na wuja, który właśnie do niej podszedł.

- Wybacz, Caralee, ale nie powinnaś tu być. To męska sprawa. Wracaj do domu.

- Co tu się dzieje, wujku? Co tak mały chłopiec mógł zrobić, by zasłużyć na taką ciężką chłostę?

- To złodziej, Caralee. Czy ci się to podoba, czy nie, nie pozwolę, żeby złodziejski dzikus kradł własność del Robles.

- Dwa Sokoły to nie złodziej. Co niby ukradł?

- Kurczaka, panienko - wtrącił Sanders. - Wszystkie dzikusy są takie same.

- A gdzie ten kurczak? Po co miałby tu przychodzić, aby ukraść kurę?

- Nie żywego, ale mięso, panienko. Kucharka piekła na kolację kilka sztuk, a chłopak wsadził rękę przez okno i ściągnął go prosto z rożna.

Przejęta, odwróciła się do małego Indianina.

- Czy zapłaciłeś za kurczaka?

Sztywno pokiwał głową.

- Tuzin koralików... więcej niż ten twardy ptak był wart.

Przeniosła gniewny wzrok na Sandersa, zaciskając usta.

- Słyszałeś? Nie ukradł, ale kupił. A teraz go uwolnij!

Wuj zaczął oponować, ale ujrawszy zacierzewienie siostrzenicy, dał znak głową.

- Uwolnić.

Wysoki nadzorca wyjął nóż i odciął linę krępującą nadgarstki chłopca, który zatoczył się, niemalże tracąc równowagę. Carly podtrzymała go.

- Dasz radę dojść do kuchni? - spytała cicho, aby nikt więcej jej nie usłyszał.

Wyprostował się z trudem.

- Pewnego dnia będę wielkim vaquero. Dam radę zrobić wszystko, co trzeba.

Wiedząc, jak bardzo jest dumny, nie próbowała mu pomóc, lecz szła obok, gdy samodzielnie ruszył w stronę kuchni. W środku posadziła go na solidnym dębowym krześle i spojrzała na piersiastą kobietę, która szykowała tortille.

- Nazywasz się Rita, tak?

- *Si, señora.*

- Potrzebuję czegoś na jego plecy. Co się najbardziej nada?

- Mam coś w sam raz. Trzymamy to dla *vaqueros* na otarcia, zadrapania i ukąszenia owadów. - Podała Carly maść, która pachniała smalcem i rumiankiem.

- Dziękuję.

Dwa Sokoły syknął cicho z bólu, gdy przemyła mu plecy i posmarowała pręgi maścią, lecz nie wydał więcej żadnego dźwięku.

- Przykro mi, że tak się stało - powiedziała Carly, gdy skończyła. - Żałuję, że nie

przysłałam wcześniej.

Po raz pierwszy uśmiechnął się.

- Słoneczna była bardzo dzielna. Don Ramon nie znajdzie innej, równie odważnej żony.

Oczy zaszyły jej mgłą. Zamrugwała, aby powstrzymać łzy.

- Jak on się miewa?

- Jest inny, gdy ciebie nie ma. Już się nie uśmiecha tak jak kiedyś. Myślę, że pragnie, abyś wróciła do domu.

O Boże!

- Mylisz się. To ostatnia rzecz, jakiej sobie życzy don Ramon.

Chłopiec zaczął oponować, lecz Carly przyłożyła mu palec do ust, kręcąc głową.

- Gdzie twoja koszula?

- Podarli ją. Taką piękną koszulę.

Niemal się uśmiechnęła.

- Nie będzie to pierwszy raz, gdy chodzisz bez koszuli. Don Ramon na pewno znajdzie ci inną, gdy wrócisz do domu.

- Przysłał mnie tutaj, abym ci przyniósł twoje rzeczy, ale on chyba po prostu chciał, abym się przekonał, że nie jesteś na mnie zła.

Ujęła jego dłoń.

- Tak myślałeś? Że jestem zła na ciebie?

Przytaknął.

- Z powodu tego, co się stało w wiosce... co zrobiłem z jednym białym.

Mogła jedynie szybko zakryć mu ręką usta. Na Boga, gdyby wuj się dowiedział, że zabił jednego z ludzi, którzy mordowali jego braci, chłopiec nie dożyłby jutra.

- Zrobiłeś to, co musiałeś. Ja dopiero zaczynam rozumieć, jak trudne jest wasze życie.

- Zmusiła się do uśmiechu. - Powiedz mi teraz, gdzie są te rzeczy, które mi przyniosłeś.

Chciał wstać, lecz delikatnie osadziła go na miejscu.

- Sama przyniosę. Ty tu zostań.

- Ale już nic mi nie jest. Przyniosę te rzeczy.

Miała zamiar się nie zgodzić, ale chłopiec był młody, silny, a ona nie chciała go obrazić. Stojąc w drzwiach czekała, aż przyniósł tobolek przysłany przez Ramona i przyprowadził konia, na którym przyjechał.

- Zaczekaj tu na mnie - powiedziała mu. - Przebiorę się i pojedziemy do Las Almas razem... przynajmniej część drogi.

Pokiwał głową. Wróciła po paru minutach, ubrana w rdzawej barwy suknię do konnej jazdy i zaprowadziła go do stajni, gdzie kazała jednemu z ludzi, by osiodłał jej konia. W drodze na rancho niewiele rozmawiali. Patrząc, jak sztywno siedzi w siodle, domyślała się, że bardzo bolą go plecy. Zresztą ją też pręga piekła niemiłosiernie.

Na szczycie wyniosłości, z której wiodła droga w dół do hacjendy, zatrzymała swojego niewielkiego kasztanka.

- Powiedz don Ramonowi, co się stało w del Robles. Pokaż mu swoje plecy, a on dopilnuje, aby zostały opatrzone. Powiedz mu... że przepraszam za zachowanie mojego wuja i jego ludzi.

Dwa Sokoły skinął głową.

- Powiem mu też, że nie tylko on nie jest szczęśliwy.

- Nie! Tego nie możesz... - Ale chłopiec już zawrócił konia i puścił się galopem w kierunku rancza. Westchnęła ciężko, zdziwiona, że drżą jej ręce, że do oczu znowu napłynęły jej łzy. Jakie to miało znaczenie, że Ramon dowie się, co ona czuje?

Nie dbał o jej odczucia, gdy uznał ją za winną zdrady z kuzynem, gdy nazwał ją dziwką. Jej duma mocno cierpiała na to wspomnienie, bolała tak samo jak pręga na plecach.

Kierując kasztanka z powrotem ku Rancho del Robles, Carly poprzysięgła sobie, że zapomni o Ramonie, że włoży ten epizod swego życia między karty historii. Lecz wspólne zamieszkiwanie z wujem także nie było rozwiązaniem, bo z każdym dniem jeszcze dobitniej przekonywała się, jakim jest bezwzględny człowiekiem.

Z każdym mijającym dniem utwierdzała się w podejrzeniu, że jednak jej wuj naprawdę przywłaszczył sobie ziemię de la Guerrów.

* * *

Ramon mocno uderzył siekierą, rozłupując na pół spory dębowy konar, po czym rzucił go na stertę i wierzchem dłoni otarł sobie pot z czoła.

Minęły trzy dni od czasu, gdy wrócił Dwa Sokoły z poranionymi plecami i niesamowitą opowieścią o skradzionym kurczaku i o tym, jak Carly przyjęła na siebie uderzenie batem, aby go osłonić. Stawiła czoła rozgniewanemu wujowi i jego ludziom.

- Wah-Suh-Wi jest bardzo odważna - powiedział chłopiec. - Pan nie znajdzie innej żony równie odważnej jak Słoneczna.

Na samą myśl Ramonowi wyschło w ustach. Miał ochotę zacisnąć dłonie na szyi Fletchera Austina i trzymać tak długo, aż go zadusi. Nie chciał myśleć, co by się stało z

chłopcem, gdyby Carly nie wystąpiła w jego obronie. Nie wątpił w prawdziwość opowieści o jej odwadze. Ale przez te tygodnie po stracie Carly zaczął wątpić w coś innego.

Znowu machnął siekierą, natężając wydatne mu-skuły pod nagim, lśniącym od potu torsem. Potrzebował wysiłku, musiał zrzucić z siebie napięcie, jakie nim owładnęło, gdy Dwa Sokoły powrócił z del Robles.

Nie mógł pozwolić, aby jego kolejnymi posunięciami kierowała wściekłość na Fletchera Austina. Nie mógł również dopuścić, aby słowa chłopca zmiękczyły mu serce w stosunku do Carly.

A jeśli się mylisz? Nigdy nie pozwalał sobie na takie myśli. Nawet na jedną chwilę. Nie było możliwości, aby jej wybaczył.

Gdyby bowiem to uczynił, a ona znowu by go oszukała, chyba by już tego nie przeżył.

Tak bardzo ją kochał, do tego stopnia, że z każdym oddechem odczuwał ból. Jak ona tego dokonała? Jak udało się jej tak zupełnie ukraść mu serce? Por Dios, walczył z tym cały czas, a mimo to Caralee stała się dla niego najważniejsza na świecie.

A jeśli się mylisz? Nie powinien był pozwolić, by ta myśl przeniknęła do jego mózgu, bo teraz bolała jak otwarta rana. Nie, nie mylił się. Widział ich razem. Angel był dla niego jak brat od najwcześniejszego dzieciństwa. Nosił nazwisko de la Guerra. A członkowie rodziny de la Guerra nigdy nie kłamią.

A jeśli się mylisz? Trzonek siekiery wyśliznął mu się z dłoni, niemalże go wypuścił. Uderzył ostrzem w grube polano bokiem, aż kawałek dębiny pofrunął i uderzył w pobliskie drzewo. *Santo de Christo* - nie mógł się mylić. Oboje o tym wiedzieli, Carly i on sam. Lecz słowa, które doń wypowiedziała nad stawem, pozostały w jego myślach. *Jesteś zupełnie taki, jak mój wuj. Tak samo nienawidzisz, uprzedzasz się... A to cię zaślepią dokładnie tak samo, jak Amerykanów, którymi gardzisz.*

Ciężki topór rozłupał ostatni dębowy kloc, po czym Ramon wbił narzędzie w ucięty pień drzewa, którego używał jako podstawki. Wciąż myśląc o Carly, odwrócił się w stronę domu i zaskoczony ujrzał Pedro Sancheza, który właśnie wjeżdżał przez bramę na swoim dropiatym siwku.

Otarłszy pot z szyi i ramion szorstkim lnianym ręcznikiem, Ramon zabrał białą koszulę i ruszył w kierunku przybysza.

- Dobrze cię widzieć, przyjacielu - zawołał do niego. Pedro jeszcze nie wrócił z wyprawy do doliny, gdy Ramon z pozostałymi ludźmi dokonali ostatniego napadu. Nie widzieli się prawie od dwóch miesięcy.

- I ciebie dobrze widzieć, don Ramon. - Stary *vaquero* osadził konia w miejscu i

zgrabnie zeskoczył na ziemię. - Wybacz, że tak późno wracam do osady, ale słyszałem, że skok się udał.

- *Si*, nawet bardzo. Ale zima już blisko. Pewnie będziemy musieli zrobić jeszcze jedną akcję, skoro tak dobrze nam idzie.

Pedro zastanawiał się nad tym, gdy szli ramię w ramię ku zagrodzie, a potem gdy zdejmował z konia siodło. - Teraz, gdy nie ma Andreasa, za każdym razem rośnie ryzyko, że zostaniesz rozpoznany.

- *Si*, to prawda. Mariano mówi, że w czasie mojego pobytu w Monterey był tu szeryf Layton. Według Mariana, on coś podejrzewa.

- A ty zamierzasz czynić dalej to co dotychczas?

- Tak długo, jak będę musiał.

Pedro nie odpowiedział, poluzował popręg i zdjął z końskiego grzbietu ciężkie siodło. Z wilgotnego miejsca, które było przykryte plecionym kocem, uniósł się obłoczek pary.

- Jak twoja podróż? - spytał Ramon.

- Wróciłbym wcześniej, ale wizyta Mirandy u rodziny męża nie przebiegła zgodnie z planem. Postanowiła wrócić do osady. Zrezygnowana, przyjęła do wiadomości, że straciła twoje zainteresowanie... a teraz dowiaduję się, że być może wcale cię nie straciła.

Ramon, lekko spięty, tylko wzruszył ramionami.

- Mojej żony tu nie ma, jeśli to masz na myśli. Nie udało się nam porozumieć.

- Tak słyszałem. - Poluzował uzdę, nałożył kantar na miękki pysk zwierzęcia i zapiął go za jego uszami.

- To żadna tajemnica. Caralee wróciła do wuja.

- Ponieważ znalazłeś swego kuzyna w jej łóżku.

Ramon spojrzał nań zaskoczony, zaciskając zęby tak mocno, że z wysiłkiem wydobył z siebie głos.

- Skąd o tym wiesz? Nikomu nie mówiłem.

- A jak sądzisz? Twój kuzyn Angel sam się przechwalał... do czasu, aż Ignacio rozwalił mu usta jak dojrzały melon. Od tamtej pory przestał gadać.

- Nie wierzę, że mógł zrobić coś takiego.

- Nie? - Pedro ominął konia i stanął przed Ramonem. - Bez wahania uwierzyłeś w historyjkę, którą opowiedział o twojej żonie.

- Nawet jeśli powinien był milczeć, to nie oznacza, że kłamał. Znalazłem go w jej łóżku.

- A fakt, że tam był, nie oznacza, że twoja żona cię zdradziła. Skąd masz pewność, że

nie kłamał?

- Angel należy do rodziny de la Guerra. To moja krew. Dlaczego miałbym mu nie wierzyć?

- Angel przysięga, że twoja żona zaprosiła go do swojego łóżka, więc to oczywiście musi być prawda. Znam go tak samo długo jak ty. Czyż kiedykolwiek znalazła się kobieta, która nie rzuciła mu się do stóp?

Ramon chrząknął na niemiłe wspomnienie, które przywołał Pedro. Angel często przechwalał się, jak to w każdym mieście między granicą a San Juan czekają na niego dziwki.

- On twierdzi, że nie.

- Dziwki to nie damy, przyjacielu, a poza tym wcale nie wierzę, że było ich aż tak wiele.

Ramon zastanowił się.

- Może i nie.

- A co z tą kobietą z Santa Fe?

- Jaką kobietą?

- Tą, która twierdziła, że ją zgwałcił tej nocy, gdy został aresztowany za rabunek i morderstwo.

Ramon trochę się zaniepokoił.

- To oskarżenie na pewno było fałszywe. Kłamstwo, które ukuli *gringos*, aby umocnić inne swoje sfabrykowane zarzuty.

- Więc to było kłamstwo? - Pedro patrzył mu prosto w oczy. - A może twoja żona stałaby się kolejną, nieszczęsną ofiarą, gdybyś się nie zjawił na czas? Ramon przysiadł na wiązce słomy przy ogrodzeniu. Nogi mu się trzęsły.

- *Dios mio*, to co mówisz, nie może być prawdą.

- Twoja żona udowodniła, że ma swój honor, i to nie raz, a wielokrotnie. Wie, kim jesteś, a jednak milczy. Może nawet umiałaby odnaleźć osadę, gdyby tylko zechciała. - Uścisnęła pocieszająco ramię Ramona swoją żylastą dłonią. - Czy nie rozumiesz, że twoja żona dochowuje tajemnicy, bo cię kocha? To, że jest Amerykanką, nie dyskwalifikuje wartości jej słowa.

- Mylisz się. To nie może być prawda.

- Nie widziałeś kuzyna przez pięć długich lat. Nawet jeśli wcześniej był uczciwym człowiekiem, w co teraz wątpię, nie masz pojęcia, co mógł z nim zrobić pobyt w więzieniu. - Ramon milczał. - Twoja lojalność wobec kuzyna jest bardzo chwalebna, przyjacielu, ale nie wierzę, aby on ją odwzajemniał.

- Co masz na myśli?

- On ci zazdrości, Ramon. Widać to na jego twarzy zawsze, gdy o tobie mówi. Gdybyś spędził z nim choć trochę czasu, przekonałbyś się, że to nie jest człowiek, za którego go uważasz.

Ramon przeczesał palcami mokre od potu włosy.

- Mówisz mi, że się mylę. Że moja żona nie zrobiła tej strasznej rzeczy. Jak możesz oczekiwać, że w to uwierzę, skoro widziałem ich na własne oczy?

- Czasami to, co ci się wydaje, że widzisz, w rzeczywistości jest czymś innym. Tak jak szlak wiodący do Llano Mirada. Jeśli twoja żona twierdzi, że jest niewinna, to ja jej wierzę. I uwierzyłbym Caralee McConnell o wiele prędzej niż człowiekowi takiemu jak Angel de la Guerra.

Ramon obliznął zeschnięte usta. Serce biło głucho w jego piersi.

- A jeśli się mylisz?

- Jest sposób, aby zyskać pewność.

- Jaki? Proszę, powiedz mi.

- Zajrzyj do swojego serca, Ramon. Tam znajdziesz prawdę. Na pewno wiesz, co jest prawdą. I tonie od dzisiaj. Po prostu boisz się w to uwierzyć.

Gdybyś mnie kochał, rozpoznałbyś prawdę, nawet gdyby oczy podpowiadały ci, że to kłamstwo.

- Czy naprawdę jestem tak bardzo uprzedzony, Pedro? Czy to możliwe, że moja nienawiść do Amerykanów zaślepiła mnie i przez to straciłem poczucie rzeczywistości?

- A ty jak myślisz, Ramon? Tylko ty to wiesz.

I nagle już wiedział. Wszystko stało się przeraźliwie jasne. Spoglądał na dolinę, a spływająca nań prawda sprawiała, że dęby wydawały się jeszcze wyższe, złota trawa jeszcze bujniejsza, niebo bardziej błękitne.

- *Por Dios* - wyszeptał. Oczami duszy ujrzał piękną, mokrą od łez twarz Carly. *Kocham cię, Ramon. Kocham cię tak bardzo.* - Ona walczyła, żeby się obronić, a nie zapraszała Angela do swojego łóżka.

- *Si*, tak właśnie myślę.

- *Santo de Christo*, jak mogłem tego nie zauważyć? - Przypomniał sobie Yolandę, kobietę, którą jego kuzyn pragnął poślubić. Odrzuciła zaloty Angela, bo wolała Ramona. Bo to on, Ramon, zawsze przyciągał kobiety, a nie Angel. Piękne, atrakcyjne kobiety, których na pewno pożądał jego kuzyn. Kobiety takie, jak Caralee.

- Musiał wiedzieć, że ona jest moją żoną. Jeśli zobaczył, jak odjeżdżam, mógł

zaczekać i podejść do niej w hotelowej jadalni. Potem poszedł za nią do pokoju i jakimś sposobem włamał się do środka. Na pewno chciał ją zgwałcić. I myślał, że za bardzo będzie się wstydziła, aby mi o tym powiedzieć. Mógł nawet wierzyć, że prędzej uwierzę jemu niż jej.

Gdy Ramon podniósł głowę, świat wydawał się jakiś zamglony. Oczy go piekły.

- I zrobiłem to, Pedro. Zachowałem się dokładnie tak, jak przewidział Angel. - Powoli wstał. – Zabiję go, przysięgam, że go zabiję.

Pedro chwycił go za ramiona.

- Posłuchaj mnie, Ramon. Teraz musisz myśleć o swojej żonie. Czy naprawdę wierzysz w to, co powiedziałeś? Musisz uwierzyć, jeśli chcesz naprawić to wszystko, co zepsułeś. A nie będzie to łatwe. Nigdy więcej nie wolno ci w nią wątpić.

Ramon z trudem przełknął ślinę przez ściśnięte gardło.

- Nie mogę uwierzyć, że nie dostrzegłem tego wcześniej.

- Przez wiele lat nienawidziłeś Amerykanów. Ale w każdym narodzie są dobrzy i źli ludzie. Wiesz o tym w głębi serca. Lecz śmierć brata sprawiła, że zapomniałeś.

Ramon pokiwał głową.

- Popeliłem mnóstwo błędów. Chyba nie potrafię rozsądnie myśleć, gdy chodzi o moją żonę.

- Kochasz ją, przyjacielu, a miłość potrafi zaślepić mężczyznę bardziej, niż najciemniejsza noc.

- Muszę do niej jechać. I przywieźć ją do domu, do Las Almas.

- To może być niebezpieczne. Nie będziesz mile widziany w del Robles.

- Wszystko mi jedno. Zaczekam, aż się ściemni i wtedy wyruszę. Przekonam ją, aby mi wybaczyła.

Być może pewnego dnia przejrzysz na oczy i poznasz prawdę. Ale niestety, wtedy będzie już za późno.

Poczuł ucisk w żołądku. *Za późno. Za późno. Za późno.* Modlił się, aby tak nie było, ale gdyby jednak okazało się to prawdą, nie mógłby jej winić. Z jego strony zaznała samej udręki. W myślach poprzysiągł sobie, że jeśli mu wybaczy, to on poświęci resztę życia, aby wynagrodzić jej cierpienia, jakich zaznała od dnia, gdy się poznali.

Rozdział 19

Carly siedziała przy toalecie, bezwiednie rozczesując długie, kasztanowe włosy. Jej

twarz pozostawała w cieniu. Obok tlił się płomyk lampy na wielorybi olej, rzucając słabą poświatę na białe ściany niskiego pokoju.

Rozmyślała o przeszłości, o czasie spędzonym w Las Almas, o swoich bliskich. Martwiła się o Dwa Sokoły, miała nadzieję, że rany na jego plecach się zagoiły. Ciekawa była, czy matka Ramona i tia Teresa zaczęły już robić mydło z łoju, który razem wytapiały. Miała nadzieję, że starsze panie się nie przepracowują. Pomyślała o Rey del Sol i małym Bajito, o Pedro Sanchezie i Florentii oraz innych mieszkańcach osady.

W jej wizjach pojawił się także Ramon. Ciekawe, czy teraz, gdy nie było już Mirandy, zaczął sypiać z Isabel Montoya... a może znalazł sobie kogoś innego-

Na tę myśl poczuła bolesne ukłucie. Zmusiła się,

by skierować tok myśli w inną stronę, ale niestety nadal miało to związek z Ramonem. Jutro jej wuj wraz z grupą swoich ludzi wyjedzie z del Robles, by dołączyć do kapitana Harry'ego Love i jego ochotników, zwanych Myśliwcami. Wierzyli, że tym razem znajdą Hiszpańskiego Smoka i w końcu go aresztują.

Zadrzała, to było trudne do zniesienia. Spojrzała w lustro i zauważyła, jak poruszają się zasłony. Przez okno do pokoju wsunęła się czyjaś szczupła noga, odziana w dopasowane bryczesy. Carly wstrzymała oddech.

- Ramon - wyszeptła, gdy między zasłonami pojawiła się jego głowa. Zerwała się z krzesła i podbiegła do szafki, stojącej koło łóżka, szarpnęła szufladę i złapała stary, jednostrzałowy pistolet, który po śmierci ojca dała jej matka, gdy zostały same. Carly przywiozła go ze sobą do Kalifornii.

Trzęsącymi się rękami wymierzyła w Ramona i patrzyła, jak prostuje się z uśmiechem w kąciku ust.

- Więc teraz chcesz mnie zastrzelić.

- Możesz wierzyć lub nie, ale potrafię to zrobić. Wiem także, czego chcesz i nie zamierzam pozwolić, abyś mnie zabrał do Llano Mirada. Chcesz mnie uczynić swoją dziwką.

Przestał się uśmiechać.

- Tak myślisz?

- Tak powiedziałeś ostatnim razem. Że Mirandy już nie ma, a ty potrzebujesz dziwki.

Sposepniał.

- Miranda wróciła, lecz nie ma to znaczenia. A ty jesteś moją żoną, nie dziwką.

- Wcześniej mówiłeś coś innego. - Pistolet drżał w jej zeszywniałych, wilgotnych dłoniach. Z trudem trzymała broń.

Ramon jeszcze bardziej się wyprostował

- Więc pociągnij spust, Cara, albo odłóż pistolet, zanim komuś stanie się krzywda.

Zacisnęła zęby. Jeszcze przez chwilę celowała w Ramona, lecz szybko westchnęła i opuściła rękę.

- No dobrze, może i nie potrafię do ciebie strzelić, ale nie pozwolę, abys mnie tam wywiózł. Będę wrzeszczała na cały dom, jeśli zbliżysz się choćby o krok.

Lekko wykrzywił usta.

- Tęskniłem za tobą, *querida*. Bez ciebie w Las Almas jest strasznie nudno.

- Czego chcesz? - Patrzyła na niego gniewnie, spięta, w każdej chwili gotowa do ucieczki. Nie dopuści, by znowu ją porwał, wykorzystał jej ciało i poniżył pragnieniem, jakie wciąż do niego czuła, które popłynęło przez jej żyły niczym roztopione masło, gdy tylko znalazł się blisko.

- Przyjechałem tylko po to, żeby porozmawiać. Chciałbym ci coś powiedzieć... a to trudne dla mężczyzny takiego jak ja. Mam jedynie nadzieję, że zechcesz mnie wysłuchać. - Dlaczego on patrzy na nią w taki sposób, szuka czegoś w jej twarzy pełnymi łagodności oczami. Jej serce zadrżało.

Zbliżył się o krok, lecz Carly cofnęła się.

- Ja nie żartuję, Ramon. Zawołam wuja. Zanim się do mnie zbliżysz, będzie tu tłum ludzi.

- Więc zrób to. Może masz takie życzenie, by ujrzeć mnie martwego. Jeśli tak, nie będę cię winił. - Podeszedł jeszcze bliżej, zdecydowanym, choć wolnym krokiem.

- Będę krzyczeć! Przysięgam!

Zatrzymał się dopiero tuż przed nią.

- Nie sędzę. - Wyjął z jej dłoni pistolet i położył go na toalecie.

- Nie cierpię cię! Nienawidzę cię z całego serca i duszy! - I w tym momencie rzeczywiście tak było. Nienawidziła go za rozbudzenie w niej miłości do niego, za to, że gdy stawał przed nią, wysoki i męski, krew zaczynała krążyć w jej żyłach jak szalona.

- Być może. Jak powiedziałem, nie będę cię winił.

- Czego chcesz? Po co tu przyszedłeś?

Dotknął jej policzka drżącą dłonią.

- Z wielu powodów... Jest tyle rzeczy, których pragnę. Ale nic z tego nie będzie, jeśli ty nie zrozumiesz.

Patrzyła na niego nieufna, starając się doszukać sensu w tych słowach.

- Pytałam, czego chcesz.

Nabrał głęboko powietrza i wypuścił je powoli.

- Przyszedłem, aby ci powiedzieć, że źle oceniłem to, co wydarzyło się w Monterey. - Carly zakręciło się w głowie. - Było tak, jak mówiłaś... a ja wątpiłem w twe słowa, bo jesteś Amerykanką. Nienawiść do *gringos* zaślepiła mnie.

Zachwiała się. Poczwała, jak Ramon ją podtrzymuje, aby odzyskała równowagę.

- Dobrze się czujesz? - spytał z troską. Kiwnęła głową, więc, acz niechętnie, cofnął rękę. - Nie chodziło tylko o stratę Rancho del Robles czy śmierć mojego brata... były też rzeczy, które wydarzyły się wcześniej w moim życiu.

- Jakie rzeczy? - spytała. Czwała mdłości i suchość w ustach. Zwilżyła wargi czubkiem języka. Ujrzała, jak oczy Ramona jeszcze bardziej ciemnieją. Jednak siłą woli złagodził swe oblicze.

- Była kobieta, piękna *gringa*. Miała na imię Lily. Chyba ją kochałem. Chociaż gdy porównuję to z tym, co czuję do ciebie, to wcale już tak nie myślę, przynajmniej nie mam pewności. Byłem wtedy młody i głupi. Była dla mnie całym światem, lecz ja nie znaczyłem dla niej zbyt wiele. Pewnego razu znalazłem ją w łóżku z dwoma młodzieńcami z uniwersytetu, przyjaciółmi, których znałem ze szkoły. - Wzrok mu spochmurniał na tę myśl. - Po Lily były jeszcze inne Amerykanki, ale wtedy to już ja je wykorzystywałem.

Poruszył się i spojrzał w bok, najwyraźniej nie były to dlań miłe wspomnienia.

- Tamtej nocy w Monterey... gdy wróciłem do naszego pokoju... ujrzałem to, co zawsze uważałem za nieuniknione: moją amerykańską żonę zdradzającą mnie z innym mężczyzną.

Carly spoglądała na niego, a serce ją kłuło z bólu. Poczwała pieczenie w oczach.

- Jak mogłeś tak pomyśleć, Ramon? Pragnęłam tylko ciebie. Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałam, nigdy nie było w mych myślach nikogo innego.

- Przepraszam cię, Cara. Wiem, że to nie wystarczy, ale przyjechałem tu, aby ci to powiedzieć. I to, że cię kocham. Może trudno w to uwierzyć, ale taka jest prawda.

Przygryzła drgającą wargę. Jakże tęskniła za tymi słowami. A teraz, gdy Ramon je wypowiedział, nie były w stanie wymazać wątpliwości, które wciąż ją drażyły.

- Czasami kochanie kogoś nie wystarcza - powiedziała cicho.

Wbił w nią wzrok.

- To nieprawda. Gdybym w to wierzył, nie byłoby mnie tutaj. Kocham cię. Ty też powiedziałaś, że mnie kochasz. Jesteś moją żoną, Cara. Chcę, abyś wróciła do domu.

Zajrzała w jego piękne, brązowe oczy, przypomniała sobie ogniste noce w jego ramionach i poczwała, jak coś ją zaczyna dusić. Jeszcze kilka dni wcześniej tego właśnie pragnęła. Ale od tamtej pory miała czas, aby przemyśleć pewne rzeczy i ujrzeć je w nowym

świecie po raz pierwszy od wielu tygodni.

- Nie mogę tego zrobić, Ramon.

Zacisnął zęby jeszcze mocniej.

- Dlaczego nie? Twoje miejsce jest na Rancho Las Almas.

Pokręciła głową. Z trudem powstrzymywała łzy.

- Za bardzo się różnimy, ty i ja. Ukazałeś mi to już wiele razy. Wiedziałeś o tym od samego początku, ale ja byłam za bardzo zakochana w tobie, aby to spostrzec. To, co się stało w Monterey, może się powtórzyć. Jesteś bardzo głęboko uprzedzony, Ramon. Twoje uczucie nie wystarczy, aby pokonać różnice między nami.

- Mylisz się, Cara. Ja już teraz widzę wszystko inaczej niż kiedyś. I to za twoją sprawą. To ty sprawiłaś, że przejrzałem na oczy. - Głębia uczuć Ramona płonęła ogniem w jego oczach. Zapragnęła go dotknąć, przytulić, złagodzić ból. - Wróć do Las Almas, Cara. Bądź moją żoną.

Wodziła wzrokiem po jego ukochanej twarzy, wydatnych policzkach, prostym nosie, silnie zarysowanej szczęce. W końcu wyciągnęła ręce i objęła go za szyję. Przycisnął ją z całej mocy.

- Kocham cię, Ramon - powiedziała, ale wiedziała, że mimo to nie może z nim odjechać. Mogło się coś jeszcze wydarzyć, a ona nie chciała znowu ryzykować takiego bólu.

Czuła we włosach jego długie palce, którymi teraz odchylił jej głowę do tyłu, zmuszając, aby spojrzała mu w oczy.

- *Te amo* - wyszeptał. Kocham cię. - *Te necesito*. - Potrzebuję cię. Pocałował ją, z początku delikatnie, potem coraz mocniej. Zadrżała, oblana gorącym jego ust, uniesiona mocą jego uścisku.

Zamrugnęła, by odgonić łzy.

- Kocham cię, Ramon, kocham tak bardzo, że czasem myślę, że serce mi pęknie. Ale nie mogę jechać z tobą, nawet jeśli bardzo tego pragnę. Mogłoby się wydarzyć coś innego... poza tym, i ty nie wiesz o mnie wszystkiego.

Poczuła, jak zeszywniał.

- Tylko mi nie mów, że masz innego mężczyznę. Jeśli ktoś taki jest, przysięgam, że go zabiję.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nic z tych rzeczy. Chodzi o to, że...

Nie jestem taka, jak się wydaje. Nie jestem córką bogatego mieszkańca wschodniego wybrzeża, jak sugerował ci mój wuj. Jestem biedną dziewczyną z górniczego osiedla. Jednak

nie powiedziała tego na głos. Nie potrafiła zmusić się do wypowiedzenia słów, przez które spojrzalby na nią tak samo, jak tamtej nocy w Monterey.

- Proszę cię, Ramon. Wuj zaczął już załatwiać unieważnienie małżeństwa. A potem będziesz mógł poślubić prawdziwą Hiszpankę...

Zamknął jej usta gorącym, natrętnym pocałunkiem, potem wziął Carly w ramiona i zaniósł do łóżka, położył na środku materaca, by nachylić się i przycisnąć ją ciężarem swego ciała.

- Ramon, nie możemy. Nie jesteś tu bezpieczny. Gdyby usłyszał nas wuj...

- Nie obchodzi mnie to.

- Ale mnie obchodzi. - Szamotała się, aby się wyswobodzić. - Nie zrobisz tego.

Wracaj tam, gdzie będziesz bezpieczny.

- Jesteś moją żoną. I nie chcę innej. Gdy skończę, będziesz mnie błagać, abym cię zabrał do domu. -Znowu pocałował ją dziko, wciskając język w jej usta. Zaczął rozpinąć guziki nocnej koszuli Carly, by po chwili ją rozebrać.

- Ramon, nie pozwolę ci. Musisz odejść.

Klnąc pod nosem, puścił ją, podszedł do toaletki, otworzył górną szufladę, sięgnął do środka i wrócił do Carly.

- Co ty robisz?

- Nie mam ochoty z tobą walczyć. Chcę tylko dać ci przyjemność, pokazać, co czuję.

- Wybrał jedwabną pończochę z tych, które trzymał w ręku, przywiązał jeden koniec do ramy łóżka, drugim zaś obwiązał nadgarstek Carly. Tylko patrzyła, jak zrobił to samo z jej drugą ręką.

Uśmiechnął się z mieszaniną dzikiego pożądania i nieskończonej delikatności.

- Wezmę cię, Cara. Jeśli chcesz mnie powstrzymać, zawołaj wuja. Ale chyba tego nie zrobisz.

Złapał ją za kostkę i tak samo przywiązał ją pończochą do ramy w nogach łóżka. Drugą nogę również. Teraz leżała z rozchylonymi nogami, czerwieniąc się, zażenowana, że widzi ją w takiej pozycji, lecz jednocześnie poczuła w kroczu wilgoć wywołaną podnieceniem.

Patrzyła, jak Ramon zdejmuje koszulę, jak pod ciemną skórą jego szerokich pleców pięknie drgają mięśnie. Widziała nabrzmiąle ścięgna na barkach, gdy ściągał spodnie, ukazując długie, szczupłe nogi i wąskie pośladki. Oblała ją kolejna fala gorąca. Kiedy odwrócił się do łóżka, nabrzmiąły członek sterczał wysoko spod pięknie rzeźbionego brzucha.

- Ramon... - szepnęła, gdy pochylił się, aby znów ją pocałować, drażniąc językiem

usta Carly, wodząc nim po drżącej wardze. Nosem trącał jej szyję, podgryzał płatek ucha, zostawiając wilgotne ślady na ramionach po delikatnych pocałunkach. Zatrzymał się, by possać pierś, lizać sutek, w końcu ugryzł go lekko. Wciągnął cały wzgórek w usta, by po chwili tak samo pieścić drugą pierś.

Przesunął usta niżej, zostawiając wilgotny ślad na skórze, chwilę wodził językiem wokół pępka, wywołując gęsią skórę na brzuchu Carly. Gwałtownie złapała powietrza, bo zorientowała się, co zamierzał zrobić, napięła się, czując ciepły oddech na intymnych fałdach w kroczu. Już po chwili rozchyłał ją językiem, pieszcząc delikatnie, lecz stanowczo, pobudzając koralik, który po chwili boleśnie nabrzmiął.

Wsunął język głębiej, zataczał nim kręgi, by po chwili wejść jeszcze dalej. Ujął w dłonie pośladki Carly, by unieść ją, zbliżyć do swych ust, ssał i trącał językiem najczulsze miejsce. Nie mogła opanować dreszczy, skurczów, wyginała plecy, aż zeszywniały jej kończyny i w końcu rozsypała się w cudownej rozkoszy, zagryzając usta, by zdusić krzyk. Świat zawirował, spłynęła na nią nieziemską przyjemność, tak ogromna, że doznała zawrotu głowy. Ramon pochylił się nad żoną, naciskając nabrzmiąłą męskością jej brzuch, spoglądając pięknymi, ciemnymi oczami, jak powoli powracała do rzeczywistości.

- Podobało ci się to, *querida*, prawda?

Znowu oblała się rumieńcem zażenowania.

- Nie szkodzi, Cara. Mnie też. Czy tego nie widzisz? - Wszedł w nią, tak gruby i twardy jak nigdy przedtem. Szarpnęła się w więzach, chciała go objąć, wciągnąć jeszcze głębiej. Zdziwiona zobaczyła, że nie jest już związana.

Wzdychając z rozkoszy, objęła nogami wąskie biodra Ramona, przyciągając go jeszcze mocniej, aż dotarł czubkiem do samego końca jej wnętrza. Wrażenie było niesamowite, lecz w tej samej chwili nagle spłynęły na nią straszne wątpliwości i obawy. Prędzej czy później pojawią się dzieci, które będą półkrwi Amerykanami. Czy będzie je kochał tak samo, jak potomków czystej krwi? Co będzie, jeśli się dowie, że Carly wychowała się w osiedlu górniczym w Pensylwanii? Jakie wtedy będzie miał odczucia do ich dzieci?

A może wyniknie jakaś inna kwestia, a on nie przyjmie za prawdę jej słów. Jeśli jej nie uwierzy, może odesłać ją wraz z dziećmi, albo jeszcze gorzej, zatrzyma dzieci, a ją wygna, jak to już raz uczynił. Tego by nie przeżyła.

Zaczęła łkać. Wczepiła się palcami w jego włosy, otwierając się dla niego, wciągając go jeszcze głębiej. Przytrzymała go za ramiona, całując namiętnie, żarliwie, z miłością, którą czuła w sobie, lecz której musiała się wyrzec. Łzy szczypały ją w oczy, zaczęły spływać po policzkach. Gdy ta noc dobiegnie końca, skończy się także jej wspólne życie z Ramonem.

Tym, razem posłucha wuja, może nawet poślubi Vincenta. Będzie pilnować swego serca, bronić się przed bólem, jakiego nie mogłaby znieść.

Ramon wchodził w Carly głęboko i tak mocno, że unosił ją nad łóżko. Miłość i namiętność splatały się w wirującym tańcu, wynosząc ją na szczyty podniecenia. Wiła się pod nim, przeżyła ciało, idąc na spotkanie kolejnym pchnięciem, we wspólnym rytmie.

Tej nocy należał do niej. Lecz jutro już go nie będzie.

- Ramon - szepnęła znowu, tuląc się, chowając twarz w jego ramieniu.

- *Te adoro, mi amor.* - Uwielbiam cię, ukochana.

Zatkała, trzymając go tak mocno, jakby pragnęła zatrzymać na zawsze przy sobie. Razem doszli do szczytu rozkoszy, splatając lśniące od potu ciała, dając się ponieść fali zaspokojenia. Potem zamarli w bezruchu. Pomyślała, że powinna kazać mu odejść, czując coraz większy, bolesny ucisk w gardle. Bała się pomyśleć, co by się stało, gdyby wuj go tu znalazł. Lecz gdy zaczął ją całować i znowu urósł w jej wnętrzu, jęknęła cicho, poddając się pieścizotom.

Był niemal świt, gdy się obudziła i ujrzała Ramona stojącego przy łóżku, ubranego, gotowego do odejścia. Na moment uderzyła ją straszna myśl, że znów ją wykorzystał, powiedział, że ją kocha, aby spędzić noc w jej łóżku. Gdy podniosła wzrok, ujrzała jego zapadnięte policzki.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział. - Każde słowo mówiłem szczerze, a prócz tego jeszcze sto innych słów, których nie wypowiedziałem na głos.

Doznała ogromnej ulgi, opadła bezwładnie na poduszkę

- Płakałaś przez sen. Pamiętasz?

- Nie. - Coś ścisnęło ją za serce.

- Błagałaś, żebym odszedł, że nie możesz mi ufać. Naprawdę tak czujesz?

Zacisnęła palce na pościeli.

- W pewnych sprawach powierzyłabym ci moje życie. W innych...

Zacisnął usta. Znowu pociemniało mu w oczach.

- Przez wiele tygodni moje życie było w twoich rękach, a jednak ja nie ufałem tobie. Powiem ci tak: od dziś będę dla ciebie takim mężem, jakim powinienem być od początku. Przynajmniej ci to. Cokolwiek się stanie, cokolwiek ludzie powiedzą przeciwko tobie, już nigdy w ciebie nie zwątpię. – Odwrócił się i ruszył przez pokój.

- Dokąd idziesz?

Zatrzymał się.

- Kiedy tu przyszedłem, chciałem zabrać cię ze sobą, ale nie jesteś na to gotowa. Teraz

boisz się mnie bardziej, niż tamtej pierwszej nocy w górach. Ale ja już nie boję się ciebie ani tego, co do ciebie czuję. Zdobędę cię, Cara. I następnym razem upomnę się o ciebie jako o moją żonę i nigdy nie pozwolę ci odejść.

Patrzyła na niego przez zamglone od łez oczy. Spoglądając na nią łagodnie, przerzucił nogę przez parapet, pochylił głowę i wyskoczył na zewnątrz.

Patrzyła, jak znikł w ciemności, lecz jego słowa pozostały przy niej. Czy mogła mu uwierzyć jeszcze raz? Czy mogła mieć nadzieję, że tym razem im się uda? Chciał, aby wróciła do domu, do Las Almas, jedyne prawdziwego domu, jaki miała od lat.

Zrozumiała, że tego właśnie chce. Bardziej niż czegokolwiek. A mimo to się bała.

Zmęczona, położyła się na poduszce, słuchając ciszy, potem dźwięków budzącego się do życia rancza. Minęła godzina. Wuj wyjechał z grupą uzbrojonych mężczyzn. Zaczęła obawiać się o Ramona bardziej, niż o siebie samą.

Czy pojechał do Llano Mirada? Modliła się żarliwie, żeby wuj go nie odnalazł, żeby Ramon i inni mieszkańcy osady pozostali bezpieczni.

* * *

Dwa dni później kapitan Harry Love, Fletcher Austin, Jeremy Layton i jeszcze co najmniej trzydziestu mężczyzn zaatakowali przełęcz koło Llano Mirada.

Angel de la Guerra patrzył, jak nadchodzą niczym nie dająca się powstrzymać ognista burza, tylnym szlakiem, który miał służyć jako droga ucieczki. Zdjęli strażników, niektórych po cichu przed samym atakiem, innych po prostu zabili celnym strzałem, przejeżdżając obok nich na spienionych koniach. Kobiety z krzykiem uciekały do chat, by bronić swe dzieci.

Tomasina Gutierrez stała u boku męża, strzelając z długiej strzelby, zaś Santiago co chwila pluł ogniem z trzymanyh w obu dłoniach wojskowych pistoletów Remingtona. Pedro Sanchez, Ruiz Domingo, Ignacio Juarez i wielu innych mężczyzn walczyli na koniach. Oddawszy strzał, zmieniali pozycję, by kolejną salwę oddać z innego miejsca. Miranda Aguilar przycupnęła za korytem z wodą, pociągając za spust ciężkiego colta kalibru 36. Otrzymała go kiedyś od Ramona, który także nauczył ją posługiwać się tą bronią. Czwartym strzałem zrzuciła z konia muskularnego napastnika, który uderzył o ziemię i potoczył się kilka metrów. Jego krwawiące ciało zatrzymało się tuż koło rąbka czerwonej spódnicy Mirandy.

O dziwo, odparli pierwszą falę ataku, tracąc jedynie strażników i czterech innych ludzi. Zmusili ochotników do wycofania się na skraj wioski.

- Niedługo znowu ruszą - powiedział Angel, kucając przy Pedro Sanchezie.

- Tak. I nie wytrzymamy kolejnego natarcia. - Odwrócił się do Ruiza Domingo. - Zaprowadź kobiety i dzieci do lasu. Niech się rozpierzchną i ukryją, jak najlepiej potrafią. Oni chcą dopaść mężczyzn. Zatrzymamy ich, jak długo się da, potem uciekniemy. Spotkamy się w jaskini przy Arroyo Aguajes. - Był to plan, jaki wymyślili już wcześniej, na wypadek najazdu na osadę.

Pożegnali się szybko, wymieniając smutne spojrzenia. Wiedzieli, że mają nikłe szanse. Byli gotowi, gdy ochotnicy ruszyli znowu. Powstrzymali ich dłużej, niż pierwotnie zakładali, bite dwie godziny pod gradem ołowiu odpierali kolejne fale ataku. Ich siły powoli topniały, gdyż mężczyźni ukradkiem cofali się między zarośla i wielkie głazy leżące w kanionie.

Nastała chwila ciszy, gdy Pedro Sanchez, Ignacio Juarez, Carlos Martinez i jeszcze trzech ludzi, stanowiący ostatnią garstkę obrońców, schowali się między skałami nad tylnym podjazdem do osady.

Ich sytuacja była tragiczna, jednak ku zdumieniu reszty Pedro uśmiechnął się.

- Ale się zdziwią, co? Kiedy w końcu wtargną do środka, zobaczą, że prawie wszyscy uciekli.

Ignacio też się uśmiechnął.

- Szukają przede wszystkim El Dragona, a jego również tu nie ma.

Pedro zastanowił się. Reszta ludzi była już bezpieczna, lecz jeśli wraz z towarzyszami nadal będzie stawiał opór, kolejna fala ataku przyniesie im śmierć. Jeśli się poddadzą, może zostaną aresztowani, zabrani do San Juan Bautista, i dopiero tam powieszeni. A jeśli tak...

- Zdejmij koszulę, *amigo* - powiedział do Ignacia.

- Co?

- Chcę być przygotowany. Jak znowu na nas ruszą, poddamy się.

- Oszalałeś? - Ignacio chciał się kłócić, lecz Pedro szybko wyjaśnił mu swój plan i przekonał do swojej koncepcji.

- Przynajmniej to jakaś szansa - powiedział Ignacio. - To lepsze niż śmierć w walce. Powiem pozostałym. - Zdjął przybrudzoną białą koszulę, podał ją Pedrowi, następnie przykucnął w wysokiej trawie i ostrożnie podkraść się do każdego z obrońców.

Gdy znowu rozległa się strzelanina, tylko przez chwilę odpowiadali ogniem. Pedro zaczął wymachiwać podartą koszulą Ignacia, którą przywiązał na końcu lufy swojej strzelby. Zanim kanonada zamilkła, Carlos Martinez dostał kulę w pierś, podobnie jak jeszcze jeden z ludzi. Pedro, Ignacio i dwóch pozostałych *vaqueros* zostali pojmani przez wściekłych napastników. Pedro rozpoznał wśród nich Fletchera Austina i szeryfa San Juan Bautista, Jeremy'ego Laytona.

I właśnie szeryf podszedł do Pedra, celując niedbale w jego pierś.

- Gdzie on jest?

- Kto, panie szeryfie?

- Wiesz, kto. Ten bandyta, który zwie się El Dragon.

Fletcher Austin wyszedł do przodu.

- Pozwól, szeryfie, że moi ludzie się nim zajmą. Brudas zaraz wszystko wyśpiewa. - Chwytał Pedra za koszulę na piersi i mocno uderzył pięścią w brzuch. Pedro przewrócił się, sycząc z bólu.

- Panowie, czekajcie - zawołał Harry Love, dowodzący ochotnikami. - Ta brutalność nie jest konieczna - dodał z ciężkim teksańskim akcentem. Uśmiechnął się chytrze. - Inni być może uciekli, ale nie ten, po którego tu przyjechaliśmy. Panowie, oto słynny El Dragon.

Pedro poczuł skurcz w żołądku. Patrzył na tłum rozgniewanych mężczyzn, po chwili usłyszał podniesione głosy i szuranie butów po ziemi. W powietrze wzbił się obłok pyłu, gdy wyciągnęli do przodu ubranego na czarno mężczyznę. Miał związane ręce i nogi. Popchnięty mocno, upadł tuż koło stóp Pedra.

Mężczyzną tym był Angel de la Guerra.

Rozdział 20

Jego piękna żona leżała pogrążona we śnie, śliczną twarz otulały pukle kasztanowych włosów. Miała blade policzki, lekko opuchnięte oczy, jakby wcześniej płakała. Pod brodą trzymała zaciśniętą w piąstkę dłoń, cała zaś zwinęła się w kłębek, niczym bezbronne dziecko.

Zbliżył się do łóżka, patrząc, jak z każdym płytkim oddechem unosi pierś. Pochylił się, ujął w dłonie jej twarz, przelewając w nią swoje ciepło. Czując bolesny ucisk w sercu, pocałował ją delikatnie, a ona uśmiechnęła się przez sen. Dotknął językiem kącika jej ust, powiódł nim po dolnej wardze i wreszcie Carly zaczęła się budzić. Otworzyła oczy.

- Ramon... - szepnęła ospale. - Co ty tutaj...? - Gwałtownie usiadła na łóżku. - O Boże, jak uciekłeś? Wuj Fletcher powiedział, że mają cię powiesić! - Spojrzała wystraszona w stronę drzwi. - Na Boga, nie powinieneś tu być. Jeśli on cię tu znajdzie, zabije cię. Musisz uciekać! - Spuściła nogi na podłogę i wstała, lecz Ramon po prostu objął ją i przycisnął do siebie.

- Spokojnie, Cara, pozwól mi wyjaśnić. - Patrzyły na niego szeroko otwarte, zielone oczy. Policzki Carly były jeszcze bielsze niż w momencie, gdy wszedł do pokoju. Jęknęła

cicho, objęła go za szyję, a on jeszcze mocniej ją przytulił.

- Tak bardzo się bałam - powiedziała, drżąc na całym ciele. - Kiedy wuj wrócił po południu, powiedział, że w końcu znaleźli osadę, złapali El Dragona i czterech jego ludzi i że kapitan Harry Love i szeryf Layton mieli zabrać ich do więzienia w San Juan. Powiedział, że zostaną powieszani za trzy dni na placu przed kościołem.

- Czy wymieniłaś moje imię?

- Nie, oczywiście, że nie. Nie chciałam, aby wiedzieli, że wiem, kim jesteś.

Trochę się uspokoił. Nie brał pod uwagę, że Carly może niechcący się wymknąć, kim on jest. Zresztą Angel miał jeszcze sporo czasu, by wszystko powiedzieć.

- Powiedz mi, co się stało - poprosiła.

Westchnął ciężko.

- Indiańscy tropiciele, których najęli ochotnicy, znaleźli tylną drogę wiodącą do Llano Mirada.

- O Boże! A co się stało z innymi? Z Pedrem, Florentią, z kobietami i dziećmi?

Na jego policzku zadrgał napięty mięsień.

- Zginęło dziesięć osób. Wielu zostało rannych, ale nie wiem kto. Wszystkie kobiety i dzieci uciekły w bezpieczne miejsce. Aresztowali Pedra i trzech innych *vaqueros* z Llano Mirada.

- A ty? Jak uciekłeś?

- Nie było mnie tam. Gdy przyjechałem, było już po bitwie. Dowiedziałem się o wszystkim ze strzępków opowieści ludzi, których znalazłem ukrytych w lesie. A *gringos* są pewni, że El Dragon to mój kuzyn Angel.

- Twój kuzyn?

- *Si*. Na razie on utrzymuje ich w tym przekonaniu, tylko nie wiem dlaczego. Chyba mam szczęście, że wszystko tak właśnie się ułożyło. Gdy odszedłem tamtej nocy, jechałem do Llano Mirada. Miałem... niezakończoną sprawę do załatwienia... z moim kuzynem.

- Chciałeś dopaść Angela z mojego powodu?

- Myślałaś, że znając prawdę, pozwolę mu żyć?

- Ramon, na Boga, nie możesz tak po prostu go zabić.

- Mógłbym go zabić gołymi rękami za to, co próbował ci zrobić. I za to, co utracenie ciebie zrobiło ze mną.

Wpatrywała się w jego twarz, wstrzymując oddech przez długie sekundy, wreszcie stanęła na palcach i jeszcze mocniej objęła go za szyję. Zanurzył twarz w jej włosach, pachnących cynamonem i różami.

- Musiałem cię zobaczyć. Wieczorem odjadę, aby spotkać się z moimi ludźmi w miejscu zwanym Arroyo Aguajes. Za trzy dni, w noc poprzedzającą wykonanie wyroku, pojedziemy do San Juan i uwolnimy *vaqueros*.

Odsunęła się, patrząc nań z obawą.

- Nie możecie. Oni będą na to przygotowani.

- Nie sądzę. Myślą, że ludzie się rozpierzchli, a ich przywódca siedzi za kratkami. Zresztą nie ma to znaczenia. Pedro i cała reszta mają zostać powieszeni, a do tego nie mogę dopuścić. Z pomocą moich ludzi uwolnię ich.

Patrzyła na niego niepewnym wzrokiem, przygryzając wargę.

- Nie chcę, żebyś jechał. Boję się o ciebie, Ramon.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

- Czy to oznacza, że jesteś gotowa wrócić do domu?

Puściła go, cofnęła się o krok.

- Jak... jak się czują twoja matka i ciotka? - zmieniła temat. Na jej twarzy malowała się niepewność.

Westchnął z rezygnacją.

- Matka chorowała, ale teraz czuje się dobrze. *Tia* jest taka sama jak zawsze, niczym skała, na której każdy może się oprzeć. Obie suszyły mi głowę, żebym przestał zachowywać się jak głupiec i przywiózł żonę do domu. Jak zwykle, miały rację.

Spoglądała na niego badawczo.

- A jeśli wrócę z tobą, a one odkryją, co wydarzyło się tamtej nocy, gdy zginął Andreas, że to ja wywołałam alarm, uderzając w dzwonek? Czy wyobrazasz sobie, jak będą cierpieły? I jak sądzisz, co sobie wtedy o mnie pomyślą?

- Poczują to samo co ja. Że to, co zrobiłaś, nie różniło się niczym od tego, co uczynił Dwa Sokoły, gdy walczył z ludźmi, którzy zaatakowali wioskę. Zrobiłaś to, co zrobiłby każdy z nas, gdyby nasz dom był zagrożony. Poza tym one już wiedzą, *Cara*. *Tia* powiedziała mi, że znają prawdę od dnia, gdy odbyło się *fandango*.

- Więc one wiedziały?

- *Si*. Nawet ja nie miałem pojęcia, że usłyszały tę historię, chociaż powinienem był się domyślić. *Tia* obawiała się, że to między innymi dlatego nie wróciłaś ze mną z Monterey. Nie wyjaśniłem jej, że to się stało przez moje okrucieństwo i uprzedzenia.

Podniosła głowę. Żłociste światło lampy rozświetlało jej kasztanowe włosy. Poruszył się, widząc jej kobiece kształty pod białą nocną koszulą.

- Tak lekko mówisz o przeszłości - odezwała się. - Ale to coś o wiele ważniejszego.

Czy pomyślałeś, że jeśli wrócę, to prędzej czy później będziemy mieli dzieci? Dzieci mieszanej krwi, Ramon, amerykańsko-hiszpańskiej. Co ty na to? Czy kochałbyś je mniej, ponieważ ich matka to *gringa*?

Łagodnie ujął ją za ramiona.

- *Madre de Dios*, nie mogę uwierzyć, że ci to zrobiłem, sprawiłem, że zważyłaś we mnie. Naprawdę myślisz, że nie kochałbym naszych dzieci? *Santo de Christo*, nie mogę sobie wyobrazić słodsze i piękniejszego dziecka niż mała dziewczynka podobna do swojej matki. Lub syn z jej odwagą i siłą.

Oczy zaszyły jej łzami.

- Nie jestem odważna. Straszny ze mnie tchórz. Boję się, że jeśli wrócę, znowu mogę cię stracić, a wtedy już tego nie zniosę.

Przytulił ją znowu, całował po oczach, nosie, wreszcie przywarł do jej ust.

- Nie stracisz mnie. Popełniłem błędy, ale nie jestem głupi. Drugi raz ich nie zrobię. Kocham cię. Jeśli wrócisz do domu, każdego dnia do końca życia będę ci udowadniał, jak bardzo cię kocham.

Łza spłynęła po policzku Carly.

- Potrzebuję czasu, Ramon. Ciągłe słyszę te straszne rzeczy, które mówiłeś, jak mnie nazywałeś. Wciąż myślę...

- Nie mów tego. Wiem, jaki jestem. Wiem, że potrafię być bezwzględny, nawet okrutny. Nauczyłem się taki być, ale w głębi duszy jestem inny. - Przesunął dłonią przez jej włosy, ogarnięty coraz silniejszym podnieceniem, a zarazem rezygnacją. - Nie twierdzą, że łatwo ze mną wytrzymać. Wiem, że łatwo wpadam w złość i potrafię być arogancki.

Kącik ust Carly uniósł się lekko.

- Tak, czasami potrafisz być dosyć arogancki.

- Naprawdę jestem taki zły, Cara?

Zajrzała mu głęboko w oczy.

- Jesteś uparty i apodyktyczny, a także wymagający i niemalże nienasycony w łóżku. No i jesteś najwspanialszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałam.

- Cara... - Serce mu rosło z miłości do Carly. Chciał ją zanieść do łóżka, wziąć ją tak, jak ostatnim razem, kiedy tu był. Pragnął zanurzyć się w jej ciasnej, wilgotnej kobiecości, poczuć, jak drży. Pragnął ją posiąść, wziąć w niewolę, zmusić, aby przyznała, że należy do niego. Jednak teraz zignorował pulsowanie w swoim kroczu i postanowił skoncentrować się na głównym celu swojego przybycia.

- Wrócę po ciebie, kiedy tylko uwolnię moich ludzi. A potem już nie pozwolę, abys

mi odmówiła, nawet gdybym musiał cię stąd wynieść.

Położyła drgającą dłoń na jego policzku.

- Uważaj, Ramon. Nie chciałabym dłużej żyć, gdybyś zginął.

Znowu przyciągnął Carly ku sobie i pocałował z dziką żądzą, zaborczo, wciskając język między jej wargi. Należała do niego i chciał, aby miała tego świadomość.

- Wrócę po ciebie - powiedział chrapliwie. - Przysięgam.

Wolałby zostać, ale należało zająć się ludźmi. Nawet nie powinien był tu przychodzić, lecz musiał zobaczyć Carly jeszcze jeden ostatni raz. Plan, który zamierzał zrealizować, był brawurowy i niebezpieczny. Szanse sukcesu raczej małe. Ale jednak to od niego zależało życie przyjaciół, więc zamierzał ich ocalić, uczynić wszystko, co w jego mocy. Jeszcze raz pocałował Carly, tym razem szybko, potem podszedł do okna, przeskoczył parapet i znikł w ciemności.

Gdyby jechał bez wytchnienia, mógłby dotrzeć do Arroyo Aguajes nazajutrz przed południem. Wiedział, że tam przebywają jego ludzie, otrzymał tę wiadomość od jednego z *vaqueros*. W tym samym czasie nadeszła informacja od Alejandro de Estrada, że wszystkie wysiłki związane z poszukiwaniem dokumentów w kościelnych archiwach poszły na marne.

Po ich zbadaniu Komisja Gruntowa odmówiła zmiany decyzji i nie zamierzała ponownie rozpatrywać sprawy. A więc, jak napisał don Alejandro, nie ma legalnej drogi odzyskania Rancho del Robles przez rodzinę de la Guerra.

A nielegalne metody nie przyniosły rezultatu. Napady El Dragona nie osłabiły pozycji Fletchera Austina ani Amerykanów mieszkających w okolicy. Chociaż Andreas sądził, że mieli szansę, Ramon od samego początku wiedział, że w ten sposób nie pokonają wrogów.

Przeszłość przechodziła do historii. Tak czy inaczej epoka El Dragona była bliska kresu. Jeszcze tylko jedna wyprawa, jedna akcja, by uwolnić ludzi, a potem czas banity dobiegnie końca. Jeśli przeżyje jeszcze jedną noc, i jeśli Angel znowu go nie zdradził, miał szansę zostawić to wszystko poza sobą. Będzie wtedy mógł sprowadzić żonę do domu i zapewnić rodzinie spokojne życie w Las Almas. Nie takie jak w del Robles, ale Carly nie miała nic przeciwko temu, a skoro ona mogła być szczęśliwa, on również. Razem zbudują przyszłość, spłodzą dzieci, będą zadowoleni z życia.

Jeszcze tylko jedna akcja. Wskoczył na siodło dużego wierzchowca kasztanowej maści, który miał go dowieźć do Arroyo Aguajes, gdzie czekał nań czarny rumak.

Jeszcze tylko jedna akcja.

Żeby tylko udało mu się przeżyć.

* * *

Carly prawie nie spała tej nocy. Za bardzo bała się o Ramona. Zamierzał pojechać do San Juan Bautista stawić czoło szeryfowi, ryzykować życie, by ocalić towarzyszy. Nie próbowała go zatrzymać. Zbyt dobrze go znała. Kochał Pedro Sancheza jak rodzzonego ojca, uważał się także odpowiedzialny za pozostałych. Przynajmniej tak to widział.

Ubrała się w szafirową suknię do konnej jazdy, którą znalazła wśród ubrań przyniesionych przez Dwa Sokoły; większość jej ubrań i rzeczy osobistych pozostało w Las Almas. Nie wiedziała, dlaczego Ramon je zatrzymał. Ona sama zostawiła je tam celowo, bo jakoś nie mogła zerwać z nim wszystkich więzów. Niby drobnostka, a jednak dawała jej jakieś powiązanie z miejscem, o którym nadal myślała jako o swoim domu.

Rozmyślając o mieszkańcach Las Almas, za którymi bardzo tęskniła, Carly wyszła z domu i skierowała się do stajni. Potrzebowała trochę czasu dla siebie, a konna jazda stała się dla niej doskonałym sposobem na spędzenie kilku chwil w samotności.

- Jose, jesteś tu? - zawołała. Wysoki vaquero, który zajmował się końmi, wysunął głowę z jednego z boksów.

- *Si, señora*. Jestem.

- Chcę wybrać się na przejażdżkę. Osiodłasz mi konia?

Uśmiechnął się tak szeroko, że nawet w słabym świetle zobaczyła jego białe zęby.

- *Si, señora*. Mam coś specjalnie dla pani.

Popatrzyła na niego badawczo i podeszła do boksu. Jose otworzył drzwiczki i wyprowadził przepiękną klacz palomino. Carly zaniemówiła.

- To dla pani, *señora*, od pani męża, don Ramona. Mariano przyprowadził ją tutaj dziś rano.

Wzruszenie chwyciło ją za gardło. Ramon zrobił to dla niej.

- Jest piękna, Jose. To najpiękniejszy koń, jakiego kiedykolwiek widziałam.

- To andaluzyjka. Don Diego, ojciec don Ramona, hodował ich setki, gdy mieszkał w Rancho del Ro-bles. Wszystkie zostały sprzedane, gdy ranczo zmieniło właściciela. Don Ramon odkupił kilka sztuk. Był wśród nich jego rumak, Rey del Sol.

- Wiedziałam o Rey, ale nie o tej klaczy. Nigdy wcześniej jej nie widziałam.

- To miała być niespodzianka. Prezent ślubny, jak mówił Mariano. Don hodował ją gdzieś w górach. A jeden z *vaqueros* ujeżdżał ją specjalnie dla pani.

Najpewniej Pedro Sanchez. Być może w Liano Mi-rada.

- Jest wspaniała. - Pogładziła klacz po aksamitnym nosie. - Jak się nazywa?

- Słoneczna.

Zamrugała mocno powiekami. Lecz mimo to kilka łez spłynęło po jej policzkach.

- Mariano mówił, że don zamierzał osobiście ją pani podarować, lecz wczoraj zmienił zdanie. Powiedział, że w ten sposób bez względu na to, co się stanie, pani na zawsze go zapamięta.

Przygryzła usta. Ramon chciał, aby dostała tę klacz na wypadek, gdyby zginął w San Juan. Musiała uciec ze stajni, zanim się rozplacze na dobre.

- Osiodłaj mi ją, proszę.

Uśmiechnął się.

-*Si, señora.*

Otarła policzki z wilgoci, czekając przed stajnią, gdy tymczasem jej damskie siodło znalazło się na grzbiecie przestępującej z nogi na nogę, złocistej klaczy o śnieżnobiałej grzywie i ogonie. Wyglądała dokładnie tak jak Rey del Sol, była tylko mniejsza. Nagle pomyślała, że jednak już kiedyś ją widziała. Była to klacz, która wtedy na łące parzyła się z Rey del Sol. Teraz na pewno nosi w sobie źrebię rumaka.

Był to dar bezcenny, z czystego serca, z czystej miłości.

Jej myśli krążyły wokół Ramona, miłości do niego, obaw o jego bezpieczeństwo. Weszła na mały podest i zajęła miejsce w siodle na grzbiecie klaczy. Jeździła cały ranek, podziwiając znakomity krok, ułożenie klaczy, która bezzwłocznie wykonywała wszystkie polecenia. Nieświadomie skierowała się głębiej między wzgórzami i w końcu dojechała do jeziora, gdzie kochała się z Ramonem.

Mimo obaw o jego życie uśmiechnęła się. Gdy zjawi się po nią ponownie, tym razem chętnie z nim pojedzie. Kochali się. Gotowa była podjąć każde ryzyko w imię miłości takiego mężczyzny jak Ramon.

Zeskoczyła na ziemię, aby klacz napiła się wody z gładkiego jak lustro stawu. Zwierzę poruszało chrapami, głęboko zanurzając pysk. Głaszcząc je po szyi, starała się odegnać straszliwą myśl, że Ramon zostanie zabity w San Juan i już nigdy nie przyjedzie, aby ją zabrać do domu.

* * *

Miranda Aguilar zapukała w drzwi kuchni na Rancho del Robles. Otworzyła je piersiasta Rita Salazar.

- *Dios mio!* - Czarne oczy Rity zasnuły się łzami. - *Mi hija*, gdzie ty się podziewałaś?

Miranda uściskała matkę, której nie widziała od trzech lat.

- Tu i tam, mamó. Nie wiedziałam, że tu jesteś.

Rita objęła córkę grubym ramieniem, prowadząc ją do kuchni. Usiadły na ławie przy stole z nieheblowanych desek.

- Przybyłam do Rancho del Robles ledwie parę miesięcy temu - powiedziała Rita. - Przedtem byłam w San Miguel. Twój ojciec nie żyje. Dlatego opuściłam Monterey, gdzie pracowaliśmy.

- Tak mi przykro, mamó. Nic nie wiedziałam. -Miranda spojrzała gdzieś w bok. - Próbowałam cię odszukać, ale Inocente nigdy nie zagrzał miejsca na dłużej. Miałaś rację co do niego, mamó. Nie powinnam była za niego wychodzić. To był twardy człowiek, często okrutny. Czasami mnie nawet bił. Nie czułam żalu, gdy został zabity.

- *Pobrecita* - zanuciła matka, odsuwając gęste, czarne włosy z pięknej twarzy córki.

- Ale jego rodzina była miła. Odwiedziłam ich na ranczu zwanym El Tej on na skraju wielkiej doliny. Chcieli, abym została, ale zdecydowałam inaczej. Dowiedziałam się od jednego z *vaqueros*, że tu jesteś. Dlatego wróciłam do Liano Mirada, dokąd zabrał mnie Inocente, zanim został zabity. Tam poznałam El Dragona. - Nie wspomniała, że sypiała z Ramonem de la Guerra, ani z Ruizem Dominguezem, gdy Ramon odszedł.

Rita przeżegnała się.

- Señor Austin z innymi w końcu pojмали banitów.

- *Si*, byłam tam. Cudem udało mi się uciec.

- *Por Dios*, jak uciekłaś?

Miranda westchnęła ciężko. Podróż z Arroyo Aguajes była długa, lecz czuła, że musiała przyjechać. Nie była pewna, kiedy znowu zobaczy matkę.

- Kiedy zaczęli strzelać, jeden z *vaqueros*, Ruiz Dominguez, wyprowadził kobiety i dzieci głębiej w góry. Zawsze planowaliśmy, że gdyby coś się stało, spotkamy się przy jaskini na wzgórzach. Tam teraz są wszyscy mężczyźni. Planują wyprawić się do San Juan w noc przed powieszeniem i uwolnić aresztowanych. Słyszałam, jak o tym rozmawiali.

- *Por Dios*, pozabijają ich wszystkich!

- Chyba nie. Podkradną się chyłkiem, włamią do więzienia, a potem uciekną na południe starą drogą, która biegnie wokół miasta. To dobry plan.

Rita uściskała córkę. Jej obwisłe piersi bardzo kontrastowały ze zgrabną figurą Mirandy.

- Nie mów o tym więcej. Señor Austin byłby zły.

- Powiedziałam ci tylko dlatego, że nie mogę zostać. Wracam w góry. - Zarumieniła

się nieznacznie. - Odjeżdżam z Ruizem. - To wspaniały vaquero, mamó. Zależy mi na nim.

Rita ujęła twarz córki w pulchne dłonie.

- Cieszę się, że przyjechałaś. Gdy już wszystko się uspokoi, odwiedź mnie znowu, prawda?

- *Si*, mamó. Taką mam nadzieję.

- Przed wyjazdem musisz coś zjeść. Jesteś za chuda. - Ścisnęła Mirandę za rękę. Właśnie zrobiłam świeże tortille. Chyba masz jeszcze trochę czasu?

Miranda uśmiechnęła się.

- Chętnie bym zjadła, mamó, ale śpieszę się. Podobno jest tu siostrzenica señor Austina. Jeśli dowie się, że przyjechałam, nie będę tu mile widziana.

Rita zmarszczyła czoło, lecz nie odezwała się. Bała się o córkę. Chciała, aby została dłużej, lecz teraz nie było to bezpieczne. Cieszyła się, że señor Fletcher nie dowie się o tych wszystkich sprawach, bo w przeciwnym razie zorganizowałyby zasadzkę w dniu napadu. A wtedy *novio* córki mógłby już nie wrócić na wzgórze.

* * *

Angel de la Guerra siedział samotnie w celi w małym, obskurnym więzieniu w San Juan Bautista. W innej celi na drugim końcu przebywali Pedro Sanchez i trzech *vaqueros* El Dragona. Leżeli skuleni na cienkim materacu z kukurydzianych łupin, rozpostartym na twardej, drewnianej podłodze. Szeryf Je-remy Layton siedział w swoim biurze w osobnym budynku, oddalonym o kilka metrów.

Na placu przed misją postawiono skleconą naprędce szubienicę, z której zwisały cztery sznury zakończone pętlami. Jedna z nich czekała na Angela de la Guerra.

Siedząc na podłodze, uśmiechnął się kącikiem ust. Zawsze wiedział, że kiedyś tak skończy. Miał szczęście, że udało mu się uciec przed stryczkiem po tym, jak zabił pierwszego człowieka. Nawet gdyby powiedział im, że nie jest El Dragonem, nie ocaliłby życia. Ukrywał się w Llano Mirada. Strzelał do ochotników, przynajmniej czterech z nich zranił.

Poza tym był poszukiwany za zabicie jednego ze strażników w czasie ucieczki.

Niemalże się uśmiechnął. To Andreas był El Dragonem, lecz teraz Andreas już nie żył. Także Ramon de la Guerra używał tego imienia. Angel nosił nazwisko de la Guerra. Dlaczego część chwały nie miałyby spłynąć właśnie na niego? W sumie, skoro ma umrzeć, powinien zostać bohaterem.

Rozbawiła go ta myśl. Ramon nigdy nie wyzna prawdy, podobnie żaden z jego ludzi.

Więc Angel umrze jako legenda. Banita niemal tak słynny jak Joaquin Marieta.

Tak, jeśli miał zawisnąć, tak właśnie chciał dokonać żywota. Oparł głowę o zimną ścianę celi. U jego stóp po podłodze przebiegł szybko karaluch. Nozdrza drażniła ostra woń wilgoci i moczu. Jeśli miał do wyboru śmierć lub kolejne lata w takiej celi, z pewnością wybierze śmierć.

Obcasem rozgniół karalucha; chrzęst miazdzonego pancerzyka odbił się echem po gołych ścianach. Może to jakaś poetycka forma dokonania się aktu sprawiedliwości. Ramon zawsze był od niego lepszy. A teraz Angel zdobędzie miejsce w historii. Będzie to sprawiedliwa zamiana za tę noc, która powinien był spędzić w łóżku z piękną żonką kuzyna.

* * *

- Mam nadzieję, że jesteś tego pewien. – Fletcher Austin rzucił ostre spojrzenie wysokiemu, smukłemu nadzorczy, Cleve Andersowi, który stał obok niego przed stajnią. Kończyli siodłać konie. Zapadł już zmrok, na horyzoncie jaśniała jeszcze czerwona poświata.

Sanders tylko uśmiechnął się.

- O tyle o ile, zważywszy na źródło moich informacji. Powtórzyłem to, co słyszałem, ale sam może pan spytać tę kobietę.

Fletcher zmarszczył brwi. Rita nie powiedziała by ani słowa przeciwko swoim hiszpańskim przyjaciółom. Musiałby siłą wydobyć z niej informacje, a nie miał zamiaru tego robić. Chyba że będzie musiał.

- Wiemy wystarczająco dużo. Pozwolimy im wejść, ale będziemy na nich czekać, gdy będą odjeżdżać. Tym sposobem nikt w mieście nie zostanie ranny, gdy rozpęta się strzelanina, a my wybijemy bandytów co do jednego.

- Dobry plan - odparł Sanders z uśmiechem satysfakcji. - Wiemy, którędy będą uciekać. Wystarczy się zacząć i czekać.

- Właśnie. - Fletcher zapiął popręg, nałożył koniowi uzdę, po czym wskoczył na siodło. Niecierpliwie czekał na innych. Spojrzał w kierunku domu. Cieszył się, że wyjeżdża. W jednym z okien zauważył ruch zasłony, a po chwili ukazała się głowa Caralee. Już po chwili wypadła przez drzwi i biegła ku niemu jak oszalała przez podwórzec. Do diabła, czy ta dziewczyna nigdy nie nauczy się zachowywać jak dama?

- Wujku, dokąd jedziesz? - Zatrzymała się koło niego, dysząc ciężko, wyraźnie podenerwowana. - Nie wiedziałam, że wybieracie się gdzieś dziś wieczorem.

- O nic się nie martw, moja droga. Mamy pewną sprawę do załatwienia w mieście.

- Jedziecie do ... San Juan?

- Tak. Nie czekaj na nas. Wrócimy dopiero jutro.

Oblizwała usta.

- Masz przy sobie broń, wujku. Czy spodziewasz się jakichś kłopotów?

- Jak mówiłem, nie masz się czym martwić. Wracaj do domu. Czas nam ruszać w drogę.

- Ale...

- Rób, co mówię, Caralee. Nie chcę się powtarzać.

Bez słowa wycofała się do cienia, potem zawróciła do domu. Przez ostatnie dwa dni wuj prawie się nie odzywał. Był na nią zły za przyjęcie klaczy w prezencie od Ramona. Zażądał, aby zwróciła konia do Las Almas, ale ona uparła się i odmówiła.

Teraz żałowała, że nie udało się jej jakoś go udobruchać. Może wtedy wyjawiłby swoje plany na tę noc. Zupełnie przypadkowo zobaczyła, jak szykują się do drogi, a teraz drażył ją głęboki niepokój. Oczekała w domu, aż jeźdźcy znikną z pola widzenia. Ledwie stała na miękkich nogach, po prostu trzęsa się ze strachu. Nie było czasu, aby się przebrać. Popędziła do stajni, otworzyła boks Słonecznej i wyprowadziła klacz na zewnątrz.

Już po chwili zwierzę było osiodłane, gotowe do jazdy. Weszła na podest i usiadła na damskim siodle, podwijając spódnicę. Chwyciwszy cugle, wyruszyła w ciemność.

Jakim sposobem wuj przejrzał plan uwolnienia Pedra i pozostałych ludzi? A może nie miał pewności, tylko podejrzewał, że to może nastąpić, skoro jutro aresztowani mieli zawisnąć na szubienicy?

Odrzuciła tę myśl. Gdyby tak było, pilnowaliby więzienia przez ostatnie dwie noce. Nie wiedzieliby, kiedy dokładnie nastąpi atak. Oni jednak wiedzieli, tego Carly była pewna. Ktoś ich zawiadomił.

Kto mógł o tym wiedzieć?

Kto by ich zdradził?

Kto oprócz jej samej?

Poczuła taki ból w środku, że niemal straciła równowagę i spadła z siodła. Na Boga, przecież Ramon uwierzy, że to ona powiedziała o wszystkim wujowi. Wyjawił jej swoje plany. Więc pomyśli, że się wygadała. Zginie, a umierając będzie wierzył, że znowu go zdradziła.

Nie mogła znieść tej myśli.

Popędziła galopem. Ledwie mogła oddychać. Musiała dogonić jeźdźców, lecz oni nie mogli jej zobaczyć. Musiała się dowiedzieć, jakie są zamiary wuja, a potem jakoś ostrzec

Ramona.

Klacz potknęła się o wystającą skałę i niemal upadła. Carly z trudem utrzymała się na siodle, ale zwierzę po chwili odzyskało równowagę i popędziło dalej. Noc była bezksiężycowa, jedynie białe kamienie pokazywały, którędy wiedzie szlak. Po niebie sunęły ciemne, kłębiące się chmury, zasłaniając na długie chwile gwieździste niebo, którego widok przynosił niejaką ulgę.

Wspięła się na szczyt wyniosłości ponad zboczami wzgórz i dojrzała w dole grupkę jeźdźców. Jechali szybko, większą część drogi pokonując galopem. Ruszyła za nimi, jednak trzymała się w przyzwoitej odległości, aby nikt jej nie spostrzegł.

Robiło się coraz chłodniej, odwiązała więc przytroczony do siodła koc i okryła nim gołe ramiona i duży dekolt kosztownej, jedwabnej sukni. Wy-krochmalona na sztywno bielizna ocierała się o jej uda, a fiszbinowy gorset wpijał się od spodu w piersi. Szpilki we włosach wysunęły się w trakcie szybkiej jazdy, rozpuszczone, długie, miedzianej barwy loki powiewały dziko wokół ramion Carly. dzielnie jechała dalej.

Była już bliska wyczerpania, gdy dotarła do przedmieść San Juan Bautista. Zwolniła, gdy ujrzała światła miasteczka, i powolutku, bezgłośnie jechała suchą drogą, w ślad za wujem i jego ludźmi. Ściągnęła cugle, gdy usłyszała, jak rozmawiają. Widocznie zsiadli z koni.

Uwiązała klacz w pewnej odległości i podkraśla się po skalistym dnie wyschniętego strumienia, ignorując ból, gdy poczuła ostrą krawędź odłamka w pantoflu. Zbliżyła się na tyle, że mogła zobaczyć, co robią. Szykowali się do postoju, szukali miejsc, gdzie mogliby czekać, nie rzucając się w oczy. Chowali się za powalonymi pniami drzew, za głazami, tuż za zakrętem gościńca. Szykowali zasadzkę na Ramona i jego towarzyszy.

Śmiertelną pułapkę. Nikt nie mógł z niej uciec.

Przeraziła się okropnie i pośpiesznie wróciła do czekającej klaczy.

Rozdział 21

Ramon siedział okrakiem na grzbiecie wielkiego rumaka, Viento Prieto. Czarny Wiatr poniósł swego pana przez noc niczym prawdziwy zefir. Teraz Ramon w towarzystwie Ruiza Domingueza, Ignacio Juareza i kilkunastu innych *vaqueros*, którzy pozostali przy życiu po ataku na Liano Mira-da, obserwował miasteczko San Juan Bautista, leżące u stóp wzgórz, w żyznej dolinie.

- Czy każdy wie, co ma robić?

- *Si, don Ramon* - mruknęli zgodnie. Napięcie było tak namacalne, że wyczuwały je nawet konie. Prychały, parskaly, poruszając nerwowo nozdrzami, szurając kopytami. Patrzyły nieco dzikim wzrokiem, podobnie jak jeźdźcy.

- Ruiz i Ignacio wejdą ze mną do więzienia - przypomniał im. - Emilio i Esteban dopilnują bramy, reszta zajmie wyznaczone pozycje. Gotowi?

Rozległ się kolejny, zgodny pomruk.

- Rozsuńcie się i powoli ruszajcie. Nie oszczędzajcie koni, gdy uwolnimy naszych ludzi i będziemy gotowi do ucieczki z miasta. - Z ponurymi minami zaczęli zjeżdżać po zboczu. Każdy znał cenę, jaką przyjdzie im zapłacić w wypadku niepowodzenia. Ich przyjaciele zostaną powieszani. A oni sami zginą.

Tak jak zaplanowali, rozluźnili szyk i po cichu wjechali do San Juan, po czym wąskimi uliczkami dotarli przed biuro szeryfa, znajdujące się naprzeciwko misji. Ramon zacisnął zęby na widok szubienicy i czterech strycków, które przypomniały mu, jaki los może ich czekać. Skrycie podjechał do solidnego, drewnianego budynku więzienia o dwóch małych okienkach, po czym skinął głową jednemu ze swoich ludzi, który zdjął strażnika, pilnującego od tyłu.

Kolba pistoletu pozbawiła przytomności drugiego stróża, który stał oparty o ścianę biura szeryfa. Szyld nad drzwiami zakołysał się od pędu powietrza wywołanego ruchem. Ramon wstrzymał oddech, modląc się, aby nikt nie usłyszał głośniego skrzypienia zawiasów. Jednak w drzwiach nikt się nie pojawił. Kolejny strażnik bezgłośnie upadł na ziemię, gdy rośli *vaquero* przycisnął mu ramieniem szyję, odcinając dopływ powietrza.

Nikt nie został zabity. Ramon ostrzegł ich, że mają używać tylko tyle przemocy, ile będzie konieczne. Wtedy będą ścigani z mniejszą furją, zresztą nie był zwolennikiem mordowania ludzi w imię sprawiedliwości.

Zbliżył się do strażnika, który stał koło drzwi więzienia, trzymając niedbale strzelbę. Między jego zębami tkwiło cygaro.

- Przyjemna noc, by sobie zapalić, prawda?

Postawny mężczyzna odwrócił się gwałtownie na dźwięk głosu.

- Kim jesteś, do diabła? - spytał, nie wypuszczając cygara z ust.

W odpowiedzi Ramon wyjął colta o długiej lufie i niepostrzeżenie uderzył strażnika kolbą w podbródek. Tamten padł, tłumiąc okrzyk bólu, cygaro pękło na dwie części, ale jednak końcówka wciąż się żarzyła, tworząc smugę białego dymu.

Z cienia wyłonił się Ignacio.

- Szeryf jest u siebie, a z nim jeszcze dwóch ludzi. W więzieniu jest tylko jeden

strażnik.

Ramon kiwnął głową i zastukał dwa razy w ciężkie drzwi aresztu.

- To ty, Wilkins? - rozległo się pytanie, stłumione grubą warstwą dębowych desek.

- Wpuść mnie - powiedział Ramon, starając się ukryć swój akcent. Musiało mu się udać, bo po chwili drzwi otworzyły się, a wtedy lufa strzelby niezbyt delikatnie spadła na łysiejącą głowę strażnika. - Zabierz mu klucze - rozkazał Ignaciowi, który wyciągnął je z kieszeni leżącego. Z czoła mężczyzny sączyła się strużka krwi, spływając po nosie i policzku na ziemię.

- Don Ramon! - Pedro Sanchez chwycił pręty kraty w swojej celi, razem z Santiago Gutierrezem i dwoma innymi *vaqueros*.

Ramon uśmiechnął się. Najwyraźniej nic im się nie stało.

- Dobrze was widzieć, *compadres* - powiedział.

- Jeszcze lepiej widzieć ciebie, przyjacielu - odparł Pedro. Ignacio gorączkowo kręcił kluczem, a gdy drzwi celi stanęły otworem, mężczyźni wybiegli do małego, dusznego pomieszczenia.

- A co z Anzelem? - spytał Pedro, widząc niezdecydowanie na twarzy Ramona.

- Powinienem pozwolić, żeby go powiesili.

Pedro uśmiechnął się, ukazując zmarszczki wokół oczu.

- *Si*, ale chyba tego nie zrobisz.

Ramon pokręcił głową.

- Nie, nie zrobię. - Dużymi krokami podszedł do celi na drugim końcu i otworzył drzwi, potem bez słowa odwrócił się i wrócił do swoich.

- *Vamos, amigos*. Jesteśmy tu już zbyt długo. - Nie spojrzał, by sprawdzić, czy Angel idzie za nimi, po prostu wyszedł i wskoczył na konia. - Jedziemy starą drogą, która okrąży miasto. Gdy będziecie w bezpiecznej odległości, kierujcie się między wzgórzami.

- *Si... El Dragon* - odpowiedział z uśmiechem jeden z uwolnionych *vaqueros*. Czekali na nich cztery osiodłane konie. Szybko dosiedli wierzchowców. Ramon dał znak ręką i ruszył galopem ulicą w kierunku gościńca prowadzącego poza miasto.

* * *

Nie zdążę! Z tą straszną myślą Carly popędziła swoją klacz przez trawiasty plac przed misją. Zatrzymała się nieco na prawo od wielkich, rzeźbionych drzwi kościoła. Zrobiła to nieco zbyt gwałtownie, spadła ciężko na ziemię i skręciła sobie nogę w kostce.

Zakłęła pod nosem, podciągnęła nieco spódnicę i kuśtykając pognęła po schodkach prowadzących na chór, gdzie zwisały liny z *campanario*, wieżyczki mieszczącej dzwony. Zanim spostrzegła Ramona, wyjeżdżał już z miasta, było więc za późno, żeby go zatrzymać. Mogła go jedynie ostrzec.

Wiedziała, jakie podejmuje ryzyko. Jej śmiały plan stwarzał jeszcze większe niebezpieczeństwo dla Ramona, ale to była jedyna szansa.

Modliła się, by zrozumiał, co oznacza to rozpaczliwe ostrzeżenie.

Sycząc z bólu przy każdym kroku, wspięła się po schodach na wieżę i spojrzała w górę na dzwony, przymocowane grubymi rzemieniami w każdym z trzech łukowatych okien. Chwyliła konopny sznur, przywiązany do najwyższego dzwonu, i pociągnęła ze wszystkich sił.

Głośny metaliczny dźwięk sprawił wibrację sznur i ramię Carly, rozległ się po całym placu. Niósł się wzdłuż ulicy Segundo i dalej, budząc całe miasto. W oknach odsuwano zasłony, pojawiały się w nich głowy mieszkańców, a wielu z nich wychodziło przed domy, aby zobaczyć, co się dzieje. O tej porze w kościele nie była przewidziana żadna uroczystość, żaden ślub, pogrzeb, czy choćby zebranie. Coś musiało się stać.

Na skraju miasta Ramon zaklął, słysząc brzmienie dzwonu. Za chwilę całe miasto dwie się o ucieczce więźniów, a szeryf i jego ludzie ruszą w pościg. Ciekawe co za kretyn uruchomił dzwon. Po chwili zdał sobie sprawę z ironii losu. Najpierw Andreas zginął z tego powodu, a teraz chyba przyszła jego, Ramona kolej.

Nagle poczuł, jak spływa nań zupełnie inna myśl, której nie umiał się pozbyć. Być może cały ten raban stanowi ostrzeżenie. Dojechali już niemal do wyschniętego strumienia i za chwilę mieli zniknąć z widoku w jego starym korycie, które pozwoli im bezpiecznie uciec.

Ale czy na pewno?

- Stójcie! - zawołał, unosząc rękę. - Pojedziemy inną drogą. Placem, a potem po zboczu w dół do samej rzeki. Ruszajcie! Szybko!

Nie czekali na wyjaśnienie. Zbyt wiele razy w przeszłości instynkt El Dragona okazywał się trafny i nieraz ocalił im życie. A teraz instynkt podpowiadał mu, że bezpieczna droga ucieczki nie prowadzi tam, gdzie sobie zaplanowali, lecz w przeciwnym kierunku.

Mężczyźni zawrócili konie, dźgnęli je ostrogami i pognęli galopem przed siebie. Rozległ się strzał, po tym następny i jeszcze jeden, ale te odgłosy nie dochodziły z miasta, lecz jakby gdzieś zza ich pleców. Ramon zobaczył przez ramię grupę pochylonych jeźdźców, którzy wyłonili się z koryta po wyschniętym strumieniu i pędzili w kierunku miasta. Ludzie Ramona odpowiedzieli ogniem, ale nie zwolnili biegu. Jeden otrzymał postrzał i spadł z

konia, inny został ranny w ramię, lecz jechał dalej.

Ramon strzelił przez ramię, strącając z wierzchowca jednego z goniących, Ignacio zaś postrzelił innego. Przejechali przed kościołem, a po chwili jadący w przodzie towarzysze Ramona pokonali grzbiet wzniesienia i puścili się na dół w kierunku rzeki. On sam został. Gdy znikli mu z oczu, zawrócił konia i pochyliwszy się nad jego karkiem zatoczył duże koło, zatrzymując się dopiero na tyłach misji.

Zbliżając się do ściany dzwonnicy ujrzał to, czego się spodziewał. Stał tam palomino Carly, a ona sama kuśtykała rozpaczliwie.

- Ramon! - zawołała na jego widok.

Zeskoczył z konia i znalazłszy się przy niej jednym ruchem uniósł ją i posadził w siodle.

- Jedź, Cara, wracaj przez wyschnięte koryto. Ich już tam nie ma. Zaraz do ciebie dołączę.

Klacz ruszyła z kopyta. Znowu rozległy się pojedyncze strzały, lecz tym razem dobiegały od strony rzeki, odbijały się echem z różnych kierunków. A więc ludzie Ramona rozdzielili się. Ich prześladowcy będą musieli zrobić to samo.

Ramon uśmiechnął się lekko. Jego *vaqueros* to najlepsi jeźdźcy na świecie. Nie miał wątpliwości, że zwyciężą w takim wyścigu na śmierć i życie.

Spojrzał na Carly, która mocno pochylona jechała przed nim w korycie strumienia. Podwinęła jedwabną spódnicę wysoko ponad kolana, w świetle księżyce widział jej bieliznę. Siedziała pewnie w siodle. Gdyby nie niepokoił się tak bardzo o jej bezpieczeństwo, uśmiechnąłby się, podziwiając, ile się nauczyła. Szybko ją dogonił, osłaniając przed ewentualnym pościgiem. Po chwili jechali ramię w ramię po nierównym terenie.

Właśnie pokonali zakręt, za którym szlak prowadził ku bezpiecznym terenom poza miastem, gdy ze ich plecami rozległ się tętent końskich kopyt. Po chwili huknął strzał i kula ze świstem przeleciała tuż obok głowy Ramona. Zaraz też rozległ się kolejny strzał. I jeszcze jeden.

- Jedź dalej! - zawołał do Carly, sięgając po pistolet. Strzelił do goniącego dwa razy, zobaczył, jak tamten, trafiony w ramię, sztywnieje, oddaje jeszcze ostatni strzał i wreszcie spada z konia na ziemię.

Ramon jęknął z bólu, gdy ołowiany pocisk uderzył z mocą w jego plecy, przebił pierś i wyleciał przodem. Przeszywający ból niemal zrzucił go z siodła. Instynktownie chwycił mocniej cugle, tym samym Vento zwolnił bieg.

- Ramon! - krzyknęła Carly na jego widok. Szybko zawróciła i znalazła się przy nim.

- Musimy uciekać - syknął przez zaciśnięte zęby. - Nie będziemy bezpieczni, dopóki stąd nie odjedziemy

- Ale ty jesteś ranny!

- Zatrzymamy się, gdy tylko będzie bezpiecznie.

- Trzeba lekarza. Musimy...

- Musimy uciekać, *querida*... Nie ma innej możliwości.

- Jesteś pewien, że dasz radę?

Uśmiechnął się ponuro, walcząc z zawrotem głowy, z bliską, kuszącą utratą przytomności.

- Nie bój się, Cara. Mam po co żyć. Dam radę.

Jechali bez wytchnienia, aż znaleźli się głęboko pośród gór na południe od miasta, a potem zawrócili w kierunku Las Almas. Do tej pory pozostali towarzysze Ramona na pewno rozjechali się na wszystkie strony. W tej chwili najbezpieczniejszym miejscem dla Ramona był jego własny dom.

Z trudem panując nad przeszywającym bólem w piersi i uczuciem senności, spojrzął na jadącą obok kobietę, przerażoną kobietę. Austin i jego ludzie urządzili zasadzkę. Jeszcze kilka sekund, a Ramon ze swoimi towarzyszami wpadliby w potrzask. Zapewne już by nie żyli, gdyby Carly nie wszczęła alarmu, uderzając w dzwon.

Pomyślał, że dobrze się stało... i spadł z konia.

- Ramon! - Carly szarpnęła cugle, serce zakołatało mocno w jej piersi. Zeskoczywszy z siodła, pokuśtykała do leżącego na ziemi męża. Był ledwie przytomny, jęczał cicho, próbując usiąść.

- Dobry Boże... - Tłumiąc płacz, położyła go delikatnie na ziemi. - Nie ruszaj się. - Starła się mówić spokojnie, chociaż w środku trzęsła się ze strachu. - Leż spokojnie, aż znajdę jakiś sposób, aby zatrzymać krwawienie.

Spoczął ciężko na plecach i leżał przez chwilę, oddychając ciężko, z trudem łapiąc powietrze. Carly drżącymi rękami rozerwała mu koszulę. Na Boga, ileż tam krwi! Tuż nad sercem widniał poszarpany otwór, wokół którego strzępy skóry zaczęły już przybierać fioletową barwę. Po plecach płynęła struga krwi od dziury, którą wpadła kula. Okropna, bolesna rana, rana śmiertelna. Jednak Carly nie wolno było tak myśleć. Zbyt daleką drogę już przeszli, zbyt wiele wycierpieli. Bóg, którego kochała, nie mógł być tak okrutny.

- Leż spokojnie, kochany - powiedziała cicho. - Wszystko będzie dobrze. - Przygryzła mocno wargę, by opanować drżenie rąk. Nie ulegając przerażeniu, energicznie odsunęła na bok przeszkadzające fałdy spódnicy i zaczęła rwać paski ze swojej bielizny. Złożyła materiał

w poduszczykę i przytknęła ją do rany wylotowej w piersi Ramona. Zasyczał z bólu.

- Kula przeleciała... na wylot - powiedziała. Była bliska płaczu, widząc jego cierpienie. - Ale... to chyba dobrze, jeśli tylko uda się nam zatamować upływ krwi. - *Jeśli*. To straszliwe słowo, gdy umiera ktoś, kogo kochamy.

Panie Boże, modliła się, *uczynię wszystko, co każesz... jeśli tylko pozwolisz mi żyć*.

- Muszę cię trochę przesunąć. Postaram się nie sprawić ci bólu. - Ostrożnie obróciła go na boki przyłożyła drugi kawałek złożonego płótna do rany w plecach. Zanim obwiązała go wokół torsu prowizorycznym bandażem z paska materiału, ręce trzęsły się jej tak bardzo, że z trudem zawiązała węzeł.

Ramon zacisnął długie palce na nadgarstku Carly.

- Nie bój się, *querida*. Dotarliśmy już tak daleko, że pokonamy i resztę naszej drogi. Uda się nam wszystko... jak długo będziemy razem.

Poczuła ucisk w krtani.

- Ja im nic nie powiedziałam, Ramon. Nie wiem, kto to zrobił, ale to nie ja. Przysięgam.

Wzrok Ramona spoczął na jej twarzy.

- Nawet przez chwilę tak nie pomyślałem. Ty nigdy mnie nie zdradziłaś. Jeśli któreś z nas zawiodło partnera, to jedynie ja ciebie. Tylko ja cię zdradziłem.

Odróciła spojrzenie. W tej chwili nie chciała patrzeć mu w oczy.

- Muszę ci coś wyznać. Coś, co powinnam była powiedzieć ci już dawno temu. - Niepewność sprawiała, że mówiła cicho, trochę spiętym głosem. - Nie jestem osobą, za jaką mnie uważasz. Moja rodzina nie była zamożna... tak jak wmawiał wszystkim mój wuj. Urodziłam się w górniczym osiedlu w Pensylwanii. Jestem tylko biedną córką górnika. W porównaniu z twoim rodowodem... nie jestem godna nosić nazwiska de la Guerra.

- Ciekaw byłem, ile jeszcze minie czasu, zanim mi to powiesz.

Poczuła wilgoć w oczach.

- Wiedziałeś? Skąd mogłeś wiedzieć?

- Mówiłaś o tym, gdy byłaś chora w Liano Mirada. Wtedy nie miało to znaczenia. I podobnie nie ma to znaczenia teraz.

- Ale z pewnością...

Uciszył ją, kładąc palec na jej ustach. Poglądził Carly po włosach, położył dłoń na jej karku i lekko przyciągnął ku sobie na delikatny, lekki pocałunek.

- *Te amo, mi corazon* - wyszeptał. - *Te amo como jamas he amado*. - Kocham cię, moje serce. Kocham cię tak, jak nigdy przedtem nie kochałem.

Nie mogła dłużej powstrzymać płaczu. Wielkie słone łzy płynęły po jej policzkach, rozpryskując się na zabandażowanej piersi Ramona. Tak strasznie go kochała. Nie mogłaby znieść jego śmierci.

Uśmiechnął się czule i uniósł dłonią jej podbródek.

- Teraz nie czas płakać. Popłaczesz sobie razem z moją matką, gdy znajdziemy się bezpiecznie w domu.

Pociągnęła nosem.

- Chcesz jechać?

- *Si*, to jedyny sposób, aby się tam dostać.

- Ale straciłeś dużo krwi i... - Carly wyprostowała się. Grube bawełniane opatrunki okazały się pomocne. Z ran wypływało coraz mniej krwi. Jeśli uda się im dotrzeć do Las Almas, matka i ciotka Ramona pomogą jej zająć się rannym. Wyleczą go, już ona sama tego dopilnuje. - Dasz radę wejść na konia?

- *Si*. Dla ciebie, *querida*, dam radę zrobić wszystko.

Oparłszy się na niej, wstał i niepewnym krokiem razem podeszli do koni. Pomogła mu włożyć but w strzemień, a następnie, gdy pochylił się do przodu, wepchnęła go na grzbiet konia. Przywiązała cugle klaczy do siodła, aby nie ciągnęły się po ziemi, i puściła zwierzę wolno, wiedząc, że pobiegnie za nimi. Podprowadziła Viento do niedużej skały i wspięła się na jego grzbiet za plecami Ramona. Objąwszy go wpół, zawróciła wierzchowca w kierunku Las Almas i ruszyli do domu. Klacz trzymała się o kilka metrów za nimi. Carly modliła się w duchu, by udało się jej zapanować nad wielkim, czarnym rumakiem.

Sto razy myślała, że nie dojadą. Albo jeśli nawet dojadą, będzie już za późno. Wyboista droga sprawiła, że rana znowu zaczęła mocno krwawić, zaś osłabiony Ramon niemalże stracił przytomność, jęcząc z bólu z każdym uderzeniem końskich kopyt o ziemię. Kilka razy pociemniało mu w oczach i jedynie mocny uchwyt Carly utrzymał go w siodle.

Cały czas modliła się, błagając Boga i Marię dziewicę, by pomogli im wrócić do domu.

Noc zdawała się nie mieć końca. Noc rozpościerała się przed nimi jak czarna kurtyna, drogę oświetlał jedynie srebrzysty blask księżyca. Gdzieś w cieniu zaskrzeczała sowa, po chwili zawtórowało jej wycie wilka, a jeszcze później niski, gardłowy ryk niedźwiedzia, który krył się gdzieś w ciemnej czeluści.

Przeszedł ją dreszcz na myśl, co by się stało, gdyby zaatakował ich któryś z drapieżników, albo choćby tylko wystraszył konia i wytrącił ich z równowagi w siodle. Sam szlak także stanowił problem. Pojechali rzadziej używaną ścieżką, mocno zarośniętą, która co

chwila zupełnie znikąła im z oczu.

Właśnie gdy pomyślała, że zgubiła drogę i nigdy nie trafi do domu, znalazła się na szczycie wzgórza tuż ponad ranczem i spostrzegła w dolinie niewielką hacjendę.

- Bogu dzięki - szepnęła, wdzięczna z całego serca. Poczwała ogromną ulgę, wstąpił w nią nowy duch. Popędziła rumaka, kierując się ku dolinie. Na ich spotkanie wybiegł zaniepokojony Mariano. Pojawił się też Dwa Sokoły, przy którego nogach poszczekiwał Bajito, a za jego plecami *tia* oraz matka Ramona.

- *Santa Maria* - wyszeptała *tia* Teresa, biegnąc ku nim na długich, patykowatych nogach.

- Ramon został postrzelony. Boję się, że jest w ciężkim stanie. - Mówiąc te słowa, poczuła, jak znowu coś ścisną ją za gardło. Wcześniej, na szlaku, udało się jej zapanować nad emocjami, nie było wtedy czasu na histerię. Ale teraz, na miejscu, była już bliska płaczu.

Mariano i Dwa Sokoły zanieśli Ramona do domu.

- Don Ramon jest silny - powiedział chłopiec. - On wyzdrowieje... teraz, gdy jesteś w domu, *señora*. - Uśmiechnął się, dodając jej otuchy, i oddalił się, aby zająć się zdrożonymi wierzchowcami. *Tia* pomogła Carly dokuśtykać do sypialni, gdzie razem z matką Ramona zaczęły zdejmować z niego pokrzwawione ubranie. Tymczasem *tia* wyszła na zewnątrz, aby wraz z Błękitną zagotować wodę do przemywania ran.

- Nie jest tak źle - odezwał się leżący na łóżku Ramon. - Przeżyłem już gorsze rzeczy. - Teraz, gdy był już w swoim domu, częściowo odzyskał siły. Chociaż pod śniadą skórą był blady i miał ściągniętą twarz, jednak uśmiechnął się ciepło do Carly i wyciągnął ku niej rękę.

- Nie umrę - powiedział - chociaż pewnie powinienem udawać, że nie żyję. Byłbym na to gotów, gdybyś dzięki temu wróciła do domu.

Poczwała ucisk w sercu.

- Ja jestem w domu, Ramon. Już nigdy cię nie zostawię.

Tia i matka wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, po czym odwróciły się i cicho wyszły z pokoju. Uścisnęła rękę Carly.

- Cara, nie możesz tu zostać. Nie dzisiaj. Wuj nie może się domyślić, że brałaś w tym wszystkim udział. I ja także. Jeśli to odgadnie, wszystko pójdzie na marne.

Oczy Carly zaszły mgłą.

- Ale... ja nie mogę tak po prostu zostawić cię...jesteś ranny! Muszę zostać i opiekować się tobą.

Uśmiechnął się czule.

- Wiesz, że mam rację.

- Wuj wróci dopiero jutro. Więc do tego czasu mogę zostać.

Patrzył na nią z taką tęsknotą, że poczuła ciepło w sercu.

- Czy myślisz, że chcę, abyś odeszła? Wołałbym, abyś została. Gdybym tylko wiedział, jak to przeżyć, wziąłbym cię teraz do łóżka i wciągnął pod siebie. Pokazałbym ci na sto różnych sposobów, jak bardzo cię kocham. Ale zamiast tego muszę cię odesłać.

Ścisnęła jego dłoń.

- Pozwól mi zostać.

- To zbyt niebezpieczne. Kobiety zajmą się moimi ranami, więc o nic się nie martw. Już ci mówiłem, że cierpiałem o wiele bardziej... Poza tym mam po co żyć. - Pocałował ją delikatnie w rękę. - Dwa Sokoły przyprowadzi wypoczęte konie, a Mariano pojedzie z tobą aż do rancza. Kiedy będziesz mogła bezpiecznie tu wrócić, będę na ciebie czekał.

Ucisk w krtani powrócił. W oczach Carly załśniły łzy, w piersi poczuła bolesne ukłucie. Patrzyła na Ramona, a on zamknął oczy, gdy upływ krwi i ogólne wycieńczenie znowu pozbawiły go przytomności.

Mógł umrzeć jeszcze tej nocy, a wtedy już nigdy z nim nie będzie.

Mógł umrzeć, a wtedy już nigdy więcej go nie zobaczy.

Mógł przeżyć, a wtedy jej nieobecność w del Robles z pewnością zaalarmuje wuja, który doprowadzi do powieszenia Ramona.

Pochyliła się z ciężkim sercem i złożyła na jego ustach delikatny pocałunek. Odwróciwszy się, ujrzała stojące w drzwiach tia Teresę i matkę Ramona.

- Będziemy się nim dobrze opiekować - obiecała *tia*. Również jej oczy były pełne łez.

- *Si* - odezwała się matka - ale najlepszym lekarstwem dla mego syna będzie jak najszybszy powrót do domu jego żony.

- Nie chcę odjeżdżać - Carly zamrugała mocno oczami - ale muszę. Żeby on był bezpieczny.

Starsza kobieta kiwnęła głową.

- Wrócę najszybciej, jak będę mogła. - Uściskała je i wyszła. Na podwórzu już czekali Dwa Sokoły i Mariano, a obok stały wypoczęte wierzchowce. Gruby *vaquero* wsadził ją na gniadego wałacha, sam wskoczył na grzbiet drugiego konia i przywiązał cugle Słonecznej do swojego siodła.

Jechali milcząc w kierunku del Robles. Żadne z nich nie wyraziło słowami swoich obaw o Ramona, ani o to, że być może Fletcher Austin zdążył już powrócić na ranczo i odkrył nieobecność siostrzenicy. Co ona wtedy mu powie? W jakie jej kłamstwo mógłby uwierzyć?

Na szczycie wzgórza, z którego było już widać ranczo, z pomocą Mariana przesiadła

się na zmęczoną Słoneczną i już samotnie pojechała po zboczu, starając się okrążyć barak z nadzieją, że nikt jej nie zobaczy.

W stajni zeskoczyła z klaczy, sycząc głośno, gdy skręcona noga odezwała się bólem. W słabym świetle, padającym z zewnątrz przez okno, zaczęła zdejmować siodło z konia.

- Ja to zrobię, *señora*.

Aż podskoczyła na dźwięk czyjś głosu.

- Jose! Ależ mnie przestraszyłeś.

- Bardzo przepraszam, nie chciałem. - Wysoki *vaquero* stanął koło Carly i zaczął luzować popręg. - Niech pani idzie do domu - odwrócił się do niej. - I niech się pani nie obawia. Nikomu nie powiem, że pani wyjeżdżała.

Nerwowo oblizwała wargi.

- Dziękuję ci, Jose.

Kiwnął głową i wycofał się w cień, zaś Carly szybko wróciła do domu. W sypialni czekała na nią Candelaria i nie czekając zaczęła zdejmować z niej ubranie.

Tyle osób musiało zachować milczenie, a jednak wierzyła, że jej nie zawiodą.

- Niech się pani śpieszy. Lada chwila przyjedzie *señor Austin*.

- Mówił, że wróci dopiero jutro - poprawiła ją Carly.

- Będzie tu niedługo. Wysłał przodem jednego z ludzi. Podobno pani wuj został ranny w czasie strzelaniny w San Juan.

- Co takiego?

- Tak powiedział. Niestety nic więcej nie wiem.

- Czy on wie, że mnie nie było?

- Nie. Powiedziałam mu, że pani śpi, i że przekażę pani wiadomość o *señor Austinie* i o tym, że wkrótce zostanie przywieziony do domu.

- Dziękuję ci, Candelario.

Dziewczyna tylko wzruszyła ramionami.

- Jesteśmy przyjaciółkami... a poza tym jest pani żoną don Ramona.

Carly nie powiedziała nic więcej, włożyła nocną koszulę, różowy satynowy szlafrok i poszła do sypialni wuja, aby sprawdzić, czy jest przygotowana.

- Obudź Ritę - zwróciła się do Candelarii. - Niech zagotuje trochę wody i przygotuje wszystko, co może być potrzebne do opatrzenia ran mojego wuja.

- *Si, señora*.

Z pewnością nie jest ciężko ranny, pomyślała Carly. Nie mogła sobie wyobrazić swego niezwykłego wuja w inny sposób niż wydającego rozkazy i polecenia. W tej

chwili najbardziej potrzebował jej mąż, ale jej przy nim nie było.

Rozdział 22

Gdyby nie bolała jej zwichnięta kostka, chodziłaby nerwowo tam i z powrotem. Jednak w tej sytuacji siedziała przed oknem w swojej sypialni, z nogą opartą na poduszce, zamartwiając się z powodu postrzału Ramona i powrotu wuja, gdy posłyszała tętent końskich kopyt.

Zawiązała pasek szlafroka i kulejąc podeszła do drzwi. Na podwórzec właśnie wpadła grupa jeźdźców, wzbijając w powietrze tuman pyłu.

Carly ujrzała wuja. Siedział bezwładnie, przywiązany do siodła, pokrwawiony, wywołując w niej przerażenie.

- Dobry Boże - szepnęła. Nagle poczuła suchość w ustach. Przytrzymała się o futrynę drzwi, gdy tymczasem podszedł do niej Cleve Sanders.

- Źle z nim, panienko McConnell. Sztywno kiwnęła głową.

- Szybko, wnieście go do środka.

Sanders i trzech innych mężczyzn ściągnęli go ostrożnie z siodła i wnieśli pokrwawione ciało do domu. Austin miał poszarpane i brudne spodnie od upadku z konia, koszula była czerwona od postrzału w brzuch. Z drugiej rany w piersi również sączyła się krew.

- Zanieście go do sypialni - powiedziała Carly łamiącym się głosem. Nagle wszystkie ostre słowa, które padły między nimi, wszystkie kłótnie, machinacje wuja, przestały mieć znaczenie. Wuj Fletcher umierał. Cierpiał, ogarnięty przerażeniem. Na swój własny sposób był dobry dla Carly. No i był rodziną. Jedynym bratem matki. A ona była jego jedyną krewną.

- Caralee? - powiedział tak cicho, że ledwie go usłyszała. Podeszła bliżej, gdy mężczyźni ułożyli go na miękkim, puchowym materacu i zaczęli zdejmować mu buty.

- Jestem przy tobie, wujku. - Zmusiła się do uśmiechu, ocierając łzy z policzka. Chwyciła jego dłoń i usiadła na krześle obok łóżka. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Po drugiej stronie Sanders pomagał Ricie zdjąć z leżącego pokrwawioną koszulę i przemyć rany, lecz wszyscy wiedzieli, że to daremne.

Z gardła Austina wydobył się zduszony jęk. Zaczerpnął powietrza i wypuścił je powoli z piersi.

- Nie chciałem, żeby to się tak skończyło. - Patrzył na Carly. Jego cera przybrała

woskową barwę. -Chciałem... abyś ty... miała dostatnie życie. Twoja matka... też by tego chciała.

Carly myślała, że zaraz się udusi. Coś ścisnęło ją za gardło.

- Bardzo się starałeś, wujku.

- Miałem nadzieję... że ty i Vincent...

- Wiem. Nie mów nic. Musisz oszczędzać siły. -Dobry Boże, on umiera! Nie mogła w to uwierzyć.

- Nie ma już... czasu. - Ścisnął mocniej dłoń Carly. - Chcę, żebyś wiedziała, że... kochałem cię... po mojemu. Nigdy nikomu tego nie mówiłem. Nie umiałem. Twojej matce też nie mówiłem, że ją kocham. I zawsze... tego żałowałem. Z trudem przełknęła ślinę.

- Ja też cię kocham, wujku. Gdy zmarła mama, przez długie lata byłam taka samotna. A gdy przyjechałam tutaj, dzięki tobie już nie czułam samotności.

Skrzywił się, gdy spłynęła nań kolejna fala bólu.

- Chciałem, żebyś była szczęśliwa... żebyś miała wszystko, czego nigdy nie miała twoja matka. - Zaczął kaszleć. Między jego sinymi wargami pojawiła się czerwona strużka.

Przyłożyła mu do ust czystą chusteczkę, żeby wytrzeć krew. Nie mogła opanować drżenia rąk. I płaczu.

- Wujku, ja jestem szczęśliwa. I przysięgam ci, że mam wszystko, czego pragnę.

Popatrzył na nią z odrobiną swej dawnej przebiegłości w oczach.

- Mówisz pewnie o tym... Hiszpanie. Ty nadal... kochasz go. Widziałem to niemal od początku.

- Wiem, co o nim myślisz, wujku, ale...

- On zaopiekuje się tobą... nigdy w to nie wątpiłem. Dobrze mieć takiego przyjaciela... ale źle mieć w nim wroga.

Nie odezwała się, mocniej ściskając jego dłoń.

- Żałuję, że to się stało... dałabym wszystko, że-by...

- Takie jest życie, kochana. Zrobiłem wiele rzeczy... których żałuję. Które chciałbym zmienić.

Zatkał cicho.

- Gdzie Rita? - spytał.

- Jestem, señor Fletcher. - Zbliżyła się szybko. Miała szarą jak popiół twarz i załzawione oczy.

Ze świstem nabrał powietrza.

- Będzie mi cię brakowało, kobieto. Chociaż i tego nigdy nikomu nie mówiłem.

Rita zaczęła mówić do niego po hiszpańsku, błagając, by jej nie zostawiał, ale on już tracił przytomność. Carly niemalże widziała, jak opuszcza go resztką życiowych sił.

- Caralee? - wyszeptał.

- Tak, wujku?

- Bądź szczęśliwa... - powiedział, wydając ostatnie tchnienie. I odszedł.

Rita zaczęła szlochać, opierając głowę na jego piersi, lecz Carly cicho wyszła z pokoju. Szła sztywno, zapominając o bólu w nodze. Minęła lampy płonące w korytarzu i znalazła się w ciemnym salonie. Usiadła i oparła się na sofie przed wygaszonym, wielkim kominkiem, pełnym popiołu i poszarzałymi węglami.

Jednej nocy zmieniło się całe jej życie. Ramon został ciężko ranny, a wuj nie żyje. Szeryf wciąż krążył po wzgórzach w poszukiwaniu Pedro Sancheza i pozostałych uciekinierów.

Nadal ścigali El Dragona.

Opuściła głowę, splotła dłonie i odmówiła krótką modlitwę za wuja. Gdy skończyła, pomodliła się też za Ramona i jego towarzyszy. Po chwili usłyszała jakiś ruch i głosy w korytarzu.

W salonie stanął Cleve Sanders w towarzystwie trzech swoich ludzi.

- Przynajmniej mamy tego bandytę, który to zrobił.

Carly zeszywniała.

- Co... co pan powiedział?

- Przepraszam, panno McConnell. Nie wiedziałem, że panienka tu jest.

- Nie szkodzi. Co pan mówił?

- Mówiłem chłopakom, że mamy mordercę pani wuja. Riley Wilkins zabił Hiszpańskiego Smoka, El Dragona.

Czy miał na myśli Ramona? Czy po jej wyjeździe coś się wydarzyło w Las Almas? Boże, to nie mogła być prawda!

- Co się stało?

- Jechaliśmy za nimi szlakiem na północ od rzeki. Bandyci rozdzielili się i zgubiliśmy ich między wzgórzami, ale ich przywódca zawrócił. Wspiął się na skały i zasadził na pani wuja.

- A skąd wiadomo, że to właśnie El Dragon? - spytała ostrożnie.

- Widziałem go w tym dniu, gdy wzięliśmy Liano Mirada. Byliśmy z szeryfem

Laytonem, gdy odwozili go do więzienia.

- I ten sam człowiek zabił wuja Fletchera?

- Tak jest. Riley Wilkins podziurawił go jak sito.

Carly nie odpowiedziała. Trzęsąc się, wstała z sofy i poszła korytarzem do swojej sypialni. Bardzo pragnęła pojechać do Ramona, powiedzieć mu, że jego kuzyn i jej wuj nie żyją, ale teraz nie był dobry czas, aby to zrobić. Nie mogła podjąć takiego ryzyka i zaprowadzić ich do Ramona. Gdyby odkryli, że został ranny, stałoby się jasne, że był ostatniej nocy wśród ludzi, którzy oswobodzili więźniów.

Będzie musiała wysłać Jose, aby się dowiedział o stan jego zdrowia. Teraz była już pewna, że może mu zaufać. Pewnie jutro po południu wybierze się do Ramona osobiście. Teraz, po śmierci wuja, ludzie nie będą się już dziwić, że wróci pod opiekę męża.

Całkowicie zeszytniała, jeszcze bardziej przerażona i samotna niż kiedykolwiek od śmierci matki, Carly weszła do sypialni i powoli zamknęła drzwi.

* * *

Ramon rzucał się półprzytomnie na materacu. Spał niespokojnie, osłabiony utratą krwi. Od powrotu do Las Almas jego stan nieustannie się pogarszał. Do południa następnego dnia dostał wysokiej gorączki, często tracił świadomość, nie wiedział, co się wokół niego dzieje.

Jose przywiózł Carly te wiadomości. Wykręcała sobie ręce, walcząc z napływającymi do oczu łzami, chodziła niespokojnie po domu, nie śmiała jednak opuścić rancza. Nie teraz, gdy szeryf Jeremy Layton czekał na nią w gabinecie wuja.

Na jej widok wstał i lekko zmarszczył czoło. Spostrzegł, jak próbuje ukryć, że boli ją noga. Jednak uprzejmie kiwnął głową.

- Naprawdę bardzo mi przykro z powodu śmierci wuja, panienko.

- Dziękuję, szeryfie.

- Wiem, że to nie jest odpowiedni moment, ale muszę zadać kilka pytań.

Usiadła w fotelu obok niego, wyglądając fałdy spódnicy z czarnej krepy.

- Chętnie pomogę, jeśli tylko będę mogła. - Poprawiła sobie koronki na mankietach, starając się ukryć zdenerwowanie. - Co chciałby pan wiedzieć?

Szeryf zajął miejsce.

- Będę mówił wprost. Wuj miał bardzo silne podejrzenie, że pani mąż był związany w taki czy inny sposób z człowiekiem, który go zabił. Doszedł do wniosku, że być może don

przekazywał ważne informacje, a nawet osobiście brał udział w napadach. Pomyślałem, że może właśnie z tego powodu zostawiła pani męża i wróciła tutaj.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Mówię, że jeśli don Ramon jest uwikłany w coś, czego pani nie akceptuje, to mogło być przyczyną, że chciała pani anulować wasze małżeństwo.

A więc wiedział o procedurach, które wszczął wuj. Ale przecież szeryf Layton i tak wiedział prawie wszystko.

Zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Zdecydowałam się wrócić do męża, zanim jeszcze wuj został zabity. Prawda jest taka, że w ogóle nie powinnam była go opuszczać.

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale byłbym spokojniejszy wiedząc, dlaczego wtedy pani go zostawiła.

Szukała rozpaczliwie jakiejś odpowiedzi, w którą by uwierzył, a która nie miałaby związku z osobą Angela de la Guerra.

- Będę z panem szczerą, szeryfie. Byłam zazdrosna. Odkryłam, że mąż miał kochankę, oczywiście przed naszym ślubem. Poczulałam się mocno zraniona. A teraz... Cóż, wyjaśniliśmy sobie wszystko. Ta kobieta nie odgrywa już żadnej roli w życiu mojego męża, a on przekonał mnie, że jestem dla niego jedyna. - Wyprostowała się. - Przepraszam, że sprawiam panu zawód, szeryfie, lecz mój mąż ani nie zna, ani nigdy nie miał nic wspólnego z El Dragonem.

Jeremy Layton wstał.

- To chyba kładzie kres całej sprawie... o ile skończą się kłopoty w okolicy.

- A co z innymi? Czy pan i ochotnicy nie będziecie ścigać bandytów?

Pokręcił głową.

- Myślę, że są już bardzo daleko. Bez przywódcy chyba tu nie wrócą. - Uśmiechnął się. - Cieszę się, że pani i don Ramon pogodziliście się. Po prawdzie, zawsze go lubiłem.

- Przekażę mu pozdrowienia od pana. – Także wstała.

Szeryf podniósł kapelusz, zawieszony na oparciu krzesła.

- Myślę, że teraz... po tym, co się stało, nigdy nie poznamy prawdziwego nazwiska tego złoczyńcy.

- Ma pan na myśli El Dragona?

Kiwnął głową.

- Nikt w tej okolicy go nie zna. A przynajmniej, nie przyznaje się do tego. Ale może tak jest lepiej. -Spojrzał na nią badawczo, lecz Carly milczała. Nałożywszy kapelusz, skierował się do drzwi. – Zapewne teraz, po śmierci Fletchera, pani i don Ramon

zamieszkacie w del Robles.

Podniosła głowę, stając, jak wryta.

- Co pan powiedział?

- To chyba logiczne. Ranczo należy teraz do pani.

- Rancho del Robles należy do mnie?

- Oczywiście. Fletcher Austin nigdy tego nie ukrywał. Mówił, że jeśli cokolwiek mu się stanie, del Robles należy do pani. Nieraz wspominał mi, że jest pani jego jedyną krewną.

- Tak... chyba tak. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nawet o tym nie pomyślałam.

- Na pewno dopilnował, aby wszystko było legalnie. Być może w jego biurku są stosowne dokumenty. Niech pani je przejrzy w wolnej chwili. Oczywiście, na pewno któryś z jego wpływowych przyjaciół, prawników z San Francisco zajmie się całą sprawą. Ja w każdym razie postawię ostatnią sztukę złota, że rancho jest pani własnością.

Patrzyła na niego, z trudem rozumiejąc, co do niej mówi.

- Dziękuję panu, szeryfie. Zrobię to, co pan sugerował.

A więc Rancho del Robles prawdopodobnie należało do Carly. Niewiarygodne. A jednak z każdą mijającą sekundą, wierzyła coraz bardziej.

* * *

Tego popołudnia pochowali Fletchera Austina. Pewnie życzyłyby sobie pogrzebu z wielką pompą. Życzyłyby sobie, aby na uroczystość przyjechali jego zamożni przyjaciele z San Francisco. Ale nie było na to czasu, zaś dla Carly zmarły to zmarły. Teraz bardziej martwiła się o żyjących.

Gdy stolarz robił solidną, dębową trumnę, ciało wuja zostało umyte i ubrane w najlepszy, czarny strój. Carly, Rita Salazar, Cleve Sanders i dziesiątki osób zatrudnionych na ranczu stali na szczycie pagórka pod starym dębem, skąd rozpościerał się widok na hacjendę. Wspaniałe miejsce na spotkanie z wiecznością. Carly wiedziała, że wuj byłby zadowolony z wyboru miejsca jego spoczynku.

Przynajmniej tyle mu się należało. I tak było to więcej, niż powinien otrzymać po tym, jak tego ranka Carly odkryła straszliwą prawdę.

Jednak był jej wujem. Mimo całej bezwzględności, był jej bliski. Płakała nad grobem, gdy Riley Wilkins poważnym głosem odczytał kilka wersetów z Biblii. Gdyby tylko wydarzenia potoczyły się inaczej. Po zakończeniu uroczystości wszyscy wrócili do domu,

gdzie wystawiono stoły z jedzeniem: pieczone kurczaki, świeże tortille, półmiski z parującą kukurydzą, smażone ziemniaki, duszone mięsiwa. Na rożnie obracał się wół. Było wino, sangria, domowe budynie i czekolada zawinięta w tortille.

Po odebraniu kondolencji Carly wymknęła się do swojej sypialni, aby włożyć ubranie do konnej jazdy. Czekala już wystarczająco długo. Zawiadomiła wszystkich, że zamierza udać się do Las Almas i wrócić do męża. Potrzebuje go, zwłaszcza teraz, po śmierci wuja. No i kocha go.

Wszystko to było prawdą.

Nie powiedziała im, jak bardzo się o niego martwi, że z każdym krokiem niosącej ją ku niemu klaczy coraz bardziej za nim tęskni i go pragnie.

* * *

Ramon poruszył się i otworzył oczy. Całe ramię szarpało go boleśnie, skóra wokół rany piekła jak ogień. Jednak nie czuł już pulsowania w głowie, ciało nie było tak rozpalone. W nocy zrzucił z siebie pościel i leżał nago na czystym, muślinowym prześcieradle.

Przez chwilę nic nie mówił, jedynie cieszył się, że przeżyje, że widzi błękit nieba za oknem, a w fotelu koło łóżka śpiącą kobietę.

Wiedział, że przyjechała, wyczuł to w chwili, gdy weszła do pokoju, choć tak naprawdę jej nie zobaczył. Jego skóra była tak rozgrzana, że bał się, iż pęknie jak gotowany ziemniak. Nie mógł otworzyć oczu, nie miał dość siły, by unieść głowę.

Potem poczuł coś chłodnego na czole, usłyszał słodki, uspokajający głos żony. Pomyślał mgliście, że teraz już go nie opuści. Caralee przyjechała, aby zostać.

Odpoczywał spokojniej. Ogień trawiący jego ciało wypalił się, pozwalając mu zasnąć, a we śnie zaczęły powracać siły.

Tak ostrożnie, jak potrafił, aby jej nie obudzić, usiadł na łóżku, opierając się plecami o wezgłowie i sięgnął po szklankę wody stojącą przy łóżku. Wypłukał usta, wypił resztę płynu, przeczesał dłonią zmierzwiłone, czarne włosy. Spojrzał na żonę i zauważył, że jej bluzka rozpięła się, a pod nią widać białą skórę. Poruszył się, naciągnął pościel, żeby okryć szybko rosnącą erekcję.

Tak, wyraźnie czuł się lepiej.

Lecz nie chciał jej budzić. Potrzebowała odpoczynku, a on z przyjemnością siedział koło niej. Uśmiechnął się, patrząc, jak miedziane włosy Carly połyskują w porannym słońcu, zapragnął wysunąć z nich spinki, i gdy opadną, zanurzyć w nich swe dłonie. Ciekawe, jak

długo każe mu przeżywać katusze, zanim stwierdzi, że wydobrzeł na tyle, aby mogła wrócić do jego łóżka.

Uśmiechnął się. Na pewno nie będzie to tak długo, jak by sobie życzyła.

Poruszyła się, otwierając powieki. Zielone jak trawa oczy zatrzymały się na jego twarzy.

- Ramon?

- *Buenos dias, querida.*

- Ramon! - W jednej chwili zerwała się z fotela, w ostatniej chwili powstrzymując się, by nie paść mu w ramiona. Sięgnęła ręką do jego czoła, sprawdzając, czy nadal jest rozpalone. - Gorączka minęła!

- *Si, mi amor.* Chyba wracam do zdrowia. - Spojrzał na jej rubinowe usta i znowu poczuł, jak sztywnieje między nogami. Uśmiechnął się szelmowsko. - Już teraz jestem prawie zdrowy.

Obrzuciła go spojrzeniem od stóp do głowy. Na czoło opadały mu czarne, kręcone włosy, mięśnie na piersi uwydatniały się z każdym ruchem.

- Jak to możliwe, że człowiek tak ciężko ranny wygląda już tak dobrze jak ty?

Roześmiał się i natychmiast syknął z bólu, który odezwał się w ramieniu.

- Cieszę się, że tak myślisz, bo już planuję, żeby cię uwieść.

- O, widzę, że naprawdę czujesz się lepiej. - Uśmiech znikł z jej ust, gdy wzięła go za rękę i usiadła na brzegu łóżka. - Tak bardzo się bałam. Wybacz, że nie przyjechałam wcześniej.

- Dobrze się stało, że zaczekałaś. Czy w del Ro-bles wszystko w porządku?

Pokręciła głową.

- Jest tyle rzeczy, o których muszę ci powiedzieć.

- Powiedz, że zostaniesz w Las Almas. Tylko to pragnę usłyszeć.

Mocniej ścisnęła jego dłoń.

- Na pewno jesteś na to gotowy? Może powinieneś jeszcze odpocząć, nie chcę cię wymęczyć.

- Mów, *chica*. Chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia.

- Wuj nie żyje. Zmarł w wyniku strzelaniny pod San Juan Bautista. Angel również zginął.

- Angel zginął?

Kiwnęła głową.

- Oni nadal wierzą, że to był El Dragon. Wszystko już skończone, Ramon. Szeryf

mówi, że nie będą ścigać pozostałych, jeśli więc skończą się napady, sprawa zostanie zamknięta.

Głowa Ramona opadła na poduszkę. Poczł ogromną ulgę, a jednocześnie zmęczenie.

- Miałaś rację co do mojego wuja - powiedziała cicho. - W dniu jego pogrzebu przyjechał szeryf. Poradził mi, abym przejrzała papiery wuja. W biurku znalazłam pęk kluczy do zamkniętych na zamki szuflad. W jednej z nich odkryłam teczkę zawierającą wyciągi z jego operacji bankowych aż od 1851 roku. Jeden z nich wykazywał wypłatę kwoty dwóch tysięcy dolarów na rzecz niejakiego Henry'ego Cheeversa. Samo w sobie nie było to podejrzane, ale zwróciłam uwagę na datę: kwiecień 1853, oraz na fakt, że wuj Fletcher posiadał akt własności Rancho del Robles niecałe trzydzieści dni później. Z innego dokumentu dowiedziałam się, że Henry Cheevers zasiadał w Zarządzie Komisji Gruntowej Stanów Zjednoczonych.

W milczeniu chłonał jej słowa, lekko spięty.

- Myślę, że wuj przekupił Henry'ego Cheeversa, aby ten odrzucił roszczenia twojej rodziny do Rancho del Robles. Ziemię sprzedano za bezcen Thomasowi Garrisonowi. Znalazłam również dowód na wypłatę dla Garrisona oraz osobny wyciąg na zakup rancza. Nawet z tymi łapówkami wuj kupił ziemię za jedną dziesiątą wartości. - Oczy Carly zasły łzami. - On ukradł twoją ziemię, Ramon, dokładnie tak, jak mi mówiłaś.

Epilog

Zorganizowali *fandango*. Był to specjalny wieczór, zaplanowany przez Ramona, chociaż, o dziwo, bardzo mało o nim mówił. Stwierdził po prostu, że będzie wielka fiesta dla uczczenia wielkiego wydarzenia. Carly nie była pewna, cóż to za wydarzenie, ale nie martwiła się tym, bo sama miała niespodziankę dla Ramona.

Usłyszała dźwięki melodii. Za oknem hiszpańscy muzycy grali na gitarach i skrzypcach dla gości, którzy już przyjechali, zaś Carly nie mogła już usiedzieć przed lustrem, czekając, aż Candelaria skończy układać jej fryzurę.

- Czy nie może pani posiedzieć spokojnie? -zbeształa ją w końcu służąca. - Jeśli mam się pospieszyć, to musi mi pani pomóc.

- Nic na to nie poradzę. Już dawno powinnam być gotowa. Ramon będzie się zastanawiał, gdzie jestem.

- Zamiast robić wszystko samej, powinna pani pozwolić Ricie, żeby zajęła się

przygotowaniami, tak jak proponował don.

- Pomagałam tylko przygotować jedzenie. Chciałam się upewnić, że niczego nie zabraknie.

Pokojówka tylko zmarszczyła czoło, aż Carly przestała się wiercić. Od śmierci wuja minęło pół roku. Kilka tygodni po tamtym wydarzeniu odczytano testament, na mocy którego została właścicielką rancza, tak jak przewidywał szeryf. Oczywiście należało sporządzić stosowne dokumenty, dokonać przeniesienia własności kont bankowych i podpisać wiele innych papierów. Dwa miesiące po śmierci wuja Carly i Ramon przeprowadzili się do Rancho del Robles, gdzie on przejął zarządzanie majątkiem.

Mąka i ciotka zdecydowały, że zostaną w Las Almas. Przyzwyczyły się już do myśli, że tam jest ich dom, zresztą znajdował się bardzo blisko del Robles.

- Nie chcę tam mieszkać - stwierdziła matka Ramona - Widziałabym we wszystkim rękę twojego ojca. Te wspomnienia są zbyt bolesne. A tutaj czuję spokój. - W Las Almas pozostał także Mariano, Błękitna oraz kilku *vaqueros*. Reszta ludzi, łącznie z Pedro Sanchezem, wróciła na Rancho del Robles.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Carly wielokrotnie próbowała rozmawiać z Ramonem o prawie własności rancza, lecz on odmawiał dyskusji na ten temat. Twierdził, że z prawnego punktu widzenia ranczo należy do niej. Jemu wystarcza, że wraz ze swoimi ludźmi mógł wrócić do domu.

Dla Carly jednak to nie było wystarczające. Chciała naprawić wyrządzone zło, a właśnie dziś była ku temu znakomita sposobność.

- Już prawie gotowe, *señora*. - Gdy Candelaria cofnęła się, aby popatrzeć na swoje dzieło, Carly wstała i podeszła do wielkiego lustra.

Wyglądając jedwabną spódnicę, przejrzała się, zadowolona z dość odważnego, lecz nieprzesadnie wyciętego dekoltu, ozdobionego falbanami. Pięknie wyglądały też pukle kasztanowych włosów, które Candelaria z takim artyzmem ułożyła na jej nagich ramionach.

- Śliczny kolor, nie sądzisz?

- *Si, señora*. Taka sama zieleń jak w pani oczach.

- Mam nadzieję, że Ramonowi też się spodoba. Candelaria uśmiechnęła się.

- Pani mężowi podoba się wszystko, co pani robi. Chciałabym znaleźć mężczyznę, który kochałby mnie w połowie tak mocno, jak don Ramon kocha panią.

Carly poczuła, że się rumieni.

- Mam nadzieję, że on wie, jak bardzo go kocham.

Ciemnowłosa służąca tylko się uśmiechnęła. Podniosła piękną mantylkę z czarnej

koronki, dopasowaną do lamówek na sukni, pomogła Carly nałożyć ją na grzebyki z macicy perłowej, które otrzymała w podarunku od Ramona wcześniej tego samego wieczoru.

- Wiem, że to głupie, ale mam tremę. Sama nie wiem dlaczego.
- Może dlatego, że don zaplanował tę imprezę specjalnie dla pani.
- Naprawdę tak myślisz?
- Wkrótce sama się pani przekona. Proszę iść. Bo mąż czeka i bardzo się niecierpliwi.

Carly wyszła z obszernej sypialni, którą teraz dzieliła z Ramonem, i korytarzem przeszła do salonu. Jej przystojny mąż chodził tam i z powrotem przed oknem. Przy każdym zwrocie powiewały rozszerzone, zdobione czerwonymi lampasami nogawki czarnych obcisłych bryczesów, wpuszczonych w czarne, lśniące buty.

Na widok Carly uśmiechnął się szeroko.

- *Ach, querida...* - Patrzył na nią radośnie. - Twój widok zapiera mi dech w piersi.
- Cieszę się, że podoba ci się suknia.
- Jeszcze bardziej podoba mi się kobieta, która ją nosi. - Obrzucił ją lubieżnym spojrzeniem, aż poczerwieniała na twarzy. - Ale na to przyjdzie czas później. Teraz mamy gości. Dziś jest wieczór *fandango*!

Razem wyszli z domu na patio, udekorowane kolorowymi lampionami z papieru i dziesiątkami ręcznie wykonanych papierowych kwiatów. Z gałęzi drzew zwisały serpentyny, stół udekorowano girlandami róż. Muzycy ubrani z czarne *calzonevas* i krótkie *charro* stali na skraju drewnianego parkietu, grając hiszpańską serenadę.

Przyjęcie rozkręciło się na dobre. Przybyły już rodziny Herrera, Juarez, Montoya oraz kilkanaście innych. Z Monterey przyjechał don Alejandro de Estrada i rodzina Micheltorenas, a z całej okolicy, nawet z San Miguel, różni *vaqueros*, pośród nich zaś Dwa Sokoły, dumny, że przyjęli go do swego grona. Wielu siedziało na koniach, jak było w zwyczaju, inni zeskoczyli na ziemię i włączyli się do zabawy.

Były też matka i ciotka Ramona, tak radosne i szczęśliwe jak nigdy.

- Wspaniałe weselne przyjęcie, prawda? - powiedziała do Carly tia Teresa.
- Weselne? - Carly oblała się rumieńcem. - Nie sędzę...
- *Si, tia* - odezwał się Ramon. - To uświetnienie naszego ślubu.

Carly spojrzała na męża.

- Więc to jest przyjęcie weselne?
- *Si*, tak trzeba je nazwać. Chciałem, aby moi sąsiedzi i przyjaciele poznali kobietę, którą poślubiłem.

Poczuła ucisk w krtani. Nagle zrozumiała, dlaczego tak pieczołowicie zaplanował ten

wieczór. W ten sposób pokazywał ludziom, którzy byli mu bliscy, ile ona dla niego znaczy. Mówił im, że właśnie jej pragnie. A fakt, że jest Amerykanką, nie ma znaczenia. Teraz nosi nazwisko de la Guerra, a on jest dumny, że ma taką żonę.

- Dziękuję ci. - Zapiekł ją łyzy. Ramon musiał to zauważyć, bo uniósł jej podbródek i pocałował delikatnie w usta.

- Cieszę się, że ci miło. Żałuję jedynie, że nie zorganizowałem tego wcześniej. A teraz chodź. Chciałbym, abyś poznała parę osób.

Wmieszali się w tłum gości. Ramon z dumą przedstawiał ją ludziom, których jeszcze nie znała, przypominał tym, których zdążyła już kiedyś spotkać. A potem poszli tańczyć.

Śmiejąc się radośnie, tańczyli jedną pieśń po drugiej. Ramon cierpliwie uczył ją kroków, aż w końcu opanowała je wszystkie. Przyjaciele rozrywali nad ich głowami kolorowe *cascarones*, wydmuszki jajek napelnione złotymi i srebrnymi lametami, jakby byli prawdziwą młodą parą.

Vaqueros wymusili na Ramonie, aby wypił z nimi ognistą *aguardiente*, która wprowadziła go w jeszcze lepszy humor. Zaczął śmiać się, dowcipkować, śpiewać z nimi sprośne piosenki.

Tak naprawdę nie był pijany, co spostrzegła, gdy wrócił, wziął ją za rękę i znowu poprowadził na parkiet. Cieszył się życiem, radował obecnością starych, dobrych przyjaciół, cudowną chwilą, jakiej nie zaznał już od wielu lat.

Uśmiechając się do Carly, skinął ręką muzykom. Tempo melodii uległo zmianie. Jedna po drugiej wszystkie pary przestały tańczyć, tworząc krąg wokół Ramona.

Uniósł rękę Carly, pochylił się i ucałował wewnętrzną stronę dłoni.

- Ten taniec jest dla ciebie - powiedział chropowatym głosem i nagle uniósł swe zgrabne, ciemne dłonie ponad głowę.

Klaszcząc raz, drugi, trzeci, przytupując obcasami w drewniany parkiet, wygiął plecy do tyłu i zaczął tańczyć z gracją, uderzając podszewkami o deski w rytm muzyki. Światło latarni błyszczało na srebrnych ozdobach nogawek jego obcisłych, czarnych bryczesów, połyskiwało na cekinach klap *charro*, krótkiego kabata, który sięgał mu ledwie do wąskiej talii.

Nie spuszczać oczu z Carly, uniósł wyżej głowę, spoglądając na nią ogniście. Ten wzrok zdawał się wbijać głęboko w jej duszę, zniewalać, jak wtedy, gdy była w górach. Poruszał dłońmi zmysłowo, z wdziękiem, niemalże jej dotykając.

Oddychała coraz szybciej, falując piersiami pod głęboko wyciętym dekoltem. Serce zatrzepotało nieregularnym rytmem. Wodziła wzrokiem po jego ciele, ogarniając szerokie

barki, płaski brzuch, ścięgnięta, napinające się z każdym ruchem mięśni ud. Spodnie były tak dopasowane, że wyraźnie widziała jego nabrzmiałą męskość.

Chciała wyciągnąć rękę, dotknąć tej pięknie wyrzeźbionej piersi, poczuć, jak jego zgrabne dłonie wodzą po jej ciele, pieszcząc, wnikając głęboko do środka. Pragnęła poczuć smak ust Ramona, poczuć ognisty żar, gdy wchodzi w nią głęboko, do samego końca.

Jej sutki nabrzmiały boleśnie pod falbanami górnej krawędzi gorsetu. Gdy zeszywniały, natychmiast przykuły wzrok Ramona, który uśmiechnął się kącikiem ust. Dobrze znał moc swojego tańca. Zrozumiała, że już kiedyś ją wykorzystał, poczuła bolesne ukłucie zazdrości, a zarazem podniecenie na myśl o tym, co zamierzał zrobić.

Muzyka była coraz głośniejsza i szybsza, w jej rytmie biło serce Carly, tłocząc rozgrzaną krew. Ramon wirował, przytupywał, klaskał w dłonie. Gdy wygiął plecy, jego wydatna męskość wyprężyła się jeszcze bardziej, na spodniach między udami wykwitła plamka wilgoci. Carly mimowolnie dotknęła kącika ust językiem, przesunęła nim po dolnej wardze. Oczy Ramona pociemniały z pożądania. Nikt z patrzących nie miał wątpliwości, co kryje się w tym spojrzeniu. Pragnął jej. Było to pragnienie mężczyzny, pożądającego swej młodej żony. Wszyscy pojęli, że chciał ją osiąść.

Zapewne oblałaby się rumieńcem, gdyby nie była tak bardzo pochłonięta jego tańcem. Pieśń zbliżała się ku końcowi, Ramon coraz szybciej i szybciej uderzał obcasami w deski parkietu, a widzowie zaczęli klaskać i pokrzykiwać w szalonym, rytmie muzyki. Carly podeszła bliżej, ich spojrzenia się skrzyżowały. W ostatnim akordzie tupnął energicznie i znieruchomiał, odrzucając głowę do tyłu, lecz ani na chwilę nie spuścił z niej wzroku. Nawet nie mrugnął, nie drgnął, po prostu stał jak posąg, by w końcu przywołać ją ruchem dłoni.

Tłum rozstał się, gdy szła do męża, stając o krok przed jego piękną postacią. Wspięła się na palce i objęła go za szyję, czując, jak on wysuwa ramię i po chwili przyciągają gwałtownie ku sobie. Odchylając Carly do tyłu,łożył na jej ustach najbardziej namiętny z pocałunków, wywołując tym burzę oklasków i okrzyków zgromadzonych.

Nim oderwał się od niej, poczuła, że słabnie z braku powietrza, ledwie świadoma tego, jak bierze ją na ręce i odchodzi w kierunku domu. Zaczerwieniona, poczuła falę gorąca na policzkach i na czubkach sutków.

- Jesteś cudowny - szepnęła - piękny...

- To ty jesteś piękna, *querida*, a ja jestem największym szczęściarzem na świecie. -

Butem otworzył drzwi do domu i wniósł Carly do wnętrza, oświetlonego słabym blaskiem lamp i świec, które migotliwie zapraszały w głąb korytarza. Poszedł tamtędy i po chwili znaleźli się w sypialni, gdzie unosił się zapach świeżo ciętych kwiatów, stojących w szklanym

wazonie na toalecie. Łóżko pokrywały rozrzucone płatki róż.

Ramon wyjął spinki z włosów Carly, a miedziane loki rozsypały się na jej ramionach.

- Czy wiesz, jak bardzo cię kocham?

- Tak, kochany. - Miała łzy w oczach. - Wiem. Dziś mi pokazałeś, jak wielka jest twoja miłość.

Uśmiechnął się kącikiem zmysłowych ust.

- Dopiero zaczynam ci to pokazywać. Dopiero rano poznasz prawdziwą wielkość moich uczuć. - Zaczął ją rozbierać, lecz Carly delikatnie uwolniła się z jego objęć.

- Najpierw muszę coś zrobić. - Podeszła do toaletki, otworzyła szufladę i wyjęła złożoną kartkę papieru, którą podała Ramonowi.

- Co to jest? - spytał.

- Dziś podarowałeś mi coś najcenniejszego w moim życiu. Uczyniłeś mnie prawdziwą kobietą rodziny de la Guerra, dałeś mi miejsce w swoim życiu.

- Dałem ci tylko to, na co zasługujesz. To, co powinienem był ci dać już dużo wcześniej.

- O, nie. Podarowałeś mi znacznie więcej. Dałeś mi przyjaciół, którym jestem droga, rodzinę, którą pokochałam. Dzięki tobie znalazłam moje miejsce na ziemi. A teraz ja chcę dać coś tobie. - Wcisnęła mu kartkę. - No, otwórz to.

Ostrożnie rozłożył sztywny pergamin. Na górze widniał elegancki napis, wykonany niebieskim atramentem: „Akt własności”.

- To tytuł własności Rancho del Robles. - Uniósł na nią pełne niepokoju, pociemniałe oczy. - Tu jest napisane, że należy ono do mnie.

- Zgadza się. Należy do prawowitego właściciela. A jesteś nim ty.

-Ja nie mogę...

- Pomyśl o Andreasie, Ramon. O swoim ojcu. - Położyła dłoń na jego policzku. - Jestem twoją żoną. Zostanę tu, będziemy żyć i mieszkać razem, a niedługo dam ci synów. Ale ziemia należy do ciebie, tak jak powinna od samego początku. - Łzy spływały po jej policzkach. - *Te amo, mi corazon. Te amo como jamas he amado.* - Kocham cię, moje serce. Kocham tak bardzo, jak nigdy nie kochałam.

Objął ją ciepło, wzruszony. Czuł, jak z miłości niemal pęka mu serce. Trzymała go mocno, gdy całował jej szyję, nachyliła się jeszcze bliżej, gdy wsunął dłoń pod szmaragdowy jedwab, by dotknąć jej piersi.

Po chwili zdjął z niej ubranie, sam także się rozebrał i zaniósł ją do łóżka. Zamierzał być delikatny, więc zaklął, gdy zamiast tego wszedł w nią dziko, zapamiętane. Lecz ona chyba

właśnie tego chciała. Błagała go o mocne pieszczoty, o namiętą żądzę. Pragnęła zaspokoić jego pożądanie, a potem sama się nim nasycić.

Gdy minęła fala uniesień, leżeli razem w milczeniu, splatając ręce i nogi, wsłuchując się w dochodzące z zewnątrz śmiechy i muzykę. Potem posiadł ją znowu, z początku pieszcząc delikatnie, w końcu wnikając w jej wnętrze, aż doszła do szczytu ekstazy, wykrzykując cicho jego imię. Objąwszy czule żonę, patrzył, jak rumieniec znika z jej policzków.

- Kocham cię - powiedziała aksamitnym głosem.

Pogładził jej włosy, pocałował jedwabiste loki na skroniach.

- Tak jak ja kocham cię, *mi vida*. - Moje życie. - Nigdy nie myślałem, że będę tak szczęśliwym człowiekiem. - Uśmiechnął się łagodnie, zachwycony niezwykłym darem, jaki od niej otrzymał.

Znalazł kobietę silną i piękną, którą będzie kochał do końca życia. Panią jego serca. To dzięki niej odzyskał swoją ziemię. Rancho del Robles będzie należało do jego synów, a potem do ich synów.

Dzięki kobiecie, którą trzymał teraz w ramionach, odnalazł upragniony spokój.

Ramon wreszcie wrócił do domu.